



DRZEWO
BABEL

MYSZOODPORNNA KUCHNIA

Saira Shah



photo © Scott Goodfellow



Saira Shah

urodziła się w 1964 roku w Wielkiej Brytanii. Córka afgańskiego pisarza Idriesa Shaha. Pisarka, reporterka i autorka filmów dokumentalnych. Zdobyła trzy nagrody Emmy za UNHOLY WAR, BENEATH THE VEIL i ŚMIERĆ W GAZIE, zanim w 2003 roku zrezygnowała z kariery filmowej. Przed MYSZOODPORNĄ KUCHNIĄ, która jest jej debiutem powieściowym, opublikowała autobiografię pt. CÓRKA BAJARZA [wyd. Albatros, 2005]. Dzieli swój czas między Wielką Brytanię i Francję.

o o o

Miłość to grunt

pozwalający zapuścić korzenie.

Dzięki niej nie przewraca nas

byle podmuch.

o o o

Myszodporna kuchnia

Spis treści

OkładkaO autorceCytatKarta tytułowaKarta
redakcyjnaDedykacjaGrudzieńStyczeńLutyMarzecKwiecieńMajCzerwiecLipiecSie
rpieńWrzesieńPaździernikListopadEpilogUwagi i podziękowania***

Saira Shah

Myszoodporna kuchnia

przełożył Łukasz Witczak

tytuł oryginału

The Mouse-Proof Kitchen

projekt okładki
i przygotowanie wersji elektronicznej

Katarzyna Marzec

zdjęcie na okładce

Jakub Pajewski

zdjęcie Autorki

Scott Goodfellow

redakcja i korekta

Bogna Piotrowska

© Saira Shah 2013

© 2016 for the Polish edition by Drzewo Babel

All rights reserved

DRZEWO BABEL

UL. LITEWSKA 10/12 • 00-581 WARSZAWA

listy@drzewobabel.pl

www.drzewobabel.pl

ISBN 978-83-64488-17-7



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

*Mamie, która dała mi życie,
Scottowi, który dał mi szczęście,
i Ailsie, która nauczyła mnie, czym jest miłość,
dedykuję tę książkę.*

Grudzień

Bóle przychodzą i odchodzą, jak wzbierające i opadające morskie fale. Nie przypomina to ani trochę orgazmu, wbrew temu, co twierdziła moja newage'owa nauczycielka rodzenia, ale też nie ma nic wspólnego z opowieściami mojej mamy o pękających miednicach i kobietach na granicy obłądu.

Wciągam gaz i powietrze, i tęsknię za widokiem twarzy Tobiasa, za jego szelmowskim urokiem i porozumiewawczym błyskiem w oczach. Mama, kiedy go poznała, stwierdziła, że wygląda jak poczciwy koń. Tobias nie znosi tego porównania, ale mnie bardzo się spodobało.

Wreszcie się zjawia, czarne kędziory jeszcze bardziej rozczochrane niż zwykle, spóźniony na narodziny swojego pierwszego dziecka, cały on. Jego nieświeży wygląd składam na karb długiego wieczoru na mieście. Tobias nie należy do ludzi martwiących się na zapas.

Znajduję chwilę, by pogratulować sobie w myślach, że od początku – odkąd pierwszy raz go ujrzałam – wiedziałam, że będzie idealnym partnerem i ojcem dla mojego dziecka. Wtem rozlega się krzyk położnej: dziecku zamiera tętno. Sala rozbłyska mnóstwem świateł. Zbiegają się ludzie w niebieskich kitlach. Tobias, nieogolony i mokry od potu, woła z płaczem: „Tak, tak, jak uważacie, tylko zróbcie coś!”. Lekarze aplikują mi znieczulenie zewnątrzoponowe i przystępują do cesarskiego cięcia.

Zaciągają zasłonę. Mam wrażenie, jakby w moim brzuchu przestawiano meble. Balansuję na granicy świadomości. Środki przeciwbólowe – te naturalne, wywołane przez poród, i te dużo mocniejsze, wstrzyknięte przez lekarzy – chyba robią swoje, bo po dziewięciu miesiącach nerwów nareszcie ogarnia mnie błogi spokój.

Znów szarpanie.

Ktoś woła: „Dziewczynka!”.

Słyszę głośny płacz: moja córeczka przyszła na świat, jest za zasłoną. Nie widzę jej. Sekundy wloką się jak godziny. Nie mogę się doczekać.

Wreszcie mi ją przynoszą.

Ma duże szare oczy, jedno ciut mniejsze od drugiego. „Nie jest zbyt piękna” – przemyka mi przez myśl. Zaraz potem otwiera mi się w głowie jakaś klapka i już nie potrafię sobie wyobrazić śliczniejszej twarzy niż ta lekko asymetryczna buzia z szarymi oczkami różnej wielkości. Tobias staje u mojego boku, nie może powstrzymać łez szczęścia, dumy i miłości.

To jeden z tych rzadkich momentów doskonałej harmonii, kiedy człowiek nie chce być nigdzie indziej. Przeszłość i przyszłość znikają, istnieje tylko ta chwila.

Wywożę mnie na korytarz. Trzymam córkę przy piersi i myślę sobie, że to

dopiero początek. Jest moja, zawsze będzie moja. Mamy całe życie, żeby się poznać. Czuję przypływ miłości, jakiej nie czułam nigdy dotąd; miłości, która promieniuje na maleństwo, na Tobiasa i jeszcze dalej, rozjaśnia cały świat, taka jest wielka.

Widziałam w życiu kilka noworodków i wszystkie drżały, jak gdyby poruszone wspaniałością tego świata i odległością, jaką przebyły. Ale nie ona. Mój mały przybysz z kosmosu jest zupełnie spokojny.

Nagle zaczyna się trząść. Kątem oka widzę zaciśniętą piastkę wymachującą w powietrzu. Tobias krzyczy: „Coś jest nie tak!”.

Chwyta mnie pierwotny, podskórny lęk: O nie, to koniec. Koniec naszego normalnego życia.

Nadbiegają lekarze i znów czuję się jak na planie „Ostrego dyżuru”.

•

Jeżeli człowiek czegoś pragnie, musi to zaplanować. Wiem coś o tym, bo jestem kucharzem. Przykładowo: żeby zrobić sos beszamelowy, trzeba mieć odpowiednie składniki i odpowiednio długo je mieszać w określonych proporcjach. Odmierzanie, liczenie, pilnowanie porządku – oto rzeczy, w których jestem dobra. Tobias tego nie rozumie. Jest muzykiem, komponuje muzykę do telewizyjnych dokumentów i krótkometrażówek. Rzadko wstaje z łóżka przed południem, wiecznie rozrzuca ubrania, papiery i różne inne ślady swojego istnienia. Nagminnie się spóźnia, i to grubo. Twierdzi, że lubi otwierać się na to, co przynosi los, i nazywa to kreatywnością. Ja też jestem kreatywna. Ale do robienia sosu trzeba się przyłożyć. Inaczej się nie da.

Zanim zaczęliśmy się starać o dziecko, zaplanowałam wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Wiem, że:

Nasza córka będzie miała na imię Freja (ładne, starodawne, z newage’owym akcentem: tak się nazywała nordycka bogini miłości i płodności), choć Tobias mówi, że po jego trupie.

Będzie miała szerokie ramiona i piękne, długie nogi jak on oraz proste jasnobrązowe włosy i duże, poważne oczy jak moje.

Po nim odziedziczy radość życia, a po mnie – zmysł organizacyjny.

A gdy już wyjdziemy z tego szpitala, natychmiast wszystko sprzedamy i przeniesiemy się na południe Francji.

Leżę w morfinowym otępieniu i nie przejmuję się tym, że lekarze zabierają ode mnie Tobiasa i naszą córkę. Wszystko mam zaplanowane. Wszystko będzie dobrze.

Na południu Francji będzie nam świeciło słońce. Ludzie będą życzliwi. Nasza córka wyrośnie na mądrą, dwujęzyczną dziewczynę. Nigdy nie tknie jej

żaden pedofil. Nie będzie marzyła o najnowszych butach Nike. Nie będzie jadła śmieciowego jedzenia.

Wyobrażam sobie nasz nowy dom na prowansalskiej wsi, z wejściem obsadzonym różami i malwami, pole lawendy przetykane drzewami oliwnymi, głęboki błękit morza zlewający się z lazurem nieba.

Unoszę się nad tym morzem, nad polem i domem, a gdzieś tam w dole Tobias, Freja i ja pędzimy sielskie życie.

•

Budzę się wcześnie.

Chcę pobyc z moją córką.

Trudno powiedzieć, czy morfina przestała działać. Nadal kręci mi się w głowie i mam przytępiony umysł, choć jednocześnie czuję straszny ból.

Z ogromnym wysiłkiem przypominam sobie, gdzie jestem: w oddzielnej sali szpitalnej zarezerwowanej dla „szczególnych przypadków”. Obok mnie ktoś chrapie – to Tobias, któremu lekarze pozwolili przenocować na łóżku polowym. Na stoliku zaczyna dzwonić moja komórka. Sięgam po nią i odrzucam połączenie. Po kilku sekundach przychodzi esemes: *W pozadku?* To Martha, moja najlepsza przyjaciółka. Architektka. Singielka. Zbyt zabiegana, by się przejmować ortografią. Nie wiem, co jej odpisać. Odkładam to na później.

Pielęgniarka przychodzi wyjąć mi cewnik. Nawet nie wiedziałam, że go mam; najwyraźniej w którymś momencie w ciągu ostatnich ośmiu godzin wzięłam rozwód z własnym ciałem. Wyciąganie cewnika boli jak cholera. Zaczynam wymiotować, sama już nie wiem, czy z bólu, czy od morfiny.

– Wszystko w porządku? – pyta pielęgniarka.

Nie wiem, co powinnam odpowiedzieć, ale muszę wstać, więc kłamię, że już mi lepiej.

– Czy mogłabym pójść zobaczyć córkę?

Freja znajduje się w zaciemnionym pomieszczeniu pełnym maszyn robiących tapaka-tapaka-tapaka i niemowląt wielkości pięści, leżących w dziwnej kolorowej poświacie przezroczystych inkubatorów. Od razu ją poznaję: jest dwa razy większa od innych dzieci. Leży w łóżeczku, skulona jak embrion, z rurką w nosie i z kabelkiem przyklejonym taśmą do stopy. Rząd monitorów nad jej głową rozkłada jej życie na szereg parametrów: tętno, natlenienie, oddech.

Pielęgniarka wyjaśnia, że to oddział intensywnej terapii noworodków, i pokazuje nam, jak brać małą, żeby nie odłączyć żadnej rurki.

Pierwszy raz trzymam moje dziecko na rękach. Jest cudowna: usta jak pączek róży, filigranowe uszy, zaciśnięte powieki. Liczę jej rzęsy – cztery na prawej powiece, pięć na lewej – i wyobrażam sobie, jak rosły potajemnie w moim łonie niczym kiełkujące pod ziemią nasiona.

– Jest śliczna – odzywa się lekarz. Wstępuje we mnie przyjemne uczucie dumy. – Jeżeli mama pozwoli, zbadam jej teraz dno oka specjalnymi narzędziami.

Bierze ją delikatnie na rękę. W trakcie badania nie mogę oderwać od niej oczu. Słucham rozmowy lekarza i jego asystenta. Mówią specjalistycznym językiem. Chyba znaleźli to, czego szukali. Cieszę się w duchu.

Wreszcie lekarz zwraca się do mnie.

– Córka ma wrodzone ubytki w lewym oku. Siatkówka nie rozwinęła się w pełni, podobnie tęczęwka.

Patrzę mu w oczy nierozumiejącym wzrokiem. Przecież nie dam sobie wmówić, że z tą piękną istotką jest coś nie tak.

– To nie oznacza ślepoty – dodaje lekarz. – Ale córka może być dalekowidzem.

Przeskakuje mi w głowie zapadka i asymetryczna twarzyczka znów jawi się inaczej: biedne małe dziwadło w ogromnych okularach, mrużące oczy na szkolnym zdjęciu. Ale i ta buzia już po chwili wydaje mi się najśodsza i najładniejsza na świecie.

– Dla pewności będziemy jeszcze musieli wykonać rezonans magnetyczny, ale wygląda na to, że przyczyna może tkwić w mózgu.

Nie potrafię się skupić na tym, co do mnie mówi, bo kiedy oddaje mi moją córeczkę, zalewa mnie fala macierzyńskich hormonów. One są znacznie silniejsze od tych strasznych słów i nic sobie z nich nie robią.

– Czuję, jak ziemia usuwa mi się spod stóp – mówi Tobias.

Chciałabym, aby i jemu udzielił się mój spokój, że wszystko będzie dobrze. Uśmiecham się do niego. Lecz on tylko prychnął ze złością i zwraca się do lekarza.

– Mam sporo pytań. – Spogląda znacząco w moją stronę. – Możemy porozmawiać na zewnątrz?

Patrzę, jak zamykają się za nimi drzwi, i myślę sobie, że wszyscy dookoła strasznie dziwnie się zachowują. Wiem, że moja córeczka jest doskonała. Wiem, bo trzymam ją na rękach.

Mała podnosi powieki. Żrenica w jej lewym oku jest podłużna jak łąza, jakby ktoś ją namalował czarnym tuszem i niechcący rozmazał. Pierwszy raz widzę dziecko z taką żrenicą. Jest wyjątkowa. Przez chwilę patrzymy sobie głęboko w oczy, potem jej powieki znów się zamykają.

Próbuję przystawić ją do piersi. Rozchyła usta i delikatnie chwyta sam czubek mojego sutka. Czuję leciutkie pociągnięcie, jakby skubała mnie rybka.

– Tak się nie uda – odzywa się dziarska pielęgniarka. – Musi się rozdziawić jak pisklak.

Pracujemy nad tym razem, mała i ja. Ona co jakiś czas znienacka rozwiera usta niczym mały rekin i rzuca się komicznie na moją pierś. Ale wciąż coś jest nie tak; odsuwa się ode mnie ze wściekłym grymasem, wymachując piąstkami. Potem

znów przywiera do mnie swoim ciepłym ciałkiem, a ja na nowo pograżam się w morfinowym otępieniu.

– Proszę uważać – mówi pielęgniarka. – Zasypia pani. Może pani niechcący upuścić dziecko.

– Nie jestem śpiąca.

– Proszę lepiej wracać do łóżka.

Dlaczego, skoro moje miejsce jest tutaj, przy niej?

I oto tulę moją córeczkę w sali pełnej mrugających lampek i łóżeczek ze ściankami z pleksi, myśląc: jakie to dziwne, że te maleństwa w ogóle nie płaczą, jak gdyby szpitalna aparatura pozbawiła je głosu.

•

– Jak poród, skarbie? – Głos mojej mamy w słuchawce zdaje się dochodzić z bardzo, bardzo daleka.

– Nie najgorzej. Cesarka się udała. Maleństwo...

– Ja rodziłam ciebie przez dwie doby. Za moich czasów nie było mowy o cesarce, chyba że kobieta była umierająca.

– Maleństwo...

– Nie wiem, jak ja to wytrzymałam. Ale wtedy przynajmniej można było zapalić papierosa w przerwach między skurczami.

Mimo otępienia powraca znajome uczucie irytacji. Mama nigdy nie potrafi zachować się tak, jak powinna, tak, jak zachowałyby się na jej miejscu większość matek.

Nic nas nie łączy; być może dlatego, że urodziła mnie dość późno jak na tamte czasy (mam trzydzieści osiem lat, a ona sześćdziesiąt dziewięć). Wyszła za mąż w wieku dwudziestu lat i nigdy nie musiała pracować, tymczasem ja zwlekałam z założeniem rodziny, bo chciałam zrobić karierę. Zwykli śmiertelnicy przystosowują się do zmieniającego się świata; moja mama oczekuje, że wszyscy dostosują się do niej. Od lat żyje – jak sama to kiedyś ujęła – w wieży z kości słoniowej, gdzie nadal trwają idylliczne lata pięćdziesiąte, i stamtąd, wytworna i bezradna, wydaje rozkazy. Wszelkie niewygodne prawdy są przez nią natychmiast wymazywane. Przez czterdzieści osiem lat małżeństwa mój ojciec, człowiek anielsko cierpliwy, wynosił ją na piedestał, tolerował jej kaprysy i próbował spełniać jej niedorzeczne żądania. Palenie rzuciła nagle i bez słowa dziewięć miesięcy temu, kiedy zmarł na raka krtani. Pod każdym innym względem jest z nią gorzej niż kiedykolwiek.

– Mamo, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

– Wiem, kochanie, wiem. Tobiasz dzwonił ze szpitala, kiedy cię zszywali. Dziewczynka! Cudownie! Ale to musi być mordęga. Za moich czasów od razu zabierali niemowlę do osobnej sali. Tak było lepiej. A teraz upierają się, żeby cały

czas było przy matce.

- Mamo...
- To jak, przyjedziecie z nią na święta?
- Nie sędzę.
- To może ja powinnam przyjechać do was.
- To chyba nie jest najlepszy pomysł. Mamo, chodzi o to, że...
- W sumie i tak nie dałabym rady się wyrwać.

Odczytuję z jej tonu, że czymś ją uraziłam, ale znów nie jestem w stanie skupić myśli.

– Nie mogę zostawić karmnika dla ptaków. Przepraszam, kochanie, ale akurat teraz mi się przypomniało: czy mogłabyś zadzwonić do Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków i powiedzieć im, żeby zrobili coś z tymi szpakami w moim ogrodzie? Odkąd umarł twój ojciec, nie ma kto mi pomóc, a boję się, że biedne sikory zagłodzą się na śmierć.

Jej głos nie milknie ani na chwilę, a ja znów odpływam. Zastanawiam się, jak duża część tego, co nazywam swoją osobowością, jest w istocie moją reakcją na jej osobowość. Czy jestem zdyscyplinowana, taktowna, uprzejma i powściągliwa dlatego, że ona taka nie jest?

– Odwiedzę was jutro – mówi – tylko na parę godzin, żeby ją zobaczyć. Nie martw się, nie będę wam siedzieć na głowie. Zostań w szpitalu tyle, ile trzeba, i dobrze wypocznij. Nie przemęczaj się. Niech personel się wszystkim zajmie.

•

Na oddziale intensywnej terapii czas płynie wśród cichych dźwięków i łagodnych kolorów z mrugających monitorów. Wszystko jest przytłumione, jak w akwarium. Moja córeczka i ja leżymy przytulone do siebie i tak mijają godziny.

Przychodzi pielęgniarka i mówi, że jesteśmy w kolejce do rezonansu magnetycznego.

Mała nadal nie potrafi ssać. Nie mam jeszcze mleka, tylko znikomą ilość młodziwa. Udaje mi się wycisnąć jedną gęstą kroplę. Wygląda jak mleko skondensowane.

Biorę trochę na palec i podaję maleństwu do ust. Jej twarz przybiera wyraz niebiańskiej rozkoszy. Oto właściwy dla niej pokarm, nie żaden roztwór glukozy podawany przez rurkę w nosie.

Tobias nie lubi tego miejsca. Znika coraz częściej, wymyka się, żeby sprawdzić pocztę głosową i odpowiedzieć na zatroskane esemesy, które napływają do nas ze świata zewnętrznego. Znajomi zaczynają się dziwić, dlaczego jeszcze nie ogłosiliśmy, że urodziło się nam zdrowe dziecko.

- Martha bez przerwy do mnie wydzwania – mówi. – Chcesz z nią pogadać?
- Powiedz jej, że oddzwonię.

Nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Nawet z Tobiasem. Ale Tobias upiera się, że należy się nam chwila wytchnienia, i zawozi mnie na wózku na parter szpitala.

Maleństwo woła mnie ze swojego łóżeczka na trzecim piętrze.

– Powinniśmy wrócić na górę i do niej zajrzeć.

– Dobrze. Zaraz. Tylko kupię gazetę. – Tobias jest mistrzem ociągania. Jego rozmowa z kobietą przy kasie w kiosku trwa wieczność.

Moje dziecko znów mnie wzywa. *Gdzie jesteś?!*

Tobias pcha mnie korytarzem w tempie lodowca. Co chwila puszcza wózek i gapi się na plakaty na ścianach. Wyblakłe i upstrzone przez muchy. „Kiedy palisz papierosa, twoje dziecko też pali”. „Cukrzyca zabija. Jeszcze dziś umów się na badanie krwi”. Zatrzymuje się przy każdym.

Przyjdź do mnie! Potrzebuję cię!

Tobias spostrzega ozdobiony łańcuchami choinkowymi długi stół z mnóstwem włóczkowych zabawek. Napis głosi: „Jarmark bożonarodzeniowy Przyjaciół Szpitala St. Ethel’s. Prosimy o hojne datki”. Za stołem siedzą dwie starsze panie. Robi mi się ciężko na sercu: Tobias uwielbia starsze panie, a one uwielbiają jego.

Zaczynają świergotać:

– Dzidzius na intensywnej terapii? Proszę się nie martwić, biedactwo. To znakomity szpital. Podobno ma najlepszy oddział noworodków w kraju. Przysyłają tutaj dzieci z całej Anglii.

– Mają tu panie śliczne rzeczy – zauważa Tobias.

– Robimy też wszystkie kocyki dla dzieci z OIOM-u. I malutkie buciki dla wcześniaków. I czapeczki. Bo one mają problemy z regulacją temperatury ciała.

– Myślisz, że nasza córka wolałaby zajęczka czy tygrysa?

Maleństwo woła mnie coraz usilniej.

Nie chcę zabawek! Chcę ciebie!

– Tobias, proszę cię, chodźmy już.

Jego twarz, zwykle pełna łagodności, jest napięta i surowa.

– Muszę się napić kawy. Pójdziemy razem? Miejmy jeszcze chwilę dla siebie.

Ale moje dziecko wytwarza pole grawitacyjne, które mnie przyciąga.

– Nie mam ochoty na kawę. Wracam do niej. Wstanę z wózka i pójde pomąlu.

Tobias patrzy na mnie, jakby chciał coś powiedzieć. Weiska mi do ręki zajęczka z włóczki.

– Masz, zanieś jej. Niedługo do was przyjdę.

Noga za nogą wlokę się korytarzem w stronę windy. Czekać na kabinę jest prawdziwą męczarnią.

Drzwi otwierają się ze skrzypieniem. W środku tłok. Wciskam się w resztkę wolnej przestrzeni, starając się osłaniać zszyty brzuch przed naporem współpasażerów. Czuję, jak moje dziecko ciągnie mnie do góry, ku sobie.

•

– Zwolniło się jedno miejsce na rezonans – oznajmia pielęgniarka. – Może pani zabrać dziecko na badanie, ale musi pani się tam stawić w ciągu czterdziestu minut.

– Prędko – ponagla mnie Tobias. – Nie przegapmy okazji, bo nigdy się nie dowiemy, co z nią jest nie tak.

Ale najpierw trzeba przebrać małą w rzeczy bez metalowych zatrzasków, bo będzie w silnym polu magnetycznym. Potem wypełnić piętnaście stron formularzy. Na koniec – przenieść wszystkie rurki i monitory na szpitalny wózek, jakby wzięty z hali fabrycznej.

Początkująca pielęgniarka – to jej pierwszy dzień w pracy – pcha wózek z małą, a Tobias pcha wózek ze mną – dużo szybciej niż przed chwilą na dole. Przy każdej najmniejszej nierówności wydaję z siebie żałosny jęk, każde szarpnięcie przypomina boleśnie, że niecałą dobę temu miałam rozcięty brzuch.

Gubiąc się i pytając o drogę, mkniemy korytarzami, które zdają się nie mieć końca. W pewnej chwili Tobias mówi:

– Wiesz, doszedłem do wniosku, że może Freja to wcale nie takie złe imię. Ona faktycznie jest jak mała bogini, jest triumfem życia na przekór wszystkim przeciwnościom.

Dopiero teraz uzmysławiam sobie, że Tobias bardzo, ale to bardzo się martwi. Liczy, że nadając naszej córce imię, które mnie się podoba, a którego on nie lubi, ugłaskamy bogów i sprawimy, że wszystko jednak skończy się dobrze.

Pokonaliśmy już przecież tyle przeszkód.

Chciałam, żeby urodziła się w marcu tego roku. To oznaczało, że musiałyby zostać poczęta w czerwcu, dlatego z wyprzedzeniem załatwiłam sobie urlop (pracowałam wtedy sześć dni w tygodniu na wieczornej zmianie w wyróżnionej gwiazdką Michelin restauracji „Cri de la Fourchette” na West Endzie), zaplanowałam jadłospis romantycznej kolacji w domu (zupa z homarów i butelka *meursault*), a potem czekałam na rezultaty.

I nic.

Ponieważ nie należę do osób, które łatwo się zniechęcają, zmieniłam tylko harmonogram. Ale miesiące mijały bardzo szybko. W końcu rozkleiłam się i wypłakałam Tobiasowi w ramię.

– Nie chcę umrzeć bezdzietna. Oczywiście to wszystko przez ciebie, bo za długo się wahałeś. I może moja mama ma rację, że uszkodziłam sobie macicę, bo za dużo pracowałam.

Tobias przytulił mnie, powiedział wszystko, co pragnęłam usłyszeć, poszliśmy do łóżka. I oto kiedy byłam już na skraju rozpaczy – zdarzył się cud.

Potem wcale nie miałam z górki. Mój szef Nicholas Chevalier, gwiazda programów kulinarnych, dał mi jasno do zrozumienia, że jego zdaniem ciąża i macierzyństwo są nie do pogodzenia z czternastogodzinnym dniem i sześciodniowym tygodniem pracy, a takiej dyspozycyjności wymagał od swoich podwładnych. Na szczęście Tobias zaczął lepiej zarabiać, więc złożyłam wypowiedzenie, pozbyłam się lokatorów i sprzedałam kupioną przed laty kawalerkę. Po spłaceniu hipoteki mam w banku okrągłą sumę na zaliczkę na poczet domu we Francji.

Miesiącami przekonywałam Tobiasa do porzucenia wygodnego życia w Londynie i przeprowadzki do Prowansji. Było to traumatyczne doświadczenie, które wolę przemilczeć. Na szczęście muzyk może komponować wszędzie. Jeżeli o mnie chodzi, to przed laty szkoliłam się w Instytucie Sztuki Kulinarnej Lecomte'a w Aix-en-Provence i miałam tam opinię najlepszej uczennicy. Jestem prawie pewna, że uda mi się namówić Renégo Lecomte'a, by mnie zatrudnił. Pracuję nad tym.

Jednocześnie przeczesuję portale z ofertami sprzedaży nieruchomości i oglądam namiętnie program „A Place in the Sun”, czym doprowadzam Tobiasa niemal do szału. Udało mi się wynająć agentkę na miejscu. Nazywa się Sandrine, mało mówi, a dużo robi. Wszystko, co dotychczas proponowała, było poza zasięgiem naszego portfela, ale nie mam wątpliwości, że któregoś dnia, już niedługo, znajdzie nam wymarzony dom w rozsądnej cenie.

Zostawiamy Freję w pracowni rezonansu i schodzimy do stołówki na zupę. Wciąż mam wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Jak gdyby to był film; jakbyśmy oglądali siebie na ekranie.

Jeszcze chwila i na pewno lekarze rozwieją nasze obawy. Odetchniemy z wielką ulgą, sięgniemy po telefon i powiemy światu o narodzinach naszej pierworodnej. Potem będziemy się z tego śmiać, opowiadać znajomym o absurdalnym zamieszaniu, jakie nastąpiło w pierwszych dniach jej życia. „Byliśmy w szoku, możecie to sobie wyobrazić”. Od czasu do czasu pomyślimy ze współczuciem o tych wszystkich biednych dzieciach i rodzicach, którzy nie mieli tyle szczęścia.

Przy sąsiednim stoliku siedzi dziewczynka z porażeniem mózgowym. Ładna, lecz chuda, w kołnierzu ortopedycznym. Jej ruchy są gwałtowne, plecy sztywne. Bawi się z tatą: rzuca się w jego stronę, a on za każdym razem wyciąga do niej ręce i całuje ją w czoło.

Jak by to było opiekować się takim dzieckiem? Ani dziewczynka, ani jej tata nie wyglądają na nieszczęśliwych. Dla nich to dzień jak co dzień, tyle że w szpitalnej stołówce.

Tobias widzi, że im się przyglądam.

– Powiedziałem, że jestem gotów na dziecko, ale nie wiem, czy jestem gotów na coś takiego – mówi.

– Jasne – przytakuję ze zrozumieniem. – Ale Freja jest taka śliczna. Mam dobre przeczucie. Nie wierzę, żeby mogło być z nią coś nie tak. Musieli się pomylić, rezonans na pewno to wykaże.

•

– Państwa córka cierpi na... Właściwie ma cały szereg różnych wad mózgu, ale najpoważniejsza z nich to drobnozакrętowość, po łacinie *polimicrogyria*. – Lekarz, który przyniósł nam wyniki badania, przybył na oddział w asyście dwóch pielęgniarek. To zły znak. – *Gyria* to kręte rowki w korze mózgowej. *Poli* znaczy wiele. Wydawać by się mogło, że im więcej takich rowków, tym lepiej, ale w przypadku państwa córki rowki są bardzo płytkie. – Mówi prędko, jakby w nadziei, że to nam wystarczy, a on będzie mógł stąd szybko uciec. – Na razie nie widać objawów, bo wszystkie niemowlęta mają ograniczone zdolności motoryczne. Ale z wiekiem oczekiwania rosną. W jej wypadku trzeba się liczyć z pewnym upośledzeniem umysłowym i fizycznym.

Resztki morfiny i endorfin odpływają ze mnie w jednej chwili, wyparte przez potężną falę adrenaliny.

– Co to znaczy: upośledzenie umysłowe i fizyczne? – pytam.

– Na tym etapie trudno wyrokować. Bywa, że dzieci z bardzo złymi wynikami rezonansu radzą sobie później całkiem nieźle, a te, które miały lepsze wyniki, radzą sobie gorzej.

– Co to znaczy „całkiem nieźle”?

– Mówimy o pewnym spektrum.

– Dobrze, ale gdzie ono się zaczyna i gdzie kończy?

– Bardzo trudno to przewidzieć.

– Jaka była przyczyna?

– Zrobimy badanie genetyczne – być może znajdziemy wadliwy gen. Spontaniczną mutację albo gen recesywny, którego oboje państwo jesteście nosicielami. Mogło też dojść na wczesnym etapie ciąży do infekcji, która nie została wykryta.

– Ale wszystkie wyniki badań były w porządku.

– Takie rzeczy trudno wykryć na ultrasonografie. Ale to wcale nie znaczy, że państwa córka nie dożyje starości ani że nie będzie szczęśliwa. Może być bardzo pogodnym dzieckiem. Tego się nie da przewidzieć.

Jedna z pielęgniarek ściska mnie delikatnie za ramię.

– Obok jest wolny pokój. Czy chciałaby pani, żebyśmy ją tam przywieźli? Będziecie państwo mogli w spokoju pobyc z córką.

Prowadzą nas do niedużego pomieszczenia nieudolnie imitującego pokój dzienny: dwa fotele, stół, pośrodku blatu pudełko z chusteczkami. W kącie nieco już oklapnięta choinka obwieszona łańcuchami.

Tobias i ja siadamy z małą i płaczemy. Patrząc na jej asymetryczną twarz, myślę o tym, jak długą i straszną drogę musiała przebyć, skoro przyszła na ten świat taka okaleczona i ułomna. Oczy ma szeroko rozstawione, jak moje, ale z opadającymi kącikami. Przypomina tybetańskiego mnicha.

Może była bardzo starym mnichem i kiedy patrzyła na słońce zachodzące za górami Tybetu, została wezwana do nirwany. Ale bardzo chciała przeżyć jeszcze jedno życie na ziemi i dlatego większa część jej duszy – rozszczepionej niczym zachód słońca przebijający zza chmur – przywędrowała do mnie, a część została gdzieś daleko.

•

Tobias chce, żebym coś zjadła.

– Wiem, że opiekujesz się dzieckiem, ale ja muszę opiekować się tobą.

Dostrzegam w nim jakąś nową stanowczość i troskę, jak gdyby chciał mnie chronić. Tylko przed czym? Przede mną samą? Przed nią?

Siedzimy w szpitalnej stołówce i dłubiemy widelcami w trudnej do zidentyfikowania brązowej potrawce. Opadła w nas adrenalina, jesteśmy słabi, rozchwiani. Dzwoni mi w uszach, jak gdybym przez kilka ostatnich dni mieszkała przy hałaśliwym placu budowy.

Przez chwilę siedzimy nieruchomo, nie przejmując się tym, że jedzenie stygnie, trzymamy się za ręce i patrzymy sobie w oczy. Jak za dawnych czasów, kiedy się w sobie zakochaliśmy.

Moja wyciszona komórka zaczyna wibrować na plastikowym blacie. Mam sześć nieodebranych połączeń od Marthy i kolejną wiadomość: *I jak???* Nie czuję się na siłach, żeby jej odpisać.

Wracamy do naszego pokoiku.

– Mogę ci zaproponować luksusowe łóżko polowe – mówi Tobias.

Przez kilka minut siedzimy wtuleni w siebie, jakbyśmy za chwilę mieli się rozstać i odlecieć każde w inną stronę. Szlocham w jego ramię, czerpię z niego siłę. Łomot w głowie powoli cichnie.

– Nie możemy pozwolić, żeby to nas złamało – szepczę.

Tobias obejmuje mnie mocniej.

– Musisz coś zrozumieć – mówi. – Nie będę umiał pokochać tego dziecka.

– Na litość boską, jak możesz mówić coś takiego! – Ale choć reaguję oburzeniem, jakaś część mnie jest mu wdzięczna za wypowiedzenie na głos obaw, do których sama nie potrafię się przyznać, nawet przed sobą. – Jeszcze nie wiemy, jak bardzo będzie upośledzona. Pamiętasz tamtą kobietę, która mieszkała

naprzeciwko nas? Miała chłopca z zespołem Downa. Nie było jej łatwo, ale teraz jej syn świetnie sobie radzi. Dostał nawet pracę w Tesco.

– Nie chcę składać swojego życia w ofierze po to, żeby moja córka mogła pracować w Tesco.

– Popatrz na nią, jaka jest śliczna.

– Jest śliczna – odpowiada twardo Tobias – ale dla nas to wyrok na całe życie.

•

Nad ranem rozlega się walenie do drzwi, ktoś wchodzi, zapala światło. Parę osób w lekarskich kitlach.

– Państwa córka miała kolejny atak.

Przeszywa mnie nagły strach – a może nadzieja? – że umarła.

– Czy wyrażają państwo zgodę na podanie jej leków?

Zgadamy się na w pół przytomni. Pytam, czy mogę pójść z nimi. Ku mojej uldze odpowiedź brzmi: nie.

Zasypiamy. We śnie krzyczę na całe gardło, że nie chcę być matką upośledzonego dziecka. Ale nikt mnie nie słyszy.

•

Rano Freja jest bardzo senna. Siedzę z nią i czuję, jak wtula się we mnie, skubie ustami moją pierś. To tak, jakby nasze ciała wciąż były połączone, nie mogły się przyzwycząić, że nie stanowią już jednej całości. Moje ciało reaguje na jej ciało: zmienia mi się rytm oddechu, wracają hormony szczęścia, szpitalny oddział znika za mgłą. To najwspanialsze miejsce na świecie, bo jesteśmy w nim razem.

Co pewien czas przenosimy się do Francji.

Nasz wiejski dom jest ładny i zadbany. Freja uczy się pęłzać na czystej kamiennej posadzce, słońce prześwieca przez otwarte drzwi, a ja przygotowuję w misce kruchą sałatę i pomidory z naszego ogrodu. Wchodzi Tobias, mała pęłźnie w jego stronę. On podnosi ją i całuje. Mała patrzy na nasze roześmiane twarze i piszczy uradowana. Siedzam ją w wysokim krzeselku, zawiązuję śliniak i karmię ją warzywnym purée, które właśnie przyrządziłam. Pewnego dnia zaczyna chodzić na swoich pulchnych nóżkach i odtąd wszędzie jej pełno. Tobias i ja popijamy rzeźwiące białe wino, urządzamy lunche dla znajomych, śmiejemy się z jej zabawnych powiedzonek; ani się obejrzeliśmy, a posyłamy ją do szkoły i dopiero wtedy uzmysławiamy sobie, jak bardzo mylili się ci wszyscy czarnowidzący lekarze.

– Wszystko w porządku?

Pulchna kobieta przygląda mi się po matczynemu.

– Jak się miewa nasza mama? Wszystko w porządku? – powtarza.

– Chyba nie – odpowiadam. – Powiedziano mi, że moja córka będzie upośledzona, ale nie mogę się od nikogo dowiedzieć, jak bardzo. Lekarze nie mówią normalnym językiem, tylko jakimś medycznym bełkotem. I nazywają mnie naszą mamą.

Kobieta uśmiecha się.

– Ja też jestem lekarką. Nazywam się doktor Fernandez. I postaram się nie używać medycznego bełkotu, ani nie zwracać się do pani per nasza mama.

Kiwam głową. Sprawia wrażenie osoby serdecznej i sensownej, takiej, której można zaufać. Jak matka, którą chciałabym mieć – nie ta świrięta egotyczka, którą mam.

– Jak pani wie, Freja miała dziś nad ranem kolejny atak. Podaliśmy jej dużą dawkę fenobarbitalu. Takie ataki są trochę jak burze z piorunami wewnątrz mózgu. Staramy się wtedy uspić pacjenta. Zrestartować mu system, że się tak wyrażę.

– Chyba słyszałem o fenobarbitalu – włącza się Tobias. – Czy to nie ten lek, który przedawkowała Marilyn Monroe?

– Owszem, to jest barbituran z lat pięćdziesiątych. Niestety nie mamy zbyt wielu dobrych lekarstw dla noworodków. Firmy farmaceutyczne ze względów etycznych nie chcą testować leków na niemowlętach. Ale fenobarbital działa, używamy go z powodzeniem od wielu lat. To po nim Freja jest taka senna.

– Planujemy przeprowadzkę do Francji – rzucam bez zastanowienia. Tobias spogląda zdziwiony; nie rozmawialiśmy o tym, odkąd urodziła się Freja.

Jeżeli doktor Fernandez też jest zdziwiona, nie daje tego po sobie poznać.

– Rozznam się w temacie. Przypuszczam, że możemy porozumieć się z francuską służbą zdrowia, jeżeli będzie taka potrzeba – mówi, jakby miała do czynienia z najnormalniejszą prośbą. Nastaje krótkie milczenie. – Możemy też zapewnić państwu pomoc psychologiczną.

– Nie, dziękujemy – ucina szybko Tobias, ja też kręcę głową. Trudno mi wyobrazić sobie w tej chwili coś gorszego niż długa rozmowa o tym, jak się czujemy. – Gdybyśmy chociaż wiedzieli, jak bardzo będzie upośledzona. Nikt nie chciał dać nam jasnej odpowiedzi.

– Czeka państwa jeszcze wiele rozmów z wieloma specjalistami. Usłyszycie jeszcze wiele medycznego bełkotu, bo każdy woli się asekurować. Ze swojej strony mogę obiecać, że dowiem się, co naprawdę myślą, i zdam państwu rzetelny raport.

– Dziękujemy.

– Czy mogę państwu jeszcze jakoś pomóc?

– Boimy się, że ta sytuacja nas przerasta – oznajmia śmiało Tobias, zerkając na mnie z ukosa.

– To zupełnie normalne. Nigdzie nie jest napisane, że macie państwo obowiązek jej sprostać.

Uważam się za silną osobę, teraz jednak mam ochotę uczepić się doktor Fernandez, tak jak tonący na wzburzonym morzu chwyta się solidnej, twardej kłody.

Do tej pory byłam przekonana, że nie mamy wyboru.

•

– Wiesz co – mówi Tobias – pojedźmy na lotnisko i wsiądźmy w samolot do Brazylii, nie mówiąc nikomu, gdzie się zatrzymamy. – Myśl o ucieczce jest tak wyzwalająca, że oboje zaczynamy się śmiać.

– Ale wtedy pewnie bylibyśmy jak bohaterowie powieści Grahama Greene’a, przesiedzielibyśmy resztę życia w jakimś barze na Tahiti.

– Czemu by nie?

– Niestety nie możemy, lada chwila przyjedzie moja mama.

– Jeszcze tego mi było trzeba.

– Najgorsze jest to, że ja naprawdę nie chcę się z nią kłócić, ale wiem, że ona prędzej czy później powie coś strasznie głupiego i wybuchnę.

– Anno, Bóg mi świadkiem, że nie przepadam za twoją matką, ale nie możecie się tak wzajemnie nakręcać. Zrozum, jest podekscytowana, że została babcią, i zrobi wszystko, żebyś poświęciła jej trochę uwagi.

– Podekscytowana? – pryham. – Freja w ogóle jej nie obchodzi. W kółko gada o swoim karmniku dla ptaków.

– Zamiast skupiać się na tym, co mówi, skup się na tym, co próbuje ci powiedzieć.

•

Mama zjawia się w długiej zielonej pelerynie, z etolą zjadającą własny ogon i w czapce z lisiego futra. Dobrze wie, że jestem przeciwniczką zabijania zwierząt dla futra. Czasem wydaje mi się, że nosi się tak tylko po to, żeby wprawić mnie w zażenowanie.

– Na litość boską! – obruszam się. – W dzisiejszych czasach nie można paradować po Londynie w takim stroju.

– Nonsens. Co złego w futrzanej czapce? Nawiasem mówiąc, dostałam ją w prezencie od twojego ojca, którego zawsze kochałaś bardziej niż mnie.

Oto jak niewiele trzeba, byśmy wróciły do stanu zimnej wojny. Zdobywam się na wysiłek:

– Mamo, cieszę się, że przyjechałaś.

– Oczywiście, że przyjechałam. Niby czemu miałabym nie przyjechać? W końcu to moja pierwsza wnuczka. Zobacz, mam dla niej prezent. – Rozsiewając po korytarzu woń Chanel No. 19, wygrzebuje z torby z logo Harrodsa zmiętoszonego pluszowego misia.

– Poznajesz?
– To mój miś.
– Tak, skarbie. Przechowywałam go przez te wszystkie lata, czekając, aż sama urodzisz dziecko.
– Mamo, musisz coś wiedzieć.
– Co takiego, skarbie? Kiedy zobaczę kruszynkę?
– Mamo, choć raz w życiu posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Jej mózg nie rozwinął się w pełni. To się zdarza bardzo rzadko. Nikt nie wie, dlaczego tak się stało. Badania prenatalne niczego nie wykryły. Nasza córka będzie upośledzona umysłowo i fizycznie.

Na ułamek sekundy traci rezon, by po chwili oblec twarz w dobrze mi znaną maskę kogoś, kto wie lepiej.

– Lekarze zawsze przesadzają, skarbie. Zobacysz, okaże się, że to jakaś głupia pomyłka.

Dlaczego tak mnie złości ona, jej perfumy Chanel, torba z Harrodsa i to jej wygodne, pozbawione trosk życie?

– Nie ma żadnej pomyłki. Zrobili szereg badań. – Mój ton brzmi okrutniej, niż tego chciałam.

I nagle staje się coś niewiarygodnego: moja twarda, przebojowa matka zaczyna płakać. Przywykłam, że wykorzystuje łzy jako broń, ale nigdy – nawet gdy umarł tata – nie widziałam u niej autentycznego, bezgranicznego smutku. Nic, co się zdarzyło w ostatnich dniach, nie wstrząsnęło mną równie mocno jak ten widok – jak gdybym dopiero teraz ujrzała niezbity dowód na to, że spotkała nas tragedia. Próbuję ją przytulić, ale się odsuwa. Złości ją, że okazała przede mną słabość.

Zaczyna do mnie docierać, że Tobias mógł mieć rację. Ten makijaż, perfumy, czapka z lisa – może to wszystko nie jest dla ludzi w szpitalu ani nawet dla mnie, lecz dla jej wnuczki. Kto wie, czy ta cała paplanina o karmniku nie była zwyczajnie oznaką zdenerwowania – bo choć jej związek ze mną jest już nie do naprawienia, będzie mogła teraz budować zupełnie nową więź z Freją.

– Zaprowadzę cię do niej – mówię łagodnie.

Mama pociąga nosem.

– No dobrze. Czemu nie, oczywiście.

Ociera łzy i wpycha pluszowego misia z powrotem do torby z Harrodsa.

•

Freja zwija przyciśnięte do twarzy dłonie w pięstki. Kiedy ją podnoszę, cicho i słodko popiskuje. Przywiera we śnie do mojego ramienia.

– Masz, weź ją. – Zdejmnowanie jej z siebie jest jak zrywanie mchu.

Mama wpatruje się zafascynowanym wzrokiem w niewidzialny punkt nad moim ramieniem. Nie wiem, czy nie ma odwagi spojrzeć na małą, czy po prostu

nie wie, gdzie i jak spoglądać.

– Czekałam na ciebie z pierwszą kąpielą – mówię.

– No, no. – Mama obrzuca swoją wnuczkę szybkim, głodnym spojrzeniem i natychmiast odwraca oczy. – Szpital jest bardzo ładny. Bardzo nowoczesny.

Okazuje się, że kąpiel na oddziale jest skomplikowanym rytuałem, obwarowanym wieloma regułami. Wanienkę przynosi pielęgniarka. Przynosi również dwa wiadra, żółte na brudną wodę i białe na czystą. Pozwala mi napełnić wanienkę. Mama stoi nieruchomo, patrzy.

– Nigdy w życiu nie kąpałam dziecka – zachęcam. – Pokażesz mi, jak to się robi?

Mama bardzo, bardzo powoli zbliża się do Frei. Kiedy wyciąga po nią rękę, zjawia się druga pielęgniarka.

– Nie tak – zwraca się do mnie, ignorując mamę. – Tak się myje dziecko.

Mogłam się domyślić, że w państwowym szpitalu nawet kąpiel musi przebiegać według ustalonej procedury. Niemniej patrzę jak zaczarowana. Widać, że nowe doznania budzą u Frei radość i zaciekawienie. Wyciąga swoje żabie nóżki, przechyla głowę, jest zupełnie spokojna. Kiedy polewam ją ciepłą wodą, kilka razy z poważną miną wierzga nóżkami.

– Wystarczy. Lepiej nie trzymać dziecka w zimnej wodzie – mówi pielęgniarka.

Owijam małą ręcznikiem i pytam mamę, czy chce ją potrzymać.

– Tak. Czemu nie – odpowiada i dodaje donośnym głosem: – Mimo wszystko.

Podaję jej Freję.

– Jest śliczna, nie uważasz?

To już dla niej najwyraźniej przesada.

– Czyli co? – zmienia temat. – Roślina?

– Żadna roślina! Na razie nie wiadomo, jak te nieprawidłowości wpłyną na jej rozwój. Muszą ją zbadać różni specjaliści, dopiero wtedy dowiemy się czegoś więcej.

– Ale będzie upośledzona?

– Co do tego lekarze są raczej zgodni.

– I zamierzasz się nią opiekować?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wybór.

– A Tobias?

– Tobias nie chce brać jej do domu.

Nastaje długa cisza.

– Parę dni temu czytałam w gazecie o samotnej matce, która rzuciła się z Vauxhall Bridge razem ze swoim kalekim dzieckiem – mówi powoli. – Nie wytrzymała nerwowo.

– Nam to raczej nie grozi.

Spogląda na Freję badawczo i sznuruje usta.

– To dziecko będzie musiało się pogodzić z tym, że nie wszystko będzie tak, jak sobie wymarzy.

•

Przez nasz pokój przewija się korowód lekarzy. Jak gdyby w szpitalu gruchnęła nowina, że pojawił się ciekawy przypadek, i teraz przedstawiciele wszystkich możliwych dyscyplin chcieli na tym skorzystać.

Obkładają głowę Frei elektrodami i mierzą jej fale mózgowe. Zaglądają do oczu. Osluchują serce. Pobierają krew ze stóp, a gdy brakuje tam żył, z nóg.

„Córka ma długą listę wad rozwojowych mózgu. Drobnozakrętowość jest tylko jedną z nich. Poza tym całkowity brak ciała modzelowatego łączącego obie półkule, a część zwana mózdzkiem jest wyjątkowo mała”.

„Takie przypadki są zazwyczaj związane z chorobą genetyczną lub urazem w pierwszym trymestrze. Czy w państwa rodzinach były jakieś zgony noworodków?”

„Szczelina Sylwiusza w lewej półkuli jest anormalnie głęboka, widać też wyraźny niedobór istoty białej i istoty szarej”.

„Objawy nie odpowiadają żadnej spośród znanych chorób genetycznych. Nie można jednak wykluczyć, że zawinił gen recesywny – wada kodu DNA u obojga rodziców”.

„Przyjrzałem się podobnym przypadkom z ostatnich siedemnastu lat. To, co tu widzimy, to najpoważniejszy przypadek zaburzeń migracji neuronów, z jakim się dotychczas zetknąłem”.

Nie jest tak, że upajamy się każdą kolejną złą wiadomością, po prostu przestały one robić na nas wrażenie. Jak gdyby jakaś część nas, najgłębsza i najbardziej pierwotna, zainteresowana jedynie przetrwaniem, podpowiadała: „To dziecko i tak ma przesrane. Niech będzie jak najbardziej upośledzone, wtedy nikt nie będzie miał do nas pretensji, że postawiliśmy na nim krzyżyk”.

– Wiedziałem, że nasza córka będzie wyjątkowa, ale nie sądziłem, że aż tak – żartuje gorzko Tobias, kiedy w pobliżu nie ma lekarzy, i śmiejemy się oboje, choć wcale nam nie do śmiechu.

•

Dni i noce zlewają się ze sobą. Straciłam wszelką rachubę, od jak dawna tu jesteśmy. Od chwili narodzin Frei ani razu nie opuściłam szpitala. Wypisano mnie co prawda, lecz pozwolono nam zająć pokój dla rodziców koło oddziału. Wiem, że mijają święta, ale to nic dla mnie nie znaczy. Mój świat jakby się skurczył; rodzina, znajomi, dom, praca, nawet Tobias – wszystko to wessał ogromny odkurzacz.

Zostałam ja i ona.

Martha zjawia się nieproszona. Jest wystraszona i wściekła.

– Dlaczego nie oddzwoniasz? Dlaczego mnie nie poprosiłaś, żebym przyjechała? Nie możesz być sama w takiej chwili.

– Nie wiedziałam, co ci powiedzieć. Nie mamy jeszcze pełnego obrazu sytuacji.

Martha i ja byłyśmy nierozłączne od czasów podstawówki. Zawsze się o mnie troszczyła; zawsze mówi głośno to, co myśli.

– Wyglądasz strasznie. Jak poszła cesarka?

– Akurat cesarka w porządku – odpowiadam zaskoczona, bo zdążyłam już o tym dawno zapomnieć.

– Naprawdę? Nic cię nie boli?

– Na początku bolało jak cholera. Ale teraz już nic nie czuję. Może to przez to wszystko.

– Hmm.

– Te wszystkie kobiety, które narzekają na bóle po cesarce, powinny spróbować terapii „moje dziecko nie ma mózgu” – siłę się na dowcip.

Ale Marthy to nie bawi. Posyła mi surowe spojrzenie.

Przywiozła praktyczne prezenty – pięciopak śpioszków i akryłowy, łatwy do uprania kocyk – z którego robię natychmiastowy użytek. Tobiasz otwiera szampana, którego spakowałam do dużej torby na pieluchy. Miałam nadzieję, że wypijemy go potajemnie po porodzie, pławiąc się w szczęściu i miłości. Rozlewa go do trzech plastikowych kubków z automatu z wodą.

– Daj mi ją przytulić – prosi Martha.

Wyjmuję zaspaną Freję z łóżeczka. Kiedy wtula się w piersi Marthy, czuję ukłucie niedorzecznej zazdrości: moje dziecko jest w ramionach innej kobiety.

Dzwoni mój telefon. Zwykle nie odbieram. Nie chcę opowiadać ludziom o Frei; nie mam pojęcia, co im powiedzieć. Ale tym razem to Sandrine, która na pewno nie dzwoni po to, by zapytać, jak się czujemy. Pod wpływem impulsu odbieram, daję Tobiaszowi znak ręką i przełączam na tryb głośnomówiący.

– I co, udało się coś znaleźć? Jakiś dom? – pytam szybko, uprzedzając ewentualne pytania.

– Tak mi się wydaje... Większy niż chcieliście, ale myślę, że wart uwagi. Wiejski dom na wzgórzu. W waszym przedziale cenowym.

Dobrze jest znów porozmawiać o normalnych sprawach. O czymś, co nie ma związku z naszym dzieckiem.

– Z tym że nie do końca tam, gdzie chcieliście – dodaje.

– Ale niedaleko Aix?

– No więc... – wydaje się lekko zmieszana – to nie jest w Prowansji, tylko w Langwedocji. Bliżej Hiszpanii. Obawiam się, że Prowansja przy waszych

możliwościach jest nierealna. W Langwedocji jest więcej okazji. Myślę, że warto to obejrzeć. Moglibyście się tam wybrać w nowym roku.

– Musimy zamieszkać blisko Aix-en-Provence. Liczę, że dostanę tam pracę. Poza tym na razie jesteśmy chyba unieruchomieni.

– Małeństwo?

– Tak.

– Urodziło się! Och, jak cudownie! – Znam Sandrine już pół roku, ale do tej pory widywałam ją zawsze w biznesowej garsonce, uzbrojoną w notes. Teraz ku mojemu zaskoczeniu odzywa się tkliwym, wzruszonym głosem. Niemowlęta otwierają drzwi do tajnego klubu. Wydobywają z ludzi to, co na co dzień pozostaje w ukryciu.

– Jesteśmy jeszcze w szpitalu.

– Ale wszystko dobrze?

– No więc... niezupełnie. Prawda jest taka, że mała będzie upośledzona.

Nastaje bardzo długa cisza. Kiedy Sandrine wreszcie się odzywa, jest znowu sobą, zwięzła i rzeczowa.

– Ma się rozumieć, że w takiej sytuacji nie będziecie mogli przyjechać od razu. A ten dom chyba nie byłby odpowiedni.

Nie słucham, co mówi. Myślę o tym, że będę musiała wymyślić jakieś zgrabne formułki opisujące stan Frei, bo czeka mnie wiele takich rozmów. Rozłączam się.

– Na razie o tym zapomnij – mówi Martha, która od początku odnosi się krytycznie do moich planów przeprowadzki do Francji.

Zabiera mnie na dół, do stołówki, i upiera się, że zapłaci za moją kawę i kanapki. Wyczuwam w niej bezradność, nie jest w stanie wykonać żadnego gestu, który odpowiadałby grozie sytuacji. Przyjaźnimy się od bardzo dawna, ale nie byliśmy przygotowani na coś takiego. Musimy od nowa określić wzajemne prawa i obowiązki.

– Co zamierzasz? – pyta.

– A jaki mam wybór? Wszyscy oczekują od matki bezwarunkowej miłości, ale ilu rodziców staje przed prawdziwą próbą? Trzy tygodnie temu żyłam pełnią życia. A teraz... Mogę to wszystko stracić. Mogę stracić Tobiasa. A co jeśli wszystko dla niej poświęcę, a ona umrze? Co wtedy zrobię? Posłuchaj, wiem, że to brzmi strasznie egoistycznie...

– Wcale nie – wtrąca Martha, lecz jej ton zdradza, że powiedziałam zbyt wiele. Przekroczyłam niewidzialną granicę. Wyczuwam ukryty konflikt między nami, jak gdybym w jakiś sposób ją zawiodła.

– Martha, ja nawet nie wiem, czy będę umiała pokochać to dziecko. Teraz jest między nami wciąż więź fizyczna, ale czy ją pokocham? I czy w ogóle wolno mi sobie na to pozwolić, skoro mogę ją stracić?

– Nie mogę ci mówić, co masz robić.

To do niej całkiem niepodobne. Poczynając od piątej klasy, kiedy Tommy McMahon próbował mnie pocałować, Martha doradzała mi w sprawie każdego chłopaka, każdej nowej pracy, każdej ważnej decyzji życiowej – a potem pomagała mi wybrnąć z tarapatów spowodowanych tym, że jej nie posłuchałam. Ale ten problem ją przerasta.

– Muszę lecieć – mówi odrobinę za szybko, z ledwie wyczuwalnym napięciem, i już wiem, że tracę moją najlepszą przyjaciółkę.

•

Doktor Fernandez spóźnia się na długo wyczekiwane spotkanie, na którym mamy się wreszcie dowiedzieć, jak poważny jest stan Frei.

Dużo myślałam o tym, co mi powiedziała: że lekarze wolą się asekurować. Tak jak z moją mamą, jakaś częśćka mnie wciąż chce wierzyć, że się pomylili – albo przynajmniej wyolbrzymili problem. To silniejsze ode mnie. Wstrzymuję się z ostateczną oceną do czasu, aż usłyszę z jej ust obiecany werdykt.

Czekamy z Tobiasem w pełnej napięcia ciszy. Nachodzi mnie wspomnienie: po lekcjach siedzę zapłakana w poczekalni szpitala, do którego przyjęto naszego dobrego sąsiada, dziewięćdziesięcioletniego Freda. Kiedy wreszcie pozwalają mi do niego zajrzeć, opowiada mi długo i niezbornie o córce, o której nigdy wcześniej nie wspominał. Zaginęła na szkolnym spływie kajakowym. Ciało nigdy nie znaleziono. Zaczyna płakać, a ja dziwię się dziecinnie, że istnieje taki smutek, który potrafi przyprawić o płacz człowieka mającego dziewięćdziesiąt trzy lata.

Wreszcie zjawia się doktor Fernandez w towarzystwie pielęgniarki. Prowadzi nas do salki udającej pokój dzienny i sadza w fotelach. Przysiada na skraju stołu, pielęgniarka – na stojącym obok krześle. Pudełko z chusteczkami jest na swoim miejscu.

– Nadal nie wiemy wielu rzeczy – zaczyna. – Jako lekarze naturalnie wolimy wypowiadać się ostrożnie.

Robi pauzę, wkłada okulary, które nosi na łańcuszku na szyi, po czym bez pośpiechu ciągnie dalej:

– Ale musicie państwo mniej więcej wiedzieć, czego się spodziewać. Dlatego zapytałam wszystkich specjalistów o ich prywatne zdanie. Z tych rozmów wyłania się obraz, z którym się zgadzam. Wszystko wskazuje na to, że Freja będzie miała poważne problemy z podstawowymi czynnościami. Takimi jak siedzenie, chodzenie, mówienie.

Przez chwilę panuje cisza. Jej słowa długo wiszą w powietrzu.

– Jest wiotka, co ma związek ze sprawnością mózgu. W przyszłości może pozostać wiotka, ale prawdopodobnie się usztywni. Może to skutkować różnymi problemami fizycznymi. Istnieje ryzyko, że płuca nie rozwiną się należycie, a to

grozi komplikacjami: infekcjami dróg oddechowych, zapaleniem płuc. Trzeba się liczyć z ostrymi skurczami mięśni, choć można temu zaradzić fizjoterapią. Możliwe, że między piątym a dziesiątym rokiem życia, o ile mała dożyje takiego wieku, będzie konieczna operacja uwolnienia ścięgien.

– Jak długo będzie żyła? – pyta Tobiasz.

– Trudno powiedzieć. Przede wszystkim muszą państwo wiedzieć, że przy takich nieprawidłowościach w budowie mózgu nagle po prostu może coś tam strzelić i mózg przestanie działać. Poza tym w pierwszych dwóch, trzech latach życia takie dzieci są podatne na infekcje dróg oddechowych, a te mogą być śmiertelne. Chociaż akurat Freja ma prawidłowy odruch gardłowy i jak na razie oddycha bez trudu. Jeżeli nie umrze w pierwszych latach życia, może was przeżyć.

– Czy jej stan będzie się pogarszał?

– Teoretycznie nie. Jej problemy mają charakter stały, wynikają z budowy mózgu. Ale ponieważ będzie mało aktywna fizycznie, grozi jej zanik mięśni.

– A czy będzie dalej miewała napady?

– Neurolog przypuszcza, że ataki będą się powtarzać.

– Czy możemy cokolwiek zrobić, żeby jej stan się poprawił?

– Moim osobistym zdaniem raczej nie można jej pomóc.

– Czy będzie w ogóle miała jakiś kontakt z otoczeniem?

– Trudno powiedzieć. Doznaje takich uczuć jak zadowolenie i ból.

– Będzie nas rozpoznawać?

– Raczej nie. Potrzebuje opiekuna, ale będzie jej raczej wszystko jedno, czy to będziecie państwo, czy ktoś inny.

I nagle dociera do mnie, że to jest właśnie ta rzecz, która już zawsze będzie mnie przyprawiać o łzy – nawet w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat.

Zamyka mi się w głowie jakaś klapka, umysł zwalnia obroty, jak gdyby w mózgu zabrakło miejsca na przetwarzanie emocji. Słyszę swój własny głos zadający praktyczne pytania, na które doktor Fernandez odpowiada współczującym, lecz dobitnym tonem.

– Czy będzie potrzebowała sprzętu medycznego?

– Być może będzie w stanie siedzieć na wózku inwalidzkim, ale jest bardzo prawdopodobne, że będzie przykuta do łóżka. Z wiekiem przybierze na wadze i będziecie państwo potrzebowali podnośnika. Możliwe, że nie obejdzie się bez sztucznego odżywiania i wentylacji. Do końca życia będzie wymagała całodobowej opieki.

– Na jaką pomoc możemy liczyć?

– Służba zdrowia udzieli państwu wsparcia w opiece nad córką w domu.

– Przydzielili jej opiekuna?

– Na stałego bym nie liczyła, system dysponuje ograniczonymi środkami.

Ale opieka tymczasowa i fizjoterapia jak najbardziej.

– A co z Francją?

– Nieraz słyszę od ludzi, że chcą zabrać swoje głęboko upośledzone dziecko, na przykład, do Boliwii – odpowiada powoli. – Jako lekarka jestem oczywiście przerażona. Ale jako człowiek... Myślę sobie, że to praktycznie bez różnicy. Skoro chcieliście państwo zamieszkać we Francji, nie powinniście z tego rezygnować. Mogę wam dać zapas fenobarbitalu na wypadek kolejnych ataków. Nie ma co przekreślać własnego życia. Freja nigdy nie będzie łatwiejsza w transporcie niż teraz. Jeżeli będzie żyła krócej, ale szczęśliwiej, to chyba nic złego. Jeżeli złapie infekcję dróg oddechowych i nie zdążycie na czas do szpitala, cóż...

Chwila milczenia. Odzywa się Tobiasz:

– Zastanawialiśmy się, co by było, gdybyśmy nie wzięli jej do domu.

– Jeżeli zostanie w szpitalu, opieka społeczna będzie miała obowiązek znaleźć dla niej rodzinę lub instytucję zastępczą.

Zaczynam płakać głośnym, dziecięcym szlochem.

Doktor Fernandez obejmuje mnie ramieniem.

– Proszę nie podejmować żadnych pochopnych decyzji. Potrzebujecie państwo trochę czasu, żeby ochłonać. Freja i tak musi tutaj pobyc jeszcze parę tygodni. Potraktujcie to jako darmową opiekę. Zróbcie sobie kilka dni wolnego. Wyjedźcie gdzieś i spokojnie to przemyślcie. Z dala od szpitala.

Kiedy zbieramy się do wyjścia, mówi:

– Wiem, że jesteście państwo tym wszystkim przytłoczeni, ale musimy jeszcze porozmawiać o ewentualnej reanimacji. Prawo bardzo jasno określa, co nam wolno, a czego nie, ale w paru kwestiach pozostawia pewną swobodę wyboru. Na przykład: co robić w razie nagłego pogorszenia się jej stanu. Jaki rodzaj reanimacji państwo dopuszczacie?

– Może to dziwnie zabrzmie, ale takie dzieci mogą ładnie umrzeć – włącza się do rozmowy pielęgniarka. – W spokoju i z godnością.

Znów coś mi przeskakuje w głowie. Tym razem staje mi przed oczami chudziutkie niemowlę. Leży w łóżeczku z niewidzącym spojrzeniem utkwionym w sufit. Z brzuszka wychodzi mu rurka, obok butla z tlenem. Dziecko oddycha z pomocą respiratora, ciężko i mechanicznie.

•

Leżymy z Tobiaszem w naszym szpitalnym łóżku. Czuję na twarzy wilgoć jego łez.

– Zrozum – mówi. – Jeżeli weźmiemy to dziecko, nie będę mógł pracować jako wolny strzelec. Będę musiał poszukać stałej pracy. I możemy zapomnieć o przeprowadzce do Francji, bez względu na to, co mówi doktor Fernandez. Zrezygnować ze wszystkiego, o czym marzyliśmy. Na co tak ciężko pracowaliśmy. Z całego naszego życia.

Przesuwam palcami po jego twarzy.

– Nie będziesz musiał rezygnować z niezależności. Zamieszkamy we Francji, będziemy mieli studio nagraniowe, wszystko, co sobie wymarzyliśmy. Tworzymy zespół. Nie pozwolę, żeby jedna osoba w tym zespole wysysała całą energię z pozostałych dwóch. To by nas zniszczyło.

Po chwili przerwy ciągnę dalej:

– Bardzo mi dzisiaj ulżyło, kiedy zadzwoniła Sandrine i rozmawialiśmy jak normalni ludzie. Nie chcę, żeby całe nasze życie kręciło się wokół szpitala i było jednym pasmem kompromisów. Nie dopuszczę do tego. Pamiętasz, jak ci opowiadałam, co sobie postanowiłam, kiedy miałam szesnaście lat?

– Mgliście. Przypomnij mi – mówi z twarzą schowaną w moich włosach.

– Byłyśmy z Marthą na wymianie szkolnej. Wcześniej prawie w ogóle nie ruszałyśmy się z Sevenoaks i nagle lądujemy Paryżu. Nie stać nas było na jedzenie na mieście, więc kupiłyśmy sobie na spółkę jedną kawę w eleganckim bistro w szóstej dzielnicy i wcinałyśmy czekoladowe eklerki z papierowych toreb ukrytych pod stołem. Jakiś młody facet uśmiechnął się do mnie, miał w sobie coś niesamowicie wytwornego. Powiedziałam do Marthy: „Kiedyś tu zamieszkam, będę mówić po francusku i też będę wytworna”.

– I dopięłaś swego. Przez trzy lata uczyłaś się w Aix-en-Provence.

– Chcę tam wrócić z tobą. Z tobą i z Freją. – Czując, jak sztywnieje w moich ramionach, dodaje: – Nie musimy podejmować decyzji w tej chwili. Freja może na razie zostać w szpitalu. Doktor Fernandez uważa, że powinniśmy wyjechać na kilka dni. Myślałam o tym miejscu w Langwedocji, które znalazła Sandrine. Wiem, że to nie jest to, czego szukamy, ale pojedźmy tam i rzućmy okiem. To dobry pretekst, żeby się stąd wyrwać. Przewietrzyć umysł. Wezmę laktator.

– Może nie kocham tego dziecka, ale kocham ciebie – szepcze Tobias. – Nie chcę cię stracić.

– Obiecuję, że zawsze będziesz dla mnie ważniejszy niż ona. Nie mam wyjścia.

Te słowa brzmią jak zdrada.

– Nie mam wyjścia – powtarzam.

•

Nie mogę zasnąć. Leżę i słucham chrapania Tobiasa. O trzeciej nad ranem daję za wygraną i wstaję z łóżka. Oddział intensywnej terapii noworodków jest ciepły i przytulny jak łono matki.

Kieruję się prosto do łóżeczka Frei. Choć teoretycznie nie jest w stanie obrócić się na bok ani nawet przesunąć, zdołała się jakoś przytulić policzkiem do miękkich stóp włóczkowego królika. Jestem wstrząśnięta. Siadam obok i płaczę, nie mogę przestać.

Muszę uratować to maleństwo. Muszę ją zabrać do domu. Czyż nie warto się dla niej starać, skoro pragnie bliskości? Zostawiłam ją samą z króliczkiem z włóczki. Czy aby nie jest tak, że już w pierwszych tygodniach jej życia okazałam się złą matką?

Nachylam się z poczuciem winy jak złodziej i całuję ją w czubek głowy. Ogarnia mnie błogość.

Wdycham jej zapach, czuję miękki dotyk jej włosów. Całuję ją, piję z niej łapczywie jak z życiodajnego źródła. Jestem jak narkomanka, nie mogę się oderwać, jeszcze jeden pocałunek, jeszcze jeden.

Styczeń

Posiadłość o nazwie Les Rajons zajmuje nieosłonięty przed wiatrem szczyt wzgórza. Dojeżdżamy do niej drogą, która w wąskim korytarzu skał biegnie pod górę ostrymi zakosami. Za przytuloną do zbocza wioską Rieu, szosa, jakby nagle opuściła ją odwaga, zamienia się w piaszczysto-kamienistą dróżkę.

Aż trudno uwierzyć, że dwadzieścia cztery godziny temu byliśmy w szpitalu. Na pokładzie samolotu do Montpellier, oglądając chmury za oknem, łatwo nam przychodziło udawać, że lecimy do Francji, bo nie mamy nic lepszego do roboty. Jednak im bardziej oddalaliśmy się od Londynu, tym mocniej tęskniłam za Freją: za jej zmiętą buzią, różniącymi się od siebie oczkami, dziwnym odruchem wyciągania szyi.

Nasz wypożyczony samochód pokonuje kolejny stromy zakręt i nagle wyłania się przed nami dom w całej swej okazałości. Teraz widać, że na posesji znajduje się jeszcze kilka budynków gospodarskich. Niektóre są zrujnowane, a ich cętkowane szare kamienie posłużyły do budowy innych. Wszystko wygląda, jakby wyrastało ze skały i zapadało się w nią z powrotem w wiecznym procesie wzrostu i rozkładu. Ma się wrażenie, że niebo jest bardzo blisko.

- Ale tu dziko – mówi Tobias.
- I strasznie. Nie wiedziałam, że to jest takie ogromne.
- Jaka brama! Patrz na ten kamienny fronton.
- A muru nie ma. Brama stoi w polu.
- Mur pewnie się zawalił. Zupełnie jak rzymskie ruiny.

Przechodzimy przez bramę i stajemy na podwórzu ograniczonym podkową zabudowań. Przed sobą mamy dom, patrzymy na niego, a on na nas.

- O nie, chyba nie – mówię.
- Wow! – zachwyca się Tobias.
- Drzwi ledwie trzymają się na zawiasach. Okna porozbijane.
- Wyobraź sobie, że to wszystko jest nasze!
- Dziwnie się tu czuję. Nie ogarniam tego miejsca. Mam wrażenie, że ilekroć odwracam wzrok, budynki zmieniają położenie.

– Daj spokój, ponosi cię wyobraźnia. Już ci wszystko wyjaśniam. Dom jest na wprost. Typowy francuski wiejski dom, z wejściem pośrodku. Skrzydła to część gospodarcza. Popatrz, całe prawe skrzydło to jedna wielka stodoła połączona z domem tym drewnianym mostkiem. Drugie skrzydło składa się z kilku mniejszych budynków z podwórką... Nie, czekaj, to nie podwórko, to gruzowisko. Tak zarosło, że wygląda jak ogród otoczony murem... – Tobias urywa, marszczy brwi. – Albo i nie. Może to jest...

Stoimy przytłoczeni ogromem i osobliwością tego miejsca.

Na skraju rozległego podwórza stoi krzywo na betonowych blokach duży,

zardzewiały kontener towarowy. Na naszych oczach wyłania się z niego drobna postać. Macha ręką i rusza w naszą stronę, jej włosy – proste, kruczoczarne – falują w rytm jej energicznych kroków. To dziecko – myślę zaskoczona. Nie ma więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat.

Podchodzi bliżej, twarz ma ogorzałą, spaloną słońcem, wysmaganą wiatrem. Ale moją uwagę przykuwają przede wszystkim jej intensywnie zielone oczy.

– Cześć, jestem Lizzy, *la gardienne*. Sandrine mówiła, że przyjedziecie. Mam was oprowadzić. – Mówi płynną francuszczyzną, ale z wyraźnym obcym akcentem.

– Jesteś Amerykanką?

– Z Kalifornii – odpowiada po angielsku.

– I mieszkasz w tym kontenerze?

– Tak.

– Nie w domu?

– O nie – wzdryga się. – Co to, to nie.

– Od dawna?

– Prawie rok. Latem w kontenerze jest gorąco, więc śpię w hamaku pod drzewem.

– Jak tu w ogóle trafiłaś? – pyta Tobias.

– Uciulałam na bilet do Paryża.

– A potem?

– Przyszłam tutaj.

– Pieszko? Z Paryża?

– Tak. Nie miałam pieniędzy na pociąg. Zajęło mi to parę miesięcy.

W drodze trochę schudłam.

– A co jadłaś?

– Czasem ludzie mnie karmili. Czasem zbierałam dzikie owoce. Albo różne pyszne liście.

– Ale... czy rodzina się o ciebie nie martwiła?

– Nie mam rodziny. Tylko przybraną. Nie tęsknię za mną.

– Niesamowita historia – stwierdza Tobias.

– Lubię czuć się wolna.

– Niesamowita z ciebie osoba.

Przypomina mi jakieś zwierzę, ale jakie? Fokę? Taka sama energia i płynność ruchów, ale za mało ciała. Kota? Nie, dużo więcej w niej życia.

– Zacznijmy od stodoły – mówi Lizzy. – To moja ulubiona część.

– Fantastyczny dach.

– Kryty tradycyjną langwedocką zaokrągloną dachówką. Podobno dawniej nadawano im kształt na dziewczęcych udach.

Wchodzimy przez coś w rodzaju warsztatu i wspinamy się po chybotliwej

drabinie do niewielkiego pomieszczenia wyścielonego słomą. Czuję podmuch skrzydeł i w ostatniej chwili dostrzegam sowę płomykówkę, białą i majestatyczną, wylatującą przed otwarte okno.

– To niesamowite! – Tobias wydaje stłumiony okrzyk. – Przez moment siedziała tam i próbowała nas przegonić wzrokiem. Jak rozgniewany duch. Widziałyście?

– Jest ich parka. Mają tu gniazdo – wyjaśnia Lizzy. – Staram się ich nie płoszyć. Spójrzcie. – Wskazuje otwór wielkości małego okienka. Podchodzimy i kolejno zaglądamy do wnętrza stodoły.

– Jest olbrzymia – mówi Tobias.

– Podłoga do naprawy – zauważam.

– Nadawałaby się idealnie na studio nagraniowe – mówi Tobias i dodaje chytrze: – Anno, mogłabyś tu otworzyć własną restaurację.

– Nie wygłupiaj się. Jesteśmy na zupełnym odludziu. Restauracja w takim miejscu? Nie mówiąc o tym, że tu nie ma nawet drzwi.

– Przechowywano tutaj siano – tłumaczy Lizzy. – Można tam wejść przez kłapę w suficie stajni, która jest na dole.

Wyprowadza nas na zadaszony drewniany mostek. Dołem biegnie rów.

– Wygląda jak wyschnięte koryto potoku – mówię.

– O, latem w czasie deszczy przepływa tędy niezła rzeczka – rzuca beztrąsko Lizzy. – Często są burze. Uwielbiam stać na tym mostku i patrzeć na pioruny – jak przelatują nad domem albo jak przecinają niebo nad wzgórzami.

– Super – mówi Tobias.

Spoglądam w dół i zastanawiam się, jakbym się tutaj czuła wśród szalejącej burzy, mając pod sobą spieniony nurt. Sam mostek jest solidny i niebrzydki. Ma jeszcze jedną zaletę: zbudowano go w ludzkiej skali, inaczej niż te ogromne budynki, które, mogłoby się zdawać, próbują konkurować z majestatem żywiołów.

– Przydałoby się tutaj kilka doniczek z pelargoniami – mówię, lecz ani Tobias, ani Lizzy nie słuchają.

– Teraz przejdziemy do domu – oznajmia Lizzy.

Przechodzimy przez mostek do przestronnego pokoju na piętrze z balkonowymi drzwiami zabezpieczonymi od zewnątrz balustradą z kutego żelaza.

– Sypialnia – cieszy się Tobias. – Ale widok!

Na tym samym piętrze są jeszcze dwa mniejsze pokoje, w tym jeden z prawie do szczętu przegniłą podłogą, oraz spartańska łazienka.

– A teraz poddasze – mówi Lizzy. – Tylko ostrożnie, bo część dachu się zapadła.

Jedno po drugim wspinamy się po drabinie stojącej przy schodach na dół. Przysiadam na ostatnim szczeblu i spoglądam do góry na kawał nieba widoczny przez dziury. Sądząc po liczbie garnków i wiader na podłodze, dach latami

przeciekał, zanim w końcu runął.

Tobias, gdy przychodzi jego kolej, siedzi na szczycie drabiny przez dłuższą chwilę. Dobiega mnie z góry jego pełen entuzjazmu głos.

– Żeliwna wanna! Prawdziwy antyk! A patrz tam – czy to nietoperze?

Schodzimy dębowymi schodami („całkiem okazałe” – ocenia Tobias) i przez hol docieramy do salonu. Błądzą wzrokiem po dębowych belkach, gipsowych zdobieniach, wnęce z namalowanym wizerunkiem Matki Boskiej, nierównej kamiennej posadzce, kominku, przysadzistym piecu w stylu art déco.

– Kiedyś był tu klasztor – mówi Lizzy. – Te ozdoby to dzieło zakonnice.

Tobias znika w głębi domu.

– Jest kuchnia! Wielka! Z piecem chlebowym! A jaki zlewozmywak! – woła. – I podłoga z kamiennych płyt. Ogromna ta kuchnia. W samym środku kamienny łuk. Wiesz co? Myślę, że dałoby się ten dom szybko doprowadzić do stanu używalności.

Jestem zmęczona i rozdrażniona. Zaczyna mnie chwytać strach.

– Zwariowałaś? Nie ma nawet dachu.

– Właściciel go naprawi po podpisaniu *compromis de vente* – odzywa się Lizzy. – Wymieni też okna i drzwi wejściowe.

– Wyobraź sobie, że jesteś dzieckiem i się tutaj wychowujesz – mówi Tobias. – Fantastyczne!

– Bzdura. Zbyt niebezpiecznie dla dziecka... – Urywam w pół zdania. Dwa dni temu podpisałam dokument, w którym zezwalam personelowi szpitala na umieszczenie w papierach mojej córki dopisku: „Nie reanimować”. Największym niebezpieczeństwem, jakie by tu na nią czyhało, jestem ja sama.

•

Lizzy zabiera nas na zewnątrz i oprowadza po zabudowaniach po drugiej stronie podwórza. Oglądamy prasę do tłoczenia soku z winogron, wciśniętą między dwie dębowe kadzie, każda wielkości średniego pokoju.

Tobias wchodzi po krótkich schodkach i zagląda do wewnątrz.

– Czuć winogrona. Widać zaschnięty sok i kawałki owoców.

– Kiedyś była tu wytwórnia win. Upadła, ale uratowano prasę i beczki. Na południowym zboczu tego wzgórza są winnice. Dawniej należały do Les Rajons. Ale teraz już nie. W pobliżu zachowało się jeszcze trochę winorośli, ale jest tu za wysoko, żeby zrobić z nich wino.

– Ile jest tej ziemi?

– Około dziesięciu hektarów. Nie za wiele. Większość to *maquis*. Makia – piach i zarośla.

– Niewiarygodne, że można kupić coś takiego za tak małe pieniądze – zachwyca się Tobias. – Moglibyśmy tu zorganizować festiwal muzyczny.

Lizzy prowadzi nas kamienistą ścieżką obok ruin, mijamy skarłały sad i zaorany warzywnik.

– Ogród – wyjaśnia. – Połowa jest wydzierżawiona do końca tego roku. Można uprawiać warzywa na drugiej połówce.

– Warzywa – powtarza Tobias. – Oczywiście.

– Chcecie zobaczyć najlepszy widok?

Nawet o tej porze roku z bocze pachnie tymiankiem i lawendą. Biegąca w górę ścieżka w końcu się urywa i dalej trzeba się wspinać po kamieniach. Z głazu na szczycie rozciąga się panorama okolicznych wzgórz. Człowiek ma wrażenie, jakby wdrapał się na dach świata.

– Po jednej stronie widać Pireneje, a po drugiej Morze Śródziemne – mówi Lizzy. – Pięknie tu, prawda? Dziko i pięknie. Prawdziwa wolność. Chciałabym tu umrzeć.

Freja nigdy nie ujrzy tego widoku. Kiedy podrośnie, nie będziemy nawet w stanie wnieść jej tutaj na wózku. O ile w ogóle będzie miała wózek.

– Cudownie – potakuje Tobias. – Istna magia. Pireneje! Morze Śródziemne. Masz szczęście, że tu mieszkasz.

– To miejsce nazywa się przełęczą trzynastu wiatrów. Raz wieje z jednej strony, raz z drugiej. Bardzo trudno to przewidzieć. Miejscowi mówią, że czasem tak zawieje wśród skał, że słycać muzykę, ale jeszcze nie słycałam.

Lizzy wystawia twarz wprost na wiatr, pochyła się ku niemu z rozpostartymi ramionami.

– Czujecie? Czujecie te duchowe wibracje? Są bardzo silne.

Tobias śmieje się dobrodusznie i bierze z niej przykład. Wychyla się daleko do przodu. Śmieją się, rywalizują, kto odważy się wychylić najdalej. Zielone oczy Lizzy patrzą dziko przed siebie, czarne włosy śmigają na wietrze.

Wydra. Przypomina wydrę. Fizyczna siła w gibkiej, swawolnej postaci.

Lizzy rozpaczliwie balansuje ciałem, lecz w końcu traci równowagę i leci do przodu. Tobias wygrał. Nie kryje zadowolenia.

– Chyba zaczynam rozumieć, o co chodzi z tymi duchowymi wibracjami.

– To co, kupujecie ten dom? Cena jest niska.

– No właśnie – odzywam się. – Dlaczego chcą tak mało?

Lizzy wzrusza ramionami.

– *Propriétaire* kupił go przed laty. Chciał wyremontować, ale jest coraz starszy i zaczyna tracić nadzieję, że mu się to uda. Przechodzi na emeryturę, przydadzą mu się pieniądze. Pora, żeby ktoś młodszy spróbował. To jak będzie?

– Musimy to jeszcze przedyskutować – odpowiadam – ale nie jestem pewna, czy właśnie tego szukamy.

Lizzy ma zadowoloną minę.

– Przyjeżdża tu wiele par i wszystkie mówią to samo. Dom jest za wielki,

trochę straszny. Ale kiedyś zjawi się mężczyzna. Przyjedzie sam. Zakocha się w tym miejscu. I ożeni się ze mną.

Jest prześmieszna; spoglądam na Tobiasa i wznoszę oczy ku górze, ale on patrzy gdzie indziej. Dusząc w sobie śmiech, wdycham głęboko zapach lawendy i tymianku. Wydaje mi się, że po raz ostatni oddycham prawdziwą wolnością.

– Anno, popatrz! Popatrz tylko na ten widok.

Rzeczywiście, zapiera dech w piersiach. Gdziekolwiek spojrzeć, rozpościerają się fioletowe wzgórza. Po lewej odległe, jakby unoszące się nad horyzontem śnieżne szczyty Pirenejów delikatnie wtapiają się w chmury. Po prawej w dali błyszczy Morze Śródziemne.

Moglibyśmy machnąć ręką na to dziecko. Zapomnieć o tym, co się stało, i żyć jak do tej pory. Za kilka lat zostanę szefową kuchni w którejś z londyńskich restauracji. Tobias skomponuje dla niej reklamowego dżingla. Będziemy żyć wygodnie. Żal minie, a przynajmniej osłabnie. Jedynym śladem po Frei będzie lekkie ćmienie w duszy.

Ale tu, gdzie jesteśmy, jawi się inna droga: dom we Francji, wychowanie niepełnosprawnego dziecka, przyszłość rysująca się niewyraźnie jak podniebne szczyty gór.

•

– Chciałam zamieszkać w Prowansji. – W moim tonie pobrzmiwa pretensja, nawet ja to słyszę.

– Prowansja jest za droga – tłumaczy Tobias. – W Prowansji nie będzie nas stać na szopę z narzędziami. A ten dom jest ogromny, ma wielki potencjał i jest bardzo tani.

Znów jesteśmy w naszym wypożyczonym samochodzie. Jedziemy autostradą w stronę Aix-en-Provence, do Francji, jaką znam – krainy lazuru, pięknych ludzi i gajów oliwnych.

Przed wyjazdem z Londynu uznałam, że warto przy okazji odwiedzić Reného. Teraz jednak przepętnia mnie rozpaczliwa tęsknota za moją córeczką. Nie przetrwałabym tego dnia, gdyby nie myśl, że jutro wieczorem ją zobaczę.

– Co się dzieje? – pyta Tobias. – Denerwujesz się przed spotkaniem po latach?

– Troszeczkę – odpowiadam, bo tak jest prościej.

– Nic dziwnego. Od tej rozmowy wiele zależy. – Znów chwila milczenia. – Nie zaproponował ci jeszcze pracy, prawda?

– Na pewno tego nie zrobi, jeżeli kupimy dom w odległości trzech godzin jazdy.

Tobias robi nadąsaną minę.

– Chodzi mi tylko o to, że warto rozważyć inne możliwości. Opierasz

poważne życiowe plany na czymś, co może w ogóle nie dojść do skutku...

– Dojdzie do skutku. René jest jak rodzina. Owszem, przez trzy lata był dla mnie surowym nauczycielem, ale zawsze się o mnie troszczył. Nicolas odniósł sukces, ale jest maszyną; jego życie to wyłącznie praca. René to światowej klasy kucharz, a przy tym człowiek z krwi i kości. Coś dla mnie znajdzie.

•

Wizyta po latach w Instytucie Lecomte jest jak podróż w czasie. Czuję się, jakbym znów miała siedemnaście lat i na drżących nogach wchodziła pierwszy raz po eleganckich kamiennych schodach ku okazałym drzwiom.

Tym razem nie muszę naciskać dzwonka. Drzwi otwierają się same, René już na mnie czeka. Postarzał się od naszego ostatniego spotkania. Mały niegdyś placek łysiny pokrywa teraz prawie całą czaszkę. Twarz ma bladą, a kiedy wita mnie trzykrotnym pocałunkiem, słyszę jego lekko świszczący oddech.

– Gdzie Freja?

– Została w szpitalu. Pisałam ci w mailu...

– Lekarze nie są nieomylni. – Przez chwilę jakby nie wiedział, co powiedzieć; zmieszanie jest ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałam się po charyzmatycznym René. – Niech cię znowu uściskam, Anno. Dobrze cię widzieć.

– Znowu ci się przytyło – zauważam srogim tonem. – Przestrzegasz tej swojej diety? Pamiętaj, co ci powiedzieli lekarze. Nawet jeśli są omylni.

– Mój ojciec i dziadek zmarli na serce. Dlaczego miałbym zrywać z rodzinną tradycją? Liczy się to, jak człowiek żyje, a nie jak długo. – Zamierza pocałować Tobiasa, lecz reflektuje się i tylko ściska mu dłoń, za to tak uroczyście, że wygląda to jak parodia angielskiej uprzejmości. – Chodźcie, przyrządziłem dla was coś wyjątkowego. Ale najpierw pokażę wam wasz pokój.

Kiedy idziemy korytarzem, mówi do mnie:

– Anno, wyglądasz tak samo jak w dniu, kiedy cię poznałem.

– René, jak możesz tak kłamać? Miałam wtedy siedemnaście lat.

– Zgadza się. – René zwraca się do Tobiasa. – Wyobraź sobie, któregoś dnia dostaję list od licealistki z Anglii, w którym prosi o przyjęcie na studia w moim instytucie i zwolnienie z chesnego. Pomyślałam, że może warto się jej przyjrzeć.

Później, gdy siadamy do jego legendarnej *bouillabaisse*, wygłasza wykład. Głównie dla Tobiasa, bo ja wszystko to już kiedyś słyszałam.

– Przyrządzanie *bouillabaisse* wymaga cierpliwości. Przede wszystkim nie wolno gotować wywaru na dużym ogniu – kolagen z rybich ości i krabich skorup musi się powoli rozpuścić. Rano stawiasz garnek na wolnym ogniu, gotujesz przez cały dzień i wieczorem masz pyszny wywar. – René zamyka oczy i pochyla się nad zawartością swojego talerza. – Jedząc tę zupę, człowiek powinien się lekko pocić. Wyobraźcie sobie teraz żony marsyjskich rybaków gotujące kadzie pełne rybich

głów i krabich skorup, i czekające, aż ich mężowie wrócą do domu i wsypią połów prosto do wywaru. W tamtych czasach to morze decydowało, co wyląduje w zupie...

– To naprawdę... fascynujące – mamrocze Tobias, lecz René machnięciem dłoni daje do zrozumienia, że jeszcze nie skończył.

– Dziś, rzecz jasna, chcąc zrobić pierwszorzędną *bouillabaisse*, nie zdajemy się całkiem na przyrodę, przestrzegamy pewnych reguł. Prawdłowo przyrządzona *bouillabaisse* musi zawierać przynajmniej cztery z sześciu rodzajów rybiego mięsa: czerwona skorpena, biała skorpena, barwena, raja, konger, piosz. Dopuszcza się też *cigale de mer* i langusty, ale tylko jako dodatki. Ryby należy wrzucać w kolejności od najgrubszej do najchudszej, żeby wszystkie dobrze się ugotowały.

Wskazuje na półmisek pełen śródziemnomorskich ryb.

– I oto rezultat. Doskonały przykład pospolitej potrawy podniesionej do rangi *haute cuisine*. Uwierzycie, że tak wspaniałe danie może mieć taki skromny rodowód?

Odkłada sztućce i upija łyk doskonałego wina. Czuję, że to właściwy moment.

– To co sądzisz o tym, o czym ci napisałam? Myślisz, że mogłabym uczyć twoich studentów?

– Nie mówię, że to niemożliwe – odpowiada powoli – jeżeli naprawdę tak ci na tym zależy.

– Mogłabym prowadzić zajęcia dla Brytyjczyków nieznających francuskiego – podpowiadam.

– Brytyjczyków... Przykro mi to mówić, Anno, ale twoi rodacy nie są zainteresowani nauką w moim rozumieniu tego słowa. Oni chcą wczasów z lekcjami gotowania, a nie ciężkiej pracy w profesjonalnie zorganizowanej kuchni. A w ogóle to czy jesteś pewna, że właśnie tym chcesz się zajmować teraz, kiedy zostałam matką?

– Bycie matką nie będzie przecież kolidowało z moją pracą.

– Anno, mam szczerą nadzieję, że jednak będzie. Macierzyństwo to ważna sprawa, powinnaś poświęcić swojemu dziecku odpowiednio dużo czasu.

– Mamy na oku pewien dom – wtrąca Tobias. – Tyle że w Langwedocji. Namawiam Annę, żeby otworzyła tam restaurację.

René jakby się rozpogodził.

– To szalony pomysł – kwituję szybko. – Dom jest na zupełnym odludziu, na szczycie góry. Nic tam nie ma. Nawet do morza jest daleko.

– Przemyśl to jeszcze, Anno. Moim skromnym zdaniem Tobias ma rację. Potrzebujesz przestrzeni. Prawdziwej zmiany. – Poklepuje mnie po ojcowsku. – Kiedy przed laty dostałam od ciebie tamten list, byłem pełen uznania dla twojej determinacji. Dlatego cię wtedy przyjąłem. Jesteś w stanie dokonać wszystkiego,

co sobie postanowisz.

•

W Londynie lądujemy późnym wieczorem. Zdaniem Tobiasa zbyt późno, żeby jechać do szpitala. Zmęczona i obolała, daję się przekonać. Freja urodziła się prawie trzy tygodnie temu i od tamtego czasu nie spędziliśmy ani jednej nocy w domu – wpadaliśmy tam tylko parę razy po czyste rzeczy.

Czujemy się jak astronauta wracający z podróży kosmicznej. Trudno w to uwierzyć, ale na naszej ulicy panuje zwyczajny ruch, ludzie robią zakupy w otwartym do późna sklepie na rogu; kiedy my byliśmy na innej planecie, tutaj życie toczyło się po staremu. Kupujemy chleb, ser i trochę świeżych warzyw i udajemy się do domu.

Na wycieracze pełno prezentów i kartek. Nawarstwiały się przez dłuższy czas: na samym dole życzenia od tych, którzy zareagowali jako pierwsi, gdy tylko dowiedzieli się o narodzinach. Ich kartki są jadowicie różowe, z komiksowymi bocianami, pisane w radosnym tonie: „Córeczka – gratulacje!”. Te ze środka sterty, nadesłane przez osoby, które z naszego milczenia wywnioskowały, że coś jest nie tak, są już bardziej wyważone, choć wciąż optymistyczne: „Cieszymy się z Wami i mamy nadzieję, że wszystko w porządku”. Na wierzchu sterty gratulacji przechodzą w pełne zakłopotania kondolencje: „Jesteśmy z Wami”. „Tak mi przykro, że...”. „Wasz szczególny dar...”.

Odpowiadanie na te wszystkie prezenty i życzenia jest ponad moje siły. Co miałabym napisać?

„Dziękuję Wam bardzo za pamięć. Niestety, nasza córka Freja nie będzie nawet wiedziała, kim jesteśmy. Dlatego pozwalam sobie zwrócić prezent”.

Nasze mieszkanie jest w takim stanie, w jakim je zostawiliśmy, czyli starannie wysprzątane. Gdyby nie pusty koszyk niemowlęcy przy łóżku i przewijak w łazience, można by udawać, że wcale nie planowaliśmy dziecka. Nasze stare życie wciąż tu jest, na wyciągnięcie ręki.

Proponuję, że zrobię na szybko coś do jedzenia. Oczywiście to tylko pretekst. W zamrażarce czeka mnóstwo plastikowych pudełek z domowymi obiadami: przygotowałam je w ostatnich tygodniach ciąży, bo bałam się, że po urodzeniu dziecka nawet proste obowiązki będą mnie przerastać.

Ale znajomy i kojący rytuał szykowania jedzenia jest mi teraz potrzebny jeszcze bardziej niż odpoczynek. Nie czuję się na siłach, by przyrzadzić wyszukane danie – to będzie coś prostego, ze świeżych składników.

Kuchnia to dla mnie odrębny świat, w którym wszystko przebiega według moich planów. Sercem tego świata jest olśniewająca kuchenka Lacanche, francuski odpowiednik Agi, dopieszczona w każdym szczególe dzieło burgundzkich rzemieślników. Odkładałam na nią przez dwa lata. Dookoła, na stalowych hakach,

wisi moja *batterie de cuisine*. Każdy garnek, każde narzędzie ma swoje precyzyjnie określone miejsce. Na blacie obok kuchenki trzymam deski do krojenia i stojaki z nożami. Przyprawy stoją w rzędach na specjalnych półeczkach. Nawet z zawiązanymi oczami potrafiłabym wybrać właściwą.

Sięgam po nóż z miękkiej stali, który podarował mi ojciec, kiedy zaczęłam naukę sztuki kucharskiej. Bukszpanowa rękojeść przyjemnie układa się w dłoni. Lata ostrzenia nadały ostrzu zaokrąglony kształt, idealnie pasujący do mojego stylu krojenia.

Kroję w kostkę buraka, napawając się precyzją, z jaką nóż przecina czerwony miąższ, krótkimi srebrzystymi błyskami, świeżym zapachem soków wsiąkających w drewno deski. Uwielbiam patrzeć, jak posiłek nabiera kształtu, zyskuje własny charakter. To mój odpowiednik medytacji.

Pokrojonego buraka skrapiam liguryjską oliwą, dodaję świeży rozmaryn i gruboziarnistą morską sól, po czym wstawiam do piekarnika. Następnie biorę się za batata – traktuję go podobnie, ale piekę w osobnym naczyniu, żeby kolory się nie wymieszały.

Gdy kuchnia wypełnia się delikatną wonią, szykuję półmisek rzeżuchy. Jej pieprzny smak będzie się dobrze komponował ze słodyczą buraka i batata. Wreszcie na koniec solidny kawałek camemberta. Marzyłam o tym – ostatni raz pleśniowy ser jadłam wiele miesięcy temu.

Starannie układam pokrojonego w kostkę buraka, batata i ser na rzeżusze i podziwiam kontrast barw. Potem kraję grube pajdy razowego chleba, przenoszę wszystko na stół na kółkach i wjeżdżam z nim do salonu. Kto powiedział, że trudno przygotować szybki posiłek? Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie kupują gotowe.

Tobiasz siedzi na kanapie, gugluje opiekę społeczną i upośledzenia, twarz ma szarą i wylęklą.

– Na stronie opieki społecznej piszą tylko o pomocy dla rodziców opiekujących się dzieckiem w domu – mówi. – A ja w ogóle nie chcę, żeby ona tu była.

– Na pewno są jakieś strony zawodowych opiekunów. Albo grup wsparcia.

– Sama zobacz.

Okazuje się, że w internecie jest całe mnóstwo stron prowadzonych przez rodziców, którzy rzucili pracę, by zwiększyć swoje szanse na przydział wózka inwalidzkiego dla dziecka; którzy co dwadzieścia minut muszą dotleniać dziecku płuca, więc czuwają przy nim na zmianę, dzień i noc; którzy są tak zagonieni, że nie mają czasu ani energii na nic innego. Reszta rodziny, inne dzieci oraz wszelkie życiowe przyjemności schodzą w takiej sytuacji na dalszy plan.

Cokolwiek postanowimy, nasze dawne życie minęło bezpowrotnie.

– Nie traćmy nadziei – mówi Tobiasz. – Szukam strony, na której będzie

napisane, jak o północy podrzucić dziecko na stopnie klasztoru sióstr anuncjatek.

Śmiejemy się. Takie żarty są naszą tajemnicą. Nikt inny nie zrozumiałby tej potrzeby czarnego humoru. Powiedzieliśmy o Frei kilku przyjaciółom i wszyscy byli wyraźnie zażenowani, jakby rozmawiali z kimś, kto właśnie stracił bliską osobę.

– Musimy ją zostawić w szpitalu. Niech opieka społeczna zrobi swoje. Znajdą dla niej rodzinę zastępczą. Taką, która będzie w stanie zapewnić jej odpowiednią opiekę. Ci ludzie dostają za to pieniądze.

– A co jeśli będzie źle traktowana?

– Nie będzie. Ludzie opiekujący się upośledzonymi dziećmi wszyscy bez wyjątku mają złote serca. Będziemy ją odwiedzać, kiedy nam na to przyjdzie ochota.

Siadam na kanapie z wypożyczonym ze szpitala laktatorem. Zasysa mleko łapczywie i nieprzerwanie, nigdy nie ma dość.

– Popatrz na to – mówi Tobias. – Dom opieki nad niemowlętami i dziećmi. Wygląda super.

Na stronie chwala się basenem do hydroterapii i ogrodem sensorycznym pełnym zapachów i kształtów. Pokoje są wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt. Na zdjęciach mali mieszkańcy siedzą koło basenu na elektrycznych wózkach z wysokimi podglówkami podpierającymi ich wiotkie szyje.

– Tobias, to jest prywatna placówka. Cena pobytu dziecka w tym domu wynosi ponad sto tysięcy funtów rocznie.

Opuszczam wzrok na laktator i nie wierzę własnym oczom. Do tej pory mleka było tyle, co kot napłakał, a teraz butelka wypełniła się po brzegi.

Ogarnia mnie szczęście, duma i strach. Oto kolejny dowód na to, że jestem matką; kolejna rzecz, która wiąże mnie z tym dzieckiem.

•

Kiedy zjawiamy się w szpitalu, łóżeczko Frei na oddziale intensywnej terapii noworodków jest puste. Wpadamy w panikę. Co jeśli podczas naszej nieobecności stało się coś strasznego?

Okazuje się jednak, że po prostu przeniesiono ją do innej sali na końcu korytarza – na oddział niemowląt specjalnej troski. To znaczy, że nabiera sił, największe zagrożenie dla życia minęło. Nie wymaga już intensywnej opieki, a więc zbliża się moment, kiedy będzie można ją wypisać.

Linda, jedna z pielęgniarek, mówi, że wczoraj wieczorem próbowali karmienia kubeczkem i Freja „jadła jak smok”.

Alice, fizjoterapeutka, pokazuje mi kilka ćwiczeń wzmacniających mięśnie.

– Dzieci z porażeniem mózgowym zwykle mają bardzo wiotkie mięśnie – mówi, a ja czuję dreszcz na karku. Pierwszy raz jest mowa o „porażeniu

mózgowym”.

– Nie lubimy tego określenia – wyjaśnia doktor Fernandez, kiedy ją o to pytam. – To nie jest żadna jednostka chorobowa, tylko zbiorowe określenie zespołu objawów.

Ale przynajmniej jest zrozumiałe i daje nam pewne pojęcie o tym, czego możemy się spodziewać. I pewnie dlatego lekarze go nie lubią. Wyobrażam sobie długie lata daremnych ćwiczeń, które i tak nie sprawią, że moje dziecko odzyska władzę nad ciałem.

Martha wydzwania codziennie, próbuje mnie wspierać i pocieszać. Nie zawsze czuję się na siłach, żeby z nią rozmawiać.

Trzymam w ramionach wiotkie, mięciutkie, nafaszerowane lekami ciało Frei. Im dłużej myślę o porzuceniu jej, tym ciężiej i smutniej mi na nią patrzeć, być z nią. I tym cenniejsza jest każda chwila spędzona razem.

Tobias i ja robimy jej zdjęcia – żadne z nas tego nie mówi, ale oboje wiemy, że to na pamiątkę, jeśli przyjdzie nam się z nią pożegnać. W specjalnej teczce gromadzimy jej plastikowe opaski i każdy najmniejszy świstek dotyczący naszej córki.

Doktor Fernandez informuje nas, że Freja będzie mogła zostać wypisana za tydzień.

– Jeżeli potrzebujecie państwo więcej czasu na podjęcie decyzji, możemy ją przetrzymać jeszcze dwa tygodnie. Ale może po prostu weźmiecie ją do domu, żeby się nią nacieszyć? Dopóki nie różni się bardzo od zdrowych dzieci. Nie znając diagnozy, trudno byłoby się domyślić, że coś z nią jest nie tak.

I w tym właśnie tkwi cały problem. Kiedy jesteśmy z dala od niej, łatwo nam dyskutować o oddaniu jej w ręce opieki społecznej. Nasza córka jest wtedy Freją z lekarskich prognoz: złą inwestycją pod każdym względem. Pokochać ją, obdarzyć uczuciem – to pewna droga do cierpienia.

A potem przychodzimy na oddział – prosto z kolejnej dołującej rozmowy z lekarzami – i widzimy naszą piękną, doskonałą córeczkę. Pachnąca po niemowlęcemu, o gładkiej skórze i rumianych policzkach, leży w szpitalnym łóżeczku na oddziale specjalnej troski. Ten obraz normalności nie daje się pogodzić z katastroficznymi prognozami, z decyzją o niereanimowaniu.

Kiedy jestem przy Frei, targa mną potężny macierzyński instynkt. Piersi tryskają mlekiem, czuję ściskanie w żołądku. Moja miłość do tego maleńkiego człowieczka jest na wskroś fizyczna. Chcę ją brać na ręce, wyjmować z łóżeczka, karmić ją i troszczyć się o nią, dogadzać jej pod każdym względem i zapomnieć o prognozach lekarzy. Życ chwilą i udawać, że wszystko będzie dobrze.

To właśnie przeraża Tobiasa: że postradam rozum i wybiorę dla nas dwojga życie pełne udreki, opiekę nad córką, która nie będzie się rozwijać. Oboje coraz silniej zdajemy sobie sprawę, że kiedyś ją stracimy; albo umrze, albo będzie

wymagała takiej troski, jakiej nie będziemy w stanie jej zapewnić – chyba że poświęcimy dla niej całe nasze życie, zrezygnujemy z marzeń o kolejnych dzieciach, szczęściu i dającej satysfakcję pracy. Zapewne nie stanie się to z dnia na dzień, ale opieka nad Freją będzie stopniowo podmywać fundamenty naszego życia.

Doktor Fernandez, kiedy próbuję jej to wytłumaczyć, jest najwyraźniej zszokowana.

– Gdybyście państwo postanowili zabrać Freję, to oczywiście powinniście to zrobić z miłości do niej, a nie myśleć o niej jak o jakimś wielkim ciężarze.

To niewiarygodne, ale ona zdaje się wierzyć w świat, w którym Freja nie byłaby wielkim ciężarem.

– A co jeśli umrze? Jak ja to zniosę?

– To, co teraz powiem, nie będzie opinią lekarską, ale czy nie myślała pani o tym, żeby po prostu spróbować się nią nacieszyć? Proszę ją kochać, zachowując pewien dystans, żeby ewentualne rozstanie było łatwiejsze.

•

Tobias i ja leżymy w łóżku. Nie w głowie nam teraz seks, ale potrzebujemy fizycznej bliskości. Mimo wszystkiego, co nas dzieli, oboje mamy wrażenie, jakbyśmy zakochiwali się w sobie na nowo. Może to miłość do dziecka przelewa się w nas, nie mogąc znaleźć ujścia.

Tobias, rzecz jasna, powraca w końcu do tematu Les Rajons.

– To miejsce ma w sobie... jakąś magię. Nie mogę przestać o nim myśleć. To takie miejsce, z którym można się związać na całe życie.

– Obecny właściciel zestarzał się, próbując je odnowić – przypominam. – To chyba o czymś świadczy. Zresztą ty nie potrafisz nawet wbić gwoźdźnia prosto.

Ale Tobias ciągnie dalej, jakby w ogóle nie słyszał, co mówię.

– Jeżeli sprzedamy mieszkanie i dorzucimy to, co odłożyłaś po sprzedaży twojego, wystarczy nam bardzo mały kredyt. To prawdziwa okazja.

– A jak spłacimy ten kredyt, niechby nawet i mały, jeżeli René mnie nie zatrudni?

– Ostatnio całkiem dobrze mi idzie. Moja agentka mówi, że reżyserzy o mnie pytają, kojarzą moje nazwisko. Pomyśl, o ile bardziej byłbym produktywny, mając ciszę i spokój. Nic by mnie tam nie rozpraszało. A ty prędzej czy później otworzyłabyś restaurację. Przecież świetnie gotujesz. Wiem, że ci się uda.

Pierwszy raz od czasu narodzin Frei odżywa w nim młodzieńczy duch, znów jest tym mężczyzną, w którym się zakochałam. Pełnym wigoru i pomysłów. Jedynym człowiekiem, który potrafi skruszyć moją wrodzoną ostrożność i zarazić mnie swoim szaleństwem.

– Sama nie wiem. Freja...

– Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, to dziecko nam się nie udało. Żeby było jasne: nie zabieramy jej ze sobą. Teraz przewijanie jej może ci się wydawać przyjemne, ale co powiesz za pięć lat? Albo za dziesięć? Nie chcę mieć poczucia, że jedyne, co nas w życiu czeka, to zmienianie pieluch.

Nic nie odpowiadam. Myślę. Muszę mieć ją przy sobie. Potrzebuję jej. Choć wiem, że to wielkie ryzyko. Tobiasz pewnie zdoła się od niej zdystansować, ale ja przypadnę, utonę w miłości. A co jeśli potem ją stracę?

Tobiasz wciąż rozprawia.

– Jeśli zgodzę się na to dziecko – oczywiście tylko na pewien czas, bo niczego więcej nie mogę obiecać – to czy możemy się umówić, że spróbujemy, ale w Les Rajons? I że nasze życie nie będzie się kręcić wyłącznie wokół niej? Zawsze chciałaś pracować na własny rachunek. Ja zawsze marzyłem o rozwijaniu swoich horyzontów kompozytorskich. Co ty na to? Idziemy na całość? Zobaczymy, co z tego wyjdzie?

Freja słyszy normalnie. Ten ekskluzywny dom opieki, na który nas nie stać, szczyli się posiadaniem ogrodu pełnego zapachów i dźwięków. A czym jest Les Rajons, jeżeli nie olbrzymim ogrodem zmysłów?

– No dobrze – mówię powoli. – Umowa stoi. Ty zgadzasz się na to, żeby Freja zamieszkała z nami, a ja zgadzam się na przeprowadzkę do tego nawiedzonego domu.

– Anno! Jesteś skarbem! Nie pożałujesz, zobaczysz!

Wciąż nie mogę przeboleć domu w Prowansji, pól lawendy, lazurowego morza. Nie będzie tak sielsko: dzika i wietrzna okolica, kamienista ziemia, chaszcze wśród skał. Ale jeszcze kilka dni temu Tobiasz w ogóle nie chciał słyszeć o mieszkaniu pod jednym dachem z Freją. To miejsce jakoś go zmienia.

•

Mój poranny rytuał: pakuję torbę – laktator, batoniki muesli, środki przeciwbólowe na receptę, wkładki do stanika. Chowam odciągnięte mleko do lodówki. Wyjmuję śpioszki z pralki i wieszam na suszarce. Potem robię jeszcze parę innych rzeczy: ładuję naczynia do zmywarki, przygotowuję rzeczy do prania, sprzątam salon, szykuję coś na kolację – głównie po to, by poczuć, że nad wszystkim panuję. Wreszcie pędzę do szpitala, do mojego dziecka.

Nie możemy dłużej zbywać rodziny i znajomych, co przysparza mi dodatkowego stresu. Każdego dnia odwiedzają nas w szpitalu nowi goście.

Ludzie reagują na Freję na dwa sposoby. Niektórzy mówią: „Nie będzie tak źle, jak mówią lekarze”. Inni: „Jest piękna taka, jaka jest”. Jedni i drudzy mnie irytują.

Czasem pytają, jak się czuję, i właśnie tego pytania boję się najbardziej. Najchętniej odpowiedziałabym: „W tej chwili w ogóle nic nie czuję, inaczej nie

mogłabym z wami rozmawiać. Konałabym z rozpaczycy”.

W towarzystwie jestem ciężarem dla innych.

– Freja raczej nie pożyje długo, zresztą uważamy, że to dla niej lepiej, więc staramy się podchodzić do tego filozoficznie – stwierdzam lekko, podając córce mleko z butelki. Czasem widzę szok na czyjejs twarzy i czuję się wtedy okropnie samotna.

Matka Tobiasa mieszka w RPA z jego ojczymem i gromadką jego przyrodniego rodzeństwa. Przylecieli do Londynu, zainstalowali się w pobliskim hotelu i chcą nas koniecznie wyciągnąć na wspólną kolację.

Prawie ich nie znam, a to nie jest najlepszy czas na zacieśnianie więzów. Na ich opalonych twarzach widać zmęczenie podróżą i szczerą troskę. Rozmowa szybko schodzi na Freję i znów mówię nie to, co powinnam.

– Chyba najlepiej byłoby, gdyby pożyła pół roku otoczona miłością, a potem odeszła bez cierpienia – słyszę swój własny głos. Wszyscy kiwają mądrze głowami, a ja uprzytamniam sobie, że to najczarniejszy, najbardziej druzgoczący ze scenariuszy.

Moje emocje są jak delikatny instrument pomiarowy, którego wskazówka tak daleko wykroczyła poza skalę, że przepalił się w nim bezpiecznik. Ostatni przyrząd na pokładzie przestał działać i lecę przed siebie zupełnie na oślep. W takich warunkach może mi się przydarzyć wszystko – nawet przeprowadzka do całkiem nieodpowiedniego domu we Francji.

Po cichu liczę na to, że któraś transakcja – sprzedaż mieszkania bądź kupno działki – nie wypali. Jednak Tobias dwoi się i troi, szybko posuwając sprawy do przodu. Wystawił nasze mieszkanie na sprzedaż i zdołał wytargować upust od i tak już śmiesznie niskiej ceny za Les Rajons. Nawet kapryśny londyński rynek nieruchomości nam sprzyja: okolica Newington Green, ciesząca się niewielkim zainteresowaniem dziesięć lat temu, kiedy się tam wprowadzaliśmy, teraz stała się wręcz modna.

Mama zaczęła dzwonić codziennie. Niby w różnych sprawach, lecz każda z tych rozmów prędzej czy później schodzi na temat przeprowadzki.

– Jak uważasz, skarbie, czy Tobias jest szczęśliwy?

– No wiesz, bywało lepiej. Jest na tyle szczęśliwy, na ile to możliwe w tych okolicznościach.

– Bo widzisz, pamiętam, że mówiłaś, że to jemu najbardziej zależy na tym dziwnym miejscu we Francji. Tak sobie myślę, że mężczyźni mają pewne potrzeby, a kobieta po urodzeniu dziecka niekoniecznie ma ochotę...

– Mamo – wchodzę jej w słowo – mogę cię zapewnić, że nasza przeprowadzka do Francji nie ma żadnego związku z naszym życiem małżeńskim.

– Skarbie, jestem pewna, że gdyby był szczęśliwszy, nie chciałby nigdzie

wyjeżdżać. Pamiętam, że twojemu ojcu też strzelały do głowy dziwne pomysły, kiedy czuł się zaniedbany. Męską próżność trzeba zaspokajać.

•

– Chodźmy do pubu – rzuca Tobias.

– O nie! Padam z nóg.

– Daj spokój. Kiedy ostatnio byliśmy na piwie ze znajomymi?

Sama nie wiem czemu, ale pozwalałam się zaciągnąć do pubu. Na nasz widok znajomi milkną, potem wywiązuje się rozmowa o niczym. Jak gdyby chcieli, żebyśmy jak najszybciej sobie poszli i żeby można było nas obgadać.

Tobias zdaje się nie mieć z tym żadnego problemu; rozmawia z Sally, znajomą reżyserką, która zawsze rozplywa się nad jego muzyką – od dawna podejrzewam, że trochę się w nim podkochuje. Tobias skomponował muzykę do kilku jej krótkometrażówek. Sally pracuje teraz nad dużym projektem, ekranizacją *Pani Bovary*.

Jest zachwycona, że przeprowadzamy się do – cytując jej słowa – *la France profonde*. Obiecuje Tobiasowi, że jeśli tylko jego agent złoży w jego imieniu ofertę, ona dopilnuje, żeby jej szefowie zlecili mu skomponowanie ścieżki dźwiękowej. Tobias zatapia się w rozmowie o trudach życia Emmy Bovary w dziewiętnastowiecznej Francji. Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek wrócimy do domu i położymy się spać.

– Jestem dobrej myśli – mówi mi później. – To pełnometrażowa fabuła. Oczywiście nieprędko mi zapłacą, ale powinna być z tego niezła kasa. A przede wszystkim to może być dla mnie przełom artystyczny. – Uśmiecha się szeroko. – Wygląda na to, że przeprowadzka do Les Rajons wcale nie zaszkodzi mojej karierze.

– Chciałabym móc powiedzieć to samo – rzucam gorzko.

– Będzie dobrze, zobaczysz. Wszystko zaczyna się układać. Może to przeznaczenie?

•

Dzwoni agentka nieruchomości: pojawiła się atrakcyjna oferta kupna naszego mieszkania. Klient z gotówką, transakcja od ręki. Jest tylko jeden haczyk: chcą się wprowadzić w ciągu miesiąca.

– To oznacza przeprowadzkę do Francji w lutym. Tobias, musimy odmówić. Nie damy rady.

– Spokojnie, rozmawiałem przed chwilą z właścicielem Les Rajons. Nie widzi problemu. Zaczął już naprawiać drzwi i okna. Możemy wpłacić zadatek, a właściwą umowę kupna podpisać za parę tygodni. Skoczę w tym tygodniu do Francji, podpiszę *compromis de vente* i przekażę mu te dziesięć procent. Prosta

sprawa.

Nie mogę z tym dyskutować. Przeprowadzka do Francji była w końcu moim pomysłem, a teraz los jakby sam pchał nas w tamtym kierunku.

•

Tobias zwleka z przeglądem technicznym samochodu. Chyba wiem dlaczego: w jego głowie zrobienie przeglądu równa się odebraniu Frei ze szpitala.

Biorę sprawy w swoje ręce i dzwonię do znajomego właściciela warsztatu, Eda. Domyślam się, że wie o wszystkim. Nie pyta o dziecko i jak zwykle jest skory do pomocy.

– Jasne – mówi. – Czekam na was jutro.

Wychodząc z domu, Tobias oznajmia:

– Nie wiem, czy to mnie nie przerasta. – Ma na myśli Freję.

– Nie musimy się śpieszyć z decyzją – zauważam. – Dopóki nie zabierzemy jej ze szpitala, możemy w każdej chwili zmienić zdanie.

Parę godzin później dzwoni moja komórka.

– Mam dwie wiadomości, dobrą i złą – mówi Tobias.

Czekam. W obecnej sytuacji to rozróżnienie wydaje mi się bardzo umowne.

– Samochód się sypie. Doprowadzenie go do stanu używalności kosztowałoby osiemset funtów.

– O nie!

– Ale dobra wiadomość jest taka, że przed chwilą kupiłem za te osiemset funtów kabriolet.

– O Boże! Ciekawe, jaki kabriolet można kupić za osiemset funtów?

– Wyjrzyj przez okno, to się przekonasz.

Tobias, zadowolony z siebie, siedzi w malowniczej pozie na masce lekko zdezelowanego ciemnozielonego opla astry w nieokreślonym wieku.

– Ed namawiał mnie na golfa – pierwszy właściciel, ostrożny i uczciwy. Ale to takie nijakie auto. Jakbym się poddał i już tylko czekał na śmierć. Ed powtarzał w kółko: „Nie wiem, może ta astra jest dobra, ale nie znam jej historii. Wolałbym ją sprzedać komuś obcemu”.

Cały Tobias. Zanoszę się głębokim śmiechem.

– Jesteś skończonym wariatem.

– Wkładaj płaszcz, zabiorę cię na przejażdżkę.

Jeździmy po mieście z opuszczonym dachem. Pęd zimnego powietrza jest zarazem przykry i orzeźwiający, jak skok do lodowatej wody.

– Idziemy na całość? – pyta Tobias. Jego głos brzmi poważnie, ale w jego oczach dostrzegam dawny błysk.

– Idziemy.

•

Jesteśmy w szpitalu, czekamy na wypis i szczegółową listę zaburzeń stwierdzonych u Frei.

– Dawno już nie pisałam tak długiego wypisu – przyznaje sekretarka.

Czuję wzruszenie na widok kolejki pielęgniarek, które przyszły nas pożegnać. Każda mówi: „Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi we Francji” lub coś w tym stylu.

– Wszyscy tutaj bardzo pokochali Freję – zauważa doktor Fernandez. – Czasem to właśnie te... trudniejsze dzieci najbardziej zapadają nam w serce. – Uśmiecha się do mnie. – Musi pani przyznać, że zrobiła duże postępy.

Jakie postępy? Freja już teraz jest opóźniona w stosunku do normalnych dzieci. Nie wodzi wzrokiem, ma wiotką szyję, nie reaguje na twarze. Ale doktor Fernandez ma na myśli rzeczy najprostsze: ssanie mleka z butelki i oddychanie bez respiratora.

Zanosimy ją w niemowlęcym foteliku do naszego sfatygowanego kabrioletu. Tobias upiera się, żeby nie podnosić dachu.

– Jest zimno, przezięb się.

– Daj spokój, świeci słońce.

Ubieram Freję w kombinezon i wełnianą czapkę, opatulam kocykami jak małego Eskimosa. Lodowaty wiatr przewiewa mi włosy, lecz nikłe promienie słońca powoli napęniają mnie życiodajną energią.

Luty

Kiedy byłam dzieckiem, wyobrażałam sobie, że moje łóżko to statek przemierzający oceany. Teraz, jako matka, znów się w to bawię. Każdego ranka Tobias wyskakuje prędko z łóżka, a wtedy ja wyciągam Freję z koszyka, kładę obok siebie, przykrywam kocykiem i razem wyruszamy w podróż. Odwiedzamy różne kontynenty, pływamy po morzach ciemnych jak wino. Freja jest moim światem; podróżując, odkrywamy siebie nawzajem.

Ruchy jej dłoni są piękne i delikatne jak rzadkie orchidee w lasach podzwrotnikowych. Wyraz jej twarzy zmienia się niczym fronty pogodowe. Uwielbiam, jak z powagą ciągnie mleko z butelki, a jej popielate oczy koncentrują się na jakimś dalekim punkcie tysiąc mil stąd. Syta sprawia wrażenie pijanej. Kiedy kładę ją na ramieniu, żeby jej się odbiło, odruchowo wyrzuca ręce przed siebie, jak malutka małpka czepiająca się matki. Potem zapadamy w sen i Freja płynie w moją stronę. Nigdy nie widzę ani nie czuję, jak się przesuwa, lecz kiedy się budzę, leży wtulona w moją pierś, a prześcieradło jest wilgotne od mojego mleka.

Freja jest moja, to moje maleństwo, jest idealna. Nie mogłabym być szczęśliwsza.

Potem przeskakuje mi klapka w głowie i przypominam sobie lekarskie prognozy. Tulę ją i długo, długo płaczę.

Ta klapka zawsze jest albo całkiem otwarta, albo całkiem zamknięta. W chwilach szczęścia nie docierają do mnie żadne zmartwienia. W chwilach rozpaczki nie widzę dla siebie żadnej nadziei.

Po ataku płaczu przez jakiś czas jestem spokojna. Próbuję wtedy wczuć się w psychikę Frei, wyobrazić sobie jej wewnętrzny świat. Ale to zbyt trudne. Jak to jest nie mieć połączenia między półkulami mózgowymi? Z Freją nie można nawiązać kontaktu wzrokowego, jej oczy są jak niezgłębione studnie.

Słucham jej chrapliwego oddechu i zastanawiam się, co zrobię, jeśli przestanie oddychać. Z jednej strony tak byłoby najłatwiej. Z drugiej strony nie zniosłabym tego. Leżymy w łóżku, mała i ja, schowane przed światem niczym w bezpiecznym łonie.

•

Tobias co jakiś czas leci na dzień, dwa do Francji. Nie narzeka, że musi to robić sam; chyba się cieszy, że może od nas uciec. Podpisał ostateczną umowę kupna, nadzoruje prace prowadzone przez właściciela i zapewnia mnie, że wszystko idzie gładko. Mało mnie to interesuje – tylko o tyle, że dzięki przeprowadzce nie będę musiała porzucić mojego dziecka.

Ekipa transportowa po trochu wynosi z naszego mieszkania cały nasz dobytek. Daliśmy im klucze do Les Rajons. Mają dostarczyć wszystko w dniu

naszego przyjazdu.

Tobias chciał przewieźć swój sprzęt muzyczny astrą, lecz bagażnik jest za mały. Kiedy tamci pakują jego iMaca, klawiaturę sterującą, bezcenne głośniki i niewyobrażalną ilość kabli i komputerów, krząta się wokół niczym kura przy pisklętach.

– Ładny sprzęt – mówi ktoś z ekipy.

– Ostrożnie, to RME Fireface – jęczy. – Jest wart tysiąc funtów. Na tych dyskach mam wszystko. Jak to stracę, nie będę miał z czego żyć.

Na moich oczach odbywa się demontaż naszego dotychczasowego życia, lecz mało mnie to interesuje. Encyklopedia *Larousse Gastronomique* i *Historia naturalna i moralna jedzenia* Maguelonne Toussaint-Samat – obie dostałam w prezencie od Tobiasa – trafiają do różnych, nieoznaczonych pudeł. Kuchenka Lacanche, moja radość i duma, w ogóle nie jedzie z nami: musimy ją zostawić nowym właścicielom. W każdych innych okolicznościach strasznie bym z tego powodu cierpiała. Ale teraz ledwie to do mnie dociera.

Powinnam sporządzić listę rzeczy, które trzeba zabrać. Powinnam już teraz planować nowe życie, nową karierę. Albo chociaż szykować się do długiej podróży z chorym dzieckiem – przewidzieć, czego mała będzie potrzebowała, zebrać numery telefonów i adresy szpitali wzdłuż naszej trasy. A tymczasem poddaję się obezwładniającemu zmęczeniu. Żałuję każdej minuty rozłąki z Freją, drażni mnie wszystko, co w żaden sposób nie łączy się z jej fizyczną obecnością. Właściwie nic nie odczuwam, jak gdyby mój świat wewnętrzny także spakowano do walizek. Nie martwię się przeprowadzką, bo wydaje mi się ona równie nierzeczywista jak to, że z moją córką jest coś nie tak.

Jutro o świcie wyruszamy do Francji. Przysypiam z Freją przy piersi, gdy nagle czuję delikatne pociągnięcie. Otwieram oczy i widzę, że udało jej się przyssać i pije mleko w najlepsze.

To wspaniałe uczucie. Kiedy nasza suka miała szczeniaki i kładła się na grzbiecie, by ułatwić im dostęp do sutków, było po niej widać, że jest najszczęśliwszym psem na świecie. Ja też się tak czuję: nie liczy się teraz nic prócz miarowego ruchu jej ust. Freja krótkimi, łapczywymi łykami pije mleko z mojej piersi; jest tak zadowolona, że zamknęła oczy.

Tobias, zastawszy nas w tym błogostanie, nie wiedzieć czemu wpada w szał.

– Czy ty wiesz, w co my się pakujemy?! Musimy ją oddać!

– Oddać? Ale komu? Ona jest nasza.

•

Budzimy się wcześniej i pakujemy kilka ostatnich rzeczy, których nie zabrała ekipa transportowa. Do astry zmieści się niewiele: kosz Frei, jej śpioszki, pieluchy, laktator i sterylizator do butelek, jedna wspólna walizka z ubraniami. Z całej mojej

kuchni zostały dwa talerze, dwa kubki, dwie szklanki, trochę sztuców, nóż od taty i kilka garnków. Zawijam je w obrus, jakbyśmy jechali na piknik. Dopiero teraz przypominam sobie, że zapomniałam opróżnić zamrażarkę. Upycham pudełka zamrożonych domowych obiadów między przednim a tylnym siedzeniem. W Dover przed wjechaniem na prom wpadamy w lekką panikę i kupujemy mnóstwo swojskich, brytyjskich produktów: herbatę w torebkach, bekon, świeże mleko, ser cheddar, pastę marmite, nutellę i chleb razowy. Potem płyniemy przez kanał La Manche i ruszamy w dalszą drogę ku życiu, jakiego zawsze pragnęłam.

•

Do Les Rajons przybywamy późnym wieczorem. Szaleje burza; grecki chór zielonych dębów miota w nas liśćmi i gałęziami, wiatr ryczy w górze niczym przelatujące nad głową smoki.

Nie wyłączając silnika ani ogrzewania, zostawiamy twardo śpiącą Freję na tylnym siedzeniu. Tam będzie chyba bezpieczniejsza.

U naprawionych z grubsza drzwi wejściowych wisi wielka kłódka. W salonie piętrzą się pudła z naszymi doczesnymi dobrami. Deszcz bębni w falistą blachę, którą poprzedni właściciel połatał dach. W środku panuje ziąb, jakiego doświadczyć można tylko w domu z grubymi na metr kamiennymi ścianami. Chwyta człowieka za gardło zaraz po przestąpieniu progu, obejmuje lodowatym uściskiem, technie wilgoć w kości. Czuję się, jakby pogrzebano mnie żywcem w zimnej mogile.

– Nawet nie naprawił porządnie dachu – narzekam. – Miałeś go przecież przypilnować. No i strasznie tu zimno.

– Jest zimno, bo nikt tu nie mieszka – odpowiada Tobias. – Rozpalimy ogień i zaraz będzie cieplej.

Próbujemy napalić w uroczym artdekovskim piecu (Tobias zapewnia, że to autentyk). Niestety, mokre drewno tli się niezdecydowanie, po czym gaśnie. Próbujemy też rozniecić ogień w okazałym kominku w przeciwległej części salonu, lecz skutkiem jest jedynie chmura czarnego dymu, a w ślad za nią kłęby sadzy i coś przypominającego ptasie gniazdo.

– Nie możemy na tak długo zostawić Frei w samochodzie – mówię. – Pójdę po nią.

Wnoszę ją do salonu i rozglądam się za miejscem, gdzie mogłabym postawić fotelik, ale wszędzie tylko brud i pudła. Znajduję kątek obok zimnego pieca. Freja siedzi z główką przekrzywioną jak wróbelek zamęczony przez kota. Wkrótce zaczyna kichać w regularnych seriach, po cztery kichnięcia co dwie minuty. Przekładam ją do koszyka i opatulam koczkami, ale to nie pomaga. Gipsowa Matka Boska z wnęki patrzy na nią smutnym wzrokiem spod spuszczonej powiek.

– Widzisz, już się przeziębila w tym cholernym domu.
– Nie wygłupiaj się, dopiero co przyjechaliśmy. Musiała się przeziębic w samochodzie.

– Dobrze, w takim razie przeziębila się w tym beznadziejnym samochodzie, który nie wiadomo czemu kupiłeś. Przez czternaście godzin jazdy kapala na nas woda z dachu. Bogu dzięki, że przynajmniej się nie zepsuł.

Stajemy naprzeciwko siebie jak dwaj bokserzy w ringu.

– Przepraszam – mówię wbrew sobie, bo nie czuję się winna. – Zrobię coś do jedzenia.

Wystarczy odgrzać zamrożone porcje i będziemy mogli w naszym nowym domu zjeść ciepłą kolację jak normalni ludzie.

Wchodzę do kuchni.

Wilgoć i brud. Goła żarówka o niskiej mocy nie rozjaśnia ciemnych kątów – kto wie, co się tam czai? Na końcu pod ścianą stoi zardzewiała lodówka, odłączona od prądu. Kiedy otwieram wypaczone metalowe drzwi, owiewa mnie zapach nietoperzy i powolnego rozkładu. Pod oknem z pękniętą szybą stoi wstrętny zapuszczony zlew. Do tego lepiący się od tłuszczu piec chlebowy, rozchwierutany drewniany stół i kilka prymitywnie skleconych półek. Żadnej kuchenki elektrycznej ani nawet skrawka powierzchni, na której odważyłabym się położyć jedzenie. Blaty, półki, zlew – wszędzie pełno małych czarnych kuleczek.

– Tobias! Tu są myszy! Fúj! Zobacz – wszystko obsrały!

Tobias przygląda się czarnym kulkom i marszczy brwi.

– Nie wiem, czy to myszy. Pewnie po prostu drobiny brudu. Rano posprzątam.

Na jednej ze ścian cienie zlewają się w smolistą ciemność.

– Tam jest jakieś przejście – zauważam.

– Mówiłem ci o nim. To jest najlepsze. Pokażę ci. Gdzieś tu musi być kontakt. – Szuka po omacku włącznika, podczas gdy ja staram się oswoić z tą kuchnią o nieokreślonych, ginących w mroku granicach.

Jeszcze jedna żarówka rozbłyskuje anemicznym światłem. Widzimy przed sobą zwężającą się przestrzeń zakończoną czterodzielnym oknem w kamiennej framudze oraz kamiennym zlewem, nad którym wisi szpetny hak.

– To coś w rodzaju spiżarki – mówię. – Chyba wieszano tu dziczyznę.

Tobias ogląda łukowato sklepione przejście.

– Sterczą haczyki na zawiasy. Kiedyś musiały tu być drzwi.

– Na podłodze jest śnieg – zauważam.

– Nie wygłupiaj się. Rozumiem, że jest zimno, ale bez przesady.

Przyglądam się dokładniej.

– Nie, to białe kuleczki. Styropian. Ściany i sufit są nim wyłożone. Dlaczego się osypuje? – Rozglądam się po ciemnych kątach i wśród cieni zaczynam

dostrzegać jakiś kształt.

– Aaa! Tobias! Chodź tu szybko!

– Co jest?

– Popatrz tam. W szparze w suficie. Martwa mysz.

– Ze styropianem w pysku – stwierdza zaintrygowany. – Pewnie próbowała wyżreć dziurę i zrobiła się zbyt gruba.

– Nie obchodzi mnie, co próbowała. Jutro rano wstajemy i bierzemy się za wielkie sprzątanie.

– Dobrze, dobrze, tylko pozwól mi się najpierw trochę wyspać. Chodź, nie jestem głodny. Idziemy spać.

Zanoszę koszyk z pogrążoną w twardym śnie Freją do sypialni na piętrze. Kładziemy się na nadmuchiwanym materacu obok niej i wsłuchujemy się w poskrzypywania i rumory, jak gdyby ponad nami zakuci w łańcuchy więźniowie taszczyli żelazne kufry.

– To normalne w starym domu – tłumaczy Tobias.

Przez całą noc dom jęczy i skrzypi niczym galeon pod pełnymi żaglami. Trzy lub cztery razy budzi nas upiorne syczenie.

– Idź zobacz, co to – szepczę.

– Nie ma mowy – odpowiada. – To pewnie jakiś syczący duch. Jak chcesz, to sama sprawdzaj.

•

Freja budzi nas na długo przed świtem. Tobias schodzi na dół i zaczyna rozpakowywać pudła w salonie. Leżę w łóżku z Freją u piersi, patrzę, jak oddycha, liczę jej rzęsy, oglądam pokryty meszkiem krągły policzek. Dom się budzi, a my odpływamy razem w słodką drzemkę.

O dziesiątej budzi mnie zapach kawy. Otwieram drzwi prowadzące na drewniany mostek. Do środka zawilgłej sypialni wpada snop słonecznego światła i śpiew ptaków.

Dzień jest piękny, olśniewająco przejrzysty, bez wiatru. Na podwórzu rosną przebiśniegi i krokusy. Wychodzę z sypialni na mostek. Rozpościera się z niego widok na fioletowo-błękitne wzgórza; przyroda w swoim najmiłszym i najłagodniejszym wydaniu. Będziemy tu spędzać dużo czasu, Tobias i ja, jeść śniadania i napawać się scenerią.

Przesuwam dłonią po gładkiej balustradzie i wyczuwam jakąś nierówność. Ktoś wyrył w drewnie imię: Rose. Czuję, jakbym odkryła czyjś sekret. Ślad po innej osobie, która zachwycała się urokiem tego miejsca; przyszła tutaj kiedyś, może w taki poranek jak ten, zaprzątnięta własnymi myślami i problemami.

Kiedy schodzę z Freją w koszu na dół, w jednym z rogów salonu nie ma już pudeł. Artdekowski piec kuchenny jest wyczyszczony na błysk, a na jego

rozgrzanej płycie paruje błękitny dzbanek do kawy.

– Tobias! Jesteś wspaniały! Jak ci się udało rozpalić ogień?

Uśmiecha się skromnie. W tej samej chwili wchodzi Lizzy z naręczem drewna. Zdumiona jej widokiem przez moment stoję oniemiała.

– O, dzień dobry – odzywa się pierwsza. – Przepraszam, że nie przywitałam was wczoraj. Myślałam, że już nie przyjedziecie – było tak późno. Umyłam piec. Komin był kompletnie zatkany...

– Lizzy... Nie spodziewałam się ciebie. To znaczy, myślałam, że...

Tobias odciąga mnie na stronę.

– Lizzy jeszcze nie znalazła dla siebie nowego miejsca – ni to szepcze, ni to syczy.

Posyłam mu gniewne spojrzenie.

– Nie ma problemu – mówi Lizzy. – Mogę się wynieść w każdej chwili. Jedna rodzina w dolinie chce, żebym się do nich wprowadziła. Po prostu Tobias uznał, że mogę wam się przydać przez najbliższy tydzień albo dwa. Sam mnie o to poprosił.

Teraz to Tobias piorunuje mnie wzrokiem.

– Lizzy, zostań, proszę – mówi. – Jesteś nieoceniona. Nie wiem, jak bym sobie poradził bez twojej pomocy. W końcu Anna zostawiła wszystko na mojej głowie.

Zapada krótka cisza, otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale Tobias prędko wskazuje stół zastawiony butelkami wina, zakurzonymi i bez etykiet.

– Popatrz. Sąsiedzi z okolicy od rana przychodzą nas powitać. Przynoszą po kilka butelek wina domowej roboty. Wpadają tylko na chwilę. Nie mam pojęcia, skąd wiedzieli, że przyjechaliśmy.

– Wszyscy wiedzą – wyjaśnia Lizzy. – Poza tym dziś jest dzień polowania, *chasse*. Wszyscy miejscowi są myśliwymi. Parkują swoje *quatre-quatre*s niedaleko stąd. – Napotkawszy pytające spojrzenie Tobiasa, dodaje: – Samochody z napędem na cztery koła.

Rozlega się walenie w drzwi.

– Oho, następny – mówi Tobias.

Freja budzi się gwałtownie i zaczyna wyc.

– Ja otworzę – mówię. – I na litość boską, mógłbyś czasem zająć się swoją córką.

Za drzwiami stoi niski mężczyzna. Wielki myśliwski kapelusz przytłacza resztę jego sylwetki, jak gdyby miał na głowie garnek.

– Dzień dobry. Jestem waszym sąsiadem. – Mówiąc to, prostuje plecy i ramiona niczym żołnierz na wojskowej paradzie. Jego dłoń przypomina w dotyku rzeźbione drewno orzechowe, a w oczach dostrzegam żywy błysk. – Jestem też waszym dzierżawcą. Mam prawo do części warzywnika. Nazywam się Ludovic

Donnadieu.

Zamaszystym ruchem zdejmuje kapelusz i wyciąga zza pleców dwie zakurzone butelki bez etykiet.

– Zapraszam – mówię.

Wchodzi do środka i patrzy na Freję, którą Tobias niewprawnie trzyma na kolanach. Jego bystry wzrok przypomina jakieś leśne zwierzę.

– To wasze pierwsze dziecko? Pamiętam, że swoje też tak trzymałem. Nie umiałem się z nim obchodzić, więc sadzałem je na kolanach, bo tak było najbezpieczniej. Byłem bardzo dumny.

– Napije się pan kawy? – pytam.

– Kawy? Hmm...

– A może *petit apéro*? – proponuje Tobias, mieszając angielski z francuskim.

– *Mais oui, un apéro, volontiers!*

Rozlewam wino, które przyniósł, do kieliszków. Siada przy stole i popija swój trunek. Wino jest słodkie jak ulepek.

– Gdzie pan mieszka? – pytam.

– W Rieu, to ta wieś w połowie drogi na szczyt. W ostatnim domu. Gdybyście czegoś potrzebowali, koniecznie do mnie zajrzyjcie. Nie krępujcie się. – Mówi z tak silnym akcentem, że ledwie go rozumiem.

– To bardzo miło z pana strony.

– Dobrze mówi pani po francusku – zauważa, lecz zaraz dodaje, unosząc lekko brwi i kąciki ust: – Jak ktoś z północy.

– No cóż, to chyba jeden kraj.

– To jest Pays d’Oc. Mamy własny język – oksytański. I własne zwyczaje.

– Jest pan budowniczym? Rolnikiem?

– Jestem *paysan*, uprawiam ziemię. Mąż nie zna francuskiego? Musisz mu tłumaczyć.

– Dobrze. Spróbuję. Tobias, on chce, żebym ci wszystko na bieżąco tłumaczyła. *Les Rajons należy do mojego wuja, jest w rodzinie od wieków. Jesteśmy właścicielami wszystkich winnic na zboczach i tłoczemy wino...* To chyba niemożliwe, prawda? Nikt nam o tym nie mówił. A... do lat osiemdziesiątych. Musiał się przejęzyczyć. Boże, ta gwara jest strasznie trudna. *Ale Unia Europejska płaci za... wykopywanie winorośli. Tutejsze wino nie jest wystarczająco dobre. Ziemia jest zbyt... Nie zrozumiałam, zbyt twarda? Zbyt ciężka? Ziemia jest okrutną panią. Musicie się nauczyć panować nad nią. Inaczej da wam w kość, tak jak nam dawała przez niezliczone pokolenia.*

– Myślałem, że tak się wysławiają tylko postacie w powieści chłopskiej – wtrąca Tobias.

– *Nikt nie chce kupić tego domu. Ma mroczną energię, to przez jego historię. To wino jest dobre – robię je ze swoich winogron, mam jeszcze trochę upraw na*

dole. To dobre winorośle, mają ponad sto lat. Służyły mojemu dziadkowi. Czerwone winogrona. Obieram je ręcznie i robię białe wino. Dodaję dużo cukru. Polecam do niego... sirop de fraise, to syrop malinowy, nie, truskawkowy. Brzmi okropnie. Nadaje piękny kolor. Tobias, chyba nie jestem zbyt dobrym tłumaczem. Mogę już przestać?

– Nie, nie, świetnie ci idzie. To bardzo ważne, co mówi. Zapytaj o historię tego domu.

Dochodzę jednak do wniosku, że wolę jej nie znać.

– Czekaj, bo znowu coś mówi. *Co zrobicie z wodą?*

– Z wodą? – dziwi się Tobias. – Woda jest w kranie. W czym problem?

– *Tu nie ma wodociągu. Jest tylko deszczówka. Jak nawodnicie ziemię?*

Chyba nie zamierzamy jej w ogóle nawadniać, prawda, skarbie? Mam mu to powiedzieć?

Kiedy mu to powtarzam, Ludovic krztusi się winem.

– *Zaczyna trochę psioczyć. Obcy wykupują całą ziemię. Nasi młodzi wyjeżdżają. Już tylko starzy znają się na uprawie ziemi. A młodych nie stać na to, żeby tu wrócić.*

– Powiedz mu, że to bardzo smutne. Ale przecież to miejscowi pozbywają się ziemi.

– O rety, trochę się zaperzył. *Poprzedni właściciel Les Rajons nie chciał sprzedać posesji tutajszemu za rozsądną cenę. Oczywiście wiedział, że może ją sprzedać obcokrajowcom, którzy nie znają cen i nie będą się zajmować ziemią. Naturalnie nie mam na myśli was. No więc jakie macie plany?*

– Będziemy chcieli stopniowo odremontować dom.

– *Nie pytam o dom. Jemu chodzi o ziemię. Macie tutaj dziesięć hektarów. Co zrobicie z tymi polami poniżej domu?*

– Polami? Ma na myśli te chaszczki? Nie wiedziałem, że to są pola. Zresztą nie wiedziałem nawet, że do nas należą – dodaje. – Trzeba chyba będzie dokładnie przeczytać umowę.

Ludovic Donnadiem gniewnym haustem dopija wino.

– *Nasi przodkowie setki lat gołymi rękoma budowali tarasy. Znali na swej ziemi każdy kamyk. Teraz nikt nie dba o ziemię. Za dwadzieścia lat nie będzie śladu po ich pracy.*

•

Przez resztę poranka Tobias i ja pracujemy w kuchni. Zrywamy styropian („Ten drewniany sufit jest niczego sobie” – mówi Tobias o odsłoniętych gołych deskach, przez które prześwieca światło). Wspólnymi siłami wywlekamy na zewnątrz starą lodówkę („Kupimy nową – mówi Tobias. – I kuchenkę gazową, dopóki nie sprawimy sobie porządnej”). Tobias roznieca ognisko i pali w nim

śmieci, a ja szoruję wszystkie powierzchnie w kuchni mydłem i środkiem dezynfekującym.

Pracę przerywa mi dźwięk telefonu.

– Skarbie, słuchaj uważnie. To wyjątkowa sytuacja.

– Jestem w tej chwili zajęta. Mam problem z myszami w kuchni.

– No właśnie, ja też. W tej sprawie do ciebie dzwonię, skarbie. No więc tak – kot przyniósł do środka mysz polną. Przegoniłam go szczotką, a to biedactwo schroniło się pod jedną z szafek i nie mogło się wydostać.

– Pewnie mysz sama wyjdzie albo ucieknie przez jakąś dziurę w murze.

– Tak mówił twój ojciec, ale ja w to nie wierzę. W murze nie ma dziur, a kot czatuje tam cały dzień i czeka.

– Mój ojciec? On nie żyje od prawie roku. Kiedy to się stało?

– Trochę ponad rok temu, skarbie. Odtąd co drugi dzień wpycham pod szafkę jedzenie, żeby nie umarła z głodu.

– Jeśli jest tam nadal, pewnie już dawno zdechła z pragnienia.

– Wodę też jej podaję. Nie bierz mnie za kompletną idiotkę.

– Czemu to stało się takie pilne? – wzdycham.

– Jutro przychodzą monterzy zrobić mi nową kuchnię. Bardzo się martwię, co się stanie z myszą. Bardzo ją polubiłam, jest taka biedna i samotna. Kocur ciągle się czai, a przecież wiesz, że koty mają szósty zmysł. On wyczuwa, że będzie miał teraz szansę. Kręci się cały czas po kuchni i bardzo mu źle z oczu patrzy. Nie mogłabyś zostawić Tobiasa z dzieckiem i przylecieć tu na kilka dni?

– Mamo, obiecuję, niedługo cię odwiedzę. Naprawdę chętnie bym się stąd wyrwała. Ale po prostu nie mogę. Mam dużo pracy.

– W porządku, przepraszam, że zawracam ci głowę. Nie musisz mnie odwiedzać. Masz na pewno ważniejsze sprawy na głowie niż życie biednego stworzenia.

•

Po usunięciu grubej warstwy brudu wreszcie mieliśmy prymitywną, lecz znośną kuchnię. Ściany wciąż pokrywa saletrowy nalot, ale przynajmniej doprowadziliśmy do porządku zlewozmywak, a półki okazały się dębowe. Grzebię po pudłach w poszukiwaniu wszystkiego, co lubię mieć pod ręką: mąka kukurydziana w papierowej torbie i żelatyna w saszetkach, ryż arborio, cukier trzcinowy, płatki migdałowe, soczewica puy, czekolada Valrhona, włoska mąka typu 00. Układam je starannie na półkach.

Większych trudności nastęrcza pomieszczenie za łukowatym przejściem. Saletry jest tam dużo więcej, a styropian klejono za pomocą jakiejś niedającej się usunąć syntetycznej żywicy. Do tego dochodzi kłębowisko przewodów, których boimy się dotykać, a które pewnie służyły do zasilania jakichś maszyn.

– Zakleję wejście tekturą i na razie nie będziemy sobie tym zawracać głowy
– oznajmia stanowczo Tobias.

Przez cały czas sprzątań Freja leży w koszyku przy piecu w salonie i najwyraźniej jest jej tam dobrze. Co chwila przerywam pracę, żeby do niej zajrzeć. Śpi słodko, z rozrzuconymi pulchnymi rączkami i rozłożonymi żabimi nóżkami. Płacze rzadko, nawet gdy jest głodna; apetyt sygnalizuje czkawką.

Odkąd zaczęła ssać pierś, muszę ją częściej karmić. Te chwile wyznaczają rytm mojego dnia, są porą wzajemnej bliskości. Rano, najadłszy się do syta, zanurzyła głowę między moje piersi. Od tamtej pory robi to po każdym karmieniu. Ten nowy zwyczaj głęboko mnie wzrusza. Jestem pewna, że dopomina się pieszczot.

Kiedy się urodziła, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że w razie, dajmy na to, infekcji dróg oddechowych, nie chcę, żeby ją reanimowano. Śmiałe decyzje, takie jak ryzykowna dla niej przeprowadzka do Francji, przychodziły mi z łatwością. Teraz na myśl, że mogłabym ją stracić, ogarnia mnie przerażenie. Powtarzam sobie, że to uczucie jest równie samolubne jak tamto. Chcę jak najdłużej się nią cieszyć.

Co mi strzeliło do głowy, żeby przywieźć ją do tej zimnej, brudnej rudery? A jeśli się przeziębii albo rozchoruje?

Ale stało się, sprzedaliśmy mieszkanie i teraz tu jest nasz dom. Innego nie mamy.

•

Wpadamy w rytm. Rano Lizzy pomaga nam sprzątać dom i rozpakowywać nasze rzeczy. Nie idzie jej to najlepiej, ale wyraźnie stara się być przydatna. Mimo woli zaczynam ją lubić. Jest taka młoda i samotna. Milczy na temat swojego dzieciństwa, które musiało być ponure, ale jest coś heroicznego w tym, że nie dała się złamać losowi. Czasem widzę oczyma wyobraźni, jak drobna postać maszeruje drogami i bezdrożami Francji, zdana na ludzką łaskę i przydrożne rośliny.

Koło południa Tobias, Freja i ja zjeżdżamy samochodem do Aigues i jemy lunch w kawiarni przy głównym placu – to kosztowny zwyczaj, ale nadal nie mamy kuchenki z prawdziwego zdarzenia. Zakup nowej mija się z celem, dopóki nie skończymy remontu w kuchni.

Ta kuchnia, mimo moich wysiłków, nie daje się okiełznać. Natura jest uparta. Zza półek wyglądają gekony. Po ścianach pełzają włochate krocionogi. W kątach czają się pająki. Piec chlebowy wciąż wypluwa na kafelki nową sadzę, na ścianach osadza się świeża saletra. Rozchwierutany stół i kuchenny blat porastają dziwną, czarną pleśnią. Tektura, którą Tobias zakrył wejście do spiżarki, marszczy się jak stary plaster na wielkiej ranie. No i wszędzie te upiorne mysie bobki i obrzydliwa słodkawa woń mysiego moczu.

Popołudniami wkładamy Freję do nosidełka i chodzimy na spacer. Uzbrojeni w mapę, którą dostaliśmy razem z tytułem własności, odkrywamy naszą fascynującą okolicę.

Pogoda jest przepiękna. Gdyby nie brak liści na drzewach, można by pomyśleć, że to nie luty, lecz maj. Przez cały tydzień świeci słońce, budząc rośliny do życia i ptaki do śpiewu. Na spacerach Freja śpi wtulona w moją pierś. Nasiąkamy magią okolicy, jesteśmy jak dzieci, weseli, podekscytowani, pełni ciekawości.

Okazuje się, że dziesięć hektarów to całkiem sporo. Jest sad z pogrążonymi w zimowym śnie drzewkami owocowymi. Jest pusty, starannie przekopany warzywnik. Niżej, za polami, których nie podejrzewaliśmy o bycie polami, odkrywamy rzeczkę – ona także należy do nas – i dziwny kamienisty rów, który, jak się domyślamy, pełnił funkcję kanału irygacyjnego.

Dzień po dniu zapuszczamy się coraz dalej poza naszą posiadłość, odkrywamy i nazywamy ten nowy świat. Natknęliśmy się na wąski grzbiet skalny, który niczym most spina nasze wzgórze z sąsiednim zboczem, a po obu jego stronach opadają w dół rumowiska skalne. Na tym drugim wzgórzu, znacznie wyższym od naszego, odkryliśmy spływający po zboczu potok i tajemnicze jezioro zasilane przez wodospad. Stojąc na brzegu jeziora, ulega się złudzeniu, że ciągnie się ono w nieskończoność. Natrafiliśmy na zdziczałe kasztany, kiedyś przycinane, dziś rozrosłe i powykręcane, przywodzące na myśl ziemię niczyją pomiędzy liniami okopów pierwszej wojny światowej.

Przedzieramy się przez kasztanowy gaj.

– Popatrz na to. Krajobraz po zagładzie – mówi Tobias.

Znalazł kamienne tarasy i niewielkie murowane domy z pozapadanymi dachami, całą wioskę zarośniętą trawą i zielskiem.

– Tutaj musiało mieszkać mnóstwo ludzi. Ciekawe, co się z nimi stało.

Zaglądamy przez kamienne progi do zawalonych domów.

– Wszystko spłonęło – stwierdzam. – Musiał być wielki pożar. Ciekawe kiedy... Tobias, nie, to niebezpieczne.

Tobias przeskoczył przez próg jednego z domów i rozgrzebuje stertę popękanych kafli i zwęglonego drewna.

Oczyma wyobraźni widzę, jak mur się zawala. Próbuję, bezskutecznie, wyciągnąć go spod gruzów. Mój telefon nie może złapać zasięgu. Biegnę po pomoc. Tobias zostaje i umiera w samotności.

Dziwię się sobie. Serce mi wali, oddech przyśpiesza, dłonie wilgotnieją. To nie w moim stylu tak panikować. Powód jest prosty: nie mogę go teraz stracić.

– Zobacz – mówi Tobias, jakby mnie nie słyszał. – Żeliwny piec kuchenny. Z datą 1940. Te domy wcale nie są takie stare.

– Tobias, daj spokój. – Nie chcę po sobie pokazać, jak bardzo się o niego

boję. – Nie podoba mi się tutaj. Wracajmy na drogę.

Kręta dróżka mija sosnowy zagajnik z chałupą z kamienia, przechodzimy obok pomnika ku czci poległych w drugiej wojnie światowej. Przed sobą dostrzegamy kolumnę samochodów terenowych. Szereg ludzi ubranych w kolory maskujące, ale i w odblaskowe kamizelki. Patrzą w głąb lasu, broń trzymają w pogotowiu.

– To pewnie polowanie – mówię. – Podejźmy do nich porozmawiać?

Jeden z mężczyzn odłącza się od reszty. To Ludovic. Zbliża się, spoglądając gniewnie spod ogromnego kapelusza.

– Co wy wyprawiacie? Zaraz wleziecie pod lufy. To bardzo niebezpieczne. Tu się poluje, a wy nie macie nawet żółtych kamizelek. Szczęście, że nikt do was nie strzelił.

Tobias, jak zwykle nastawiony ugodowo, właściwie odczytuje jego ton, lecz lekceważy treść.

– W porządku – mówi. – Nie ma sprawy.

Ludovic nabiera powietrza, jakby chciał coś dodać, ale spogląda na Freję, śpiącą w nosidełku, i stwierdza:

– Lepiej odprowadzę was do domu. Wiem, gdzie są zasiadki.

Wracamy szybkim tempem, tą samą drogą, którą przyszliśmy. Ludovic idzie dwa kroki z przodu, Freja podskakuje w nosidełku.

– Na co polujecie? – pytam.

– Na dziki. W lasach jest ich mnóstwo. I na sarny. Są utrapieniem. Trzeba je odstrzeliwać.

– No tak – kiwam pojednawczo głową.

Rzuca mi podejrzliwe spojrzenie.

– Obcokrajowcy nienawidzą polowań.

– Ale nie ja – kłamię. Wygląda na to, że będę musiała sprzeniewierzyć się moim humanitarnym zasadom. – Z zawodu jestem kucharzem. Lubię przyrządzać dziczyznę.

Pierwszy raz sprawia wrażenie zaciekawionego.

– Kucharzem? Ma pani w Anglii restaurację?

– Pracowałam w cudzej. Mój mąż uważa, że powinnam otworzyć własną w Les Rajons. Może mogłabym kupować dziczyznę u myśliwych.

– Uhm. Może. Uwielbiam duszone mięso z dzika...

– W takim razie muszę je kiedyś zrobić i pana zaprosić.

– Uhm.

Ludovic nieco łagodnieje. Prowadzi nas mniej sztywnym krokiem. W pewnej chwili proponuje nawet postój w miejscu z widokiem na dolinę.

– Gdybym wam powiedział, jak to kiedyś wyglądało, nie uwierzylibyście. Tarasy aż po samą rzekę: drzewa oliwne, winnice, sady wiśniowe. Kanały

nawadniające. Gaje kasztanowe. Wszędzie porządek. Wojna wywróciła wszystko do góry nogami. Ludzie musieli wyjeżdżać za pracą. Potem już nie wracali. Dziś nie ma komu wycinać wrzośca i jeżyn. Wszędzie zarośla, *maquis*. Dobre dla dzików, ale nie dla ludzi.

Patrząc na wzgórza i doliny, nie widzi tego, co ja, nie widzi piękna dzikiej przyrody.

– Natura wróciła – odzywa się w końcu. – Natura jest potężna. Trzeba ją ujarzmić. A my jesteśmy już starzy i słabi.

•

Tutaj wiatr wieje przy bezchmurnym niebie. Sypie piaskiem w oczy. Chłoszcze po twarzy. To dla mnie coś zupełnie nowego.

Jedziemy do Aigues przedstawić się merowi. Po drodze wiatr dudni niczym pięść w bok samochodu, ciska w nas żwirem. Nie sposób zgadnąć, z której strony wieje: nieraz ma się wrażenie, że kręci się w kółko.

Pokonujemy kolejne wiraże. Za Rieu otwiera się widok na dolinę, srebrną wstęgę rzeki Aigues i żyzny korytarz wzdłuż jej brzegów. Tam wciąż troskliwie uprawia się ziemię. W porównaniu z dziczą, w której żyjemy, dolina wydaje się rajska krainą porządku.

Droga raz po raz odsłania ten sam widok na pola, winnice, sady i działki, przybliżające się z każdym kolejnym zakrętem. Myślę o Ludovicu i jego ginącym świecie. Tutaj przetrwanie zależy od nachylenia stoku, osłony przed wiatrem, głębokości gleby. Na zboczach już nie ma rolników. Ziemie uprawne kończą się na dolinie.

Miewam lepsze i gorsze dni. Dziś jest jeden z tych gorszych.

W wiosce wszędzie pełno dzieci, jakby wiatr je tam przywiał. Maluchy potykające się na krótkich nóżkach, niemowlęta zakutane w wózkach, przedszkolaki strojące fochy na środku ulicy. A z nimi udręczone, krzyczące, wypompowane matki. Nie wiedzą, jakimi są szczęściami.

– Ratusz powinien być przy placu – mówi Tobias. Obok widzimy szkołę, na dziedzińcu bawią się potargane od wiatru dzieci.

Freja nie pójdzie do tej szkoły, nie będzie się bawiła na tym dziedzińcu, nie nauczy się francuskiego.

Matki przychodzą po swoje dzieci. Mała dziewczynka rzuca się mamie w ramiona i zaczyna paplać o swoim dniu. Odhaczam kolejną rzecz, której Freja nigdy nie zrobi.

Matka, widząc Freję w nosidełku, łapie ze mną kontakt wzrokowy i uśmiecha się, jak to mają w zwyczaju kobiety z dziećmi. Niedorozwój Frei na razie nie rzuca się w oczy. Informowanie o nim nieznanym sprawia mi niezmierną trudność. Staram się w ogóle nie poruszać tego tematu, choć wiem, że

na dłuższą metę to niemożliwe.

– Wcześniaczek? – Kobieta najwyraźniej wyczuła, że coś jest nie tak. Kiwam potakująco głową; to chyba lepsze niż kłamstwo, na pewno łatwiejsze niż wyjaśnienia. – Proszę się nią cieszyć. Czas szybko leci, niedługo będzie już innym dzieckiem. – Ponownie kiwam głową, choć serce przeszywa mi wielki smutek, bo wiem, że moja córka zawsze będzie taka.

Mer przyjmuje nas w swoim gabinecie. Ścisła nam dłonie na powitanie i mówi:

– Les Rajons, kupiliście państwo Les Rajons. Wspaniale. Nie mogę wam dociągnąć bieżącej wody. Musicie wykopać studnię. Tak będzie najlepiej. Woda z miasteczka, to niemożliwe.

– Właściwie chcieliśmy się tylko przywitać.

– Bardzo mi miło. Radzę niezwłocznie wykopać studnię.

Dziesięć minut później jesteśmy z powrotem na wietrznym placu. Spoglądamy po sobie skonsternowani.

– Trochę jak w filmie *Jean de Florette* – zauważa Tobias.

Stoimy trochę czasu przy pomniku, na którym widnieje długa lista poległych w obu wojnach światowych. Nagle zrywa się bardzo silny wiatr. Tobias chwytamnie za rękę i wciąga do restauracji.

– Dzień dobry, Yvonne – zwraca się do właścicielki. Lubi zapamiętywać imiona; dodaje mu to uroku. Zdążył już ustalić, że Yvonne ma dwadzieścia dwa lata, a bistro pomógł jej otworzyć ojciec, miejscowy rzeźnik. Na widok Tobiasa uśmiecha się, a w jej pulchnych policzkach robią się dołki.

Przez ostatni tydzień miałam sporo czasu, żeby oswoić się z jej nietypowym gustem dekoratorskim: kamienne sklepienia, las potężnych filarów z piaskowca, francuskie koronki w oknach wielkości otworów strzelniczych, cynowe dzbanki i ażurowe plastikowe serwetki na woskowanych dębowych stołach, masywny orzechowy kontuar zastawiony po brzegi bogatą kolekcją roześmianych porcelanowych świnek. Przy pierwszej wizycie Yvonne kazała nam popukać w sklepiony sufit i filary z piaskowca; okazało się, że wszystko jest zrobione z gipsu.

Ta dziewczyna ma w sobie coś ujmującego. Jest bardzo ładna i nie ma to związku ani z tym, jak się ubiera, ani z jej zaokrąglonymi kształtami. Jej oczy i cera są jakby przezroczyste i podobnie jest z osobowością: wszystkie uczucia natychmiast prześwitują na zewnątrz. Lniane włosy i cherubinowe usta nadają jej wygląd renesansowej Madonny, bogini w poliestrowym dresie rozmiaru L.

– Ale dzisiaj wietrzysko – zauważa Tobias.

– To *tramontane* – wyjaśnia Yvonne. – Taki wiatr wieje trzy, sześć albo dziewięć dni.

– Jak to?

– Jeżeli wieje przez cały dzień, to znaczy, że będzie wiał przez trzy. Jeśli czwartego dnia nie ustanie, to znaczy, że będzie wiał sześć dni. I tak dalej.

Wymieniamy spojrzenia.

– To bardzo długo.

– O, Langwedocja to jeden z najbardziej wietrznych regionów Francji. *Tramontane* to tylko jeden rodzaj wiatru. Mamy też *le mistral*, który jest ciepły, *le vent marin*, który wieje znad morza i przynosi deszcze, i jeszcze wiele innych. Zresztą w Les Rajons sami się przekonacie.

Spoglądam z wyrzutem na Tobiasa. Yvonne przychodzi mu z odsieczą:

– Mam dzisiaj coś wyjątkowego. Spróbujecie? – Wyciąga spod lady wielką suszoną kielbasę i zaczyna ją krajać w grube plastry. – Sama robiłam. Z górskich czarnych świń. Żywią się żółędziami i kasztanami.

Kielbasa jest wyśmienita, nie za słona i nie za tłusta, przyprawiona góorskimi ziołami.

– Nie wiedziałam, że jesteś *charcutière*.

– O tak, moje kielbasy zdobyły wiele nagród. W tym roku biorę udział w Concours National du Jeune Espoir.

– Zaslugujesz na zwycięstwo. W życiu nie jadłam tak dobrej *saucisse*. Myślisz, że mogłabym się u ciebie zaopatrywać? – To znaczy, dodaję w duchu, o ile uda mi się kiedyś otworzyć restaurację.

– Byłoby mi bardzo miło. Ja też chciałam cię o coś zapytać. Wiem, że macie w Les Rajons dodatkowe pomieszczenie w kuchni. Czy mogłabym je od was wynajmować? Pracuję u taty na zapleczu, ale to nie jest najwygodniejsze rozwiązanie.

– Świetny pomysł – podchwytuje Tobias. – Zresztą przyda nam się trochę dodatkowego grosza. Czekam na duże zlecenie filmowe, ale minie trochę czasu, zanim mi zapłacą. Oczywiście spiżarka wymaga małego remontu. Wpadnij do nas, obejrzysz i zdecydujesz.

Ale Yvonne już go nie słucha.

– O, chyba widzę Julię. Ciekawe, czy zajrzy. – Wyskakuje zza lady, otwiera drzwi i macha. – Julien! Chodź, chcę cię komuś przedstawić!

Przez plac idzie pewnym krokiem mężczyzna. Na wołanie Yvonne obraca się bez zatrzymywania i równie zdecydowanym krokiem kieruje w naszą stronę. Przypomina mi się, jak w szkole nauczycielka pokazywała nam pod mikroskopem ruchome cząstki i tłumaczyła, że wrażenie świadomego ruchu jest złudne; w rzeczywistości popychają je niewidzialne siły.

– Yvonne, kim są twoi nowi znajomi? – pyta z mocnym lokalnym akcentem.

Nie jest przystojny – twarz ma zbyt szczupłą. Rysy także pozostawiają wiele do życzenia: długi nos, bardzo wydatne kości policzkowe, wielkie oczy, szerokie usta; wygląda trochę jak baśniowy stwór. Próbuję zgadnąć, ile ma lat: dwadzieścia

dziewięć, może trzydzieści.

– Julien, poznaj nowych *propriétaires* Les Rajons. Są Anglikami.

Julien przygląda się nam spokojnymi szarymi oczyma, podaje nam rękę. Uścisk jego dłoni jest silny i pewny.

– Bardzo mi miło – zwraca się do nas po angielsku. Podoba mi się jego wyważony ton. Mówi płynnie, ale ostrożnie, jakby odzwyczaił się od posługiwania tym językiem. – A więc to wy jesteście tymi śmiałkami.

– Julien, może się z nami napijesz? – pyta Yvonne.

Uśmiecha się do niej.

– A co proponujesz?

– Mam trochę syropu z brzoskwiń. Świetny do muszkatu. Mogę zrobić koktajle. Jak w nowojorskim barze. – Rozlewa gęsty, słodki syrop do czterech kieliszków. – Bardzo bym chciała zobaczyć Nowy Jork. Kiedyś wygram *médaille d'or* w Concours National du Meilleur Saucisson i pojedę do Stanów Zjednoczonych. Odwiedzę Las Vegas, Nowy Jork, Hollywood i Dallas. I wygram wszystkie najważniejsze konkursy wędliniarskie w Ameryce. Ta dolina będzie ze mnie dumna.

Julien i Yvonne zaczynają rozmawiać wartkim, gwarowym francuskim, ledwie rozumiem, o czym mówią.

– Imprezowa z ciebie dziewczyna – żartuje Julien.

Yvonne odrzuca włosy z twarzy.

– Tutaj zimą jest strasznie nudno. Dobrze, że pojawiają się nowi ludzie. Może zacznie się coś dziać.

– Nikt cię tu nie trzyma. Zamieszkać ze mną w górach.

– Dobrze wiesz, że nie mogę. Nie jesteś... odpowiedni.

– No tak, ty znowu to samo.

– Słuchajcie – mówi po angielsku Tobias. – O co chodzi z wodą w Les Rajons? Byliśmy przed chwilą u mera i powtarzał w kółko, że nie może nam dociągnąć wody.

Yvonne i Julien spoglądają po sobie.

– Wszyscy wiedzą, że w Les Rajons nie ma wody – mówi Yvonne.

– To nieprawda – zaprzecza Julien.

– Ale wszyscy tak mówią. Dlatego nikt nie chciał kupić tego domu.

Znów posyłam Tobiasowi spojrzenie pełne wyrzutu.

– Dlatego był tani.

Tobias nie pozostaje mi dłużny.

– To była nasza wspólna decyzja. O wszystko masz do mnie pretensje.

Julien unosi dłoń.

– Nie jest tak źle. Macie zbiornik na deszczówkę. Po prostu mer nie chce tam doprowadzić *l'eau communale*, bo to zbyt daleko. Czyli zamiast na magistrat

jesteście zdani na przyrodę.

– *Mer* radzi nam wykopać studnię.

– Szkoda fatygi – mówi Julien. – Wasza parcela leży na *schiste*. Moglibyście dokopać się do wody, gdyby leżała na *calcaire*. – Dostrzega moje zagubione spojrzenie i wyjaśnia: – To różne typy skał. *Schiste* jest nieprzepuszczalna. *Calcaire* to wapień.

– No to super – mówię. – Fajnie, że to sprawdziłeś – rzucam do Tobiasa.

Oblewa się rumieńcem; widzę w jego oczach ból człowieka, który zacisnął zęby i chciał jak najlepiej, a teraz czuje się zagubiony i upokorzony. Wstaje i wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Oj – wzdycha Yvonne. – Przecież nie wypiliśmy nawet koktajłów. Dogonię go i namówię, żeby wrócił.

Drzwi po raz drugi zamykają się z trzaskiem. Zostałam sama z Julienem i Freją. Ogarnia mnie nagłe onieśmielenie. Julien pochyla się nad Freją.

– Śliczna. I jaka spokojna.

Nie ma potrzeby opowiadać mu o Frei. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć wymijająco, lecz coś we mnie wstąpiło.

– To dlatego, że ma jajecznicę zamiast mózgu. Marzyłam o dziecku, a teraz nawet nie wiem, czy można ją nazwać prawdziwym dzieckiem. Słyszałeś o odmieńcach? Czy to się aby nie zaczęło od czegoś takiego? Ludziom rodziły się ułomne dzieci i potrzebowali pretekstu, żeby się ich pozbyć. A najsmutniejsze jest to, że po narodzinach Frei jakbyśmy na nowo się w sobie zakochali, Tobias i ja. A teraz klócimy się bez przerwy o pierdoły. A ten dom jest straszny – to znaczy Tobias jest nim zachwycony, ale ja się go boję. Jak żywej istoty. Nie wiemy, dlaczego właściwie tu przyjechaliśmy. Chyba po prostu chcieliśmy uciec – ale każda ucieczka gdzieś się kończy i trzeba zmierzyć się z nowymi problemami. – Urywam przerażona. – Przepraszam. Dopiero co się poznaliśmy, a mówię więcej niż... wypada.

– Nic nie szkodzi. W tych stronach ludzie za bardzo przejmują się tym, co wypada, a co nie. Proszę, mów dalej.

– No więc – tutaj przyroda jest taka nieobliczalna. Wiatr potrafi wyć przez tydzień bez ustanku. W kuchni lęgną się myszy. Muszę przyznać, że przeraża mnie to wszystko. Natura się panoszy... Nawet w domu. Zwłaszcza w domu. Nasz sąsiad Ludovic uważa, że przyrodę trzeba ujarzmić.

Julien śmieje się.

– W tych okolicach lepiej się z nią pogodzić. Żyć w harmonii. Kto walczy z naturą, przegrywa.

– Przynajmniej co do tego jesteście zgodni.

Rozdzwania się dzwoneczek u drzwi, Yvonne i Tobias wracają. Gniew Tobiasa nigdy nie trwa długo, Yvonne najwyraźniej zdołała go udobruchać.

– Wypijmy za wasz przyjazd – mówi. – Palnęłam gafę. Les Rajons to wspaniałe miejsce. To nie brak wody odstraszył miejscowych.

– Nie – zgadza się Julien. – Obstawiałbym raczej duchy.

Kiedy już wychodzimy, Julien kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Zajrzyjcie do mnie któregoś dnia. Mieszkam w lesie na sąsiednim wzgórzu. Po drugiej stronie skalistego grzbietu, niedaleko jeziora – wiecie, tam gdzie jest wodospad. Za ruinami wioski w lesie kasztanowym.

•

Kiedy wchodzimy do domu, znowu dzwoni telefon.

– Mam nadzieję, że się ucieszysz. Kuchnia skończona.

– Pozwól, że zgadnę – ani śladu myszy.

– Przeciwnie – mówi naburmuszona. – Zamknęłam kota, a ekipie kazałam czekać, aż znajdę szufelkę, żeby w nią złapać biedaczkę. Zdjęli blat i rozmontowali stare szafki. Mysz uwiła sobie gniazdko z wełny, którą przez te wszystkie miesiące upychałam pod szafką. I miała doskonale zaopatrzoną spiżarnię z tym wszystkim, co jej przez ten czas podsuwałam. I wtedy powoli najstarsza mysz świata wychynęła na światło dzienne.

– No to wszystko w porządku. Uratowałam jej życie.

– Obawiam się, że nie uratowałam. Zrobiła kilka kroków i nagle nie wiadomo skąd pojawił się kocur. Widocznie niedokładnie przekręciłam klucz, a wiesz, jak on sobie świetnie radzi z drzwiami. Wyobraź sobie – po tym wszystkim, co przeszło, biedactwo znowu skończyło w pysku kota. Nie winię cię, bynajmniej, ale muszę przyznać, że się popłakałam. Pewnie jest to jakaś lekcja na przyszłość – kończy moja matka. – Przed losem nie ma ucieczki.

•

Idę na górę posiedzieć z Freją w sypialni. Mała delikatnie ssie moją pierś, czuję błogi spokój. Oddychamy razem, jej ciało tuli się do mojego. Freja wpatruje się nieruchomym wzrokiem w punkt tuż nad moją głową. Nagle wywraca oczami, cmoka. Wyrzuca lewą rączkę w powietrze, zaciska piąstkę, zaczyna drżeć i sinieje na twarzy. W ciągu paru sekund robi się sztywna. Tracę z nią kontakt; to już nie jest moja córka. Powoli, tępo zdaję sobie sprawę, że to atak.

Mija wieczność, choć według zegarka to zaledwie parę minut. Freja głęboko wzdycha, rumieńce wracają równie szybko, jak zniknęły, i znów jest moim kochanym maleństwem.

Dzwonię do doktor Fernandez.

– Dwie, trzy minuty? Proszę jej podawać pięć mililitrów fenobarbitalu dziennie i zobaczymy. W razie napadu trwającego dłużej niż pięć minut proszę jej podać doodbytniczo valium, które pani od nas dostała. Gdyby działo się coś

poważniejszego, jedźcie z nią do szpitala.

Do najbliższego szpitala jedzie się dwie godziny. „Jeżeli nie zdążycie do szpitala na czas...”. Odpycham od siebie tę myśl.

Po co mówiłam Julienowi o odmieńcach, o ludziach usiłujących pozbyć się niechcianego dziecka? Wywołałam wilka z lasu. A może to ten dom rzucił na nas zły urok.

Wchodząc do kuchni po lekarstwo, spostrzegam jakiś ciemny kształt znikający w szczelinie pod ścianą. W podłogowej listwie jest dziura, której wcześniej nie zauważyłam, wielkości mniej więcej piłeczki golfowej, a na niedawno wyszorowanym blacie widzę mysie bobki. Torba z mąką kukurydzianą leży na ziemi. Kiedy ją podnoszę, z nadgryzionego rogu sypie się strużka mąki.

Przemywam strzykawkę wrzątkiem z czajnika i odmierzam dawkę fenobarbitalu.

Freja jest spokojna, wygląda normalnie. Połyka lepkie, słodkie lekarstwo, które wstrzykuję jej do ust. Przytulam ją mocno i głaszczę, dopóki nie zaśnie.

Później kładę ją w koszyku i przyglądam się jej. Leży w swojej ulubionej pozycji, na plecach, z jedną rączką przy twarzy. Oddycha równo i bezgłośnie, policzki ma różowe. Taka spokojna i taka krucha.

Kocham ją teraz bardziej, niż na początku, lecz nie potrafię jej ochronić.

•

Znienacka zrobiło się zimno. Coś mi mówi, że dziś wieczorem przyjdzie mróz i zwarzy krokusy.

Postanowiłam raz na zawsze uporać się z kuchnią.

Przechodzę do ataku: myję piec chlebowy, skuwam dłutkiem saletrę, zamiatam wszystkie kąty, usuwam pajęczyny, płatki złuszczonego tynku sypią się na podłogę. Wkładam maskę i ponownie szoruję wszystkie powierzchnie detergentem i środkiem dezynfekującym, by pozbyć się mysich odchodów.

Kapitulacja jest całkowita i bezwarunkowa. Pająki pierzchają przed miotłą. Obsypany tynk znika w czeluści odkurzacza. Mysie bobki rozpuszczają się w detergentach.

Zostawiam Freję z Tobiasem, biorę samochód i jadę odwiedzić Ludovica. Mieszka w parterowym domu z pomarańczowych pustaków, za betonowym ogrodzeniem z wielką metalową bramą. Podwórze jest całe wylane cementem.

Ludovic chyba cieszy się z mojej wizyty.

– Sam zbudowałem ten dom – mówi nie bez dumy. – Może i jestem emerytem, ale nie lubię bezczynności. – Posyła mi przenikliwe spojrzenie. – Zgadnij, ile mam lat.

– Bo ja wiem? – próbuję się wywinąć od odpowiedzi, ale nic z tego. Spogląda wyczekująco. W końcu, tylko trochę mu schlebiając, mówię: – Koło

sześćdziesięciu pięciu?

– Siedemdziesiąt dziewięć – oznajmia rozpromieniony.

– Niemożliwe.

– Ależ tak – mówi z ogromną satysfakcją. – Fasada zadbana, ale w środku wszystko się sypie.

Kobieta pod siedemdziesiątkę, o męskiej posturze, wiesza pranie na nylonowym sznurku.

– To Thérèse, moja konkubina – wyjaśnia Ludovic. Nic nie wskazuje na to, by chciał mnie zaprosić do środka, nie próbuje też przedstawić mnie konkubinie.

– W naszej kuchni buszują myszy. Boję się, że są groźne dla zdrowia. Dla dziecka. Potrzebuję rady, jak się ich pozbyć.

– Musicie je wytruć.

– Hmm. No nie wiem. Nie lubię trucizn.

Wzrusza ramionami i znika we wnętrzu domu, zostawiając mnie w betonowym ogrodzie. Przyglądam się pracy Thérèsy. Pięć minut później wyłania się z czterema drewnianymi pułapkami w ręku.

– Nie musisz ich szybko oddawać.

– Dziękuję, to miło z twojej strony.

– Nie ma za co. Jesteśmy sąsiadami.

Wjeżdżam z powrotem na wzgórze. Zimowa paleta to głównie czernie i szarości: ciemna ziemia, martwe drewno, zimny kamień. Gołe winorośle przywodzą na myśl wystające spod ziemi wyschnięte dłonie trupów. W moim posępnym nastroju doceniam ten krajobraz za jego surowy porządek.

Przed pójściem spać nakładam do pułapek sera i boczku i rozstawiam je w strategicznych miejscach w kuchni.

Pierwszą rzeczą, którą widzę rano, jest gekon przyglądający mi się zza kuchennych półek. Pająki w nocy pracowicie odbudowywały sieci. Każdą płaską powierzchnię pokrywa świeża warstewka pokruszonego tynku i ślady mysich gówien. Nawet czarna pleśń powoli wraca.

Wszystkie cztery pułapki są zatrzaśnięte, przynęty znikły. Ale winowajcy zbiegli.

Marzec

Nadchodzi wiosna. W brzoskwiniowych sadach nad rzeką Aigues widziałam pąki na ciemnych gałązkach. Przypominają łyzy przeciskające się przez zamknięte powieki.

– Posłuchaj mnie, skarbie, bardzo cię proszę. Chciałabym, żebyś załatwiła mi jedną z tych sierot.

– Mamo, o czym ty mówisz?

– No wiesz, tych z Chin. Widziałam o nich dokument w telewizji. Powinnaś adoptować jedno takie dziecko dla mnie, a ja zapewnię mu dobry start.

Słowa zamierają mi na ustach. Chyba jest samotna, ale nie mam czasu martwić się jeszcze o nią.

– Dlaczego sama nie adoptujesz? – pytam po namyśle.

– Nie żartuj, skarbie. Przecież mi nie pozwolą, wdowie po sześćdziesiątce. A w przypadku ciebie i Tobiasa to nie byłby problem. Może być też mały Wietnamczyk. Ale Chińczycy chyba bardziej potrzebują pomocy.

– Mamo, jesteś niepoważna! Nie załatwię ci dziecka z sierocińca.

– Mogłabyś sama jakieś zaadoptować, a tamto oddać.

– Dziecko sierota to człowiek, a nie jeden z twoich kotów.

Po drugiej stronie urażona cisza.

– Skoro tak uważasz – odzywa się w końcu mama – nigdy więcej nie pozwolę ci opiekować się moimi kotami.

Wygadywane przez nią głupoty doprowadzają mnie do szału, lecz nie zmienia to faktu, że wie o mnie więcej, niżbym chciała. Teraz wszystko kojarzy mi się z macierzyństwem. W głębi duszy odczuwam narastającą tęsknotę za małą istotą, która byłaby moja: za szczeniakiem, kotkiem, czymkolwiek.

O zmierzchu obok naszego domu przechodzi z wolna olbrzymia locha, węsząc przy ziemi groteskowo długim, włochatym nosem. Towarzyszą jej młode, w sumie sześć sztuk; są rudawe z domieszką beżu, po dziecięcemu bez troskie i pogrążone we własnym świecie. Muszę się powstrzymać, żeby nie porwać ich do domu.

Yvonne wpada obejrzyć spiżarkę. Wyjmuje Freję z koszyka i nosi ze sobą jak lalkę.

– To znakomite *laboratoire* – oznajmia. – Mury grube, nawet latem będzie tu chłodno. Idealne warunki dla *saucissons*. Z tym że na razie nie nadaje się do użytku. Jest brudno, potrzebowałabym bieżącej wody, no i trzeba by coś zrobić z tymi przewodami.

– Bez obaw – mówi wesoło Tobias. – Anna zamierza doprowadzić kuchnię do porządku przed otwarciem restauracji. Myślę, że to nie potrwa długo.

Spoglądam na niego w osłupieniu. Prawda jest taka, że odkąd zakończył się

sezon łowiecki, było u nas już kilku panów z furgonetkami. Spoglądali z przerażeniem na stare kable, sypiący się tynk, przeciekający dach i brak instalacji wodno-kanalizacyjnej. Jeden ze współczującą miną zabrał mnie na tyły domu i pokazał, którędy spływają nieczystości.

Kiedy wspominałam o remoncie spiżarki na potrzeby *charcutière*, wzruszali ramionami i wydawali z siebie drwiące galijskie dźwięki. Twierdzą, że wszystko w Les Rajons jest *mal fait*. „Źle zrobione” to największa obelga. Odpowiednik brytyjskiego „to będzie sporo kosztować”.

Podawali nam niebotyczne ceny, po czym oznajmiali, że i tak nie są zainteresowani tym zleceniem.

•

Wczesny ranek tuż po świcie to moja ulubiona pora dnia. Wykradam się z łóżka i wyciągam Freję z koszyka. Kiedy ją podnoszę, piszczy jak myszokoczek, niezadowolona, że wyjęto ją z ciepła. Potem wygina się, zwiija dłonie w piąstki przed twarzą i nie budząc się, dopasowuje się do kształtu mojej piersi.

Kładę ją na macie edukacyjnej obok pozytywki i patrzę, jak wierzga nogami. Nie uśmiecha się, ale wiem, że jest zadowolona. Wiem też, że igram z losem. Freja lubi się przytulać, lubi muzykę. Znam ją coraz lepiej.

Na długo przed śniadaniem dzwoni telefon.

– Cześć, skarbie, jak sobie radzisz w tym strasznym miejscu? Jak się czuje... to dziecko?

– Nie najgorzej, mam. Dużo śpi.

– Och, skarbie, tak bym chciała jakoś ci pomóc. Zastanawiałam się, co by w takiej sytuacji zrobił mój tata. Domyślam się, oczywiście. Ale w tamtych czasach człowiekowi nie groziło za to więzienie, no a poza tym twój dziadek był lekarzem.

•

Im więcej czasu spędzam z Freją, tym bardziej Tobiasa pochłania praca – nagrywa demo dla producentów *Pani Bovary*. Ponieważ nigdy wcześniej nie komponował ścieżki dźwiękowej do pełnometrażowego filmu fabularnego, przełożeni Sally zażyczyli sobie od niego próbki. Ma napisać muzykę do ostatniej sceny, w której Emma Bovary popełnia samobójstwo. Jego kompozycja zastąpi roboczy podkład: Piątą Symfonię Mahlera.

– To ciężka sprawa – powtarza w kółko. – Jeszcze nigdy nie napisałem nic klasycznego ani na orkiestrę.

Przywykłam, że komponowanie przychodzi mu bez trudu. Podejrzewałam nawet, że talent go rozleniwia; że pracuje mechanicznie, nie wykorzystując pełni swoich możliwości. Ale nie tym razem. Rozłożył się ze sprzętem w salonie i godzinami przesiaduje w słuchawkach przed iMakiem, testując różne pomysły na

klawiaturze podłączonej do komputera. Przez ekran przewijają się bezgłośnie obrazy madame Bovary cierpiącej z powodu długów i życia na prowincji. Tobias puszcza w kółko te same fragmenty i marszczy czoło.

Czuję, że odgradza się od małej, a kiedy jestem z nią – również ode mnie. Stoję w salonie, próbując nawiązać z nim jakiś kontakt, a on siedzi pochylony nad klawiaturą. Wyglądam przez okno i widzę drobną postać Lizzy: okrąża wolno podwórze zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Lizzy jest dziwna, nie sądzisz? – mówię. – Zawsze była trochę fiśnięta, ale wiosna zdecydowanie uderzyła jej do głowy.

– Mhm.

– Tobias, słyszałeś w ogóle, co powiedziałam? Właśnie kłania się drzewom.

– Hmm. Kto?

– Lizzy.

Tobias zdejmuje słuchawki i podchodzi do okna.

– Biedactwo. Ładnie wygląda.

– Ale co ona wyprawia?

– Mówiła mi, że to jej wiosenny rytuał. Wita duchy wszystkich drzew i przypomina im, że muszą się przebudzić.

– Ale one się przebudzą i bez przypominania.

– Musimy ją namówić, żeby tu została. – Tobias myśli na głos. – Znajdziemy jej coś do roboty. Może być opiekunką do dziecka, pomocą domową, kimś takim. Ona nie ma ani grosza.

– Tobias, przecież nie wiemy, czy wolno nam zostawiać dziecko, które miewa napady konwulsji, pod opieką osoby bez odpowiednich kwalifikacji.

– Daj spokój. My też nie mamy odpowiednich kwalifikacji. Zostaw to mnie. Porozmawiam z nią.

•

Drzewa owocowe w dolinie zakwitają jedno po drugim: migdałowce, brzoskwinie, śliwy. Obłoki kwiecia wiszą nad doliną niby dym podczas artyleryjskiej bitwy oglądanej w zwolnionym tempie.

Tobias niczym stary kanonier cierpi na wybiórczą głuchotę. Słyszy tylko niektóre częstotliwości. Płacz Frei do nich nie należy. Wygląda na to, że mój głos też nie.

Staram się planować każdy dzień. Tobias i Freja mi tego nie ułatwiają. Freja przesypia starannie odmierzone godziny karmienia. Kiedy się budzi, muszę rzucić wszystko, bo wiem, że lada chwila znowu zaśnie.

Gdy ją karmię, wygina się i cała sztywnieje. Na ogół wymiotuje i trzeba zaczynać od nowa. Wszystkie moje ubrania są poplamione jej wymiocinami. Czuję więc z ptasimi rodzicami, fruującymi za oknem wte i wewte. Moje życie również

składa się głównie z karmienia.

Próbuję wdrożyć Lizzy w prace domowe i opiekę nad dzieckiem, ale nie jest łatwo. Kiedy tłumaczę, jak należy wyjaławiać butelkę i podgrzewać mleko w beamarze, uchodzi z niej cała samodzielność. Stara się, lecz jej drżące palce, rozlewają moje cenne mleko na podłogę. W jej wystraszonych oczach zamiast własnego odbicia widzę małąstkową jędzę, która czepia się o każdy szczegół. Po tych lekcjach Lizzy najczęściej oddała się zakłopotana i zaszywa w swoim kontenerze.

– Tobias – mówię, gdy jesteśmy sami – proszę cię, wyjaśnij Lizzy, jak ma się opiekować Freją. Mam wrażenie, że ona się mnie boi. W ogóle nie potrafi sobie przyswoić tego, co do niej mówię.

– Przecież świetnie sobie radzi z Freją. Zawsze jest chętna do pomocy.

– Jest chętna, kiedy ty ją prosisz. To kolejny powód, dla którego powinieneś bardziej angażować się w nasze codzienne sprawy.

Ale Tobias przestał mnie słuchać. Zaszywa się w swoim kąciuku obok pieca w salonie. Kiedy nie jest zajęty komponowaniem, naradza się z Sally mailowo lub przez Skype'a. Jak na złość jedynym udogodnieniem, które udało nam się bez problemu zainstalować, jest szerokopasmowy internet.

•

– Skarbie, zadzwoniłabyś do urzędu i powiedziała, że mają mi oddać prawo jazdy?

– Jak to? Zabrali ci?

– Tak, i bardzo mi to utrudnia życie. Mało, że twój ojciec umarł i nie ma mnie kto wozić, to jeszcze to. Muszę je natychmiast odzyskać.

– Ale dlaczego ci je zabrali?

– Mniejsza o to, skarbie – odpowiada nerwowo. – Jacy oni są bezczelni! Napisali mi w liście, że mam zbyt słaby wzrok. Przecież to bzdura. Może nie zauważyłabym przebiegającej przez jezdnię myszy, ale dziecko – na pewno!

•

Życie pnie się w górę po zboczach. Gałęzie jabłoni w naszym sadzie wypuszczają liście. Brzozy zmieniają się w żywą zieleń. Na podwórzu zaroilo się od żonkili. Krzaki rozmarynu okryły się fioletowymi kwiatami. Wszędzie uwijają się pszczoły.

Czuję, że wraz z wiosną nadchodzi szansa na nowy początek. Potrzebuję wsparcia od Tobiasa. Tylko on jest w stanie zrozumieć, co dla mnie znaczy mieszkać tutaj i zajmować się Freją. Nie mogę się przemóc, żeby napisać do znajomych. Nawet moja korespondencja z Marthą jest sztuczna i wymuszona; na szczerą rozmowę z nią przyjdzie mi poczekać do sierpnia, bo wtedy ma nas

odwiedzić. O mamie nie wspominam.

Muszę do niego jakoś dotrzeć.

– Tobiasz?

– Mhm.

– Jest piękny dzień. Kocham cię. Rzućmy wszystko i chodźmy na spacer.

– Tak, tak, kochanie – odpowiada po chwili, zasłuchany w niesłyszalną muzykę.

Czekam kilka minut, przyglądam się jego twarzy, na którą monitor rzuca błękitną poświatę.

– Myślisz, że dasz radę uwinąć się z pracą i pójść ze mną na spacer? Byłoby wspaniale.

– Tak, wspaniale. Muszę tylko wysłać Sally empetrójkę. Dasz mi dziesięć minut?

– To ja pójde na górę i będę czekać.

Pochylny nad klawiaturą, znów zapomina o moim istnieniu.

No więc czekam. I czekam. Po godzinie krew uderza mi do głowy. Wyobrażam sobie, że zbiegam na dół i zaczynam się wydierać: „Poświęciłbyś mi choć trochę uwagi! Przynajmniej odpowiadaj, jak do ciebie mówię!”. Gdy Tobiasz nie reaguje, wyciągam obrusy z szafek i rzucam na ziemię. Widząc, że dalej stuka w klawiaturę, wyjmuję szuflady – sprawia mi to większą satysfakcję, bo w środku jest dużo twardych przedmiotów, które rozsypują się z hałasem po podłodze. Wciąż jednak niczego nie rozwalłam. Zaczynam więc rozbijać okna w salonie. A on nic. Rozcinam sobie nadgarstki odłamkiem szyby i piszę własną krwią na ścianach: „Odpowiedz mi, skurwielu!”. Kończy się na tym, że Tobiasz musi mnie umieścić w psychiatryku.

•

Z dnia na dzień wiosna ogłasza ostateczne zwycięstwo. Nastaje ciepły południowy wieczór z pełnią księżyca i mdłym zapachem mimozy. Na drzwiach do stodoły widzę ćmę wielkości torebki; fałszywe oczy na pokrywach skrzydeł wpatrują się we mnie.

Nazajutrz Ludovic od rana kopie swój warzywnik. Widząc, że zbliżam się z Freją w nosidełku, opiera się o szpadel i unosi czapkę.

– Jak się miewa *la petite*?

– Dziękuję, świetnie. Wcześniej zabierasz się do pracy.

– Oczywiście. Uprawa ziemi to moje powołanie.

Uśmiecham się zaskoczona tym górnolotnym określeniem. Ale Ludovic zaraz dodaje z powagą:

– Odziedziczone po ojcu. Miał do tego dobrą rękę. Podczas wojny szczepił pomidory na ziemniakach. Niemcy rekwirowali pomidory, ale nie zagłądali pod

ziemię. Dzięki niemu nigdy nie chodziliśmy głodni.

Zrozumienie tych słów kosztuje mnie sporo wysiłku, ale powoli oswajam się z tutejszą gwarą.

– A twoja mama czym się zajmowała?

– Rose? Uczyła w szkole.

– Rose? Ktoś wyrwał to imię na moim balkonie.

– To ona. Rose Donnadieu. Mieszkaliśmy tutaj, kiedy jej brat, mój wuj, był właścicielem.

– Zastanawiałam się, czyje to imię. Próbowałam ją sobie wyobrazić.

Ludovic zerka na mnie bystro.

– Piękna. Drobna jak ptaszek. Ale ma w sobie ogień. Rose to tyran. Krzyczy: „Jestem nauczycielką i siostrą nauczyciela, a ty jesteś brudny *paysan!*”. A ojciec tylko stoi i patrzy. I myśli sobie: jakie miałem szczęście, że zgodziła się za mnie wyjść.

Patrzę na przygarbionego Ludovica i próbuję dostrzec w nim romantyczną historię jego ojca i pięknej, ognistej matki. Ale widzę tylko zmiętą czapkę i zakurzone robocze ubranie.

– Gdybyś kiedyś potrzebowała kogoś do opieki nad *la petite* – mówi bez uśmiechu – mogę jej popilnować, kopiąc ogródek. Mam doświadczenie.

– Masz dzieci? – pytam, żeby pokryć zaskoczenie. Wzrusza ramionami.

– Już nie – odpowiada tonem ucinającym rozmowę.

•

Odwiedza nas Julien.

– Zbliża się marcowy nów, Anno – mówi. – Koniecznie posiejcie dzisiaj.

– Trzeba zawsze siać przed nowiem?

– O tak. Bezwzględnie.

Jego oczy często miewają przekorny wyraz. Nie wiem, kiedy mówi serio, a kiedy nie.

Od pewnego czasu zagląda do nas regularnie. A mówiąc ściślej, staliśmy się częścią jego porannego rytuału. Mija nasz dom po drodze do miasteczka, gdyż codziennie odbywa pielgrzymkę do kawiarni Yvonne w Aigues.

– Myślisz, że to szaleństwo urządzać tutaj restaurację?

– Latem w dolinie przez dwa miesiące roi się od turystów – odpowiada. –

Dlaczego by nie mieli tu wstąpić? To piękne miejsce.

– Nie wiem, czy można w ogóle wyżyć z sezonu trwającego dwa miesiące.

Julien wzrusza ramionami.

– To zależy od potrzeb. Spójrz na mnie. Żyję poza systemem podatkowym i socjalnym. W żadnych rejestrach nie figuruję. Nie zarabiam. Nie istnieję. A jednak jestem.

- Tylko że otworzenie restauracji to duża inwestycja.
- Używaj lokalnych składników. Możesz je zdobyć za darmo. Zostaw na trochę Freję z Tobiasem, zrobię ci szybki kurs.
- Naprawdę? Masz czas?
- Anno, czas to jedyna rzecz, jaką naprawdę posiadamy. Musimy tylko nauczyć się z niego korzystać. Weź koszyk.

Tobias, kiedy próbuję mu powierzyć Freję, kręci głową; nie odrywając oczu od monitora, wskazuje Lizzy. Niepokoi mnie myśl, że moja córka nie będzie miała należytej opieki. Ale Tobias jest jej ojcem. Musi wziąć na siebie część odpowiedzialności, inaczej równie dobrze mógłby być w Londynie.

Pięć minut później jesteśmy na dworze, w słońcu. Julien prowadzi mnie na skraj lasu.

– To dobra pora na grzyby. Jest ciepło, ziemia jeszcze nie wyschła. *Morilles, cèpes, girolles*. Można nawet znaleźć trufle, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. – Zaczyna wrzucać grzyby do koszyka. – Ale bądź ostrożna. Musisz się nauczyć rozróżniać trujące. Uważaj na *fausse girolle* i *fausse cèpe* – można się po nich rozchorować. A muchomor sromotnikowy i borowik szatański potrafią zabić.

- Julien, może powinnam się jeszcze wstrzymać z grzybami.
- Nie, nie, nauczysz się. Weź do domu jeden, dwa, dobrze je poznaj. Nie ma się co śpieszyć. O, a to? – Rozgarnia krzaczki, odsłaniając niską, ciemną roślinę. – Coś ci to przypomina?

Spoglądam bez przekonania.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym to zjeść. To ma kolce.
 - Przyjrzyj się dobrze. Widzisz pędy?
- Doznaję olśnienia.
- To maleńki szparag!
 - Tak, dziki szparag. O tej porze roku jest ich mnóstwo. Są przepyszne. W mieście nie byłoby cię na nie stać.

– Idealne do mojej restauracji. Takie egzotyczne! Mogłabym je serwować z *sauce mousseline*.

Julien wyrywa spomiędzy krzaków garść zieleniny, zdawałoby się, że na chybił trafił.

- Z dzikimi porami i czosnkiem. Proszę. Albo na liściach mleczka.
- Fantastyczny pomysł! To mogłoby być moim daniem firmowym.
- A co powiesz na pokrzywy? Gotuje się z nich pyszną zupę. Mój koszyk jest prawie pełny.
- No, chyba czas już na mnie – mówi.
- Julien, jak mogę ci się odwdziaczyć? Było cudownie. Uśmiecha się.
- Nie ma o czym mówić. Życie poza systemem oznacza, że mogę robić to,

na co mam ochotę. Swoją drogą, czuję się przez to bogatszy od większości milionerów.

– Ach! Bo widzisz... Zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś dla nas pracować. Potrzebujemy pomocy w ogrodzie. Przyszła wiosna i wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli.

– Hmm... – Julien patrzy na mnie tak, jakbym popełniła *faux pas*. W końcu odzywa się z błyskiem w szarych oczach: – Jeżeli Tobias będzie potrzebował pomocy przy wycinaniu zarośli, to oczywiście może na mnie liczyć.

– Ale nie przyjmiesz od nas pieniędzy?

– Gdybyście chcieli, żebym został waszym płatnym niewolnikiem i pracował regularnie za pieniądze... obawiam się, że musielibyście najpierw mieć coś, co przedstawia dla mnie jakąś wartość.

Uśmiecha się, by złagodzić wydźwięk słów, które w innych ustach zabrzmiałyby obraźliwie. Schodzi w dół zbocza. Odprowadzam wzrokiem jego proste, smukłe plecy i myślę, że próbował mi w ten sposób powiedzieć, że bardzo ceni sobie wolność.

•

Rozpadało się. Uparty ciepły deszcz wiosenny. Powinam była posłuchać Juliana – niczego wczoraj nie posiałam, a teraz pewnie przez dwa tygodnie w ogóle nie będzie można wyjść z domu. Za to chwasty rosną w najlepsze.

Kiedy zjawia się Julien, namawiam go, żeby zjadł z nami lunch. Grilluję dzikie szparagi i podaję z *omelette aux cèpes* i *salade d'orties*. Siedzimy na zadaszonej werandzie i patrzymy na ścianę deszczu wśród zieleni; wygląda to jak tropikalny monsun.

– Pyszne – mówi Julien.

– Anno – odzywa się Tobias z wyrazem żalu w błękitnych oczach – ta sałatka poparzyła mnie w język.

Słychać uderzenie pioruna i deszcz zaczyna bić ze zdwojoną siłą.

– Sprawdźcie, czy zbiornik na wodę nie przecieka – radzi Julien. – Ta deszczówka jest wam potrzebna. W porze suchej to będzie wasze jedyne źródło wody pitnej.

Wizja suszy wydaje mi się w tej chwili czymś niedorzecznym.

•

Wciąż pada. W rzece zaroilo się od trytonów i kijanek. Gdziekolwiek spojrzę, widzę nowe życie, bezładne i nieokiełznane, wciskające się w każdą wolną przestrzeń. Wskakuję na chwilę do ogrodu, znajduję w warzywniku rukolę i rzodkiew. Przychodzi mi do głowy, że najwyższa pora powycinać chaszczę, zebrać chrust, przeorać ziemię, kupić i rozsiać nawóz, przyciąć drzewa owocowe,

zrobić pierwszy zasiew, zadbać o nawodnienie, kupić inspekt do hodowania sadzonek, no i pielic, pielic, pielic... Po dwudziestu minutach jestem tak wyczerpana, że muszę wrócić do domu i się położyć.

W kuchni jest teraz wilgotniej niż kiedykolwiek. Czarna pleśń ustąpiła miejsca bujnym zielonym porostom. Tobias przygląda się parze wiszących u sufitu lśniących, czarno nakrapianych ślimaków, szczepionych jeden z drugim.

– Popatrz – mówi zafascynowany. – Wyglądają, jakby się całowały. – Spowija je bladoniebieski woal śluzu. Niewątpliwie jesteśmy świadkami miłosnych uniesień.

W przypiływie nagłej złości strącam ślimaki do szufelki i wyrzucam przez okno. Spodziewam się protestów, lecz Tobias tylko cmoka językiem jak rozczarowane dziecko. Nie wiedzieć czemu zbija mnie to z tropu.

– Nie mam czasu, żeby tu regularnie sprzątać – mówię. – Jestem zavalona innymi sprawami. Poprosiłam dwadzieścia różnych osób o wycenę remontu stodoły, żeby można było urządzić w niej restaurację. Każdy tylko cmoka i mówi: „*C'est impossible*”. Twierdzą, że nie da się prowadzić restauracji bez bieżącej wody. To niezgodne z normami, cokolwiek to znaczy. Prawda jest taka, że nic, ale to nic w tym domu nie jest zgodne z jakimikolwiek normami, a tym bardziej z normami francuskimi.

– O rety – odpowiada Tobias niefrasobliwie. – Mam kilka zleceń do filmów dokumentalnych, wystarczy, żeby opłacić ratę kredytu za ten miesiąc. Ale jest mi coraz trudniej zdobywać zlecenia, bo nie ma mnie w Londynie. – Robi sobie kawę.

– Nie utrzymamy się w ten sposób. I nie chodzi tylko o kredyt. To ogromny dom. Twoje zarobki nie pokrywają bieżących wydatków. Zdaje się, że mogę się ubiegać o pożyczkę, siedem tysięcy euro, na rozkręcenie firmy – to się nazywa *prêt à la création d'entreprise* – ale nie mam pojęcia, jak my to potem spłacimy. Według moich obliczeń te pieniądze i twoje honoraria za dokumenty pozwolą nam przeżyć równo dziewięć miesięcy. Jeżeli przez ten czas nie zaczniemy zarabiać, będziemy musieli sprzedać ten dom i wrócić do Londynu.

– Nie wiem, czy to by się w ogóle udało. Pamiętaj, że kupiliśmy go tanio, bo nikt go nie chciał.

– Nie o to mi chodzi. Rzecz w tym, że robię, co mogę, żeby nam się udało, a tymczasem wszystko się sypie. Płacimy Lizzy za pomoc w domu. Dlaczego jest taki bajzel?

– No wiesz, sprzątanie tego domu... nie należy do najłatwiejszych zadań. – Tobias przechodzi z kawą do salonu. – Nie wiadomo, w co ręce włożyć.

Chętnie bym go rozszarpała. Chce mi się płakać, chcę, żeby mnie przytulił. Łapię miskę na owoce i z torby wysypuję do niej orzechy włoskie. Skorupy głośno grzechoczą o oliwne drewno.

– Chcę mieć życie jak z pisma dla kobiet! – Oczy mnie pieką od

niewypłakanych łez. – Chcę mieć dom, w którym miski z orzechami stoją na wypolerowanych kredensach obok... saszetek lawendy. Po to tutaj przyjechałam. Nie chcę rojącej się od gryzoni rudery na końcu świata i bezmózgiego dziecka. Chcę normalnego życia bez niespodzianek... uregulowanego.

Milknę i przyglądam się swojemu dziełu. Miska z orzechami prezentuje się pięknie, ale reszta pokoju to obraz nędzy i rozpacz.

– Pójdę po nią i poproszę, żeby posprzątała.

Wychodzę na deszcz. Lizzy nie ma w kontenerze. Dostrzegam ją na skraju podwórza, drobna sylwetka wirująca pod starym orzechem. Przemokła do suchej nitki, jej czarne włosy, lśniące i ociekające wodą, jeszcze bardziej niż zwykle przypominają sierść wydry. Znów odprawia jakiś taniec. Muszę się mocno powstrzymać, żeby nie zapytać, co u licha wyrabia.

– Lizzy, czy mogłabyś pomóc ze sprząaniem?

Rzuca mi urażone spojrzenie.

– Zaraz przyjdę. Poczulałam bardzo silny impuls duchowy, nie chcę go zmarnować.

•

Sporządziłam listę.

DO ZROBIENIA W DOMU:

dach

przewody

kanalizacja

woda! (podłączenie/filtracja/magazynowanie)

szambo

tynkowanie ścian

tynkowanie sufitów

podłogi

okna i drzwi

centralne ogrzewanie

spizarka

kuchnia i łazienka

Wygląda to przerażająco. Nawet nie wiem, jak i od czego zacząć. Odwracam kartkę i robię drugą listę.

DO KUPIENIA

coś na grzyba

Zostawiam Freję z Tobiaszem i jadę do miasteczka rozejrzeć się za trucizną, która zabije kuchenne porosty. Nasz opel uczył nastanie wiosny awarią dachu – nie można go zamknąć. Deszcz spływa mi po czole i zalewa oczy, tak że ledwie widzę drogę. Mimo włączonych reflektorów nie zauważyłam stojącego pośrodku jezdni

autostopowicza. Hamuję w ostatniej chwili, samochód wpada w poślizg, czas zwalnia. Na mojej siatkówce odbija się sylwetka człowieka, którego zaraz pozbawię życia: wysoki, młody, szczupły, ładna oliwkowa twarz o ciemnych oczach. Uśmiecha się ufnie.

Auto zatrzymuje się z piskiem. Wciąż jestem w szoku, kiedy nieznajomy wskakuje do środka.

– Brytyjskie tablice – odzywa się po angielsku. Melodyjny głos z delikatnym akcentem. – I kabriolet. Jak miło, nawet w deszczu.

To dość absurdałne wyznanie. Przyglądam się mu z rozdziawionymi ustami. Robi zmieszana minę, jakby zdając sobie sprawę, że palnął gafę.

– Chciałem powiedzieć: zwłaszcza w deszczu. Uwielbiam czuć deszcz na twarzy. Szczególnie gdy wieje.

– Nie przeszkadza ci woda spływająca za kołnierz?

– O nie, wręcz przeciwnie.

– Świetnie mówisz po angielsku.

– Studiowałem na waszej pięknej wyspie Wight. Lubię wszystko, co angielskie. Nawet herbatę z mlekiem.

– Dokąd podróżujesz?

Śmieje się nerwowym, zaskakująco wysokim głosem.

– Sam nie wiem. Pochodzę z algierskiej rodziny, rodzice mają surowe zasady i nie spodobało im się, że... Pokłóciliśmy się. Prawdę mówiąc, wyrzucili mnie z domu. Nie mam się gdzie podziać. Umieję majsterkować, mogę wykonywać różne drobne prace. Znam się trochę na mechanice.

– A potrafiłbyś naprawić ten dach? Odkąd zaczęły się deszcze, nie można go zamknąć.

– Dach? Deszcze? – Sprawia wrażenie całkiem zagubionego. – Przypuszczam, że tak.

Hamuję gwałtownie i zjeżdżam na mijankę. Przygląda mi się.

– Teraz? – nalegam.

– A... Oczywiście.

Wyjmuje z plecaka klucz i śrubokręt i zabiera się do pracy. Czuję się jak na pokazie magii. Pięć minut później dach jest szczelnie zamknięty. Szyby natychmiast zaparowują.

Uroczo się do mnie uśmiecha.

– Teraz może być kłopot z otwarciem. Będę musiał go jeszcze naoliwić.

– Dziękuję. Co byś powiedział, gdybym cię zatrudniła?

W drodze powrotnej do Les Rajons opel sunie krętym korytarzem wśród poszarpanych skał, wytarte opony popiskują na wirażach. Mój towarzysz krzyczy ze strachu. Znam go już na tyle dobrze, by się tym przejąć.

– Chciałem powiedzieć, że tu jest niesamowicie – tłumaczy. – Jak... na

księżycu!

•

Tobias wciąż siedzi w salonie tam, gdzie siedział. Freja na szczęście śpi smacznie w stojącym obok koszyku. Tobias zrobił sobie kolejną kawę, zdjął słuchawki i rozwiązuje sudoku w brytyjskiej gazecie sprzed dwóch dni.

– Poznaj Kerima – mówię. – Jest złotą rączką, pomoże nam trochę.

– Jaki piękny pokój – zachwyca się Kerim. – Trzeba tylko oheblować te belki i machnąć je pokostem. I połatać ściany. Jaki cudowny kredens. O, a co się stało z orzechami?

Moja ulubiona miska z orzechami nadal stoi na kredensie, okazuje się jednak, że myszy – które najwyraźniej także mają rodzinę do wykarmienia – rozpoczęły kolejną tajną operację. Część orzechów została przedziurawiona i opróżniona. Jedynym dowodem przestępstwa są rozrzucone tu i ówdzie okruchy łupin.

– Tobias! – wołam. – Widziałeś, co się stało z orzechami?

– Yy... z orzechami?

– Te małe gnojki musiały się tu zakraść, kiedy nie patrzyłeś. Nie było mnie godzinę!

Kerim spogląda pytająco.

– Myszy – wyjaśnia Tobias.

– Bardzo lubię myszy!

– Wylazły stąd. – Wpadam do kuchni. Lizzy wciąż jej nie posprzątała. Mam nieodparte wrażenie, że w ciągu tej godziny zielone porosty na ścianach rozrosły się i nabrały jadowitszej barwy.

– Kerim! Mam dla ciebie zadanie. Potrzebuję kuchni, która będzie myszoodporna.

– Aha. Na pewno chcecie się pozbyć myszy? Oczywiście mogę spróbować załatać wszystkie dziury, ale to ich raczej nie powstrzyma w stu procentach. Mogę zrobić nowe szafki. Zabezpieczone od zewnątrz siatką. Ale nie wiem, czy warto. To tylko myszy.

– Naprawdę mógłbyś zrobić takie szafki? Do których nie wejda?

– Pewnie.

– Słuchaj – ożywia się Tobias – tak się zastanawiam: czy mógłbyś mi pomóc w budowie studia?

– Studia?

– Nagraniowego. Jest tylko jeden problem – spogląda w moją stronę – chwilowo nie mamy na to zbyt wiele pieniędzy. Ale obejrzałem dokładnie stodołę. Jest tam takie jedno miejsce, które dałoby się wyciszyć wytłoczkami po jajkach. Mógłbym się tam przenieść z moim sprzętem. Anno – posyła mi triumfalne

spojrzenie – szefowie Sally są zachwyceni tym, co nagrałem. Masz przed sobą kompozytora muzyki do *Pani Bovary*. Oczywiście zapłacą mi dopiero na etapie nagrywania, no i muszą jeszcze dopiąć ostatnie szczegóły budżetu, więc trochę to wszystko potrwa. Ale koniec końców szykuje się niezły przelew. No i duży krok w mojej karierze.

•

Kerim uwił sobie gniazdko w pomieszczeniu obok winiarni.

– Mną się nie przejmujcie, żyję jak królewicz – powtarza, choć zapamiętałam to miejsce jako coś w rodzaju zapuszczonego garażu. W końcu zaglądam do niego i jestem zdumiona, jak wygodnie się urządził. – Po prostu podłączyłem ten pękaty piec i naprawiłem żeliwne łóżko, które znalazłem w jednej ze zniszczonych oficyn – wyjaśnia. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że je sobie pożyczyłem. No i oczywiście trochę tu posprzątałem. To bardzo fajny pokój – popatrz na te stare szyby. Mogłbym go przerobić na elegancką kwaterę na wynajem, mielibyście dodatkowe źródło dochodu.

– To niezła myśl. Przyda się nam każdy grosz. Tobias trochę zarabia na muzyce do filmów dokumentalnych, ale pewnie będzie musiał jeszcze długo poczekać na większą sumę. Ja zamierzam otworzyć restaurację, ale w tej okolicy sezon turystyczny trwa tylko dwa miesiące, poza tym turyści są na dole. Tak naprawdę to jest pomysł Tobiasa.

– A co lubisz robić?

– Uwielbiam gotować. To moje główne zajęcie. Spełniam się w tym. Nie wiem tylko, czy to będzie możliwe w tych warunkach.

– Dlaczego nie? Spróbuj skupić się na zaletach tego miejsca. Piękne otoczenie, cisza i spokój, z dala od cywilizacji.

– To nie jest idealna lokalizacja dla restauracji.

– A może coś z zakwaterowaniem na miejscu? Jakies warsztaty?

– Szkoła gotowania – mówię powoli. – Mogłabym napisać do Renégo, to mój znajomy mistrz kucharski, może by mi doradził.

– Mogę przygotować ten pokój na przyjęcie gości. W domu też na pewno znajdą się jakieś pokoje, które by się nadawały.

– Tylko że... mamy tyle do zrobienia. Potrzebna mi kuchnia. Tobiasowi studio. Yvonne potrzebuje *laboratoire* do wyrobu kiełbas. I teraz jeszcze kwatery dla gości.

– Wszystko po kolei. Nie jestem pewien, jak długo będę mógł tu zostać, ale postaram się wam pomóc. Musicie tylko ustalić, co jest dla was priorytetem.

•

Przycisnęłam Lizzy i ustaliłyśmy, że począwszy od dziś będzie się zajmować

dzieckiem codziennie przez trzy godziny, od dziewiątej do dwunastej.

Jeszcze raz cierpliwie wytłumaczyłam, jak zmieniać pieluchę, jak podawać Frei odciągnięte do butelki mleko, co robić, żeby małej się odbiło. Jak przy podnoszeniu podierać jej kark kciukiem, bo ma tam zbyt słabe mięśnie. Lizzy przez cały ten czas patrzyła na mnie wielkimi, wydrowatymi oczami.

– Idę na spacer – oznajmiam ponuro. – Gdyby Freja miała atak, zawołaj Tobiasa.

Przez pół godziny włóczę się po zboczach. Po powrocie do domu nie widzę nigdzie Lizzy ani Frei. Wózek i nosidełko zostały w salonie, ale zniknął koszyk.

Tobias wciąż siedzi w swoim kącie. Ryzykując awanturę, zrywam mu z głowy słuchawki.

– Gdzie jest Freja?

– Hmm... Myślałem, że jest tutaj z Lizzy.

Biegnę do kontenera, lecz i tam ich nie ma. Tłumię w sobie płacz. Wpadam do stodoły. Kerim stuka młotkiem, buduje studio dla Tobiasa. Obok w koszyku leży starannie opatulona Freja. Mimo hałasu wygląda na całkiem zadowoloną.

Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, wskazuję palcem na koszyk.

– Anno, mam nadzieję, że się nie gniewasz, że ją tu przyniosłem. Nie chciałem przeszkadzać Tobiasowi, a pomyślałem, że Freja nie powinna być w salonie, kiedy on jest zajęty pracą.

– A gdzie była wtedy Lizzy?

– Powiedziała, że musi wyjść. – Uśmiecha się. – Codziennie odprawia specjalny taniec, żeby wzmocnić swoją energię. To dla niej ważne. Powiedziałem, że mogę się zaopiekować Freją. Zresztą i tak chyba nie bardzo wiedziała, co z nią robić.

•

Kerim jest zawsze wesoły i uczynny. Wobec wszystkich. Aż do absurdu. Znika na parę godzin, po czym zjawia się i mówi:

– Ta urocza staruszka z Rieu potrzebowała kilku rzeczy ze sklepu, więc pobiegłem do Aigues i je kupiłem. Przypomina mi moją mamę...

Albo:

– Listonoszka nie mogła się dzisiaj ze wszystkim wyrobić, więc wsiadłem na rower i doręczyłem za nią kilka ostatnich listów...

Albo:

– Jean-Luc, ten rolnik z za zakrętu, ma lumbago, więc wydołem mu kozy...

Poznał już wszystkich sąsiadów, dzięki czemu my też ich poznaliśmy.

Ale przy całej swojej serdeczności skrywa jakąś tajemnicę. Unika rozmów o kłótni z rodzicami, ucina stwierdzeniem, że nie widzi szans na zgodę. Odmawia też stanowczo przyjęcia zapłaty za swoją pracę.

– W końcu dajecie mi dach nad głową – tłumaczy zagadnięty przez Tobiasa – a ja... być może będę musiał nagle się wyprowadzić. Nie chcę wam sprawić zawodu.

Jak można być aż tak bezinteresownym? Gdyby był politykiem, już dawno wybrano by go na prezydenta. I w tym tkwi cały szkopuł: jeżeli rzeczywiście jest taki dobry, na jakiego wygląda, dlaczego mieszka z nami na tym odludziu, żyjąc z dnia na dzień?

•

Tobias przekonał mnie, żebym dała spokój z obijaniem szafek metalową siatką. Kerim poświęca się teraz bez reszty budowie studia nagraniowego.

Postanowiłam w inny sposób uchronić naszą żywność przed myszami. Używam do tego hermetycznych pojemników, w których dawniej mroziłam gotowe dania. Lubię kojący odgłos domykanej pokrywki. Zrobiłam przegląd półek, spisałam wymiary wszystkich newralgicznych produktów, a potem przez trzy godziny wciskałam każde opakowanie cukru, mąki, orzechów i nasion strączkowych do odpowiednio dobranych pojemników.

Nie jestem w stanie wyrazić, jak wielką sprawia mi to satysfakcję.

Dzwoni telefon.

– Tak mi trudno – słyszę płaczliwy głos mamy – tak trudno... doszukać się jakiegoś sensu... w tym, co się stało z Freją.

– Wiem. Mnie też trudno się z tym pogodzić.

– Dużo nad tym myślałam. Czy może to ma jakiś związek ze mną? Analizowałam, przypominałam sobie wszystko, co zrobiłam... co mówiłam...

– Mamo, to nie ma z tobą żadnego związku.

– Wiem... Wiem. To nie jest niczyja wina. Można by powiedzieć, że los tak chciał.

– Naturalnie, naturalnie.

– Wyciągnęłam znowu twojego misia – mówi. – Ale nie pomogło.

Szłocha tak rozpaczliwie, że prawie nie rozumiem, co mówi. Zresztą to, co mówi, i tak żadnego sensu nie ma. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest pijana. Żałuję, że nie lubię bardziej własnej matki. Że nie jestem w stanie jej zrozumieć. Że nie potrafimy ze sobą rozmawiać po ludzku, tak żeby rozmowa nie kończyła się awanturą albo nie przeistaczała się w coś równie surrealistycznego jak ta.

– Chciałabym – mówi – chciałabym mieć pewność, że z tobą wszystko w porządku.

•

Tobias i ja mamy swój wieczorny rytuał.

Ja kładę się pierwsza. Próbuję przemycić Freję do naszego łóżka. Jest tak malutka, że prawie nie zajmuje miejsca. Otaczam ją ramieniem, a ona wciska twarz w moją pachę, przywiera do mnie całym ciałem i szybko zasypia. Jest taka śliczna, taka słodka, zamknięta we własnym świecie.

Tobiasz zawsze kładzie się później. Gaszę światło i udaję, że jestem w łóżku sama.

Kiedy wchodzi na górę, zapala światło i warczy:

– Zabierz ją stąd! Nie mogę z nią spać!

– Przecież nie płacze. Jest aniołkiem.

– Dobrze wiesz, że jak tylko zasnę, zaczniesz się wiercić. Albo płakać. Albo chrapać. Nie ma mowy.

Czasem ucieka się do innych środków:

– Chcę być w łóżku z tobą. Z dawną Anną – przymila się. – Gdzie się podział romantyzm?

Zwykle stawia na swoim i Freja ląduje w łóżeczku pod ścianą.

Potem co i rusz budzą mnie szarpnięcia niewidzialnej nici, którą jesteśmy połączone. Wystarczy najmniejszy hałas, a już się zrywam i do niej biegnę.

Zwykle przynajmniej raz w nocy dochodzi mnie ledwie słyszalny, tłumiony odgłos. Woła mnie? Próbuje ostrzec? Coś przeczuwa? Nigdy się nie dowiem. Ten odgłos jest oznaką zbliżającego się napadu.

Stoję w zimnej sypialni i tulę ją, dopóki atak nie ustąpi. Najgorzej jest zawsze na początku, kiedy wydaje się, że przestała oddychać. Sinieje jej skóra wokół ust. Rozgarniam jej włosy i patrzę na małe czerwone znamię na głowce. W miarę jak krew się odtlenia, znamię ciemnieje. Przy łóżeczku leży doodbytnicze valium na wszelki wypadek. Boję się go użyć. Na szczęście jak dotąd ani razu nie zdążyłam go wyjąć z opakowania – zawsze gdy po nie sięgałam, Freja chwyciła płciutki oddech, tak cichy, że prawie niesłyszalny. Poczerniałe znamię na głowie rozjaśnia się wtedy do koloru ciemnego wina. To znak, że przynajmniej tym razem Freja wygrywa walkę o życie.

Myślę o tym jak o zawodach w przeciąganie liny. Po jednej stronie jest życie. Drugi koniec jest w ręku śmierci, która szarpie nią złośliwie.

Wsluchuję się w rytm jej oddechów i spazmów. Zaczyna się od trzech, czterech podwójnych wzdrygnięć na pół gwałtownego wdechu. Rozpaczliwa walka, kilka oddechów. Słaby krzyk. Później seria wściekłych drgawek.

Stosunek oddechów do wzdrygnięć stopniowo się poprawia: trzy oddechy, potem dwa wzdrygnięcia. Cztery oddechy i jedno wzdrygnięcie. Potem regres: sześć wzdrygnięć jedno po drugim. Niewidzialne szczęki ściskają jej gardło, wysysają życie. W końcu drgawki ustępują, tylko czasem jeszcze wstrząsa nią pojedynczy dreszcz. Freja leży wyczerpana, z oczami utkwionymi w przestrzeni, cichutko czkając.

Następuje faza przeciągłego, nieutulonego płaczu. Przyciskam ją do siebie, zastanawiając się, czy płacze, bo jest zdezorientowana i wystraszona, czy po prostu dlatego, że nałykała się powietrza.

Tobias ma lekki sen, jak kot. Zwykle w takich razach szybko się budzi i nie może zasnąć.

– Chodź do łóżka, na Boga. Zostaw ją. To i tak nic nie da.

Nie zniosłabym jednak myśli, że wstrząsane konwulsjami maleństwo leży samo, nie zniosłabym jej nieutulonego płaczu.

Na ogół budzę się o czwartej nad ranem, trzęsąc się ze złości. Leżę w łóżku, myślę o przypadkowych ludziach, wyobrażam sobie, że litują się nade mną, unikają Frei, szydzą z mojego dziecka. Przejaskrawiam ich reakcje, ćwiczę w myślach wściekłe tyrady. Wyobrażam sobie, jak ich rugam, wdeptuję w błoto, robię z nimi porządek.

Na koniec zlaną zimnym potem przypominam sobie, że wszystko to sobie wymyśliłam. Nie mogę mieć do nikogo pretensji.

Kwiecień

Typowe śniadanie à la Les Rajons. Freja przed chwilą zwymiotowała na mnie mleko. Teraz siedzi w leżaczkę, czka i macha nóżkami, a ja ślęcę nad papierami po francusku i od niechcienia zabawiam ją, łaskoczę po naprężonej skórze, łapię za śliczne rączki. W takich chwilach jak ta Freja wydaje się prawdziwym dzieckiem z krwi i kości. Tobiasz dopiero dopija kawę; jak zwykle celebryje śniadanie. Kerim stoi na drabinie z opadającą na podłogę drucianą siatką. Lizzy próbuje zeszkrobywać saletrę ze ściany, ale robi to bez przekonania.

Drzwi wejściowe otwierają się z hukiem, wpuszczając do środka powiew bzu. I jeszcze jeden zapach, znajomy, lecz obcy temu miejscu. Chanel.

– Cześć, skarbie. O tej porze jeszcze w piżamie? Boże drogi, czy to dziecko na ciebie zwymiotowało?

– Mamo, skąd się tu wzięłaś?

– Przyjechałam ze stacji taksówką. Nie chciałam was fatygować.

Chyba raczej nie chciała, żebym odesłała ją, skąd przybyła.

– Ale co ty w ogóle tu robisz?

– Od śmierci twojego ojca nic mnie w domu nie trzyma. A wiem, że masz mnóstwo roboty z tym dzieckiem i tym okropnym domem. Przyjechałam pomóc.

– Pomóc. Czyli zostać. Jak długo?

– Ile będzie trzeba, skarbie. Nigdy nie miałaś za grosz zdrowego rozsądku, o Tobiaszu nawet nie wspominam. A kim jest ten uroczy młody człowiek?

Kerim właśnie zszedł z drabiny i wyszczerzył swoje olśniewająco białe zęby.

– Pani jest mamą Anny? Jeśli wolno, chciałbym pani podziękować za to, że urodziła pani tak wspaniałą córkę.

Teraz to już przeholował, myślę w duchu. Lecz oto mama na moich oczach zamienia się w trzepoczącą powiekami nastolatkę. Wbrew temu, co twierdzą urzędnicy, jej wzrok wydaje się zupełnie dobry. Wodzi spojrzeniem po jego równych, białych zębach, dużych, ciemnych oczach i delikatnych rzęsach.

– Odebrała należyte wychowanie – wdzięczy się.

Kerim nie przestaje się uśmiechać.

– Nie miałem gdzie się podziąć, a pani córka i zięć pozwolili mi u siebie zamieszkać i pracować.

– Tak naprawdę to my powinniśmy dziękować jemu – wtrącam. – Prawdziwa z niego złota rączka.

– I jeszcze złota rączka? – zachwyca się mama. – No naprawdę pozazdrościć!

•

Namówiłam Tobiasza, żeby wykopał Freję. Mama i ja przyglądamy się, stojąc

obok pieca. Freja nie płacze, jest zaciekawiona; z wyrazem wielkiego skupienia na twarzy wierzga nóżkami pod wodą. Gdy ciemna głowa Tobiasa pochyla nad nią, uderza mnie ich podobieństwo. Poza tym chyba odziedziczyła po nim sybaryckie umiłowanie doznań fizycznych.

– Czy ona czuje ciepło i zimno?

– Tak, mamó.

– A co jeszcze?

– Czuję zadowolenie, przyjemność, złość, głód...

– Pff!

– Co znaczy to „pff”?

– Nie ma się czym chwalić – odpowiada poirytowana. – To samo można powiedzieć o roślinach.

Mama jest animistką; wymyśliła własną religię opartą na kulcie przodków i zabobonach. W swoim pokoju w Les Rajons zbudowała niewielki ołtarzyk. Pod zdjęciem jej matki, która zmarła, kiedy mama była dziewczynką, umieściła obrazki wotywno: rozmazane portrety powycinane z rodzinnych fotografii.

Oczywiście tam jestem, podobnie jak jej ukochane koty. Obok w tym samym rzędzie zdjęcie Frei. Trochę niżej – mojego taty. Na samym dole stoi malutki portrecik Tobiasa. Na toaletce spoczywa niczym totem mój pluszowy miś z dzieciństwa, ten, którego przywiozła do szpitala – po czym najwyraźniej zmieniła zdanie i postanowiła jednak nie dawać go Frei. Ale nie narzekam: jestem miło zaskoczona, że zaliczyła ją do istot wyższego rzędu.

– Skarbie, macie tu straszny chlew. Kim jest ta dziwna młoda hipiska? Czy to ona ma się zajmować domem?

– Lizzy jest wolnym duchem. Można powiedzieć, że kupiliśmy ją razem z domem.

– Jedno jest pewne: nie umie sprzątać. Nawet tobie wychodzi to lepiej. Teraz dziewczęta już się nie uczą takich rzeczy. Biegacie za karierą, narażacie na szwank wasze macice. Nic dziwnego, że dziecko... – Teatralna cisza. Dłoń na ustach. Mama zawsze była taktowna jak buldożer. – W każdym razie, skarbie, lepiej będzie, jeśli pozwolisz mi zająć się domem.

Dopiero kiedy to powiedziała, uświadamiam sobie, jak bardzo pragnęłam to usłyszeć. Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy byłam chora: czuję wielką ulgę, bo wiem, że mogę w każdej chwili położyć się do łóżka, a ona wszystkim się zajmie, sprawdzi, czy nie mam temperatury, otuli mnie w czystośćkiej pościeli, przyniesie mi domowy bulion i lemoniadę na tacy ozdobionej świeżymi kwiatami.

Mama nie jest zwykłą gospodynią. Ukończyła londyńską Szkołę Gospodarstwa Domowego, poważną instytucję, gdzie spędziła najlepsze młodzińcze lata, ucząc się gotować, sprzątać i w ogóle usługiwać mężczyźnie. Były to czasy, kiedy nic się nie marnowało, wszystko naprawiano lub przerabiano

na coś innego. „Byłam najlepsza na roku – lubi przypominać. – A wierz mi, wtedy była ostra rywalizacja”.

Nieodłączną częścią moich wspomnień z dzieciństwa jest iście wojskowa dyscyplina, jakiej mama przestrzegała w odkurzaniu, zmywaniu naczyń czy polerowaniu sztućców. Moje ubrania do szkoły zawsze leżały idealnie poskładane w szufladach. Prasowała mi wszystko, nawet skarpetki. Zna się na gotowaniu i sprzątaniu. Coś mi mówi, że ma też swoje sposoby na uciążliwe porosty na ścianach.

– No dobrze – mówi – zaczniemy od pościeli i obrusów. Gdzie je trzymasz? Aż boję się myśleć, jak to wygląda.

•

Mama zrobiła porządek w szafkach, anektowała kuchnię i przejęła kontrolę nad praniem.

– Ty ze swoimi plastikowymi pojemnikami, twoja mama ze swoim prasowaniem. Powinniśmy otworzyć schronisko dla ludzi z nerwicami natręctw.

– Tobiasz, zapominasz, jak ten dom wyglądał przed jej przyjazdem.

– Nie mogę patrzeć, jak flirtuje z Kerimem.

– To żaden flirt. Po prostu wychowała się w innych czasach.

Ale Tobiasz ma trochę racji. Mama ostatnio krząta się po domu w apaszcze Hermès, roztaczając wokół siebie zapach perfum Chanel. W końcu znalazła mężczyznę, który jest na każde jej skinienie – a co więcej, ma odpowiednio nabożny stosunek do instytucji Matki.

– Nie, nie, proszę zostawić. Ja wezmę. Nie wypada, żeby pani dźwigała.

Mama jest zachwycona.

Ma swoje teorie w kwestii tego, co szkodzi macicy. Szoruje podłogę na czworakach, ale nie odważy się wbić gwoźdź w ścianę. – To zadanie dla mężczyzny. Kerim, słońce, byłbyś tak miły?

Kerim nigdy nie odmawia. Dawno już uporał się ze studiem nagraniowym dla Tobiasza; od paru tygodni remontuje kuchnię i spiżarkę, lecz większość czasu poświęca na spełnianie próśb mamy.

– Twoja teściowa jest wytworną kobietą – zwraca się do Tobiasza.

– Lepiej uważaj. Jeden już się przy niej zapracował na śmierć.

– Oj, żartujesz sobie. To bardzo miła pani. Przypomina mi moją mamę.

– Jak to możliwe, że ktoś taki jak ty pokłócił się z matką? – pyta Tobiasz z niedowierzaniem.

Kerim smutnieje.

– Nie wiem, ale tęsknię za nią. Matka to największy skarb w życiu człowieka.

•

Wieczorami, kiedy Tobias i ja leżymy w łóżku, Kerim i mama siedzą na dole i godzinami rozmawiają.

– To naprawdę czarujący młody człowiek. Wiesz, mogę mu powiedzieć dosłownie wszystko. To są prawdziwe rozmowy. Przypomina mi się, jak twój ojciec był młody. Oczywiście jeszcze zanim się pobraliśmy. Po ślubie rodzą się dzieci i ludzie przestają ze sobą rozmawiać. Pewnie masz tak samo z Tobiasem. Kerim jest ode mnie dużo młodszy, ale coś nas łączy. Chyba lubi moje towarzystwo. A to najważniejsza rzecz w związku.

– W związku? Wydawało mi się, że nie cierpisz tego słowa. Mówiłaś, że jest paskudne i nowomodne.

Mama wygląda na zmieszaną.

– Czy ja wiem? Kerim często go używa, kiedy ze mną rozmawia. W jego ustach ono nie brzmi tak źle.

– O czym ty z nim w ogóle rozmawiasz? Jakoś nie zauważyłam, żeby był szczególnie rozmowny. Uczynny, owszem, ale niezbyt gadatliwy.

– Och, skarbie, wspaniale nam się rozmawia. On jest pod wieloma względami dojrzały ponad swój wiek. Świetnie się rozumiemy.

– Na przykład w jakiej kwestii?

– Opowiedziałam mu o twoim ojcu.

– I co miał ciekawego do powiedzenia?

– No cóż. – Mama na chwilę traci rezon. – Powiedział, że w pełni się ze mną zgadza.

Ostatnio Kerim jeszcze gorliwiej niż mama bierze nasze sprawy w swoje ręce.

Delikatnie odsunął Lizzy od Frei, mimo że nadal płacimy jej za opiekę nad dzieckiem. Przed rozpoczęciem pracy stawia koszyk z małą obok siebie i przykrywa go niczym klatkę z kanarkiem, żeby nie nawdychała się pyłu.

Dopilnował, żebyśmy napisała do Reného z pytaniem, czy nie zechciałby pomóc mi w otworzeniu szkoły gotowania z pensjonatem w Les Rajons.

I wreszcie: odzyskał dla mnie mój azyl. Na moich oczach powstaje nowa kuchnia.

Połątał dziury w ścianach, żeby nie przedostawały się przez nie myszy. Powstrzymał inwazję saletry za pomocą *doublage'u*, czyli podwójnej ściany. Potraktował kamienne płyty kwasem solnym, dzięki czemu odzyskały piękny terakotowy kolor. Dokładnie oczyścił piec chlebowy ze starej sadzy, a nawet zdołał go uruchomić. Z wyczuciem smaku zainstalował nowoczesne zlewozmywaki z nierdzewnej stali, kuchenkę oraz mnóstwo blatów i półek.

Jeszcze większą metamorfozę przeszła spiżarka. Wstawił tam znalezione w stodole solidne dębowe drzwi, czyniąc ją na nowo oddzielnym pomieszczeniem.

Położył tynki i zerwał podwieszany styropianowy sufit, w którym swego czasu znaleźliśmy martwą mysz. Oheblował dębowe belki stropu, wyczyścił kamienną posadzkę i wreszcie zaprowadził tam dwudziesty pierwszy wiek, instalując rury i okablowanie.

W efekcie odsłonił małe, lecz świetnie się przedstawiające pomieszczenie, bez wątplenia starsze niż reszta domu. Ma w sobie coś średniowiecznego; jest długie i zwęża się z jednej i z drugiej strony. Na końcu znajduje się czterodzielne okno w kamiennej framudze, a pod nim płytki kamienny zlew. Kształt pomieszczenia czyni okno i zlew centralnym punktem: to tam zbiegają się wszystkie linie. Nad zlewem zwiesza się z sufitu gruby, zardzewiały hak rzeźniczy – na tyle wysoko, że można by tam powiesić pokaźną tuszę. Hak umieszczono w takim miejscu, by krew ściekała do zlewu.

– Uch, spójrzcie na ten hak – mówi Lizzy. – Do czego on jest?

– Do wieszania zwierzyny – wyjaśnia Ludovic, dla którego praca w ogrodzie stanowi pretekst do częstych niezapowiedzianych odwiedzin. – Pamiętam z dzieciństwa, że nieraz wisiał tam cały jelen.

Ludovic to myśliwy, twarda sztuka, ale widocznie nawet on ma czuły punkt, bo oczy zachodzą mu łzami.

Przyszedł list od Renégo; pisze, że z przyjemnością podeśle mi kursantów. Rzecz jasna, chodzi o tych, do których żywi najwyższą pogardę: o przeciętnych Brytyjczyków, którym nie zależy na prawdziwej nauce w prawdziwej kuchni, tylko na miłych wczasach z odrobiną gotowania.

Tym razem wyjątkowo mi to nie przeszkadza. Cieszę się wręcz, że będę mogła zapewnić uczestnikom ciekawe doświadczenie: zbieranie składników, przyrządzanie potraw w piecu chlebowym i na kuchni, wspólne posiłki przy drewnianych stołach na podwórzu.

– Kerim, jesteś aniołem. Co my byśmy bez ciebie zrobili?

– Nie nazywaj mnie tak, nie zasługuję.

– Wyremontowałeś nam dom i nie chcesz za to ani grosza, zbudowałeś Tobiasowi studio, jesteś moim doradcą biznesowym i jeszcze opiekujesz się naszym dzieckiem. Jak inaczej miałabym cię nazwać?

– Jestem kłamcą – Kerim markotnieje i spuszcza wzrok. – Kimś innym, niż myślisz.

Ciągnę go za język, ale nic więcej nie chce mi powiedzieć.

•

Kerim zaprosił moją mamę na lunch do bistro Yvonne.

– Zachowywał się bardzo oficjalnie. Był onieśmielony – relacjonuje mama. – To oczywiście nic poważnego, ale czy sądzisz, że jemu chodzi o randkę? Nie chcę, żeby sobie coś pomyślał. Powiedz, jak to teraz jest z wami, młodymi? Czy

mężczyzna może zaprosić kobietę na lunch bez podtekstów? Może lepiej żebyście poszli z nami, ty i Tobias? W charakterze przyzwwoitek. Poza tym on chyba nie ma pieniędzy. Najlepiej będzie, jak Tobias zapłaci.

Czuję znajomy przyпіływ irracjonalnej złości. Tobias jest ostatnio strasznie trudny we współżyciu. Potrafię sobie wyobrazić jego reakcję na propozycję obiadu z mamą u Yvonne.

Wybieram tchórzliwą ucieczkę.

– Mamo, na litość boską, na jakim ty świecie żyjesz? Jaka randka? Nie wygłupiaj się. Jesteś od niego trzy razy starsza. A swoją drogą, nie przyszło ci w ogóle do głowy, że mogłabyś sama za siebie zapłacić?

– Wy, młodzi, możecie sobie płacić za siebie, proszę bardzo. Ale za moich czasów to mężczyzna fundował kolację, a jedynym obowiązkiem kobiety było ładnie wyglądać.

Mama w jednej chwili postradła cały swój dziewczęcy wdzięk. Jakaś częśćka mnie myśli z wyrzutem: „No, Anno, możesz być z siebie dumna”. Lecz mój sarkazm zerwał się z łańcucha i nie zdołam go już powstrzymać.

– Innymi słowy, oddawałaś się w zamian za jedzenie.

– Skądże znowu, na Boga! Oni niczego takiego nie oczekiwali. Chcieli tylko, żeby widziano, jak idą pod rękę z ładną dziewczyną.

Mimo wszystko mama wygląda na urażoną.

– Ja na pewno byłbym dumny, mogąc iść z tobą pod rękę, Amelio.

Kerim musiał wejść przed chwilą, nie zauważyłam go. Czuję, że się rumienię, lecz on tylko uśmiecha się swoim uśmiechem polityka i przychodzi nam z odsieczą.

– Anno, Amelia i ja wybieramy się na lunch do Yvonne. Może ty i Tobias chcielibyście zjeść z nami? Oczywiście ja zapraszam. Rozmawiałem już z Tobiasem, powiedział, że jeśli tobie pasuje, to jemu też. Daj się namówić! Bez was to nie będzie to samo.

•

Przy sutym, mięsny lunchu mama opróżnia pół butelki wina Faugères. Usta jej się nie zamykają.

– Na studiach uważano, że ubieram się odważnie, bo nosiłam spodnie trzy czwarte. Grace Kelly wyglądała w nich cudownie, uznałam, że ja też muszę takie mieć. Skarbie, nie patrz na mnie takim wzrokiem – to był 1957 rok, społeczeństwo liberalne jeszcze wtedy nie istniało. Nosiło się tylko zwykłe sukienki i spódnice na szelkach. Inne dziewczyny oczywiście chodziły w nylonach. Ale ja miałam osiemnaście lat i uważałam, że nylony są nudne.

Myślę sobie, że wygląda bardzo atrakcyjnie jak na swój wiek. Wręcz kwitnąco. Ciemne oczy Kerima są pełne podziwu.

– Tak, niezłe było ze mnie ziółko, zanim wyszłam za twojego ojca. Wiecie, jak to jest: kobieta wychodzi za męża, miesiąc miodowy mija jak z bicza trzaśł i nagle mężczyzna zamiast kwiatów zaczyna jej przynosić rzeczy do uprania. Rycerz w lśniącej zbroi okazuje się dużym dzieckiem. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale twój ojciec był strasznym hipochondrykiem. Powtarzałam mu na okrągło, że nic mu nie jest – i co? Wziął i umarł. Nigdy mnie nie słuchał.

Przewracam oczami. Prawda jest taka, że słyszałam to już wiele razy. Jako lojalna córka taty czuję się w obowiązku odwieść ją od dalszych zwierzeń. Ubiega mnie jednak Kerim, który cmoknąwszy językiem, kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Amelio, nie wydaje mi się, żeby to zależało od niego.

– Wytrzymałam z nim tyle lat, bo myślałam, że przynajmniej będę miała z kim się zestarzeć. Czuję się oszukana. Uważam, że to... bardzo nie w porządku z jego strony. Naprawdę. Brzydko się zachował.

– Już dobrze. Nie płacz – zwraca się do niej Kerim, a ja spostrzegam łzy w jej oczach.

– Co za głupiec – chlipie. – Czy nie mógł mnie posłuchać? Tyle razy powtarzałam, że nic mu nie jest.

•

– Twoja mama chyba podkocha się w Kerimie – stwierdza Tobias.

– Nie gadaj głupot. Owszem, jest samotna – inaczej by tu nie przyjechała – ale nie może kochać się w kimś o czterdzieści lat młodszym.

– Czy ja wiem? Kerim wydaje się nią zainteresowany. Ona się dobrze trzyma. W młodości musiała mieć duże powodzenie. Ile właściwie ma lat, niecałe siedemdziesiąt? W dzisiejszych czasach to nie tak dużo. Wdowa. Przyzwoicie sytuowana. Czemu nie?

– Przestań! Źle go oceniasz.

– Niewiele o nim wiemy. Jest bardzo sympatyczny, ale dlaczego nic nie mówi o swojej rodzinie, znajomych? Może jemu chodzi o jej pieniądze.

– Przecież nawet nie chce zapłaty za to, co dla nas zrobił.

– Po co miałyby się rozdrabniać? Spędza z nią mnóstwo czasu. Nawet teraz siedzą razem w salonie.

– Gadasz od rzeczy.

– Zakradnij się na dół i podsłuchaj, co tam się dzieje. Wiem, że cię korci.

– Nie zamierzam.

– Dobrze, w takim razie zgaś światło i chodźmy spać.

Przewracam się w łóżku.

– Może zejść tylko na chwilę zobaczyć, czy wszystko w porządku...

Jest po północy. Schodzę ostrożnie po dębowych schodach, unikając stopni, które skrzypią.

Przez otwarte drzwi widzę mamę i Kerima na kanapie przed piecem. Słyszę jej zalotny chichot, którym czarowała mężczyzn w 1957.

– Oj, troszkę mnie upiłeś. Zaraz stracę wątek. Dopóki żył mój mąż, w ogóle nie piłam, ale muszę przyznać, że to przyjemne. O czym to ja mówiłam? A, o seksie.

Zamieram. O seksie? Moja mama rozmawia o seksie? Kiedy miałam dziesięć lat, nie mogłam nawet wypowiadać tego słowa, bo od razu dawała mi klapsa.

– Problem ze społeczeństwem liberalnym jest taki – ciągnie – że wywleka się na światło dzienne tyle... tyle brudu.

Kerim wydaje odgłos, który mama odczytuje jako zachętę.

– Na przykład seks nieletnich albo seks pozamałżeński. Oczywiście za moich czasów wiedziało się o istnieniu takich rzeczy, ale nie musieliśmy o tym bez przerwy słuchać. To nie było coś, z czym ludzie się obnosili. Albo homoseksualiści. Geje, tak się teraz na nich mówi. Znałam kilku pedziów, ale do głowy by im nie przyszło, żeby się afiszować. Nie chcę wiedzieć, co homoseksualiści robią w łóżku. A teraz wystarczy włączyć telewizor i czego się człowiek nie nasłucha! Ostatnio jeden pastor mówił, że to, co oni robią, to normalna rzecz. Otóż nie zgadzam się. Nie przy podwieczorku. Nie w telewizji. Nawet się cieszę, że w tym strasznym domu nie ma telewizora. Ile można słuchać o tych gejach.

Wracam na palcach na górę.

– Chyba nie mamy się czym martwić – szepczę. – Wyklada mu swoje poglądy na życie. To by zniechęciło nawet najwytrwalszego naciągacza.

•

Kupiliśmy Frei srebrny balon w kształcie ryby. Tobias przywiązał go do maty edukacyjnej, tak by wisiał jej koło głowy. Freja obraca twarz w tamtą stronę. Wpatruje się w balon, tak mi się przynajmniej wydaje. Wkładam sznurek w jej ciasno zaciśniętą piąstkę. Wygląda, jakby go trzymała. Porusza piąstką, balon podskakuje.

– Przypadek – orzeka Tobias.

– A mnie się wydaje, że ona to robi umyślnie.

– Bzdura. Widzisz to, co chcesz zobaczyć. Chcesz, żeby się rozwijała, więc wydaje ci się, że tak jest.

– Julien, jak myślisz? – Ostatnio coraz częściej polegam na jego zdaniu. Nie odpowiada od razu. We troje przyglądamy się pulchnej piąstce i balonowi, który wznosi się i opada.

– Nie wiem, czy ona wie, że trzyma sznurek – odzywa się w końcu – ale myślę, że zdaje sobie sprawę, że poruszając rączką wprawia balon w ruch.

– Widzisz? – zwracam się do Tobiasa.

Julien uśmiecha się.

– Chciałbym was zaprosić do siebie. Chyba jeszcze was tam nie było. To będzie powitanie wiosny. Oczywiście weźcie ze sobą Freję – ona też jest członkiem naszej wspólnoty.

Ni stąd, ni zowąd ogarnia mnie wzruszenie. Pochyliam się nad małą i przysuwam ją do siebie. Nadal ściska w dłoni sznurek. Wyciąga rączki do góry i splatamy się w objęciach.

– Bardzo cię przepraszam – mówi Tobias – ale muszę rozplątać moją rodzinę.

Usiłuje poluznić sznurek i przez krótką chwilę wszyscy troje tworzymy jeden wielki supeł. Tak, jesteście rodziną.

•

Wieczorem, zamiast iść na górę, siedzę z Tobiasem w jego studiu, patrzę, jak w skupieniu słucha muzyki w słuchawkach. Okazało się, że wokół filmu *Pani Bovary* jest wciąż bardzo wiele znaków zapytania. To koprodukcja, trwają starania o dodatkowe fundusze. Ukończono zdjęcia, lecz brakuje pieniędzy na postprodukcję. Sally chce, by Tobias jak najszybciej – i jak najtaniej – skomponował część ścieżki dźwiękowej, tak by można było pokazać wybrane sceny potencjalnym sponsorom.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Czekam na ciebie. Może chcesz mi coś puścić?

Zdejmuje słuchawki.

– To jeszcze niegotowe. Rozgrzebane. Innym razem.

Przynajmniej nie przyjmuje postawy obronnej, co ostatnimi czasy było regułą. Idę więc za ciosem.

– Dlaczego ostatnio odsuwasz się ode mnie? Wiem, że ciężko pracujesz, ale nigdy wcześniej taki nie byłeś.

– To bardzo ważne zlecenie. I może to być dla mnie przełom.

– Ale jest coś jeszcze, prawda?

– Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Nie zrozumiałabyś.

– Spróbuj.

– Codziennie siadam do tej pracy z poczuciem, że walczę o życie. Dosłownie. Że grunt się pode mną zapada i muszę trzymać się kurczowo tej pracy, dopóki jej nie skończę, bo inaczej przepadnę. A idzie mi jak po grudzie. Piszę w kółko muzykę do tej samej sceny, a potem słyszę od Sally, że jednak zmontowali to od nowa z myślą o potencjalnym kliencie. Czuję się, jakbym pływał w gęstym syropie. Albo jak statek, który zahaczył o podwodną skałę i płynie dalej w stronę lądu, ale cały czas nabiera wody.

Objął mnie ramieniem i mówi cicho, z ustami przy mojej skroni. Jego

oddech muska mi czoło.

– Emma Bovary była w pułapce. Mogła być sobie piękna, mieć talenty i wady, nadzieje i marzenia, mogła się buntować, ale to nie miało znaczenia. Nie miała szans, bo tamto środowisko ją tłamsiło. Tak się właśnie czuję. To uczucie stłamszenia przenika do mojej muzyki.

Choć nie do końca rozumiem, kiwam współczująco głową.

– Anno, oboje stąpamy po omacku we mgle. Każde z nas inaczej radzi sobie z Freją. Wiem, że zamykam się w sobie. Ale inaczej nie potrafię. Potrzebuję miejsca, dokąd mogę uciec, choćby ono było tylko w mojej głowie. Bardzo się boję. Nieustannie.

– Czego się boisz?

– Wielu rzeczy. Że ty ją pokochałaś, a mnie brakuje odwagi. Bo im bardziej pozwolimy sobie ją kochać, tym więcej przez nią wycierpimy. Boję się przyszłości. Tego, że Freja dożyje trzydziestki w jakimś zakładzie, będzie miała odleżyny, a my będziemy ją odwiedzać. Boję się, że nasze życie wessie czarna dziura, a wszystko przez dziecko, które nawet nie będzie w stanie nas rozpoznać. Jestem coraz samotniejszy. Ty zajmujesz się tysiącem spraw, a ja tylko siedzę, walczę z tą muzyką i z poczuciem, że jeśli mi się nie uda, to będzie mój koniec.

– Cśś – uspokajam go jak małe dziecko. Ściskam go mocniej i długo siedzimy przytuleni. – Tobias, Kocham cię – szepczę. – Bez ciebie chyba bym tego wszystkiego nie przeżyła. Zajmuję się tysiącem spraw, bo to mój sposób na radzenie sobie z kryzysem. Próbuję wszystko naprawić. Rozwiązać problem Frei. Znaleźć jakieś cudowne wyjście, które pozwoli mi zachować dziecko, męża i zdrowie psychiczne. Odzyskać kontrolę nad życiem. Ja też bez przerwy się boję. Co jeśli jej nie pokochamy?

– Anno, ty nadal nie rozumiesz. – Mocniej mnie do siebie przytula, szeroko rozwiera swoje szczerze błękitne oczy. – Co jeśli ją pokochamy?

•

Z każdym dniem balon nieco się kurczy. Rybie zrzęda mina. Powoli tonie. Wkrótce będę musiała ją wyrzucić. Ale jeszcze nie teraz.

Budzę się wcześniej i skuszona wschodem słońca, postanawiam wyjść na dwór. Freja śpi w łóżeczku, Tobias chrapie w łóżku. Na zewnątrz wszystko jest złote i zroszone, ptaki – takie mam wrażenie – śpiewają z zadowoleniem, jakby przeczuwały długie miesiące ładnej pogody.

Co chwila myślę sobie, że powinnam już wracać. I co chwila spostrzegam w oddali coś nowego i fascynującego: a to dzikiego narcyza, a to żółto-czarną salamandrę, a to dudka z fikuśnym czubem i zakrzywionym jak kindżał dziobem.

Kiedy zbliżam się do leśnego pomnika poległych, dobiegają mnie głosy. Dziwne. Komu jeszcze chciałoby się tu przychodzić o tej porze?

Dostrzegam krąg mężczyzn w podeszłym wieku, ubranych w coś na kształt galowych mundurów. Jest wśród nich obwieszony medalami Ludovic. Z jednej strony nie wypada tak po prostu przejść obok, z drugiej – nie chcę im się narzucać. Stoję w pewnej odległości i patrzę. Uderza mnie ich kruchość, daremność zdobytych przez nich odznaczeń w obliczu historii.

Kiedy zaczynają się rozchodzić, Ludovic mnie zauważa.

– Ach, *bonjour, la Parisienne*.

– Co tu robicie?

– Wspominamy. Tego dnia w 1944 roku stoczyliśmy tutaj bitwę z Niemcami.

– Nie mogłeś wtedy walczyć, byłeś za młody. – Głupio mi, że to powiedziałam, zabrzmiało protekcyjnie.

– W 1944 miałem piętnaście lat. I już od dwóch lat pomagałem *maquis*, francuskiemu ruchowi oporu.

– Czy to było niebezpieczne?

Kolejne głupie pytanie. Ludovic puszcza je mimo uszu.

– Idziesz do domu? – pyta. – Ja też.

Po kilku krokach dodaje:

– Ten obszar był bardzo ważny dla *maquis*.

– Walczyłeś w tej bitwie?

Potrząsa głową bez słowa.

– Spójrz na ten las, jaki jest gęsty – ciągnie przerwany wątek. – W 1944 roku żołnierze obozowali wśród tych sosen, ukrywali się jak zwierzęta. W prymitywnych warunkach. Tamten zapach... dymu i gówna. Każde zwierzę ma swój zapach. My też mamy. Dawałem sygnał specjalnym gwizdkiem i pojawiali się znikąd. Przynosiłem im żywność z miasteczka. Nie za wiele, trochę masła, chleba, sera.

Zbaczamy z dróżki w sosnowy las. Tobias i ja zawsze go omijamy, bo jest ciemny i martwy. Drzewa rosną w ścisku, światło słoneczne z trudem przebija się do najniższych gałęzi. Między pniami nic nie rośnie. Ponure miejsce.

– Tutaj, pod tym drzewem, leży wór pełen materiałów wybuchowych. A tu Bénédict przyniósł sobie lustro w mahoniowej ramie. Śmiejemy się z niego, że codziennie się goli. Ale trudno się dziwić, ma ładną, młodą żonę.

– Co się stało? – pytam.

– Jakiś skurwysyn doniósł Niemcom. Zrobili obławę. Mnie akurat wtedy nie było, więc przeżyłem.

Kręci głową, a ja stoję i gapię się na jego medale, lśniące w promieniach słońca, jakby dopiero co wybite. Nie wiem, co powiedzieć, nic mi nie przychodzi do głowy.

– Myślałem o twoich problemach z myszami – odzywa się wreszcie. – Może

to nie są myszy. Może to *loirs*. – Naśladuje dłonią drobne kroki gryzonia. – Małe stworzenia z dużymi oczkami i grubym ogonem. Miałem je kiedyś na strychu. Musiałem w końcu wziąć pistolet do betonu i zabetonować ściany i sufit. Nie ma innej rady.

– Hmm. Myślę, że jednak wolelibyśmy tego uniknąć.

– Na *loirs* nie ma innej rady – powtarza Ludovic.

•

– Popielica – czyta na głos Tobias.

– Co?

– *Loir*. Popielica. Zobacz, jest zdjęcie. – Wygląda na to, że tylko ta część opowieści Ludovica naprawdę go zainteresowała.

Mimo że Kerim robi, co w jego mocy, za każdym razem, kiedy wchodzi rano do kuchni, witają mnie świeże bobki. Najwyraźniej gryzonie wciąż świetnie sobie radzą.

– Słodko wyglądają.

Popielica przypomina małą wiewiórkę. Zawsze to lepsze niż mysz.

– Osiągają długość dwudziestu centymetrów – czyta dalej Tobias. – To by tłumaczyło, dlaczego te bobki są takie duże. O, zobacz: popielice były dawniej uważane za przysmak. Rzymianie trzymali je w doliach, ogromnych glinianych naczyniach, i tuczili orzechami włoskimi. Podawano je w polewie miodowo-makowej na deser.

– No to mam już jeden przepis dla moich kursantów.

Śmiejemy się razem, pierwszy raz od nie wiadomo jak dawna. W dobre dni potrafię wykrzesać z siebie resztki cierpliwości i wspaniałomyślnie pozwalam Tobiasowi moczyć się w wannie, podczas gdy sama karmię Freję. W dobre dni zwlekam z pójściem spać, dopóki nie wróci ze studia, żebyśmy mogli położyć się razem. W dobre dni Tobias potrafi to docenić i jest dla mnie miły. Oboje znajdujemy się na granicy wytrzymałości, balansujemy nad przepaścią.

•

Yvonne zaczęła pracować w spiżarce. Oddaje się swojemu zagadkowemu rzemiosłu w sposób dyskretny. Niekiedy wydobywają się stamtąd ponętne zapachy, lecz przebieg tych procesów spowija tajemnica.

Trochę się zaprzyjaźniłyśmy. Na tle chimerycznych mieszkańców naszego domu solidna i przewidywalna Yvonne jest dla mnie punktem oparcia. Zawsze gotowa pomóc w opiece nad dzieckiem, nieraz pracuje z Freją przyciśniętą do bujnych piersi.

– Chyba kiedyś pytałaś, czy mógłbym wam pomóc w ogrodzie – zagaduje mnie Julien tuż po jej pierwszej wizycie. – Doszedłem do wniosku, że przydałoby

mi się parę groszy. Oczywiście ze względu na moją szczególną sytuację musiałbym pracować na czarno.

Cena, jaką podaje, świadczy o jego nadspodziewanie dobrym rozeznaniu w realiach współczesnego rynku pracy.

Nie mam złudzeń: zmienił zdanie tylko dlatego, że Yvonne korzysta z naszej spiżarki. Wreszcie mamy coś, na czym naprawdę mu zależy.

•

Rano znajduję w skrzynce odręcznie zaadresowany list do Kerima. Czekamy na niego ze śniadaniem. Mama popatruje na list.

– Może to od jego matki – mówi.

Upływają minuty. W końcu się zjawia.

– O, Kerim, skarbie, jesteś – szczebiocze mama. – Przyszedł list do ciebie. Otwórz! Jesteśmy strasznie ciekawi.

Kerim spogląda. Oblewa się głębokim rumieńcem od karku aż po włosy. Rozrywa kopertę i pożera wzrokiem zawartość.

– Moja miłość przyjeżdża. I może jeszcze kolega ze szkoły. Ech, *putain!* Dzisiaj. To bardzo w ich stylu. Muszę pędzić na stację. Mogę pożyczyć opła?

Twarz mu się zmieniła. Przywykliśmy do jego promiennego uśmiechu, ale teraz jego oczy płoną wyjątkowym blaskiem.

– Oczywiście – mówię. – Jedź!

– Przeprowadzę ich po południu na imprezę do Juliana.

Siedzimy osłupiali, słyszymy trzask zamykanych drzwi i odgłos zapalnego silnika. Pierwsza odzywa się mama:

– A to ci szelma. Wiedziałam, że musi być jakiś haczyk.

•

Mama nie może usiedzieć w miejscu. Jest dzisiaj wyjątkowo zaaferowana poranną toaletą.

– Skarbie, czy mogłabyś pomóc mi ułożyć włosy? A ja chętnie ułożę tobie. Uważam, że powinniśmy zrobić wszystko, żeby ładnie wyglądać. Nie chcemy, żeby jego wybranka pomyślała, że trafiła między prostaków.

Tobias bardzo się co do niej mylił. Owszem, lubi poplirtować, ale na tym koniec. Jest autentycznie, wręcz dziecinnie podekscytowana, że pozna ukochaną Kerima.

– Mam nadzieję, że to dobra dziewczyna. Nie chciałabym, żeby stracił głowę dla byle kogo. Tak czy owak, będzie musiała tu jakiś czas pomieszkać. Bardzo mi zależy, żebyśmy zrobiły dobre wrażenie. Ciekawe, dlaczego ani razu o niej nie wspomniał. Mówił tylko o matce. To mi się w nim podoba – często mówi o matce.

Wczesnym popołudniem pakujemy Freję do nosidełka i wdrapujemy się na

skały łączące nasze wzgórze z sąsiednim.

– To miejsce przypomina mi smoczy grzbiet – mówi Lizzy.

– Dajże spokój – rzuca moja mama, ale Lizzy ma rację, te skały właśnie tak wyglądają. Udajemy, że idziemy wzdłuż kręgosłupa śpiącego stwora.

W połowie drogi pytam:

– Co tak niesamowicie pachnie?

Przystajemy, próbując zlokalizować źródło tej znajomej woni, przywodzącej na myśl dzieciństwo i nobliwe starsze panie. Nie widzę jednak nic prócz sterczących głazów.

– Tam – Lizzy wskazuje palcem rozpadlinę.

Ostatnim razem boki smoka były brunatne z domieszką zieleni mchów. Teraz są cudownie fioletowe.

– Fiołki!

Są szalenie delikatne, wyrastają jakby bezpośrednio ze skały, a ich woń jest subtelna i obezwładniająca zarazem.

Przy leśnym jezioru Lizzy prowadzi nas w górę stromą ścieżką. Docieramy do wielkiego białego dębu, u jego stóp na dwóch głazach spoczywa kamienny blok. Siedzi na nim duży szary kot o złocistych oczach i wpatruje się w nas niczym sowa.

– To dolmen! – woła Tobias, przyglądając się kamiennej konstrukcji. – Patrzcie, są na nim wyryte kręgi. Niesamowite. Pomyślcie tylko: te głazy przeleżały tu wiele tysięcy lat.

– To święte miejsce – szepcze Lizzy.

– To kuchnia – wtrącam. – Tam stoją garnki, a pod spodem jest palenisko.

Dostrzegam drewniane schodki z grubym, żywym pnączem zamiast poręczy. Wiją się do góry wokół pnia dębu. Osłaniam oczy i podnoszę wzrok.

– Tam na górze jest dom. Nie żaden domek na drzewie. Najprawdziwszy dom. Z oknami. I drewnianym gontem zamiast dachówki. I z werandą!

– Nie, nie, kochani – mówi mama. – To nie tutaj. Przyjście jest tam!

Wskazuje poza dąb, na wiśniowy sad z otwartym widokiem na góry. Pod drzewami widać drewniane ławki i stoły na kozłach.

Sad jest pełen goniących się psów i rozbrykanych dzieci, ludzi palących trawkę, tańczących pogańskie tańce, grających na aborygeńskich tubach i innych dziwacznych instrumentach. Pełen miedzianych garnków z duszonymi potrawami, całych baranów opiekanych na rożnie, plastikowych wiader pitnego miodu. Pełen życia.

Pośrodku tego wszystkiego, tam, gdzie biomasa ludzi i zwierząt osiąga największe zagęszczenie, dostrzegam Julię. Widać po nim, że od rana degustuje trunki. Cieszy się bardzo na nasz widok.

– Julien, powiedz mi, skąd ty się tu w ogóle wzięłeś? – pyta Tobias.

– Urodziłem się tutaj. W jurcie. Dom na drzewie zbudowałem sam. Pokażę wam.

Rusza pędem w stronę dębu. Przez chwilę boję się, że nie zdoła wejść na górę w tym stanie, lecz jest zwinny jak kozica. Kot biegnie za nim jak pies. Zasapani próbujemy dotrzymać im kroku, chwytamy się poręczy z pnącza, potykamy o krzywe drewniane stopnie. Freja w nosidełku podskakuje mi na piersi.

– Witajcie w moim domu. Mam najładniejszy widok w okolicy – może z wyjątkiem waszego.

– O rety. Niesa... mowite – mówię zdyszana. Mam na myśli pnącze.

– To glicynia – wyjaśnia Julien.

Pnącze nie ma jeszcze liści, tylko widmowe załączki kwiatów, na tle ciemnego drewna podobne do obłoczków dymu. Przypomina łapę olbrzyma ściskającego dom sękatymi paluchami.

– Niezły – zachwyca się Tobias.

Domek przycupnął w rozwidleniu między pnem a konarem. Nie ma tu ani jednej prostej linii: ściany są łukowate, okna zaokrąglone, szyby przedzielone widłami gałęzi. Gontowy dach opada ku obrośniętej glicynią werandzie.

– Są tu wszelkie wygody. Prawdziwe dębowe drzwi. Nie potrzeba klucza, są zawsze otwarte.

Zaprasza nas do środka. Wchodzimy do pokoju z piecykiem na drewno. Żadnych mebli z wyjątkiem drewnianego łóżka zawieszzonego na żywym konarze, który najwyraźniej udało się wykorzystać jako element konstrukcyjny. Ściany, podłoga, sufit – wszystko jest z drewna.

– Nie wiadomo, gdzie kończy się pokój, a zaczyna drzewo.

– Zbudowałem go na drzewie i z drzewa.

– A kuchnia? – pyta surowo mama.

– Na dole – odpowiada Julien i kieruje nas z powrotem w stronę dolmenu.

– Wiedziałam – mówię.

– Bardzo praktyczna – wyjaśnia. – Kamienie zniosą wszystko. Mogę tam przyrządzać dowolne dania.

– Łazienka? – Mama nie odpuszcza.

Julien szerokim gestem wskazuje dróżkę.

– Za łazienkę służy mi jeziorko przy wodospadzie. Zimą można trochę zmarznąć, ale chyba przyznacie, że widok to wynagradza.

– Jesteś prawdziwym człowiekiem lasu – zauważa Tobias. – Wpadaj śmiało do nas, kiedy tylko będziesz miał ochotę na ciepły prysznic.

– Pochodzisz stąd? – pytam.

Julien kręci głową.

– Moi rodzice przyjechali do Langwedocji z Paryża po 1968 roku. Powiedzmy, że byli z pokolenia hippisów. Wtedy wiele osób chciało żyć bliżej

ziemi. Wieśniacy z dziada pradziada początkowo podchodzili do nich bardzo nieufnie.

– Musiało im być niełatwo – wtrąca Tobias.

– Wielu sobie nie radziło i wracało do miast. Moi rodzice ciężko pracowali i zostali. Nie wierzyli w prywatną własność. Pewien starszy człowiek użył im tego kawałka ziemi w zamian za pomoc w zbieraniu wiśni. Zbudowali jurkę i wkrótce potem przyszedłem na świat. Bez metryki, bez rejestracji w urzędach, bez niczego. Moi rodzice nie żyją, właściciel też nie, ale jego syn pozwolił mi tu zostać na tych samych warunkach.

Spoglądam ponad jego ramieniem i widzę Yvonne; stąpa ostrożnie przez błoto w różowych lakierkach na obcasie, białej ołówkowej spódnicy i podkreślającej kształty bluzce z dekoltem w łódkę. Lniane włosy związała w koński ogon bandaną w różowe groszki. Wszystkie dodatki – lśniące plastikowe kolczyki, plastikowy naszyjnik, torebka, szminka – są w tym samym odcieniu cukierkowego różu.

Julien jeszcze jej nie zauważył, zajęty opowiadaniem.

– Szkoła to było piekło. Inne dzieciaki... no, lekko nie miałem. Raz wypasałem owce rodziców, miałem wtedy jedenaście lat. Zobaczył mnie jeden ze starych *paysans*. Jego syn był o kilka klas wyżej ode mnie i strasznie mi dokuczał, ale potem wyjechał do miasteczka za pracą. I tamtego dnia jego ojciec zapytał mnie: „Julien, jak się masz?”. Tylko tyle i aż tyle. Nigdy nie zapomnę tego uczucia – pierwszy raz ktoś z miejscowych odezwał się do mnie po ludzku. Aż mi się zrobiło ciepło na sercu.

Śmieje się wesoło. W takich chwilach jak ta, gdy jest wyluzowany i pełen swady, roztacza nieodparty urok. Wystarczy jednak, że w zasięgu jego wzroku pojawi się Yvonne w groszkowej bandanie i ołówkowej spódnicy, by nagle zgubił wątek swojej opowieści. Przy niej traci cały rezon, staje się cichy i nieśmiały.

Mimo absurdalnego stroju Yvonne wygląda piękniej niż zwykle. Jak kunsztownie pomalowana laleczka z porcelany. Bardzo się postarała. Najwyraźniej odwzajemnia jego uczucia.

•

Julien idzie zakrzętnąć się wokół Yvonne. Czar pryska.

Mija nas brodaty hippis kurzący jointa.

– Właśnie przyszliście czy właśnie sobie idziecie? – pyta.

– Powrózę z dłoni – oznajmia Lizzy. Patrzą, jak zbiera się wokół niej wianuszek potencjalnych klientów, wyciągających do niej otwarte dłonie.

Biedna Lizzy, tłamszę ją obowiązkami domowymi. Zaprzątnięta własnymi sprawami zapominam, że ta dziewczyna jest wolnym duchem.

– Nie mogę czytać z wszystkich naraz – śmieje się Lizzy.

– Ja chcę być następny – domaga się Tobias, mimo że nie wierzy w horoskopy.

Lizzy, wciąż roześmiana, bierze jego dłoń i obraca ją wierzchem do góry.

– Najpierw muszę obejrzeć paznokcie – wyjaśnia. – Można się z nich dowiedzieć, czy masz gwałtowny charakter.

Tobias uśmiecha się.

– Na tyle to chyba mnie znasz.

– Teraz to bez znaczenia. Chcę zobaczyć, co mówi twoja dłoń.

– I co, mam?

– Ale co?

– Gwałtowny charakter.

– Spójrz. Tu jest wzgórek Wenus. Jesteś namiętny. Twórczy. I pełen dobroci.

– I niezmiernie czarujący? – kokietuje Tobias.

Lizzy wpatruje się w jego dłoń.

– Zależy, kogo spytasz. Tego się nie da wyczytać z dłoni. A tu masz linię głowy.

– Jestem inteligentny?

– Leniwy.

Jak na nastolatkę jest rezolutna i pewna siebie. Nietrudno sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się w niej zakochać. Tobias niewątpliwie ma do niej słabość. Czy ona ma słabość do niego? Jeśli tak, to robiąc mu awantury, ułatwiam jej zadanie.

Odechciewa mi się wróżb. Biorę miód pitny i ruszam w głąb sadu.

Yvonne siedzi skulona na kłodzie. Białą spódnicę podciągnęła do połowy ud, żeby nie podzieliła losu umazanych błotem różowych lakierków. Julien przyniósł jej szklaneczkę miodu, lecz odepchnęła ją ze złością. Różowa torebka z lakierowanej skóry, bez wątpienia jej najlepsza, leży obok. Bandana w różowe groszki zwisa z pochylonej głowy niby chorągiew pokonanej armii. Yvonne wygląda, jakby z trudem powstrzymywała łzy.

Dosiadam się do niej.

– Ślicznie wyglądasz.

Przygląda się trwającym wokół bachanaliom.

– To nie jest... odpowiednie towarzystwo. Julien... Kiedyś myślałam... Ale on nigdy się nie zmieni. Tak już go wychowano.

– Obserwowałam go – mówię. – Na twój widok nie jest w stanie skupić się na niczym innym.

Przemyka mi przez głowę, że może posuwam się za daleko. W końcu to nie moja sprawa.

– Mój ojciec mógłby go wziąć na ucznia – wybucha Yvonne. – Załatwilibyśmy mu papiery. Za dziesięć lat mógłby być rzeźnikiem w miasteczku. Byłby kimś. Moglibyśmy kupić kawałek ziemi na skraju miasteczka i wybudować

sobie ładną willę. Z elegancką kuchnią, może nawet z basenem...

– Wiesz co? Nie wiem, czy on byłby szczęśliwy w willi.

Yvonne wydaje z siebie okrzyk rozpacz, który zaczyna się szlochem, a kończy lamentem:

– A ja? Mam być szczęśliwa, mieszkając z nim tutaj? Na drzewie?

•

Słońce zachodzi, zapalają się lampy sztormowe, szalona orkiestra gra, leje się miód, psy i dzieci hałasują, błoto chlupie pod nogami. Mama tańczy z najlepszymi. Najpierw obtańcowuje ją Julien, potem starszy mężczyzna z długą, siwą brodą, wreszcie jakiś neo-Celt w sukienym kaftanie z przewieszonym u pasa rogiem myśliwskim.

– Skarbie! To lepsze niż twist! – woła w moją stronę. Taka właśnie musiała być w młodości, pełna nieodpartego wdzięku i *joie de vivre*.

Wtem krzyczy:

– Kerim! Kerim! Skarbie, on tu jest! Jej nie widzę, ale widzę jego kolegę. Kerim! Gdzie twoje maniery, kochany? Przedstaw nam swojego przyjaciela. Gdzie twoja narzeczona?

– Poznajcie Gustava.

– Dzień dobry, Gustavie. Niezmiernie mi miło, że mogę poznać przyjaciela Kerima.

– Gustave jest moim narzeczonym.

Mam wrażenie, że muzyka nagle się urwała, tancerze zamarli w pół kroku i nad polaną zapadła cisza. To oczywiście niemożliwe; lecz kiedy mama przerywa milczenie, jej słowa niosą się głośno i daleko.

– Boże drogi. Faj, chłopcy, jak wam nie wstyd!

Мај

Latem kupowanie warzyw jest źle widziane w dolinie. Zasada ta obowiązuje nawet tutaj, na wzgórzu, gdzie skałę pokrywa cienka warstwa gleby.

– Euro za sałatę w supermarkecie! – mówi Ludovic. – To zdzierstwo. Z jednej torebki nasion można mieć sto!

Jego rośliny w naszym ogrodzie rosną w idealnie równych rzędkach. Fasola jest uwiązana do bambusowych tyczek. Sadzonki pomidorów mają tyle miejsca, ile potrzebują, żeby przeżyć, i ani centymetra więcej. Ludovic jest zwolennikiem pestycydów, pułapek na owady i preparatów na ślimaki. Na niżej położonych zboczach obwiesił swoje drzewa owocowe plastikowymi butelkami, które informują, że liście spryskano trucizną. Pod jego nieskazitelnymi winoroślami w ogóle nie ma chwastów, tylko martwa brązowa trawa.

– Jak to? Pielisz ręcznie? – dziwi się. – Mam świetny preparat: *Roundup de Monsanto*. Spryskujesz nim chwasty i giną.

Kerim i Tobias próbują udrożnić *béal*, kanał melioracyjny. Ten imponujący wytwór chłopskich rąk, to wykuty w skale i zakończony drewnianą służą prosty akwedukt o długości ponad kilometra. Jego zadaniem jest przekierowanie wątej strużki wody z rzeki w stronę ogrodu.

– Ludovic – pytam – czy nikomu nie będzie przeszkadzać, że podbieramy wodę z rzeki?

– Teraz już nie. Sześćdziesiąt lat temu korzystało się z niej na zmianę; można było używać kanału tylko w określone dni. Ale teraz nikogo już tu nie ma. Za czasów, kiedy w Les Rajons gospodarzył mój wuj, było inaczej.

– Czym on się zajmował?

– On? Był *maître d'école*, nauczycielem, tak jak moja matka. A podczas wojny *chef de résistance*, dowodził partyzantką w okolicy.

– Jaki on był?

– Odważny, miał silny charakter. Pozwalał siostrze i siostrzeńcowi ryzykować życiem.

– Rose też była w ruchu oporu?

– Tak. Ale nie walczyła. Była *agent de liaison*. Łączniczką. Niebezpieczna praca. Ale nikt nie był w stanie jej powstrzymać. Nawet mój ojciec.

– A próbował?

– O tak. Nienawidził wojny. Stracił rękę w okopach w pierwszej wojnie światowej. Zawsze powtarzał: „Niemcy czy *maquis*, wszystko to bandyci”. Ale Rose go nie słuchała. Miała taką chustę w róże. Dostała ją od mojego ojca i nosiła bez przerwy. Ojciec nie wiedział, że zrobiła w niej zaszewkę i chowała tam szyfrowane wiadomości.

– Nie zorientował się?

Ludovic patrzy gdzieś w bok i nie odpowiada na moje pytanie.

– Miała doskonałą przykrywkę: uczyła w szkole w małej wiosce na sąsiednim wzgórzu, w kasztanowym lesie niedaleko obozu.

– Byliśmy w tej wsi – mówię. – Jest cała zniszczona i zarośnięta lasem.

Kiwa głową.

– Fryce spaliły ją tego samego dnia, kiedy rozbiły obóz *maquis*. Podejrzewali mieszkańców o współpracę z partyzantami.

Milczy przez chwilę i opowiada dalej:

– W piątki ojciec zabierał Rose na weekend do siebie. Miał pierwsze auto w okolicy. *Gazogène*, samochód na gaz drzewny. Doskonale pamiętam: jedzie dróżką, nie zwalnia na zakrętach, trąbi klaksonem, trzyma kierownicę jedną ręką. Owce uciekają sprzed kół. To dopiero był widok.

Opiera się na widłach i uśmiecha do siebie.

– To były dobre czasy. Jeszcze zanim wuj stracił Les Rajons.

– Kiedy to się stało?

– Po wojnie. Miał do wyboru zatrzymać dom i stracić winnice albo sprzedać dom. Prosty wybór. Zatrzymał winnice, teraz należą do mnie. Sprzedał dom obcym i zbudował sobie domek w miasteczku. Wuj miał głowę na karku.

•

Próbuję zagospodarować naszą połowę ogrodu. Pomaga mi Julien. Kiedy ja mocuję się z widłami, Julien gładko wbija szpadel w ziemię, dźwiga zwartą grudę w kolorze czekolady, odwraca ją i znów zanurza szpadel w ziemię. Czasem na jego ramionach widać kropelki potu. Czasem wydaje z siebie ciche stęknienie – i na tym kończy się komunikacja między nami.

Jego znajomi, para hippisów, przywieźli zaprzężonym w osła wozem kupę końskiego łajna. Leży teraz obok poletka, paruje i cuchnie.

– Jest trochę za świeże – przyznaje Julien. – Musimy je dobrze rozprowadzić.

– Czy to konieczne?

– Im więcej nawozu rozprowadzimy, tym więcej będzie warzyw. Prosta zależność.

Kopiemy. Freja leży na skraju poletka w koszyku nakrytym moskitierą. Sama prawie się nie porusza, za to nieustannie przyciąga ludzi: wszyscy zbierają się wokół niej i patrzą, jak pracujemy.

Wiem, że jej tam dobrze, nie wiem tylko, skąd to wiem. Nie potrafi się uśmiechać ani nawet skupić wzroku na jednym punkcie. Jedno jest pewne: kiedy stawiam jej koszyk pod jabłonią obok warzywnika, cichnie urzeczona jak podczas kąpieli.

Julien na moment przerywa pracę i zagląda do kosza.

– Patrzy w niebo.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem. Parę lat temu zatrąłem się grzybem. Nie byłem w stanie ruszyć nawet palcem. Leżałem na ziemi, pod drzewem, tak jak ona. Patrzyłem na jaskrawoblękitne niebo przez sklepienie młodych liści i myślałem tylko o jednym: jaki piękny dzień na umieranie.

Niekiedy z kopaniem pomaga mi Gustave. Rzadko się odzywa i raczej nie chodzi o to, że słabo zna angielski, bo po francusku też trudno cokolwiek z niego wyciągnąć. Wiem o nim tyle, ile powiedział mi Kerim: właśnie skończył naukę u fryzjera w Tuluzie i za namową Kerima zapisał się do anglojęzycznej szkoły na wyspie Wight – tej samej, do której uczęszczał on sam.

– Byłoby fantastycznie, gdybyście pozwolili mu zostać parę tygodni. – powiedział Kerim. – Tylko do końca miesiąca, potem zaczyna szkołę. Nie będzie wam sprawiał kłopotu.

– Pewnie, że może zostać.

Na przystojnej twarzy Kerima maluje się niepokój.

– Anno, jest coś jeszcze. Powinienem być ci powiedzieć. Nie mogłem z nim mieszkać w akademiku w Tuluzie, ale obiecałem, że dojadę do niego do Anglii. Samemu byłoby mu ciężko, ledwie mówi po angielsku. Poza tym będę musiał znaleźć pracę, żeby opłacić mu chesne. Obiecałem, że przyjadę najpóźniej pod koniec lipca.

Nie wiem, jak sobie poradzimy bez Kerima. Stał się członkiem rodziny. Coraz bardziej lubię też małomównego Gustava. Wyczuwam, że militarny styl – fryzura na rekruta i obcisłe koszulki khaki – skrywa wrażliwą duszę.

•

Lizzy bardzo się podoba idea życia z tego, co daje ziemia.

– Wiosna jest super! – powtarza na okrągło. – Wiosną czuję, że naprawdę żyję.

– A czy mogłabyś nam trochę pomóc z pieleniem?

– Nie ma mowy! Czytałam świetną książkę na ten temat. Chwasty są dobre! Nie wolno ich wyrwać. Trzeba zaufać przyrodzie.

Julien prychnął.

– Lizzy, chodź, nauczę cię spulchniać ziemię.

– Według mojego horoskopu dzisiaj nie powinnam pracować – odpowiada Lizzy z godnością – tylko marzyć.

– Ona ma rację – odzywa się Tobias. – Szkoda takiej pięknej pogody na kopanie ogrodu. Poza tym euro za główkę sałaty to wcale nie tak dużo.

Siada obok Lizzy w wysokiej trawie i niebawem zaczynają nas dolatywać ich śmiechy. Ze wściekłą miną wbijam widły w ziemię z siłą, jakiej sama się po

sobie nie spodziewałam. Julien podnosi wzrok.

– Mam dla ciebie trochę sadzonek – mówi. – Będę zaraz wracał do siebie. Zrób sobie przerwę i obejrzyj mój ogród. O ile masz siłę wdrapać się na górę.

Kiwam głową.

– Tobias, popilnujesz Frei?

– Oj, skarbie...

– Wrócę za godzinę. Nie trzeba jej nawet karmić.

– Nie martw się – wtrąca wesoło Lizzy. – Pośpiewam jej.

Przechodzimy z Julienem po kamiennym grzbiecie na sąsiednie wzgórze. Wiosną wszystko się zmienia, zawsze coś mnie zaskoczy. Tym razem spostrzegam, że boki smoka pokryły się plamami różu, bieli i fioleto. Zapach też jest inny niż poprzednio.

– Czystek – wyjaśnia Julien. – I dzika lawenda.

Krzewinki lawendy są niskie, skarłowaciałe, ale nigdy w życiu nie widziałam równie intensywnie niebieskich kwiatów, a ich silna woń przywodzi na myśl lekarstwo – jak gdyby surowe warunki dodatkowo wyostrzyły kolor i aromat. Śmieję się na głos w przyływie niezmałowanej radości.

– Co takiego?

– Sama nie wiem. To miejsce. Za każdym razem kiedy mam doła, wpada mi w oko coś tak wspaiałego, że natychmiast o wszystkim zapominam.

Wdrapujemy się w milczeniu na górę, aż pod wielki dąb, na którym Julien ma swój dom.

– O! Twoja glicynia kwitnie!

Tam gdzie jeszcze parę dni temu widać było jedynie pąki, teraz obfitymi kiśćmi zwieszają się fioletowe kwiaty.

– Zniewalający widok – mówię. – Jak wejście do innego świata. – Milknę, bo mam wrażenie, że powiedziałam coś głupiego.

Uśmiecha się.

– Bo to jest inny świat. Mój świat.

Przez chwilę podziwiam kwietny gąszcz u podnóża pnia: coś pomiędzy dziką gęstwiną a ogródkiem w angielskim stylu.

– Piękne kwiaty. A gdzie masz warzywa?

– Przyjrzyj się dobrze.

W kłębowisku kwiatów dostrzegam groch, fasolę i pierzaste listki marchwi wymieszane ze sztywnym szczypiorem cebuli. To krańcowe przeciwieństwo pedantycznej filozofii Ludovica.

– Ale pomieszanie z poplątaniem! To znaczy – w dobrym tego słowa znaczeniu. Nie wiedziałam, że tak można. Nie wiedziałam, że tak wolno.

– Ta przypadkowość jest pozorna. Niektóre rośliny rosną lepiej obok innych. Posadziłem cebulę koło marchwi, bo marchew odstrasza szkodniki cebuli, a cebula

– szkodniki marchwi. Warto też siać miętę wśród grochu, odstrasza mączlika, no i świetnie smakuje z grochem. Nie ma obowiązku sadzenia roślin w równych rzędach.

– Ale ty mieszasz kwiaty z warzywami.

– Kwiaty też są pożyteczne. Na przykład te nagietki zawierają naturalny środek owadobójczy. Lawenda wydziela silny zapach, który chroni pomidory. Nasturcje to świetne pułapki na meszki. Bodziszek odstrasza gąsienice żerujące na kapuście. Ogórecznik dobrze robi truskawkom. Rumianek jest dobry na wszystko. Chryzantemy i dalej odstrasza nieniedźwiedź.

Chcę napawać się magią tego miejsca, a nie słuchać wykładów o uprawie roślin. Julien potrafi być jednak strasznie uparty. Kiedy podziwiam piękne róże pnące się po jabłoniach, wtrąca:

– Róże potrzebują podpory, w zamian wabią pszczoły, które zapylają kwiaty jabłoni.

Gdy zachwycam się głośno wyrastającymi z ciemnej ziemi jasnymi pędami, zaczyna rozprawiać o różnych metodach spulchniania gleby.

– Julien, przestań! Wszystko psujesz.

– Myślisz, że one rosną same? – pyta zniecierpliwiony. – Że nie trzeba nic robić? Zapewniam cię, że tak nie jest. Taki ogród to lata pracy. Pierwszego roku sadzisz ziemniaki, ale pojawia się stonka i musisz starannie wybierać larwy, bo inaczej wszystko szlag trafi. Drugiego roku wypatrujesz stonki, a tymczasem kapusta umiera na kiłę. Albo przyłazi dzik i trąca maliny. Powinnaś być zawsze o krok przed przyrodą, ale to się nigdy do końca nie udaje. Potrzebujesz jej i boisz się jej, raz jest z tobą, raz przeciwko tobie. Uczysz się ją szanować. Uprawa roślin wymaga wiedzy i dyscypliny.

•

W drodze do domu zatrzymuję się przy sosnowym lesie i próbuję odczytać napis upamiętniający zabitych partyzantów.

Passant pour que tu vives libre, dans cette forêt le 17 avril 1944 dix-sept maquisards ont été tués au combat.

„Oddając życie za twoją wolność, w tym lesie 17 kwietnia 1944 roku poległo w boju siedemnastu bojowników podziemia”.

Poniżej widnieją nazwiska obrońców obozu *maquis*. Rozpoznaję jedno na samym dole: *Rose Donnadieu*.

•

Mama unika Kerima. Zauważyłam, że ma podkrążone oczy. Trudno się oprzeć wrażeniu, że jego homoseksualizm był dla niej większym ciosem niż to, że jej wnuczka ma jajecznicę zamiast mózgu.

Przede wszystkim przestała się stroić. Snuje się po domu, sprząta, zmywa, prasuje.

Kerim na próżno czyni zabiegi, by odzyskać jej przyjaźń.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję.

– Może zaparzyć ci dobrej herbaty?

– Nie mam ochoty.

Im bardziej go odrzuca, tym usilniej on stara się o jej względy. Przykro na to patrzeć.

Powstała w życiu pustkę mama wypełnia przytykami pod moim adresem.

– Skarbie, nie wyglądasz najlepiej. Ostatnio bardzo się postarzałaś. No i te twoje palce u stóp!

– Palce u stóp?! Wiem, że nie jestem ideałem, ale co jest nie tak z moimi palcami u stóp?

– Łuszczy ci się lakier na paznokciach. Uważaj, żeby ktoś tego źle nie zrozumiał. Za moich czasów tylko kobiety określonego rodzaju nosiły złuszczony lakier.

Na domiar złego Kerim wciąż bierze ją w obronę.

– Nie powinnaś być zbyt surowa dla swojej mamy – mówi, widząc, że stoję sama w kuchni i liczę do dziesięciu. – To naprawdę niezwykła kobieta. I bardzo cię kocha.

– Wiem o tym. Ale zawsze powie coś, co mnie wkurzy. Gorzej, mówi rzeczy nie do przyjęcia. Nie tylko o tobie i Gustavie. To, co opowiada o Frei, jest po prostu obraźliwe.

– Ona tego nie robi naumyślnie. Przechodzi trudny okres. Umarł jej mąż, próbuje sobie jakoś poradzić z tym, co się przydarzyło Frei.

– Ja też próbuję sobie z tym poradzić, a nie stałam się z tego powodu kryptofaszystką. Bardzo mi przykro, że tak cię traktuje.

– Nie, sam jestem sobie winien. Powinienem od początku być z nią szczerzy. Zawiodła się na mnie.

– Kerim, nie wygłupiaj się. Jesteś dla siebie zbyt surowy. Wszyscy wiedzą, że jesteś cudownym człowiekiem.

– Cudownym – powtarza z goryczą. – Nie jestem cudowny.

– Jesteś. Masz mnóstwo wyrozumiałości dla mojej mamy – dla swojej zresztą też.

– Dla mojej? – Pochyla się nad kuchenką i milcząc posepnie, bawi się czajnikiem. Włącza go przyciskiem i wyłącza, gdy woda zaczyna szumieć. Powtarza to kilkakrotnie, nasłuchując szumu i starając się zareagować jak najwcześniej. Zaczyna mi to działać na nerwy.

– Moja mama się zabiła – mówi, nie patrząc na mnie. – Miałem wtedy

dziewięć lat.

– O mój Boże.

– Wiesz, co jest dziwne? Nie płakałem. Nawet na pogrzebie. Wszyscy powtarzali, że bardzo dzielnie to znoszę. A ja czułem się okropnie.

Przypominam sobie pierwsze dni z Freją. Płacz był dla mnie ulgą, łzy przynosiły ukojenie.

– Do dziś jestem dla wszystkich tak cholernie miły, że aż chce mi się wyc. – Wciąż patrzy w bok, jego idealne usta krzywią się, jakby ten obraz siebie budził w nim niesmak. – Nie ma w tym nic cudownego. Jestem tchórzem. Nie mam odwagi nikomu się sprzeciwić. Boję się odrzucenia. Nie chcę znów poczuć się odtrącony. Nigdy więcej.

•

– Skarbie, to dziecko reaguje na twój głos, kiedy wchodzisz do pokoju – oznajmia mama. Oddałam jej na chwilę Freję, żeby przygotować kawę.

– Zdawało ci się.

– No przecież ci mówię. Do tego nie potrzeba mózgu, głuptasie. Jesteś jej matką.

W naszych wzajemnych stosunkach obowiązuje niepisana umowa: nigdy nie zgadzam się z jej zdaniem, a ona odpłaca mi tym samym. Dlatego biorąc od niej Freję i kładąc ją sobie na ramieniu, nie przyznaję się, że nieraz miewam podobne wrażenie – jakby próbowała nawiązać ze mną kontakt.

Kiedy leży ze mną w łóżku, trąca mnie delikatnie rączką. Nie mogę powiedzieć, że wyciąga do mnie ręce. A jednak zawsze któraś część jej ciała styka się z moim.

Podczas karmienia patrzy mi w oczy. Dziś rano naśladowałam jej minę, kiedy odchyła głowę do tyłu jak miniaturowy Mussolini. Za którymś razem przestała ssać i zaczęła mi się przyglądać. Coś w niej zaskoczyło, jestem tego pewna. Mogłabym przysiąc, że poruszała głową w ślad za moją. Naśladowała moje ruchy.

Zmienia się moja miłość do niej. Jest mniej fizyczna, mniej automatyczna i zarazem głębsza.

Kerim wtyka głowę przez uchylone drzwi i wrywa mnie z zamyślenia.

– Właśnie robię kawę – mówię. – Usiądź z nami.

Spogląda błagalnie na wolne miejsce obok Amelii, lecz ta odwraca głowę i ostentacyjnie odsuwa się jak najdalej od pustego krzesła.

– Nie, nie, dziękuję – odpowiada i znika.

– Mamo, nie możesz być dla niego taka. Sprawiasz mu wielką przykrość.

– To mnie jest bardzo przykro. Opowiadałam mu o swoich poglądach na życie, a on we wszystkim się ze mną zgadzał. Ufałam mu. Czuję się oszukana.

Zastanawiam się, czy wolno mi powtórzyć jej to, co powiedział mi o swojej matce. To by ją z pewnością udobruchało. Boję się tylko, że znów zachowałyby się jak słoń w składzie porcelany.

– Spójrz na to z innej strony. On też nam zaufał, wtajemniczył nas w swoją prywatność, a my go zawodzimy. Przecież to wciąż ten sam Kerim. Nie widzisz tego?

– Nie widzę. To już nie to samo. Tamtego Kerima nie ma. – W jej głosie przebija autentyczny smutek. Nagle dociera do mnie, że mama jest pogrążona w żałobie. Straciła bliską osobę.

W tej samej chwili Freja delikatnie obejmuje moją szyję. Robi to jakby mimochodem. Przypadek? Potrzeba kontaktu? Czy to możliwe, że próbuje mi w ten sposób coś powiedzieć?

•

Od rana dom rozbrzmiewa uderzeniami młotka. Kerim siedzi z obnażonym torsem w pokoju na górze i wyładowuje swoje frustracje na spróchniałych deskach, niczym skandynawski bóg piorunów. Wygląda na to, że postanowił odzyskać przychylność Amelii heroicznymi czynami.

Mama od czasu do czasu, kiedy myśli, że Kerim nie patrzy, po cichu do niego zagląda. Czytam wtedy w jej myślach jak w komiksowym dymku: nieczęsto w życiu trafia się przystojny młody mężczyzna z młotkiem gotowy na każde jej skinienie.

•

Ludovic coraz śmielej poczyną sobie na naszej ziemi. Zaczął wypasać owce na naszym polu, a dookoła pociągnął ogrodzenie pod napięciem. Akumulatory zabezpieczył łańcuchami i kłódkami, żebyśmy nie mogli się do nich dostać.

– W okolicy roi się od *voleurs*. Złodziei. Wszędzie ich pełno. Takie czasy. Trzeba dbać o swoją własność.

– Tobias, pozwoliłeś Ludovicowi postawić te ogrodzenia?

– Coś tam o nich mówił – przyznaje Tobias z roztargnieniem. – Zostawmy mu wolną rękę. Trzeba żyć w zgodzie z sąsiadami.

Jego francuski jest coraz lepszy. A ściślej rzecz biorąc, uczy się tutejszego dialektu, który ma niewiele wspólnego z językiem pisanym. Wdaje się w długie rozmowy z Ludovikiem i innymi mamroczącymi *paysans*. Nieraz mam wrażenie, że rozumie więcej niż ja. Wciąż jednak nie nauczył się mówić „nie” – w żadnym języku.

Ludovic jeździ traktorem po naszym polu, wyśmiewa nasz system irygacyjny, kręci głową, ilekroć ogląda naszą część ogrodu. Co gorsza, kiedy wczoraj poszłam rzucić okiem na winorośle, okazało się, że rosnąca tam do

niedawna bujno przetykana kwiatami trawa zmarniała i zbrązowiła.

- Prysnałem *Roundup de Monsanto*. Zostało mi trochę.
- Ludovic, nie wydaje mi się, żeby...
- Bzdura. Jak chwasty się wysieją, wszyscy sąsiedzi ucierpią. Nie można się litować nad przyrodą, bo ona się nad nami nie zlituje. *Il faut empoisonner*.

•

Zbocze jest usiane kwiatami.

Na spacerzy bierzemy koszyki, zbieramy do nich okoliczne skarby: na szczytach dzikie róże i maliny, na ścieżce kwiaty czarnego bzu, w lesie jagody, poziomki na polanach. W ogrodzie rozwija swoje delikatne liście rabarbar. Pojawiają się pierwsze truskawki. Ożywają krzewy malinowe i porzeczkowe. Nie szkodzi, że marni z nas ogrodnicy. Praca poprzednich pokoleń przynosi owoce – w dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Mam coś dla ciebie – oznajmia Ludovic, kiedy spotykam go w ogrodzie. Wręcza mi cienki notes. – To są przepisy Rose. Jesteś kucharką, może ci się przydadzą.

– To wspaniały prezent. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Drobiazg. Ale czekam na ten gulasz z dzika.

Nieco później, wreszcie mając chwilę dla siebie, siadam i oglądam notes. Na podartej niebieskiej papierowej okładce widnieje misternie wykaligrafowany podpis: Rose Donnadiou. Papier, który pamięta czasy wojny, jest cieniutki, kratkowany.

Strony są wypełnione starannym belferskim pismem Rose. Wiele przepisów na przetwory z lokalnych warzyw i owoców, uszeregowane według pór roku.

Jest też kilka stron zapisków o życiu w odległej górskiej wiosce, gdzie uczyła dzieci – być może są to brudnopisy listów. Czytam i zdaje mi się, że słyszę jej energiczny głos i pobrzmiwającą w nim dezaprobatę wobec zacofania ludzi, wśród których przyszło jej zamieszkać.

Moi uczniowie przychodzą do szkoły w chodakach. Niektórych rodziców muszę surowo upominać, bo zamiast posyłać dzieci na lekcje każą im wypasać owce.

Prawda jest taka, że żyje się tu ciężko. W zimie noce są mroźne. Nie ma bieżącej wody ani prądu. Kobiety piorą ubrania w rzece, używając popiołu z paleniska.

Pośrodku jest kilka pustych kartek, a potem zaczynają się pisane od końca zeszytu domowe rachunki. Całe strony drobiazgowych wyliczeń: ile franków wydała na chleb, cukier, herbatę, smalec.

Nic, co wskazywałoby, że prowadziła podwójne życie partyzanckiej łączniczki.

•

Freja podczas napadów wykonuje inne niż dotąd ruchy. Wywija groteskowo nóżkami jak pływający pudel, boksuje powietrze rączkami. Potężne drgawki targają całym jej ciałem. Mięśnie kurczą się gwałtownie w kilkusekundowych odstępach. Trudno uwierzyć, że tak małe dziecko jest w stanie to wytrzymać.

– Znow ma atak – mówię Tobiasowi. – Dopiero co ją nakarmiłam. Dostaje drgawek za każdym razem, kiedy nie może jej się odbić. Zadzwoń do doktor Fernandez i zapytaj, co mamy robić.

Siedzę z Freją i odmierzam stoperem długość konwulsji.

– Fernandez mówi, żeby nie panikować – donosi Tobias. – Wolałaby nie zwiększać kolejny raz dawki fenobarbitalu. Mamy wpaść z Freją, jak będziemy w Londynie. Jeżeli atak będzie trwał dłużej niż pięć minut, trzeba zaaplikować valium albo wezwać karetkę.

– To już cztery i pół minuty. Lepiej przygotuję valium.

– Chyba się uspokaja. Popatrz, złapała oddech.

– A teraz znow się trzęsie.

– To już następny atak. Zaczynj mierzyć czas od nowa.

– Tak myślisz?

– No jasne. – Choć znam go tyle lat, wciąż nabieram się na ten stanowczy ton.

– Obudź się, skarbie – mówię. – Popatrz na mamusię. – Drgawki stopniowo słabną, Freja jak zwykle po ataku zapada w odrętwienie. Nazajutrz rano budzę się zupełnie wypompowana. Sięgam po zeszyt Rose.

Owoce dzikiej róży mają dużo witaminy C. Starannie oczyść je z nasion i gotuj miąższ aż do uzyskania syropu. Dla zdrowia podawaj dziecku jedną szklankę dziennie rozcieńczoną trzema częściami wody.

Na pewno nie zaszkodzi wypróbować kilku przepisów z jej zeszytu. Jadę do miasteczka po cukier i weki.

•

Rano budzi mnie cudowny aromat. Podchodzę do okna: widok z niego jest obramowany różami. Nie mogę się doczekać robienia przetworów.

Poziomek na konfitury nie należy myć, bo stracą swój delikatny smak. Ugotuj trzy części owoców z dwiema częściami cukru i łyżką soku cytrynowego, żeby lepiej tężały.

Gotowe przetwory w czyściutkich słoikach opatrzonych etykietkami ustawiam na półkach w równych rzędach. Narobiłam tyle galaretek, syropów, sosów i dżemu, że chyba nigdy tego nie przejemy.

– Powinnaś trochę przystopować – radzi mi Julien. – Sezon na owoce

dopiero się zaczął. Pracując w takim tempie, nie dożyjesz jesieni.

Zbynam jego uwagę milczeniem. Kuchnia to moja pracownia artystyczna, moje laboratorium. Teraz rządzi w nim Rose.

Jakby na przekór wojennej biedzie spisywała w zeszycie wykwintne przepisy sprzed wojny.

Robienie przetworów z jadalnych kwiatów to zajęcie dla cierpliwych, ale wcale nie takie trudne. Jeśli tylko nie ma problemu z zaopatrzeniem w cukier, stanowią one tutejszy specjal.

Za jej poradą eksperymentuję z czerwonymi różami damasceńskimi: ugotowane w syropie cukrowym zmieniają się w lepka różową konfiturę o zapachu lata i rachatlukum. Udało mi się zachować kolor i aromat fiołków, malując każdy drobny płatek specjalną miksturą z cukru i białek. Zrobiłam też gęsty żółty syrop z mleczy.

– „Konfitura truskawkowa, II partia, 40% cukru” – czyta na głos Julien. – „Syrop z mleczy”. „Szampan z czarnego bzu”. Trochę nudne te opisy.

– Nudne? W jakim sensie?

– Skoro już zadałaś sobie tyle trudu, spróbuj przechować coś więcej niż tylko owoce. – Sięga po nożyczki i zaczyna wycinać długie paski papieru. – Daj mi pisak. Pokażę ci.

Patrzę mu przez ramię, jak pisze.

– „Konfitura truskawkowa zrobiona w piękny majowy poranek przez Annę w niebieskiej sukience”.

Chichoczę rozbawiona. Julien podaje mi pisak.

– Teraz ty.

– Co mam napisać?

– Cokolwiek, co jest dla ciebie ważne w tej chwili.

Piszę więc: „Syrop z mleczy zrobiony przez Annę w dniu, w którym Freja pierwszy raz chwyciła ją za włosy”.

Uśmiecha się.

– Widzisz, zaczynasz chwycić.

– To jak przechowywanie wspomnień. Kiedy otworzę je za pół roku, przypomnę sobie, jak to było być mną tu i teraz.

•

– Dziś jest Dzień Zwycięstwa – mówi Ludovic. – Może przyjdziecie na uroczystość?

Schodzimy z Tobiaszem do Aigues z Freją w nosidełku. Mamy na sobie kalosze i ubrania do pracy w ogrodzie. O tym, że to nieodpowiedni strój, przekonujemy się dopiero na miejscu: wszyscy zebrani mają na sobie ciemne garnitury bądź suknie. Yvonne udekorowała pomnik kwiatami w barwach

francuskiej flagi, tyle że zamiast czerwonych użyła pomarańczowych, a zamiast niebieskich – turkusowych.

– Jaskrawsze kolory wyglądają egzotyczniej – wyjaśnia mi szeptem. – Podnieś małą, niech zobaczy.

Prawie każda miejscowość we Francji ma pomnik z długą listą poległych w pierwszej wojnie światowej. Aigues nie jest wyjątkiem. Ale już długa lista partyzantów zabitych w drugiej wojnie stanowi pewną rzadkość.

Ludovic stoi obwieszony medalami.

– Z niego dopiero był podrywacz – mówi Yvonne. – Oglądał się za spódniczkami. Zresztą do dziś mu nie przeszło.

– Już sześćdziesiąty trzeci rok świętujemy nasze zwycięstwo – wita mer zgromadzonych – i będziemy to robić nadal, bo to nasz obowiązek. Musimy przekazać młodemu pokoleniu wiedzę o tym, co się wydarzyło...

– 8 maja 1945 roku leżałem ranny w szpitalu w Ardenach – zwierza mi się Ludovic teatralnym szeptem. – Przyszli, znaleźli mnie i wzięli na plecy. Miałem dopiero szesnaście lat, ale zrobiłem swoje. Jestem bohaterem ruchu oporu.

Mer urywa i przez chwilę w milczeniu zмага się ze starym magnetofonem kasetowym.

– Jak zginęła Rose? – pytam. – Widziałam jej nazwisko na pomniku w lesie. Ale zazwyczaj gadatliwy Ludovic ignoruje moje pytanie.

– Co rok jest problem z magnetofonem. To skandal. Musimy urządzić *lotto* i zebrać pieniądze na nowy.

W końcu kasetę się włącza i rozbrzmiewa trąbka na cześć poległych. Pochylają się flagi Francji i ruchu oporu.

Rozlega się *Marsylianka*, a po niej *Le Chant des Partisans*, hymn ruchu oporu. Jest w tym wszystkim coś wzruszającego. Flagi delikatnie powiewają na wietrze, wystrojeni mieszkańcy stoją nieruchomo, Ludovic ma w oczach łzy, magnetofon lekko szwankuje i śpiewakowi jakby łamał się głos.

Mer wyłącza kasetę na chwilę przed końcem utworu. Z namaszczeniem rozwija kartkę i rozpoczyna przemówienie.

– W trakcie drugiej wojny światowej honoru Francji broniła mniejszość, która rosła z każdym dniem. Nie wolno nam zapomnieć, że Francja obok Wielkiej Brytanii była jedynym krajem, który wypowiedział wojnę Niemcom po ich napaści na Polskę. W latach okupacji honoru Francji bronił ruch oporu. Musimy o tym pamiętać i powtarzać to naszym dzieciom.

– Gdzie był mer w czasie wojny?! – krzyczy mi do ucha Ludovic. – Nie należał do ruchu oporu, a jest rok starszy ode mnie.

Mer składa kartkę.

– Uroczystość dobiegła końca – oznajmia. – W imieniu ratusza jak zwykle zapraszam wszystkich do bistra Yvonne na toast.

Ludzie rozchodzą się po placu. Ludovic i ja idziemy za merem.

– Mój przyjaciel Roland jest bardzo dobrym stolarzem – mówi Ludovic. – Robił dla nas miniaturowe trumienki. Nocą wymykałem się z domu i wsuwałem je pod drzwi ludziom, którzy mieli za długi język. Z liścikiem: „Trzymaj język za zębami, bo pożałujesz”. Bardzo dobry sposób. To była moja pierwsza robota dla partyzantów. Piękne trumienki, ale pewnie nikt ich nie zachował na pamiątkę. – Spogląda bez przyjaźni na idącego przed nami mera. – Jedną podrzuciłem jego ojcu.

W bistrze Yvonne nalewa wszystkim po kieliszku pastisa. Atmosfera panuje serdeczna. Ludovic klepie mera po plecach i gratuluje mu przemówienia.

•

W ogrodzie zaroilo się od węgorki. Istna plaga egipska. Zatrokana stanem zdrowia Frei doszukuję się w tym złej wróżby.

– Musiały przypłynąć w nocy kanałem – stwierdza Tobias.

– Czy one aby nie są gatunkiem zagrożonym wymarciem?

– Te na pewno.

Znajdujemy parę żywych i wrzucamy je z powrotem do rzeki. To straszne: biedne stworzenia liczyły, że *béal* zaprowadzi je na otwarte morskie wody, a tymczasem ugrzęzły w błocie za naszym domem.

Freja co noc ma dwa, trzy ataki. W dalszym ciągu do niej wstaję, ale coraz opieszalej. Nie zawsze biorę ją na ręce. Czasem tylko stoję i patrzę, jak sinieje i wstrząsają nią drgawki. Czekam, aż złapie oddech. Nie chcę, żeby dożyła naszej starości, a swojego wieku średniego. Logicznie rzecz biorąc, to oznacza, że chcę, żeby umarła przede mną.

Ale nie teraz, jeszcze nie teraz. Modlę się o nią wbrew sobie, to silniejsze ode mnie.

Włosy z tyłu głowy ma wytarte od ciągłego leżenia. Czasem kładę ją na brzuchu, podobno to dla niej dobre. Próbuje poruszać rączkami i nóżkami w skoordynowany sposób – jakby przymierzała się do raczkowania – ale słabo jej to idzie. Ciągle zapomina o jednej ręce, wywija rozpaczliwie nogami, z trudem unosi głowę, by po chwili, zmęczona, ją opuścić. Postępuje sfrustrowana i zła.

Nie teraz, jeszcze nie teraz.

Nie mam dla niej czasu. Ściślej mówiąc, mogłabym go znaleźć, ale nie zamierzam. Dojrzewają wiśnie. Ani się obejrzę, a pospadają na ziemię pomarszczone i bezużyteczne. Muszę zrobić z nich przetwory.

Konfitura wiśniowa to moja ulubiona. Gęsta jak melasa, ciemna jak wino, z dużymi kawałkami owoców. Zrobiłam ją według przepisu Rose, dodając płatki róży z krzewu za oknem. Jej wskazówki są precyzyjne, prowadzi mnie za rękę. *Smaż w miedzianym rondlu, mieszaj drewnianą łyżką. W razie braku cukru możesz*

użyć syropu z ugotowanych winogron. Dodaj płatki róży na równo cztery i pół minuty przed zdjęciem wiśni z ognia.

Po wrzuceniu płatków do rondla spowija mnie cudowny aromat. Wyobrażam sobie, jak Rose robiła to samo, w tej samej kuchni, kilkadziesiąt lat temu. Woń róży powoli słabnie, miesza się z cięższym zapachem wiśni. Powraca po otworzeniu słoika, jakby kryło się w nim lato.

Wiśni przybywa z każdym dniem – istna lawina, powódź zalewająca nasz dom.

Kerim i Gustave zwożą je z ogrodu taczkami. Dojrzewają falami, w zależności od odmiany. Najpierw jaśniejsze, potem duże i ciemne, wreszcie tutejszy specjał: żółto-purpurowe, podobne do malutkich jabłek.

Kupiłam drylownicę i spędzam nad nią długie godziny. Pozostawione sobie, wiśnie zgniłyby w kilka dni. Muszę się śpieszyć, jeśli chcę je ocalić.

Ręce mam po łokcie uwalane sokiem. Poczerniały mi paznokcie i skórki wokół nich. Biorąc przykład z Rose, zrobiłam wiśnie kandyzowane, wiśnie w rumie, wiśnie w occie, wiśnie suszone i sorbet wiśniowy. A wiśni przybywa i przybywa. Gdyby jeden człowiek miał zjeść wszystkie, nie starczyłoby mu życia.

Powtarzam sobie, że cały ten wiśniowy interes to inwestycja w naszą przyszłość. Że kiedyś będę prowadziła kursy domowego przetwórstwa, a może sprzedawała własne wyroby. Ale tak naprawdę nie mogę znieść myśli, że taka obfitość darów natury miałyby się zmarnować. Gromadzę zapasy.

Dokądkolwiek idziemy, zapomniane przez człowieka drzewa wiśniowe rozsypują przed nami swoje bogactwo. Są pokrzywione i rachityczne, ale instynkt rozrodczy wciąż jest w nich silny.

Pewnego dnia odkrywam, że myszy przegryzły plastikową zakrętkę nutelli. Słoik był pełny, teraz jest wylizany do czysta. Na dnie leży krążek plastiku.

Powstaje niepokojące pytanie: czy to znaczy, że jeśli zechcą, wygrzą dziury w moich plastikowych pojemnikach na żywność?

– Tobias, zobacz, co zrobiły. Myślisz, że powinnam przełożyć wszystko do słoików? Do słoików się nie dostaną, prawda?

Zawsze pogodny i dowcipny Tobias, miłość mojego życia, ostatnio często wpada w szał z byle powodu.

– Na litość boską, Anno, daj spokój z tymi swoimi słoikami i pojemnikami! Nie rozumiesz, że mam po dziurki w nosie tych ciągłych rewolucji? Żebyś nie wiem, ile narobiła konfitur, żebyś nie wiem, jak świrowała na punkcie Rose i przeszłości, nasza córka i tak będzie miała przesrane życie. I ty też, jeśli nie nabierzesz do niej dystansu.

•

W kuchni zastaję Kerima osaczonego przez moją mamę. Prawi mu kazanie:

– Zrozum, skarbie, wcale nie jesteś homoseksualistą. Tylko ci się tak wydaje...

– Amelio – broni się – wiem, że trudno ci to pojąć, ale...

Zagryzam wargę, czekając, aż da jej odpór. Niech mama wreszcie zrozumie, że świat jest inny, niż jej się zdaje.

– Kocham Gustava – oświadcza drżącym głosem, który przypomina bardziej pytanie niż stwierdzenie. Mama przerywa mu okrzykiem bezsilnej rozpacz. Jej oczy wzbierają łzami. I wtedy Kerim odpuszcza. – Znamy się od czasów szkoły – mamrocze pod nosem. – Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi...

Mama błyskawicznie przechodzi do ataku.

– Oczywiście – zapewnia kojącym tonem – to zupełnie normalne. Byliście młodzi i zagubieni. Chcieliście spróbować wszystkiego. Pewnie cię sprowokował.

Opiera ręce na szczupłych biodrach i patrzy na niego wzrokiem, jakim patrzyła na mnie, gdy miałam naście lat i, jak to nazywała, wykladała mi „prawdę o życiu”.

– Niech zgadnę: to głupie nieporozumienie między tobą a twoją matką ma związek z Gustavem.

Kerim milczy, ale jego oczy zdają się mówić „tak”.

– Musisz na to spojrzeć z jej perspektywy, skarbie. Na pewno czuje się zraniona i dezorientowana. Nie myśl, że przestała cię kochać. Kiedy zrozumie, że to tylko problemy okresu dojrzewania, wszystko się między wami ułoży.

Jej zdolność nieprzyjmowania do wiadomości niewygodnych faktów nie przestaje mnie zadziwiać. Tym razem przeszła samą siebie, ignorując rzeczywistość, z którą stoi oko w oko.

– Może podasz mi jej adres? Napiszę do niej. Jeśli będzie trzeba, mogę ją nawet odwiedzić i wszystko jej wyjaśnić. Gdziekolwiek mieszka. Nawet w Algierii. Porozmawiam z nią jak matka z matką i raz na zawsze wyjaśnimy to absurdalne nieporozumienie.

Nawet Kerim nie może na to przystać.

– Nie naciskam, skarbie – oznajmia Amelia. – Dam ci trochę czasu, żebyś to sobie przemyślał.

Wychodząc, posyła mi triumfalne spojrzenie. Kerim siedzi nieruchomo przy kuchennym stole. Migdałowe oczy spoglądają w przestrzeń za oknem.

•

Gustave musi bardzo kochać Kerima. Odważył się zagadnąć moją mamę swoją powolną, rozczulającą angielszczyzną.

– *Madame*, proszę mi pozwolić któregoś dnia ułożyć pani piękne włosy. Uczyłem się w najlepszym *salon de coiffure* w Tuluzie.

Mama jest wyraźnie rozdarta. W innym świecie – to znaczy: w takim,

w którym nie patrzyłaby na wszystkich z góry – Kerim latałby dla niej na posyłki, a Gustave zajmował się jej fryzurą. Widzę, że działają na nią przeciwstawne siły, niczym na planetę orbitującą wokół słońca.

•

Środek dnia. Wszyscy w oczekiwaniu zebrali się w kuchni. Stoję z trzepaczką w ręku nad parującym garnkiem. Obok w łóźeczku leży Freja. Zaplanowałam na dziś *bouillabaisse*, ale nie zaczęłam nawet przyrządzać wywaru, a co dopiero mówić o gotowaniu przez kilka godzin, tak jak uczył René Lecomte. Zaglądam więc do zeszytu Rose.

Jest tam przepis na znacznie prostsze danie o nazwie *bourride* z nadmorskiego Sète. Zamiast wywaru rybnego używa się zwykłego bulionu z warzyw i ziół. Zamiast czterech rodzajów ryb, jeden: żabnica. Żabnicę gotuje się na wolnym ogniu w wywarze. Zupę na końcu zagęszcza się uprzednio przygotowanym sosem *aïoli*, majonezem czosnkowym.

Prostota opisanych przez Rose skromnych langwedockich potraw jest wyzwalająca. Zwykle cała rzecz sprowadza się do połączenia kilku świeżych składników – dostrzegam tu załączki wielu klasycznych dań *haute cuisine*, których swego czasu uczyłam się z takim mozołem. Przyrządzając potrawy z tego zeszytu, czuję, że sięgam z powrotem do korzeni.

– Skarbie, Freja ma atak – oznajmia nagle mama.

– Chwilę. Muszę pilnować, żeby sos się nie zwarzył. Już gęstnieje.

– Czy ona oddycha?

– Nic jej nie jest – ucinam.

– Jest cała sina.

– Nie jest – oznajmiam, nie spoglądając nawet w kierunku wózka.

– Jak uważasz, skarbie. Ty jesteś jej matką. Wiesz, co dla niej najlepsze.

Tego już dla mnie za wiele.

– Wypchaj się z tym swoim kultem macierzyństwa! Nie posiadam nadprzyrodzonych mistycznych mocy i nie zawsze wiem, co jest najlepsze dla mojego dziecka. Przez ostatni tydzień prawie nie zmrużyłam oka. Czy ty masz w ogóle pojęcie, co to znaczy opiekować się nią każdej nocy? Nie wiedzieć, czy to nie będzie jej ostatnia noc?

Mama patrzy na mnie badawczo.

– Kochanie, coś niewyraźnie wyglądasz. Nie masz gorączki? – Wyciąga rękę do mojego czoła.

– Na litość boską, nie jestem chora. Jestem zmęczona, bo mam ciężko upośledzoną córkę. Nie mogę już słuchać tego gadania, że świetnie sobie radzimy i że ona zawsze będzie naszą kochaną córeczką. Nie zawsze nią jest i nie zawsze sobie radzę. Sama nie wiem, czemu tak o nią walczę. Może dlatego, że nie mam

siły myśleć o innych rozwiązaniach.

– Kochanie, chyba nie myślisz tak naprawdę?

– Skoro jesteś taka mądra, to sama mi powiedz. Na co cały mój wysiłek? Jaki jest sens, żeby ona żyła?

To ją wyraźnie zbiło z tropu.

– No cóż, skoro rozróżnia ciepło i zimno, skoro potrafi odczuwać radość i smutek... Zresztą nic nie wiadomo – dodaje pod wpływem nagłego olśnienia. – Może uda się ją przyuczyć.

– Przyuczyć?

Mama wyjaśniała.

– Tak, z całą pewnością. Przecież nawet ślimaka można przyuczyć.

– Chryste – zżymam się. – I właśnie to nam proponujesz?

– Skarbie, przechodzisz ciężki okres, ale to minie, zobaczysz. Wszystkie matki tak mają po urodzeniu pierwszego dziecka. Dojdiesz do siebie. I ona też. – Nastaje chwila ciszy. Staram się nie widzieć jej rozedrganej dolnej wargi. Wreszcie wybucha: – Musisz dojść do siebie, skarbie. Zrób to dla mnie.

Odkąd skończyłam szesnaście lat, nie zmarnowałam żadnej okazji, by przypomnieć mi, jak bardzo chciałyby mieć wnuki. Kto wie, czy to nie z powodu tej przytłaczającej presji tak długo się z tym wstrzymywałam. Choć ani razu jej o to nie pytałam, ona także musi bardzo przeżywać stan Frei.

Otwieram usta, by spróbować ją pocieszyć, gdy nagle wcina się Tobias.

– Anna ma rację. Trzeba na to patrzeć realistycznie. Są rzeczy, z których człowiek nigdy się nie otrząśnie.

– Moja córka się otrząśnie. Rozkazuję ci, Anno.

– Nieprawda – upiera się Tobias. – Samo istnienie tego dziecka niszczy nam życie. Im bardziej będziemy ją kochać, tym gorzej dla nas. Nie wiem, dlaczego bronisz Frei. Zrozum, że to... to tamagotchi rujnuje życie twojej córce.

Mama zerka spanikowana to na mnie, to na Freję. Czytam w jej myślach, jakby wypowiadała je na głos. Jak można od niej oczekiwać, by wybrała między córką a wnuczką? Na moment przenikam poza jej makijaż, apaszkę Hermèsa, całą tę fasadę, którą odgrodziła się od świata, i czuję, jakbym oglądała w zwolnionym tempie katastrofę pociągu, przerażone miny pasażerów, którzy, uwięzieni w wypadających z szyn wagonach, rozumieją, że nic, ale to nic nie mogą zrobić.

I wtedy na torach staje Kerim.

– Tobias, gadasz od rzeczy. Freja nie zniszczy wam życia.

Mówi zmienionym głosem, dobitnym i spokojnym. Nie poznaję go.

– Nie rozumiem, skąd miałbyś to wiedzieć – broni się Tobias.

– Bo ja do tego nie dopuszczę.

Tobias przygląda mu się zaczepnie, lecz Kerim ani mrugnie. Zawsze był przystojny, a teraz jest naprawdę męski.

Zalega cisza. Przerywa ją dopiero stłumiony okrzyk Amelii padającej Kerimowi w ramiona. Gustave nie traci czasu i do nich podbiega. Mama jakby rozważała przez ułamek sekundy, czy nie zamienić się w chłodny posąg. Ale nie – wszyscy troje zastygają w objęciach.

– Tak się zastanawiam – mówi mama, wyslizgując się dyskretnie z uścisku Gustava – czy teraz kiedy się trochę opaliłam, nie byłoby mi lepiej w ciut jaśniejszym odcieniu włosów? Jak myślisz?

•

Freja przeziębila się i ma temperaturę. Zatkany nos utrudnia oddychanie, a to grozi jeszcze groźniejszym niedoborem tlenu podczas ataków.

Siedzę na sofie, trzymam ją na kolanach i ocieram wilgotną gąbką jej rozpalone ciało. Właśnie dostała kolejnego ataku. W takich chwilach nie znoszę być sama.

– Tobias! – wołam.

Żadnej odpowiedzi. Znów udaje, że nie słyszy. Doprowadza mnie to do szału, całkiem dosłownie. Przestaję zachowywać się racjonalnie. Na próżno wołam kilka razy, wreszcie na całe gardło:

– Tobias! Ona nie oddycha!

Przybiega błyskawicznie. Spogląda na mnie ze wstrętem.

– Przecież oddycha normalnie.

Freja jest cała zeszywniała, oczy ma wywrócone, głowę zwieszoną na bok, jedno ramię podniesione, jedną nogę opuszczoną; zastygła w bezruchu jak pies myśliwski. Trwa w tej pozie nawet kiedy ją obracam. Wreszcie zaczyna powolutku wracać do siebie, z jej ust wydobywają się ciche cmoknięcia.

– Idę do łóżka – oznajmia Tobias. – To twoja kolej. Ja cię wczoraj nie budziłem, a miała trzy ataki co najmniej tak silne jak ten.

Zostaję z nią sama. Całuję ją delikatnie w czoło. Odwzajemnia mi się nagłym, szelmowskim uśmiechem. Jestem pewna, że to był uśmiech; różnił się od grymasu na wietrze i odpowiadał nastrojowi chwili.

Ten cud powtarza się przy kąpieli. Znów się do mnie uśmiechnęła: nieśmiało i przelotnie, jak gdyby po kryjomu.

Kiedy odkładam ją do łóżeczka, przeszywa mnie myśl o kruchości nie tylko jej życia, ale również jej istoty. Rzadko zdaję sobie z tego w pełni sprawę; mój umysł broni mi dostępu do tej wiedzy.

– Tobias.

– Hmm.

– Tobias, obudź się.

Ale Tobias chrapie w najlepsze. Leżę wsłuchana w ciężki oddech Frei, wstrzymując własny za każdym razem, gdy tamten przycicha. Nie śmiem zasnąć,

bo atak może się powtórzyć w każdej chwili.

•

Freja jest przyczyną wielu naszych kłótni. Każda moja sugestia spotyka się z oporem. Może powinniśmy użyć valium? A po cholere? Może zadzwonimy po karetkę? Szpital jest dwie godziny drogi stąd, zresztą nie zniósłbym kolejnego pobytu w szpitalu. Zadzwońisz do doktor Fernandez? Nie, ja dzwoniłem ostatnio, teraz twoja kolej. Nie zadzwonię, jestem zmęczona. Ja też nie zamierzam.

Jak dotąd Freja wychodzi cało ze wszystkich napadów. Coraz częściej zostawiamy ją samą. Stało się to niemalże punktem honoru. Jest piłką w niebezpiecznej grze. Gdzieś pod skórą tkwi w nas lęk – a może nadzieja – że tym razem nie dojdzie do siebie.

– Tobias, widziałam, jak Freja przez chwilę, może nie jakoś bardzo, ale jednak, tak mi się wydaje, uśmiechnęła się. Zrobiła zadowoloną minę.

– Nie opowiadaj. Ona się nie uśmiecha. Pewnie ma wiatry.

Tobias boi się mieć nadzieję.

•

W domu roi się od komarów, much i różnych gryzących owadów. Można zwariować. Potrzebujemy moskitier w oknach i nad łóżkiem. Potrzebujemy tylu różnych rzeczy, że już się pogubiłam.

Freja ma pokąsaną buzię, ale w ogóle jej to nie obchodzi. Leży na kanapie w salonie i znów ma drgawki. Ostatnio miewa sześć do ośmiu ataków dziennie. Dawno już przestaliśmy mierzyć ich długość.

Trzęsąc się konwulsyjnie, strąca na podłogę jedną ze swoich pluszowych zabawek. Kiedy się po nią schylam, zauważam szparę w listwie. Coś tam widać. Listwa jest obluzowana. Pociągam za jej koniec. Stawia opór. Pociągam mocniej i nagle listwa odskakuje z trzaskiem wyrywanych gwoździ.

Padając do tyłu, widzę, jak coś wzlatuje łukiem w powietrze nade mną. Ląduję na plecach, a to coś spada mi na klatkę piersiową – coś żółtego, wyschniętego, łysego, wąsatego i zębatego. Mija chwila, zanim dociera do mnie, że to zasuszony gryzoń. Znacznie większy od myszy.

– Kerim! – wydziera mi się z gardła. – Musisz mi zrobić te szafki z siatką. To nie są myszy! To szczury! Nic dziwnego, że robią tyle hałasu. I takie wielkie kupy. Teraz już wiem, skąd ten dziwny zapach.

Kerim przybiega i pomaga mi wstać.

– Anno, nie chciałem ci nic mówić. Przepraszam.

– Koniecznie musisz nam zrobić te szafki. Czy mógłbyś też wymienić listwę? Żeby tędy nie włążyły?

Krew huczy mi w skroniach. Kerim chce coś powiedzieć, ale się waha. Gdy

wreszcie przemawia, jego głos znowu brzmi stanowczo.

– Anno, straciłaś kontakt z rzeczywistością. Musisz przestać walczyć z myszami i zająć się Freją. Zadzwoń na pogotowie. Teraz. Przepraszam, że ci to mówię, ale zabijecie to dziecko.

Czerwiec

Telefon na pogotowie ma to do siebie, że w jednej chwili wywraca wszystko do góry nogami. Od tygodni spierałam się z Tobiasem o to, czy stan Frei jest na tyle poważny, że należy ją zabrać do szpitala. Wystarczyło wypowiedzieć przez telefon dwa słowa – „niemowlę” i „konwulsje” – byśmy nagle znaleźli się w innym świecie.

– Ile ma miesięcy? Jak długo trwa atak? Przyślemy ambulans strażacki, przyjedzie szybciej i ma lepsze wyposażenie.

Zaczynam pakować rzeczy dla siebie i dla małej. Jeszcze nie skończyłam, kiedy dobiega nas wycie syreny.

– To prawdziwy wóz strażacki – stwierdza Tobias. Z jakiegoś powodu musi pokazać, że stać go na dystans. – Z respiratorami dla zaczadzonych. Francuzi mają wysoce zintegrowany system ratownictwa.

Sześciu krzepkich strażaków kładzie Freję na noszach i zabiera ją do wozu.

– Wskakujcie – mówi jeden. Tobias traci swój luz i gramoli się do środka.

Jeszcze przed minutą byłam opanowana, lecz teraz udziela mi się dramatyzm sytuacji: moja maleńka leży w masce tlenowej na pełnowymiarowych noszach, a nad nią piszczy monitor. Przytulam się do Tobiasa i zaczynam płakać.

Ambulans z rykiem pokonuje serpentyny. W tylnym okienku migają winnice i zadbane działki. Miejscowi w podeszłym wieku, oparci na łopatach, odprowadzają nas wzrokiem.

Dolina rzeki Aigues znajduje się w stosunkowo wysokiej części Langwedocji. Zjeżdżamy niżej, wzgórza są coraz niższe i łagodniejsze, wreszcie robi się całkiem płasko. Wyciągam szyję i spoglądam przez przednią szybę: po obu stronach drogi rozpościera się rozedrgana upałem równina, w oddali pobłyskuje Morze Śródziemne.

Mkniemy przez poźółkłą, spieczoną krainę.

– Jeszcze parę tygodni i wszystko tutaj wyschnie na wiór – odzywa się dowódca strażaków. – Drzewom wystarczy wtedy jedna iskra i pożar gotowy. A jeśli, nie daj Boże, powieje wiatr... – Wydyma znacząco wargi. Nie wygląda jak bohater. Krępy, masywny – pewnie jeszcze jeden *chasseur*. Wyobrażam sobie, jak on i jego ludzie wchodzi w płonący las, walczą z ogniem, bo ktoś przecież musi. Wśród *maquis* musiało być pełno takich ludzi.

Żegnamy się na izbie przyjęć szpitala ogólnego w Montpellier. Dowódca strażaków poklepuje nas po plecach i wygłasza krótką mowę:

– *De l'avant! Il faut toujours aller de l'avant! Bon courage!*

Wszyscy po kolei ściskają nam dłonie.

– No dobrze – mówi Tobias – słyszałaś, co powiedzieli. Nie stójmy w miejscu.

Szpitalny personel każe nam czekać; właśnie przywieziono ofiary wypadku na autostradzie. Co my tu robimy? – myślę. – Wśród ludzi naprawdę potrzebujących pomocy, broczących krwią? Chwilę później Freja dostaje kolejnego ataku.

Podnoszę jej naprężone ciało i wyciągam przed siebie niczym dar. Pielęgniarka odbiera ją ode mnie. Zbiegają się lekarze, nakładają jej maskę tlenową, usiłują założyć wenflon. Kłują wielokrotnie, nie mogąc wkłuć się w żyłę. Atak mija, Freja drze się wniebogłosy. Asystent wbija jej igłę w stopę, krew pryska na niego.

Wózek znika w drzwiach sali na końcu korytarza. Teraz ludzie w białych kitlach będą z nią robić różne rzeczy, o których nie mam zielonego pojęcia.

– Ona znów nie jest nasza – zauważa Tobias. – Teraz należy do nich.

•

W szpitalu nie ma miejsca do spania dla obojga rodziców, więc udajemy się do obskurnego hotelu stojącego po sąsiedzku. Pościel wygląda na czystą, ale w nocy z materaca wydobywa się ciepła, zwierzęca woń, która przenika do moich snów pod postacią grubych, spoconych łap usiłujących wciągnąć mnie do bagna.

Kiedy się budzę, łapy znikają, lecz nadal czuję kwaśny zapach. W pokoju panuje niemiłosierny zaduch. Jest dopiero trzecia nad ranem, mimo to wstaję i po cichu się ubieram. Wmawiam sobie, że idę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kilka minut później przemierzam opustoszały hol szpitala i wjeżdżam windą na piętro, na którym leży Freja. Pielęgniarka na nocnym dyżurze nie wydaje się ani zaskoczona, ani zainteresowana moją obecnością.

– Ataki średnio raz na godzinę – oznajmia. – Jeżeli dostanie ataku w pani obecności, proszę zwrócić uwagę na godzinę i długość. Gdyby atak trwał dłużej niż pięć minut, zobaczę to na monitorze i przyjdę do pani. – Wskazuje palcem drzwi. – Proszę starać się nie robić hałasu. Tam jest jeszcze jedno dziecko.

W pomieszczeniu znajdują się dwa łóżeczka. Do każdego dostawiono kozetkę dla osoby dorosłej, na jednej z nich ktoś śpi. Freja leży podparta poduszkami, śpi głębokim snem, oddycha świszcząco. Ma rurki w nosie i w ustach.

Leżę sztywno, wpatrzona w jasny monitor nad jej łóżeczkiem. Rytm serca Frei przypomina łańcuch górski. Cienka zielona linia pnie się niestrudzenie do góry, potem zjeżdża w dolinę. Druga linia, mniej regularna, biegnąca zygzakiem jak pajęcza nitka, obrazuje oddech. Obie docierają do prawej krawędzi ekranu jednocześnie, po czym natychmiast zaczynają od początku.

Freja wydaje z siebie cichy jęk. Pajęczy zygzak nagle się urywa. Rozlega się alarmujące pikanie.

Zbliżam się do łóżeczka. Rączka Frei zgina się i prostuje, dobrze znam ten widok. Obok leży kartka, sięgam po nią i zapisuję godzinę: 3.45. Głaszczę Freję po

czole, walcząc z pokusą wyniesienia jej ze szpitala. Atak ustaje po trzech minutach, czyli wszystko w normie. Maszyna przestaje pikać i znów z chłodną precyzją gryzmoli wykres na monitorze.

Nagle ogarnia mnie przemożne pragnienie, by mieć ją przy sobie. Stoję nad łóżeczkiem i zastanawiam się, jak ją stamtąd wydostać, nie uruchamiając alarmu. Klimatyzowany chłód szpitala przyprawia mnie o dreszcze. Mój wzrok zatrzymuje się na przycisku z napisem: „Wyłącz alarm na dwie minuty”. Wciskam go, wyplątuje Freję z kabli i kładę się z nią na kozetce. Zasypiam wpatrzona w jej buzię, czując delikatny oddech na policzku.

O szóstej budzą mnie pielęgniarki z dziennej zmiany. Ledwo jestem w stanie otworzyć oczy. Nikt nie ma do mnie pretensji, że wyjęłam Freję z łóżeczka.

Moja sąsiadka wstaje z łóżka. Niewyspana, z potarganymi, czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Zbiera tę burzę włosów i wiąże je w schludny kok. Jej chuda twarz wygląda teraz jeszcze mizerniej. Przykrywa głowę chustką.

– Najla – przedstawia się. – Jesteś Angielką? My też nie stąd. To znaczy, teraz, oczywiście, jesteśmy już Francuzami.

Z łóżeczka obok niej dobiega krótki pisk. Najla schyla się po dziecko.

– To jest Sami. Ma dziewiętnaście miesięcy.

Sami jest chudziutki. Jego długie kończyny ziemistego koloru przypominają bambusowe łodygi, a stawy sterczą niczym sęki. Wpatruje się we mnie wielkimi czarnymi oczyma.

– Próbujemy go karmić – tłumaczy Najla zgnębionym głosem – ale nie chce jeść. Ciągłe dostaje konwulsji. Jest zmęczony. Bardzo długo próbowaliśmy karmić go w domu. Jutro mają nas nauczyć, jak wkładać mu rurkę do nosa.

O ósmej zjawia się Tobias. Przyniósł mi kubek kawy.

– O, twój mąż – mówi Najla. – Mój nie lubi tu przychodzić. Pracuje. Resztą naszych dzieci zajmuje się teraz jego mama.

Może z Freją wcale nie jest aż tak źle?

– Jutro poznasz mojego męża – ciągnie Najla. – Powiedzieli, że musi przyjść i nauczyć się wkładać rurkę.

Zaczyna się obchód. Lekarka, młoda i sumiennie zatroskana, przedstawia się jako doktor Dupont. Ma na sobie biały kitel i srebrne sandały. Towarzyszą jej dwaj stażyści z notesami na podkładkach. Orszak zamyka stadko pielęgniarek.

– Freja jest pod wpływem środków uspokajających – oznajmia nienaganną angielszczyzną doktor Dupont. – Wieczorem i w nocy miała kilka ataków. Podaliśmy jej dużą dawkę fenobarbitalu.

– Wyjdzie z tego? Można ją doprowadzić do stabilnego stanu?

– Możemy spróbować terapii kortykosteroidami. Ich działanie nie jest do końca znane, ale mogą pomóc. Jednak muszę panią ostrzec – może się okazać, że dziecko będzie drażliwe, że będzie spało tylko w dzień, dużo płakało

i zatrzymywało płyny. Proszę to dobrze przemyśleć. W Londynie ma pani lekarkę, która ją zna. Będzie pani mogła liczyć na rodzinę i przyjaciół. Nie jest pani zaznajomiona z francuską służbą zdrowia. Być może lepiej będzie przetransportować ją pod nadzorem lekarskim do Wielkiej Brytanii. Jeżeli zdecyduje się pani zostać tutaj i poddać córkę tej terapii... proszę się liczyć z tym, że będzie pani bardzo ciężko.

Opuszczamy szpital z poczuciem odtrącenia. Wszyscy starają się odesłać nas z powrotem. Tobias obejmuje mnie ramieniem.

– Nie jest tak źle. Freja ma całodobową opiekę. Potraktujmy to jak krótki urlop.

Przez resztę dnia spacerujemy po Montpellier. Miasto jest cudowne, prawie każda ulica kończy się średniowiecznym placem pełnym barów i restauracji. O zmierzchu schodzą się spragnieni zabawy studenci uniwersytetu. Przez otwarte okna i drzwi wylewa się muzyka. Siadamy w kawiarnianym ogródku i raczymy się pysznym jedzeniem, jakie w Wielkiej Brytanii można dostać jedynie w najwytworniejszych lokalach: świeże ostrygi, kości szpikowe w bulionie, solony dorsz. Opróżniamy we dwoje butelkę schłodzonego białego wina.

– Nie chcę wracać do Londynu – mówi Tobias.

Świetnie go rozumiem. W tej chwili Londyn kojarzy mi się ze śmiercią i porażką. Życie i nadzieja są tutaj, we Francji.

– Dobrze. No to walczmy. *De l'avant.*

•

Rodzice Samiego przechodzą kurs sztucznego karmienia dziecka. Od pół godziny stoją w bezradnym milczeniu, obserwując wysiłki pielęgniarki, która próbuje wepchnąć małemu rurkę do nosa, nie bacząc na jego przeraźliwe wrzaski.

Ojciec Samiego jest niski i pulchny. Kiedy się zjawił, przybrał ważną minę i przedstawił się oficjalnie:

– Jest mi niezmiernie miło panią poznać. Nazywam się monsieur Hakim. Poznała już pani moją żonę, Najlę, i najmłodszego syna, Samiego. Wszystkie dzieci są błogosławieństwem Allacha. W naszej religii takie dzieci jak Sami są szczególnym błogosławieństwem.

Zauważyłam, że Najla ulega mu we wszystkim, pyta go o zdanie nawet w sprawach, na których sama bez wątplenia zna się lepiej: w co ubrać Samiego, co mu dać do jedzenia.

Po przyjściu pielęgniarki Hakim na nowo zaczyna rozprawiać o Allachu i dzieciach takich jak Sami.

– Proszę się skupić – przerywa mu siostra. – Potem będzie pan musiał sam to zrobić.

Chłopczyk już na sam widok rurki zaczyna gwałtownie trzepać chudziutkimi

rączkami i nóżkami. Pielęgniarka z ogromnym trudem wtyka mu jej koniec w nozdrze. Przygarnia do siebie jego kościste ciało i zaczyna wpychać rurkę głębiej. Sami głośno się krztusi.

– Kiedy ma odruch wymiotny, trzeba chwilę odczekać. Otwieramy usta i sprawdzamy, czy rurka nie zatrzymała się na podniebieniu. Najlepiej poświecić latarką.

Wciska rurkę tak głęboko, że aż nie chce się wierzyć. Wrzaski małego brzmią teraz rozpaczliwie, przedzierają się stłumionym bulgotem przez obce ciało w tchawicy.

Ja bym tak nie umiała. A nawet gdybym umiała – nie mogłabym.

– Trzeba się upewnić, że rurka jest w żołądku, a nie w płucach – tłumaczy pielęgniarka. – Wdmuchujemy do niej odrobinę powietrza, o tak, i nasłuchujemy stetoskopem. Potem pociągamy za tłoczek, zasysamy trochę płynu i sprawdzamy pH, żeby upewnić się, czy to kwas żołądkowy.

Monsieur Hakim stoi blady jak kreda. Opuścił głowę i utkwiał wzrok gdzieś z dala od udręczonego syna.

– Nie bój się, skarbie – Najla głaszcze dziecko po dłoni. Sami próbuje ją odepchnąć.

– Teraz już nie mogliby go oddać, nawet gdyby chcieli – szepcze Tobias. – Jest za duży. Płakałby za nimi. Przyzwyczał się do nich.

Pielęgniarka wyciąga sondę i zwraca się do monsieur Hakima.

– Teraz pana kolej.

Hakim cofa się.

– Nie, nie. Żona będzie go karmić.

– Nie – upiera się pielęgniarka. Mówi wolno i wyraźnie, jak do idioty. – Pan też musi się nauczyć. W razie gdyby pańska żona zachorowała. To bardzo ważne, żebyście oboje państwo wiedzieli, jak to się robi.

Monsieur Hakim niechętnie bierze rurkę.

– To tylko rozwiązanie tymczasowe – uspokaja go pielęgniarka. – Jeżeli nie zacznie sam jeść, zrobimy mu gastrostomię. Będą państwo mieli znacznie mniejszy kłopot.

Monsieur Hakim trzyma w otwartej dłoni plastikową torebkę z pokarmem. Synek patrzy na niego czarnymi jak węgiel oczami. Chyba przeczuwa, że zostanie zdradzony, bo krzywi się i na nowo wybucha płaczem.

– Musimy pozbyć się Frei, dopóki jest malutka – szepcze Tobias. – Zanim się do niej przywiążemy. Jest coraz gorzej, a kiedy zrobi się naprawdę źle, będzie za późno. Przyzwyczał się do nas. A my nie będziemy nawet w stanie się z nią porozumieć. Będziemy udupieni na całe życie, aż w końcu umrzemy i Freja tak czy siak wyląduje w jakiejś placówce. Tylko na tym ucierpi, bo znajdzie się w obcym otoczeniu.

Ojciec Samiego pomału zbliża się do syna.

– Ja go przytrzymam – odzywa się pielęgniarka. Unieruchomienie wątych rączek i nóżek wymaga sporo wysiłku.

– Francuzi mają świetną opiekę społeczną – przekonuje Tobias. – Pamiętaj, to działa tak samo jak w Wielkiej Brytanii. Jeżeli nie zabierzemy jej do domu, będą mieli obowiązek się nią zająć.

Nie mogę oderwać wzroku od Samiego. Tkwi nieruchomo w rękach pielęgniarki, z głową odrzuconą do tyłu, byle dalej od rurki. Z długimi kończynami i dużymi, czarnymi oczami wygląda jak wystraszony źrebak.

Ojciec markuje ruch cewnikiem w stronę jego nosa. Mały nie może się już bronić, ale wydaje rozpaczliwy skowyt.

Monsieur Hakim rzuca rurkę.

– Wracam do sklepu – oznajmia. – Żona to robi.

Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem. Pielęgniarka głośno wzdycha i odkłada chłopca. Podnosi rurkę i podaje ją matce.

– Dobrze. Pani mąż nauczy się później. Teraz pani.

Najla spogląda w stronę drzwi, otwiera usta, lecz zaraz je zamyka. Wygląda, jakby miała się rozplakać.

– Posłuchaj – ciągnie Tobias – opieka nad takim dzieckiem jak Freja to ciężka praca. To zajęcie dla ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami. Nie można wymagać od rodziców, że sami temu podołają.

Wyciąga ku mnie dłonie, jakby chciał mi pomóc wyjść z basenu. Zawsze miał piękne dłonie muzyka – smukłe, kształtne i zwinne. Dobrze je znam.

Błagalny wyraz jego twarzy mówi: „Kocham cię i potrzebuję. Przykro mi, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale musisz wybrać. Ona lub ja. Wracam do Les Rajons”.

Czy rzeczywiście mam wybór?

Bez słowa podaję mu ręce, odwracamy się i wychodzimy.

•

Zaczął się sezon na zielone figi. *La fleur de figue* – tak nazywa go Rose. Wczesnych owoców jest mniej niż jesienią, ale są za to słodsze. Zapowiedź przyszłej uczy.

Dzwonili do nas ze szpitala, cierpkim tonem pytali, gdzie się podziewamy. Przyjechałabym do ciebie, moje maleństwo, przyjechałabym, ale muszę robić przetwory.

Zrywanie fig to uspokajające zajęcie. Drzewa chętnie dzielą się owocami. Ich szerokie liście są jak opiekuńcze dłonie, karmią i chronią przed słońcem. Z zerwanego liścia sączy się lepkie, białe mleko. Znam to uczucie, bo sama powoli odstawiam Freję i mam coraz mniej pokarmu. Karmiąc piersią, jestem zbyt zależna

od niej, zbyt mocno z nią związana.

Nie uważam, żeby to było nierozsądne. Mała ma już sześć miesięcy. W Londynie większość pracujących matek postępuje podobnie. Poza tym Frei rośnie apetyt i już od pewnego czasu uzupełniałam jej dietę mieszanką dla niemowląt.

Piersi karmiącej kobiety wchodzą w dziwny sojusz z dzieckiem. Musi być gotowa w każdej chwili wszystko rzucić. To nieprawda, co się mówi, że karmienie piersią da się pogodzić z normalną pracą, bo zwykle jest inaczej.

Oczywiście nie mam w tej chwili normalnej pracy, ale to nie znaczy, że nie mam żadnych obowiązków. Jak zauważa Rose w swoim zeszycie, kluczem do sukcesu przy zbieraniu fig jest *le bon moment*.

Podoba mi się takie podejście. Idealny moment – nie za wcześnie, nie za późno, ale bez niepotrzebnego pośpiechu. Wiele zależy od szeregu czynników, takich jak pogoda, nachylenie stoków, umiejscowienie owocu na gałęzi. Przedwcześnie zerwana figa nie będzie miała smaku. Pozostawiona zbyt długo na drzewie – wyschnie na słońcu i stężeje do konsystencji marmolady.

– Nieraz Rose posyłała mnie do zbierania fig dwa, trzy razy dziennie – wspomina Ludovic – bo chciała, żebym zerwał każdy owoc *au bon moment*.

Odrobina czerwonego wina poprawia smak i kolor konfitury figowej – pisze Rose. – *Cukier jest zbędny, ale można dodać miodu, jeżeli ma się ul. Najprostszą metodą jest suszenie fig na słońcu. Naniż je na nitkę i powieś na drzewie. Jeśli masz marc, zalej nim figi w kamionkowym, dużym, szczelnie zamkniętym naczyniu.*

– Nie mogę dosięgnąć tych rosnących na samej górze – mówię.

– Zerwij je puszka przymocowaną do kija – radzi mi Ludovic. – Owoc wpadnie do środka. Można też przyciągnąć gałęzie motyką. Drzewa figowe są giętkie. Pomogę ci.

Przez pół godziny pracujemy razem: Ludovic przychyła gałęzie, a ja zrywam owoce. Każdą ofertę pomocy przyjmuję z wdzięcznością. Tobias jest wiecznie zajęty. Mama nieustannie prasuje. Gustave wyjechał do szkoły, kiedy byliśmy w szpitalu, a Kerim remontuje pokoje. Lizzy jest zaprzątnięta swoimi sprawami, których nawet nie próbuję zrozumieć.

– Jak się miewa *la petite*? – pyta Ludovic.

Przypuszczam, że stara się być dobrym, uprzejmym sąsiadem, odpowiadam więc zdawkowo, że jest otoczona doskonałą opieką w szpitalu. On jednak draży temat: co się właściwie wydarzyło? Dostała ataku? Infekcji? W którym jest szpitalu? Wyzdrowieje? Co mówią lekarze? Kto się nią zajmuje?

Zadaje więcej pytań, niż wymaga grzeczność. Więcej niż wypada. Odrywa moje myśli od koszyka pełnego dorodnych fig, kierując je z powrotem ku sterylnym salom i pikającym ekranom.

– Sporo wiesz o tym szpitalu – zauważam.

Ludovic powoli puszcza gałąź. Oboje patrzymy, jak wraca na swoje miejsce, uwolniona od ciężaru owoców.

– Trzydzieści lat temu Thérèse urodziła mi dziecko. Chłopczyka. Daliśmy mu na imię Thomas. Dopiero po kilku miesiącach uwierzyliśmy lekarzom – twierdzili, że ma zespół Downa. Thérèse miała już wtedy swoje lata, nie mogła urodzić kolejnego dziecka. Kochała Thomasa bez żadnego ale. Ja nie... dla mnie to nie było takie proste.

Nigdy nie myślałam o Ludovicu jak o ojcu, chociaż kiedyś już coś wspominał.

– Szczerze mówiąc, chciałem, żeby zniknął z naszego życia. A kiedy umarł, byłem zdruzgotany. – Milknie i przychyła mi kolejną gałąź pełną dojrzałych owoców. – Widocznie go kochałem, tylko nie zdawałem sobie sprawy. Widocznie od początku go kochałem.

•

Szczury wiją sobie gniazda. Wykradają watę stalową z materiałów budowlanych Kerima, wełnę szklaną z dachu, nasze ubrania z szafek.

– Zwykle pułapki nic nie dadzą – oznajmia Ludovic. – Szczury są towarzyskie. Porozumiewają się między sobą. Weź suchy gips, wymieszaj z parmezanem i porozstawiaj w naczyniach w całym domu. Wystarczy, że jeden szczur to zje i gips stwardnieje mu w żołądku na kamień. Będzie powoli zdychał, wydając z siebie odgłosy konania. To wystraszy pozostałe. Uciekną stąd i nigdy nie wrócą.

– Na litość boską, wystarczy, że mamy już syczącego ducha – włącza się Tobias. – Nie chcę słuchać jęków zdychającego szczura.

Ostatnio jest ciągle podminowany. Z trudem znosi obecność teściowej. Moją zresztą też. Prawie nie wychodzi z wytłumionego wytłoczkami po jajkach studia nagraniowego. Agent zarzuca go zleceniami do filmów dokumentalnych, a Tobias bierze wszystko jak leci, bo nie wie, kiedy dostanie pieniądze za *Panią Bovary*, o ile ten dzień w ogóle nadejdzie.

– Wszystko jest zawsze na wczoraj – narzeka. – Właśnie rozmawiałem przez telefon z reżyserem programu przyrodniczego na Discovery. Do wieczora potrzebuje podkładu do rekinów i niedźwiedzi, a jutro mam przysłać muzykę do węgorki i borsuków.

Kiedy nie pracuje, ucieka nad rzekę, gdzie zazwyczaj można znaleźć Lizzy.

Dom jest pełen ludzi, którzy czegoś ode mnie chcą. Potrzebuję jego pomocy. Sęk w tym, że Tobias jest nieuchwytny jak morska fala. Nie stawia oporu, tylko prześlizguje się bokiem.

– Kochanie, Kerim pytał, co jeszcze ma zrobić. Mógłbyś pójść z nim porozmawiać? Sama bym to zrobiła, ale mam mnóstwo roboty z figami.

– Jasne – odpowiada roztargnionym tonem, częstując się świeżo przyrządzoną konfiturą. – Chyba dodasz troszkę za dużo cukru.

– Mama mówi, że coś u niej szeleści w nocy. Powiedziałam jej, że to na pewno wiewiórki na drzewie za oknem, ale boję się, że to może być wiesz co. Mógłbyś tam zajrzeć, czy nie ma jakichś szpar w listwach?

– Jasne.

– Julien ma do nas wpaść na lunch. A mamy jednego kurczaka na sześć osób. Chyba zrobię go *à la Sainte-Ménéhould* z pieczonymi ziemniakami i sałatą. Odebrałeś wczoraj kurczaka od ojca Yvonne, prawda?

– Jasne.

– A gdzie jest?

Tobias patrzy na mnie nieobecny wzrokiem.

– Kurczak – powtarzam. – Od ojca Yvonne.

Uderza się otwartą dłonią w czoło.

– Cholera. Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

– Tobias – staram się nie okazywać poirytowania – czy mógłbyś pojechać po niego natychmiast? Bo inaczej nie będzie co jeść, a sam wiesz, jaki oni mają apetyt.

– Jasne. Tylko zrobię sobie kawę. I wezmę prysznic.

– Jest dwadzieścia po jedenastej. Rzeźnik zamyka w południe. Masz czas na kawę albo na prysznic, ale nie na jedno i drugie.

Patrzy na mnie zranionym wzrokiem. Wstawia kawiarkę, po czym znika w łazience. Słyszę, jak włącza prysznic.

– Czuję się jak żoźa – skarżę się mamie. – To nie fair. Suszę mu głowę, bo nie pozostawia mi wyboru. Nie jestem apodyktyczna – na pewno nie tak jak ty. Nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

Mama robi zdumioną minę.

– Oczywiście, że musisz mu suszyć głowę! Inaczej skąd będzie wiedział, że go kochasz?

– Przestaną. Od teraz. To nie ma sensu. Nie chcę być żoźowatą żoną.

– Tak się zastanawiam, skarbie – odzywa się mama. – Skoro nie masz czasu, żeby odwiedzić Freję w szpitalu, może ja pojedę?

– Nie wydaje mi się...

– Mogę przecież pojechać autobusem. Oni tam na pewno mają łóżka polowe. Babcia to w końcu prawie matka.

– Naprawdę nie sądzę...

– Powiem im, że masz na głowie inne dzieci. Chyba zrozumieją. Przecież nie można zostawiać dzieci bez opieki.

– Mamo! Nie!

Znów na nią krzyczę. Dlaczego to się zawsze tak kończy?

– Dobrze, skarbie, jak uważasz – mówi, udając, że nie jest urażona. – Tak

tylko mi przyszło do głowy. Chciałam się na coś przydać. Wszystko mi jedno, czy zobaczę Freję. Przyjechałam do Francji dla ciebie, a nie dla niej.

•

Robiąc przetwory, lubię myśleć, że ratuję owoce przed nieuchronną śmiercią i rozkładem. Gdyby nie ja, pożyłyby jeszcze co najwyżej parę dni. Zawekowane zachowają doskonały kształt nawet przez rok.

Wyobrażam sobie, że figi w słoikach patrzą na mnie z wdzięcznością jak na wybawicielkę, a te, które wciąż wiszą na drzewach, błagają mnie, żebym je zerwała. Nie chciałabym żadnej pominąć. Po południu zapełniam figami w *marc* pięćdziesiąt półlitrowych weków.

– Nie sądziłem, że cię zastanę – mówi na powitanie Julien. – Słyszałem, że zawieźliście Freję do szpitala.

– Tak było.

– Ambulansiem strażackim. Wszyscy w dolinie o tym mówią. Kiedy ją wypisali?

– Zostawiliśmy ją w szpitalu... Potrzebujemy chwili odpoczynku.

Wymawiając te słowa, odruchowo spuszczam wzrok. Zaraz potem spoglądam Julienowi w oczy. Patrzymy na siebie przez dłuższą chwilę – odrobinę za długo. Wreszcie Julien uśmiecha się zdawkowo.

– A więc robisz przetwory z fig.

Sama nie wiem czemu, ale czuję się zapędzona do narożnika.

– Ponalepiam etykiety i sprzedam je turystom. Każdy grosz się przyda.

– Mogę powypisywać etykiety, ale dla ciebie, nie dla turystów. Ile słoików chcesz zachować dla siebie?

– Bo ja wiem, że dwadzieścia.

Przez dłuższą chwilę pracujemy w ciszy. Lubię w nim to, że nie boi się milczeć. Wsłuchuję się w skrzywienie flamastra, którym opisuje słoiki.

– Mam nadzieję, że Freja szybko wydobrzeje.

Kiedy się odwracam, już go nie ma.

Kończę pracę dopiero przed północą. Zanosząc przetwory na półki, po raz pierwszy czytam jego etykiety.

„Te figi zostały zrobione, kiedy nasza mała Freja była w szpitalu. Oby zjadła je kiedyś ze swoją mamą, jej miejsce jest przy niej”.

Z piersi zaczyna mi cieknać mleko. Nigdy nie oddam Frei. Przenigdy.

•

Za dziesięć szósta rano czekam na autobus do Montpellier. Propozycję, by mi towarzyszył, Tobias stanowczo odrzucił i powiedział, że potrzebuje samochodu. Kazał mi obiecać, że wrócę popołudniowym autobusem.

O dziewiątej jestem w szpitalu. Widok Frei podłączonej do monitorów, rurek i elektrod nie napawa mnie już przerażeniem. Trochę się zdystansowałam.

Podają jej dożylnie sterydy. Zamiast się do mnie tulić, leży sztywno, od czasu do czasu bijąc mnie spazmatycznie piąstkami i głośno protestując. Mimowolne ruchy szczęki i błędne spojrzenie przywodzą na myśl człowieka na prochach. Wygląda, jakby w ogóle nie spała.

Biorę ją na ręce i przekreślając swoje wcześniejsze postanowienia, pozwalam jej przywrzeć ustami do mojego sutka. Ssie mleko rytmicznie i bez wyraźnej przyjemności.

W drugim łóżeczku śpi Sami. Na jego policzkach widać wyschnięte strużki łez. Najla siedzi obok i trzyma go za rączkę.

– Jak wam idzie? – pytam.

Macha ręką w geście rozpaczki.

– On tego nie lubi. Ja też nie. Ale jaki mam wybór? Jestem jego matką.

•

Rano budzi mnie słońce przenikające przez czyste zasłony sypialni. Gałęzie figowca machają mi leniwie na dzień dobry. Zza okna dobiega prawdziwa kakofonia: zleciało się mnóstwo ptasiego drobiazgu, małe dzióbki rozrywają figi. To już koniec *le bon moment*. Przegapiłam ostatni dzień.

Odkryłam za to miejsce w górach, gdzie wciąż kwitnie czarny bez. Roztacza woń ciężką jak lekarstwo. Można pochwyć tego ducha wczesnych letnich dni, zamknąć w słoiku razem z cukrem i skórką cytryny. Po dwudziestu czterech godzinach zaczyna musować. Staje się esencją lata.

Uwielbiam tę alchemię, tę pewność. Składniki podlegają znanym i zrozumiałym regułom. W określonych warunkach zachowują się w określony sposób. Moja miłość ma swoje granice. Muszę je wyraźniej zaznaczyć.

Potrząsam śpiącym Tobiasem.

– Miałeś rację.

– Hmm?

– Zdecydowałam. Nie chcę przechodzić przez to samo, co tamta rodzina. Nie zniosłabym tego.

– Rozumiem. Zgadza się z tobą. W stu procentach. Czyli nie będziesz więcej jeździć do szpitala?

– Tego nie powiedziałam. Właściwie to sama nie wiem, co chcę powiedzieć.

– Myślę, że jesteś rozdarta. Instynkt macierzyński pcha cię do Frei, a instynkt przetrwania odciąga cię od niej.

– Może masz rację. One się nawzajem niwelują. Paraliżują mnie. Nie jestem w stanie jasno myśleć ani nawet czuć. Jedyne, co mi pozostało, to potrzeba kontrolowania wszystkiego.

Całujemy się przez chwilę. Odsuwam się i wzdycham.

– Lepiej wstańmy, trzeba przygotować śniadanie dla mas pracujących.

W kuchni otwieram lodówkę: zamiast chłodu owiewa mnie ciepłe, wilgotne powietrze.

– Nie wierzę. Lodówka nie działa. Przecież jest nowiutka.

– Pewnie wtyczka wypadła z gniazdka – mówi Tobias.

Wspólnymi siłami odsuwamy lodówkę od ściany. Z tyłu znajdujemy wgryzione w kabel truchło spalonego szczura.

•

Rano Tobias pozwala mi pojechać oplem do Montpellier. Odprowadza mnie i całuje na pożegnanie. Próbuję go uprosić, żeby mi towarzyszył, ale odmawia. Jadąc autostradą, czuję w dołku znajome uczucie pustki i gniewu. Przychodzi mi do głowy, że jestem jak jo-jo. Mogę podskakiwać do woli, ale moje próby ratowania rodziny będą skazane na porażkę, jeżeli Tobias mnie nie złapie.

Gdy zjawiam się na oddziale, pielęgniarki wożą Freję wózkiem.

Mam wrażenie, że to już inne dziecko. Co się stało z moim drobniutkim krasnalem? Kim jest to puciołowate niemowlę o świńskich oczkach? Sterydy zrobiły swoje. Podnoszę ją. Pachnie szpitalem. Teraz rozumiem, dlaczego zwierzęta porzucają młode, których ktoś dotykał. Freja jest cięższa, sztywniejsza, ma nowy zwyczaj odchylenia głowy do tyłu. Chcę ją zabrać do domu, wykąpać i utulić, żeby znów była moja. Nie licząc, rzecz jasna, tej części mnie, która chce natychmiast stąd wyjść, dopóki jeszcze mogę, i nigdy nie wrócić.

•

Do domu wracam wykończona. W salonie Tobias i Lizzy ślęczą przy komputerze.

– Uczę Lizzy korzystać z internetu – tłumaczy Tobias. – Myślę, że to zmieni jej życie.

– Odkryłam niesamowity zbiór przepowiedni – mówi Lizzy. – Inkowie umieścili go w internecie za darmo. Anno, pamiętasz, o której godzinie urodziła się Freja? Sprawdzam jej horoskop.

– Lizzy, może innym razem. Jestem zmęczona. Poza tym czy to nie Inkowie wrywali wrogom serca?

– Oj, Anno, to tylko zabawa – nalega Tobias. Lizzy wpatruje się we mnie wielkimi, roziskrzonymi oczyma. Co ona tu jeszcze robi? – myślę ze złością. Muszę przekonać Tobiasa, żeby ją zwolnił, i to jak najszybciej. Ale nie teraz, teraz jestem zmęczona i nie mam siły się spierać, a na pewno skończyłoby się kłótnią.

– Właściwie to wystarczy sama data urodzenia – stwierdza Lizzy. Jej palce tańczą na klawiaturze, potem notuje coś gorączkowo w notesie. – Ach, to wszystko

wyjaśnia! – woła zniecierpliwiona.

– Super.

Lizzy, niezrażona moim sarkazmem, ogłasza triumfalnie:

– Freja jest przede wszystkim obecnością. Wpływa na ludzi dookoła. Zmienia ich życie.

– Lizzy! – ucinam. – Nie życzę sobie, żebyś wygadawała brednie o moim dziecku.

Ale Lizzy jakby mnie nie słyszała. Z długimi, spływającymi na ramiona czarnymi włosami wygląda jak południowoamerykańska szamanka.

– Przyszła na ten świat, żeby budzić w ludziach emocje, zwłaszcza miłość. To jej misja. Przyciąga innych, otwiera ich serca na miłość.

•

Dzisiaj mają wypisać Freję ze szpitala.

Sterydy przemieniły ją w małego wojownika sumo, ale przynajmniej udało się opanować napady. Nabrała też wilczego apetytu. Ma pucołowatą, rumianą buzię. Wygląda jak okaz zdrowia.

Wkładam jej ubranko, które zrobiła dla niej babcia: biało-niebieską sukienkę z marszczeniem z przodu. Rozkosznie w niej wygląda. Co więcej, wygląda jak normalne dziecko. Jak niewiele trzeba, by obudzić w sercu nadzieję.

Tobias wciąż chce ją tu zostawić. Wyczuwam jednak, że jego upór słabnie. Tak naprawdę ma przecież miękkie serce. Po długich namowach zgodził się przyjechać ze mną na rozmowę z lekarzem.

Najpierw słuchamy bez końca o lekach. Freja musi je przyjmować w zastraszających ilościach: trzy różne rodzaje antykonwulsantów, dwa lekarstwa osłonowe na żołądek, do tego całe mnóstwo witamin i minerałów. Dwa razy dziennie trzeba jej sprawdzać ciśnienie krwi oraz badać mocz. Wreszcie ćwiczenia fizjoterapeutyczne – trzy razy w tygodniu. Jesteśmy poumawiani z tabunem pracowników opieki zdrowotnej i społecznej, nie mówiąc o skierowaniach do kilku specjalistów na dodatkowe badania.

Szpital wystawił nam rachunek na trzydzieści tysięcy euro.

Dobra wiadomość jest taka, że na mocy unijnych porozumień będziemy mogli ubiegać się o zwrot kosztów. Zła jest taka, że na razie nie przysługują nam żadne tutejsze zasiłki opiekuńcze. Myśl, że oprócz zajmowania się Freją będę musiała toczyć boje z brytyjską i francuską biurokracją, działa na mnie deprymująco.

– We Francji możesz nie mieć mózgu, ale musisz mieć *carte d'identité*, bo inaczej masz przerąbane – utyskuje Tobias.

Na domiar złego doktor Dupont zaczyna w dobrej wierze prawić nam kazanie.

– Musicie państwo poświęcać Frei wiele czasu i energii, żeby rozwinęła się jak najpełniej.

– Dlaczego pani tak uważa? – pyta Tobias.

– To całkiem naturalne. – Doktor Dupont najwyraźniej nie wychwyciła ostrzeżenia w jego głosie. – Jesteście państwo jej rodzicami, kochacie ją.

– Tak się składa, że poważnie rozważamy oddanie jej do domu opieki. Nie lubimy, gdy mówi się nam, czy i jak mocno kochamy naszą córkę.

Słowa Tobiasa zbiły ją z tropu.

– Oczywiście to duże wyzwanie – zmienia ton. – I ciężka próba dla małżeństwa. Najważniejsze, żebyście byli państwo dalej razem i się kochali.

– A jeśli nie zabierzemy jej do domu? – pyta bez ogródek Tobias.

– Wtedy skontaktujemy się z opieką społeczną. Ale musicie państwo wiedzieć, że we Francji rodzina z niepełnosprawnym dzieckiem może liczyć na pomoc i wsparcie. Zresztą za cztery czy pięć lat możecie umieścić Freję w specjalnej placówce.

– Chcielibyśmy znać pani zdanie jako lekarza, czego możemy się spodziewać w najbliższych miesiącach – ciągnie Tobias. – Chcemy wiedzieć jak najwięcej, zanim zdecydujemy o jej przyszłości.

– Cóż, okres między czwartym a ósmym miesiącem życia jest newralgiczny z punktu widzenia rozwoju mózgu. Poważne anomalie w jego budowie, takie jak w jej przypadku, mogą ten proces zakłócić. Prawdopodobnie nigdy nie uda się całkiem wyeliminować napadów. Można je tylko zwalczać za pomocą leków. Wiele zależy od państwa. Musicie bardzo rygorystycznie przestrzegać harmonogramu dawkowania. Jeśli zapomnicie podać jej lekarstwa, może dostać potężnego ataku, który upośledzi ją jeszcze głębiej.

– Jeszcze głębiej? – pytam.

– Może na przykład stracić zdolność ssania lub samodzielnego oddychania.

Czuję ściśnięcie w dołku.

– Możemy panią na moment przeprosić? – pyta Tobias.

Wychodzimy na korytarz i nagle spostrzegam, że Tobias płacze. Cała ta demonstracyjna obojętność była maską, pod którą ukrywał strach.

Przytulamy się, głaszcząc go po drżących ramionach.

– Ona jest taka śliczna – mówi z płaczem. – I taka biedna.

– Gdyby zobaczyła cię teraz ta lekarka. Myśli, że jesteś potworem. Byłeś przy niej... bardzo szczerzy. Takich rzeczy raczej nie mówi się na głos.

– Pieprzyć ją! Pieprzyć ich wszystkich! Wolę, żeby uważali mnie za skończonego palanta, niż żeby się nade mną litowali. Słuchaj, powiedziałem już na głos to, czego się nie mówi. Najtrudniejsze za nami. Teraz możemy uciec. Kto wie, czy to nie ostatnia szansa, zanim będzie za późno.

– Nigdy nie będzie za późno – uspokajam go. – Podtrzymuję to, co

powiedziałam, że nie chcę przeżywać tego, co rodzice Samiego. Zawrzyjmy umowę. Wyznamy nieprzekraczalną granicę. Żeby było jasne, na jakie poświęcenie jesteśmy gotowi, a na jakie nie.

– Gdzie przebiega ta granica? Chcę wiedzieć.

– Proponuję karmienie rurką i sztuczną wentylację. Jeżeli jedno albo drugie stanie się konieczne, oddajemy ją opiece społecznej. Zgoda?

– A jesteś pewna, że będziesz potrafiła to zrobić? Bo mnie się wydaje, że to wyłącznie kwestia czasu. Sądząc po tym, co mówiła lekarka. Czy naprawdę chcesz ją w tej sytuacji wziąć do domu? Myślisz, że jak przyjdzie co do czego, będziesz... twarda?

– Uwierz mi, że będę. Nie mam wyjścia.

Mówię to z pełnym przekonaniem. To się nie może więcej powtórzyć. Nie mogę kochać Frei bezwarunkowo. Muszę zachować trochę miłości dla siebie.

Lipiec

Pochowałam ładne rzeczy Frei. Głównie prezenty od znajomych i krewnych z czasów, kiedy jeszcze nie było wiadomo, że to dziecko nam się nie udało. Oraz kilka ekstrawaganckich prezentów, które dostaliśmy, kiedy wszyscy już wiedzieli.

Najbardziej szkoda mi wełnianego kocyka, który kupiłam jeszcze będąc w ciąży; biało-niebieskiej sukienki z marszczeniem, którą uszyła moja mama; batikowych bluzeczek od Marthy; kolorowo haftowanych skarpetek; koronkowych majteczek; lnianych prześcieradeł z inicjałami. Po co to wszystko siedmiomiesięcznemu niemowlęciu, które nawet nie jest w stanie samo unieść głowy? Może kiedyś jeszcze urodzę dziecko i wtedy się przydadzą.

Ostatnio coraz częściej marzę na jawie. Wyobrażam sobie, że znów zaszłam w ciążę. Tym razem czuję się świetnie, nie mam żadnych dolegliwości. Noszę w sobie bliźniaki: jedno dziecko na zapas, w razie gdyby pech nas nie opuścił. Wreszcie nabrałam trzeźwego dystansu do macierzyństwa – może właśnie po to była Freja? Poród przebiega bez problemów, Tobias płacze ze wzruszenia, jakby pierwszy raz został ojcem. Znów przeżywamy magiczne chwile, ale tym razem naszej sielanki nie mąci żaden koszmar.

To tylko fantazja, lecz muszę wierzyć, że się ziści. Liczę na to, że kiedy Freja trafi do specjalnej placówki, będę zbyt zajęta bliźniętami, by móc się tym przejmować. Zamiast się zamartwiać, czy nie leży sama jak palec w kałuży własnych wymiotów, będę prała ręcznie haftowane ubranka dzieci, które potrafią chodzić i mówić.

Spoglądam na śpiącego Tobiasa. Freja leży obok niego, ich głowy ułożyły się pod identycznym kątem. Oboje śpią z ręką wyrzuconą do góry. Pochrapują. Są jak dwie krople wody. Nie mogę się na nich napatrzeć. Wystarczył moment nieuwagi i miłość znów wkrada się podstępnie do mojego serca.

Zdejmuję z półki spakowane pudła z ubrankami i zaczynam w nich pośpiesznie przebierać. Zostawiam wszystko, co da się łatwo uprać w pralce: śpioszki frotté, sweterki z akrylu, bawełniane koszulki. Rzeczy wełniane, haftowane, z falbankami lub o nietrwałych kolorach trafiają do szczelnej plastikowej torby i wędrują na najwyższą półkę. Zostaną tam, dopóki moje życie nie wróci na dawne tory.

•

W Lizzy obudziła się dziwna energia.

– Nadchodzi nowa era! – powtarza. – Czas obfitości!

W pewnym sensie trudno się z nią nie zgodzić. W dolinie nad rzeką wszystko obrodziło. Dojrzałe pomidory ciemnieją na krzakach; karczochy unoszą wysoko swoje wielkie głowy; schludne rzędkie upraw mienia się od fasoli, cukinii,

papryk i bakłażanów.

W spizarce na rzeźniczych hakach dumnie wiszą okazałe kielbasy, dzieło rąk Yvonne, która wreszcie pozwoliła mi tam zajrzeć.

– No, no! – mówię z uznaniem. – Ale czy nie są zbyt mokre?

– Na tym to polega – wyjaśnia. – Woda musi z nich wyciec. Zostanie samo mięso. Wilgoć sprzyja rozwojowi dzikich drożdży. Niedługo kielbasy pokryją się białą pleśnią.

– Mniam.

– To jak z dobrym winem albo serem. Muszą dojrzewać w chłodnym miejscu, trzeba dać im czas i troszczyć się o nie.

– Co tam gotujesz?

– *Fricandeau*. Z tłustej i chudej wieprzowiny. I oczywiście z *abats*, podrobów. Piecze się długo w *crépine de porc* – tłuszczu otaczającym żołądek świni. Pychota. Och, żebym tylko wygrała ten konkurs, a będąc miała własne *laboratoire*.

– Możesz mieć je tutaj, Yvonne. Mogłabyś udzielać lekcji moim uczniom. Chyba nic nie rozśławi mojej szkoły gotowania tak jak własna *charcutière*.

– Zwłaszcza jeśli zdobędę *médaille d'or* – dodaje Yvonne rozmarzonym głosem. – Może nie wyjdę za mąż, tylko poświęcę się wędlinom. Skoro Julienowi na mnie nie zależy.

– Yvonne, to nieprawda.

– Gdyby mu zależało, nauczyłby się normalnego zawodu. Na przykład rzeźnika. Ożeniłby się ze mną. Zamiast powtarzać, że nie wierzy w małżeństwo. – Jej wzrok zatrzymuje się na Frei, którą noszę w chuście na piersiach. – Boję się, że przegapię swoją szansę. Żeby zostać mamą.

– Julien uwielbia przyjęcia – zauważam. – Może zgodziłby się na nieoficjalny ślub u siebie na polanie.

– Nie chcę być jego konkubina. Wstydziłabym się przed całym miasteczkiem.

– A może zgodzi się na ślub oficjalny pod warunkiem, że odbyłby się u niego w domu na drzewie.

Lecz Yvonne, zwykle potulna, w tej kwestii nie zamierza ustąpić.

– Zawsze chciałam mieć ślub kościelny. W białej sukni. Papa za wszystko by zapłacił.

Dostrzegam tylko jedną iskierkę nadziei: Julien, z tego, co zdążyłam się zorientować, został namaszczony na strażnika *saucissons*. Tylko jemu wolno samemu wchodzić do sanktuarium, być świadkiem zachodzących tam sekretnych procesów, wreszcie tylko jemu Yvonne powierzyła klucz, który Julien, jak zauważyłam, nosi na szyi niczym oznakę wtajemniczenia.

Podejrzewam, że Yvonne nie straciła jeszcze całkiem nadziei, że zdoła go

kiedyś przekonać, by został rzeźnikiem.

•

O wpół do siódmej rano do naszej sypialni wlewa się słońce. Freja, czując na sobie jego promienie, robi „łaa!” i uderza mnie piąstką. Zaśliniona rączka – musiała ją ssać – zsuwa się po moim nosie i ląduje na ustach, zostawiając ciepły, lepki ślad.

Otwieram powieki i spoglądam jej w oczy. Nie są już niebieskoszare. Jedno jest piwne, jak moje, a drugie, to z rozmazaną źrenicą, niebieskie jak u Tobiasa. Przyglądam się jej i myślę sobie, że to niezwykle: mieć dziecko, które ma oczy w dwóch różnych kolorach.

Tobias budzi się, pochyla nad nią głowę i mimowolnie się uśmiecha.

Freja natychmiast odwzajemnia uśmiech.

– Wow.

Tobias wpatruje się w nią urzeczony jak nigdy przedtem. Jakby był świadkiem narodzin nowej planety.

Nareszcie, myślę, to się musiało w końcu stać. Zadziałała tajemna chemia, która sprawia, że dzieci zaczarowują swoich ojców i matki.

– Pierwszy raz się uśmiechnęła – mówi Tobias. – Do mnie. Do swojego tatusia.

Płyną minuty. Świat jakby się skurczył, jesteśmy na nim we trójkę. Łóżko kołysze nas łagodnie i bez końca niby morze. Jesteśmy, Tobias i ja, oddanymi niewolnikami Frei. Spogląda to na niego, to na mnie, i uśmiecha się krzywo. Leży między nami, kopie nas oboje, wyrzucając nogi na boki jak pływak żabką. W głębokim skupieniu przygląda się swojej wyciągniętej ręce, po czym zbliża ją do twarzy. Po kilku próbach udaje się jej włożyć kłykieć do ust. Gaworzy zadowolona, jakby domagając się pochwały.

– Wyrzyna jej się ząbek – zauważa Tobias. – Z przodu na dole. Widzisz? Maluteńki. Śliczny, co?

Zachwycamy się tym ząbkiem. Jak każda zwyczajna rodzina jesteśmy dumni z postępów naszej córeczki, cieszą nas małe, zwykłe rzeczy.

– Trzeba to uczcić – mówię. – Przyniosę nam kawę do łóżka.

Schodzę do kuchni, nakrywam tacę lnianą serwetką, stawiam na niej kryształowy wazonik z różyczką i kawę w najładniejszych filiżankach. Wkładam butelkę z mlekiem do podgrzewacza i zanoszę wszystko na górę.

– No, rusz się – mówię, wręczając Tobiasowi kawę. – Może to i wyjątkowy dzień, ale jest dużo do zrobienia.

Tobias odstawia swoją kawę na stolik, przenosi Freję na owczą skórę na podłodze, zabiera mi filiżankę i wciąga mnie z powrotem do łóżka. Jest w tym trochę zabawy, a trochę namiętności. Śmieję się na głos, tak bardzo czuję się w tej

chwili szczęśliwa. Kryzys minął. Zwyczajnie potrzebowaliśmy czasu, żeby stanąć mocno na nogach. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Często słyszę od ludzi, zwłaszcza od kobiet, że Tobias jest bardzo atrakcyjny – komplementują jego szerokie ramiona, błękitne oczy, gęste włosy – ale ja kocham w nim inne rzeczy. Zmarszczki w kącikach oczu nawet gdy jest poważny, które sprawiają wrażenie, że za chwilę się roześmieje. Dołeczek pośrodku brody, który doprowadza go do szału podczas golenia. Gdyby wiedział, jaki jest przystojny!

Robi potulną minę, ja odpowiadam podobną. Jesteśmy skrępowani jak dwoje nieznajomych. Robimy ostrożne podchody, obejmujemy się, znów smakujemy swoich ciał, jakby po długiej rozłące jedno z nas wróciło z drugiego końca świata.

Potem leżymy objęci, na przemian budząc się i zapadając w rozkoszny półsen. Wstający dzień nagrzewa pokój.

Z salonu dobiega czyjś śpiew.

– Lizzy! Mam jej naprawdę serdecznie dosyć – mówię.

Tobias spogląda niewinnym wzrokiem, jakby to była dla niego nowość.

– Nie mamy prywatności – wyjaśniam. – Płacimy jej, może i mało, ale jednak. Zapewniamy jej dach nad głową i wyżywienie. Że nie wspomnę o tym, że ciągamy ją wszędzie ze sobą, a potem świecimy za nią oczami. Tyle samo kosztowałaby nas *au pair* na pięć godzin dziennie. Proszę cię, odprawmy ją.

– Pff! Przeklęty upał! – Tobias jest znów naburmuszony. – Można zwariować.

Zrywa się z łóżka i zaczyna grzebać w szafie.

Układam się wygodnie i zamykam oczy.

– Okej, przepraszam, że nagle z tym wyskoczyłam. To nie jest dobry moment. Poprzytulamy się jeszcze?

Ale nastrój przysł.

– Mój sprzęt do muzyki źle znosi takie upały – mówi Tobias, nie przestając grzebać w szafie. – Inna sprawa, że *Pani Bovary* znów utknęła w martwym punkcie z braku pieniędzy, a na razie nie dostałem żadnych nowych dokumentów. Może zrobię sobie odpoczynek od pracy. Przejdę się nad rzekę. Mogę wziąć Freję, jeśli chcesz.

– Lepiej nie. Może być jej za gorąco na dworze.

– Na zewnątrz jest chłodniej. W domu jest jak w piecu.

– Nad rzeką są komary. Ja się nią zajmę.

– Jak chcesz.

W upale Tobias zawsze robi się marudny. Wychodzi prędko z domu, a ja leżę dalej i próbuję sobie przypomnieć, dlaczego właściwie tak bardzo zależało mi na przeprowadzce do ciepłego kraju.

W sypialni nie ma czym oddychać. Freja, zapatrzona w biały sufit, cicho

posapuje. Przecieram ją zwilżoną gąbką, lecz czerwoną buzię wciąż wykrzywia grymas, identyczny jak u Tobiasa. Otwieram szafę, żeby wyjąć dla niej jakieś lżejsze śpioszki, i staję jak wryta.

Wszystkie ładne ubranka Frei wróciły na swoje miejsce, leżą w schludnych stosikach na półce. Tobias. To na pewno on. Nigdzie nie widać śladu mojej szczelnej plastikowej torby.

•

Odkąd przywieźliśmy Freję ze szpitala, moje dni upływają pod znakiem spotkań. Wpraszają się do nas tabuny pracowników służby zdrowia i opieki społecznej. Nie są zadowoleni, że Freja zniknęła im z oczu na tak długo.

Z początku czułam ulgę. Jak mogłam sądzić, że takie rodziny jak nasza są zdane tylko na siebie? Szybko jednak zmęczyło mnie to powtarzanie w nieskończoność wciąż tej samej ponurej opowieści o dotychczasowym przebiegu choroby.

Tobiasowi prawie zawsze udaje się wymówić od udziału w tych spotkaniach.

– Twój francuski jest dużo lepszy niż mój – stwierdza i ucieka do swojego studia. – Poza tym ty się zawsze rozklejasz. To robi na nich wrażenie.

Niestety ma rację. Gdy tylko zaczynam opowiadać o narodzinach Frei, zanoszę się przejmującym, nieopanowanym szlochom – a przecież chcę pokazać, że jestem rozsądna i zrównoważona. Urzędnicy kiwają głowami ze zrozumieniem, robią notatki w naszych grubych aktach, obiecują pomoc w opiece nad dzieckiem.

Przede wszystkim jednak każdy z nich dokłada coś do rosnącej sterty formularzy w języku francuskim. Nie umiem ich wypełnić, a rozpatrzenie wniosków zajmie pewnie odpowiednim urzędom francuskim i brytyjskim co najmniej pół roku. Niebezpiecznie rozchwiana góra papierów zajmuje już pół stołu w salonie, piętrząc się wyżej niż stos dokumentów dotyczących szkoły gotowania.

Dopóki się z nimi nie uporam, ci sami ludzie, którzy zapewniali mnie, że potraktują moją sprawę priorytetowo, powtarzają: *Mais vous n'avez pas le droit...* – i tyle ich widzę.

„Nie przysługuje pani prawo” stało się obok *mal fait* francuskim wyrażeniem, którego najbardziej się obawiam.

Tobias i ja budzimy się nad ranem zestresowani.

– Słyszysz szczury – szepczę. – Podgryzają belki.

– Dlaczego szepczesz? – odszeptuje Tobias.

– Cśś! Nie słyszysz? No przecież gryzą. Boję się, że dach zawali nam się na głowy.

– Nic na to teraz nie poradzimy.

– Wiem – wzdygam. – Po prostu...

– Po prostu co?

– Wiem, że to nie fair oczekiwać, że wszystkim się zajmiesz. Ale to naprawdę jest męska robota. A już na pewno wszyscy tutaj są tego zdania.

– Boże, znowu to samo. Nie widzę powodu, dla którego ty nie mogłabyś się tym zająć.

– Ale ja nie potrafię. Zresztą i tak już haruję jak wół. Jest piąta rano, za dwie godziny muszę wymieszać Frei poranną porcję lekarstw. Potem spróbować umówić ją na konsultację okulistyczną – nie mogę się tam dodzwonić. A potem cały dzień spotkań i ślęczenia nad jej papierami. Czy nie moglibyśmy zrobić grafiku zajęć i dzielić się obowiązkami?

– Nie zaczynaj znowu! Rozmawiasz ze mną jak nauczycielka w zerówce. Zamiast „Rusz dupę!”, mówisz: „Wprowadźmy taką zasadę”. Mam tego po uszy!

– Freja dostała skierowania na mnóstwo badań kontrolnych. Większość w Montpellier, na wypadek gdybyś nie wiedział dwie godziny drogi stąd. I to zawsze ja ją zawożę.

– Przepraszam, ale jaki to ma związek ze szczurami?

– Że nie wspomnę o mieszaniu jej pięciu różnych lekarstw, pamiętaniu o zmienianiu dawkowania; dwa razy dziennie mierzeniu ciśnienia, żeby sprawdzić, czy organizm nie przestał ich tolerować; badaniu moczu. To duża odpowiedzialność.

– Dlaczego zawsze musimy odbywać tę rozmowę w środku nocy?

– Tobiasz. Zrozum. Codziennie czuję się, jakbym... chodziła z Freją po linie. To dawkowanie leków jest jak balansowanie nad przepaścią. Za dużo – wysiadzie jej wątroba i Bóg wie co jeszcze. Za mało – dostanie napadów. Trzeba być bardzo, bardzo ostrożnym. Jak na razie terapia skutkuje, udało się zapanować nad atakami. To dlatego Freja zaczęła przejawiać osobowość. To dlatego się do nas uśmiecha. Nie mogę tego zmarnować. Jeśli to zawalimy... Nie rozumiesz? Boję się, że popełnię błąd.

Udało mi się go przejednać.

– Dobrze. W czym mogę cię wyręczyć?

– Chyba najbardziej przeraża mnie cała ta papierkowa robota, którą trzeba wykonać, żeby brytyjska służba zdrowia zwróciła nam koszty leczenia Frei we Francji. W tej chwili wydajemy na lekarstwa dwieście funtów miesięcznie. Nie mówiąc o niezapłaconym rachunku za szpital. Sami tego nie udźwigniemy. Wykorzystaliśmy limity na kartach kredytowych. Strasznie się martwię pieniędzmi. Bez przerwy.

– Pozwól mi się jeszcze trochę wyspać. Rano ci z tym pomogę. Obiecuję.

Spoglądam podejrziwie.

– Naprawdę? Mogę na ciebie liczyć?

– Słowo harcerza.

– O której?

- Och, cała ty. Co powiesz na wpół do dziesiątej?
- Tobias, nie masz pojęcia, jak mi ulżyło.
- Przytulamy się. Myślę o krążącej w nas miłości. Muszę z niej czerpać siłę.
-

Co chwila budzę się i zasypiam. Wstaje świt. O siódmej dźwigam się z łóżka, podaję Frei lekarstwa i kładę ją obok siebie. Przytula się do mnie, wciska mi się pod pachę, spychając mnie na skraj łóżka. Kiedy budzę się ponownie – zdawałoby się kilka minut później – jest dziewiąta. Tobiasa już nie ma.

Zrywam się i zbiegam na dół. W salonie Lizzy siedzi przy komputerze Tobiasa i stuka w klawiaturę.

- Lizzy, co robisz? – pytam.
- Robię wam horoskop Inków.
- Ale my nie wierzymy w takie rzeczy, prawda, Tobias?
- Tobias sam mnie poprosił – oznajmia niewinnie Lizzy. – Prawda, Tobias?
- Tobias jest zakłopotany – przynajmniej ma choć tyle przyzwoitości.
- Co nam szkodzi – mamrocze, chociaż dobrze wie, że to idiotyzm.
- Lizzy ma kartkę z datami naszych urodzin. Poznaję jego charakter pisma.
- Tobias to biały wąż. Jest bardziej fizyczny. Ty jesteś czerwonym psem.

Szukasz w życiu równowagi między sercem a rozumem.

- Lizzy...
- Twoja ukryta moc tkwi w zabawie.
- Mam dość tych bzdur.
- Wasz związek to złoty orzeł.
- Nasz związek to nasza sprawa.
- Złoty orzeł oznacza, że ty i Tobias macie razem pełniejsze spojrzenie na

świat.

- Tobias, napijesz się kawy, zanim zabierzemy się za te papiery? – pytam.
- Chętnie.

Woda nie zdążyła się jeszcze zagotować, kiedy Lizzy pyta:

- Ale idziemy na ten spacer czy nie?

A Tobias odpowiada:

- Jasne, idziemy.
- Tobias nie ma czasu – wtrącam się. – Będziemy zaraz wypełniać papiery.
- Musimy iść! Dziś jest dzień niebieskiego wichru galaktycznego! – oznajmia Lizzy. – Chodzi o wyzwalenie energii i oddawanie jej kosmosowi.
- Może pójdziemy we trójkę? – proponuje Tobias.
- Nie mogę. Trzeba wypełnić te papiery. Obiecałeś, że mi pomożesz...
- Ale słyszałaś, co mówi Lizzy. Dziś jest dzień oddawania energii

kosmosowi.

Czuję, jak wzbiera we mnie wściekłość. Śmiało – myślę ponuro – rozczaruj mnie jeszcze bardziej, bo wtedy mogę być zła i bezsilna, tak jak lubię.

– Dobrze – rzucam gniewnie. – Zostanę i zrobię to sama. Jak zwykle.

– Pamiętaj! – woła Lizzy na odchodnym. – Traktuj to jako zabawę.

•

Freja powoli staje się córeczką tatusia. To jemu posyła najśłodsze uśmiechy i najbardziej anielskie spojrzenia. Jej reakcje wprawiają Tobiasa w osłupienie.

Dzisiaj rano przygląda się naszym prątkowanym poduszkom.

– Jesteś w siódmym niebie, co? – mówi do niej Tobias. – Myślałaś, że będziesz musiała czekać kilka godzin, zanim wstaniemy.

Freja wyciąga rączkę – nie piąstkę, lecz otwartą dłoń – i lekko dotyka poduszki.

– To twoja ulubiona pora dnia, co? W łóżku z tatusiem i poduszką w prążki. Ale frajda.

Stoję w drzwiach sypialni i się im przyglądam. Tobias nakrył sobie głowę poduszką w prążki, robi śmieszne miny i próbuje rozbawić Freję. Przestaje, kiedy widzi, że się przyglądam.

•

Dzika lawenda już zwiędła; kwiaty szybko umierają w pierwszych dniach letniego skwaru. Nie znaczy to jednak, że całkiem się poddała – z każdego spaceru wśród wyschniętych krzewinek wracam ze śladami wonnego olejku na dłoniach i ubraniu.

Teraz nadszedł czas kwitnienia lawendy uprawnej. Pszczoły z zadowoleniem bzyczą nad doniczkami, które ustawiłam na całej długości drewnianego mostku służącego nam za balkon. Kiedy pierwszy raz oglądaliśmy Les Rajons, to miejsce jako jedyne wydało mi się sympatyczne. Miałam wobec niego szczególne plany: ustawiłam na mostku dwa krzesła w nadziei, że wieczorami będziemy tam razem przesiadywać, Tobias i ja.

Ale Tobias urządził tam sobie letnie biuro, a krzesła wykorzystuje podczas lekcji obsługi Internetu, których udziela Lizzy. Sądząc po ich głośnych śmiechach, świetnie się bawią.

– Miej oko na męża – poucza mnie mama. – Wszyscy mężczyźni to głupcy. A ta hipiska żadnemu nie przepuści. Widać to po niej.

– Tobias zawsze lubił odrobinę poplirtować, ale mam do niego bezgraniczne zaufanie – odpowiadam.

Siedzimy w chłodnym salonie. Mama szyje, ja próbuję nakarmić Freję. Z balkonu dobiega nas znowu chichotanie, a trwa dłużej niż zwykle i towarzyszy mu głośny tupot.

Mama zrywa się z krzesła i sięga po miotłę.

– Idę zrobić z nimi porządek.

Przez trzy długie sekundy zmagam się ze sobą, wreszcie zostawiam Freję w bujanym foteliku i biegnę na górę w ślad za mamą.

Tobias i Lizzy chodzą na czworakach, ze wzrokiem utkwionym w podłódze.

– Inwazja mrówek olbrzymek! – woła Tobias. – O, ta ma chyba ze dwa centymetry!

Przez balkon do naszej sypialni maszeruje sznur wielkich mrówek. Mama wyciąga z kieszeni fartucha spray na insekty.

– Kiedy w modlitwie przyrzekam dobrze traktować wszystkie żywe istoty, wyłączam z tego mrówki. Mówię: „prawie wszystkie żywe istoty”. – Psika ostro raz i drugi. – Nie przepadam też za osami.

Tobias patrzy smutno na konające owady.

– Czy wy dwoje naprawdę nie macie nic innego do roboty? – grzmi mama. – Tobiasie, tak wspierasz moją córkę i wnuczkę? A może uważasz, że to one mają cię wspierać?

– Uczę Lizzy obsługi komputera – broni się Tobias. – Czas, żeby ktoś jej w końcu pomógł. Biedaczka prawie na niczym się nie zna.

Mama podpira się pod boki.

– Biedaczka bierze od was pieniądze i ma swoje obowiązki. Lizzy, w sadzie jest mnóstwo dojrzałych śliwek. Byłabyś tak miła i zechciała natychmiast je pozbiierać? Upiekę ciasto.

Tobias otwiera usta, by zaprotestować, ale Lizzy go ucisza.

– Dobra – mówi wesoło. – Zbieranie śliwek sprzyja medytacji.

Mama dla pewności odprowadza ją na dół. Zostaję sama z Tobiasem na balkonie. Siadam obok niego. Przez parę minut żadne z nas się nie odzywa. Patrzemy, jak pszczoły opychają się lawendowym nektarem.

Pierwszy ciszę przerywa Tobias.

– Spójrz na tamtą. Unosi się nad tym kwiatem jak koliber. A przecież to owad. Popatrz, jaką ma trąbkę.

– Nie masz z nią romansu, prawda? Nie zakochałbyś się w niej? Bo gdybyś się zakochał, złamałbyś mi serce.

Czuję, że zaraz mnie spławi. Powiedziałam to bez namysłu, dopiero teraz wyobrażam sobie, jak wyglądałoby życie bez Tobiasa: byłoby nie do zniesienia. Próbuję przybrać ironiczną minę, ale mi nie wychodzi, bo drżą mi wargi.

– Anno, jak mam cię przekonać? Nic między nami nie ma. Po prostu przyjemnie jest tu posiedzieć w słońcu, pośmiać się trochę i nie myśleć o tym, czy zrobiłem wszystkie rzeczy z twojej listy albo czy nasze dziecko ma mózg.

– Nie moja wina, że mamy tyle na głowie – złoszczę się. – Wszystko w tym domu się wali. Dosłownie.

– O, właśnie o tym mówię – wybucha. – Nie ożeniłem się z twoją matką. Nie dość, że ona się tu wprowadziła, i to najwyraźniej na stałe, to jeszcze ty stajesz się jej klonem. Ciągłe tylko kierat i obowiązki. Czuję, jakby moje życie się skończyło. Lizzy to dzieciak i ma dziwaczne wyobrażenie o świecie, mówiąc najdelikatniej. Ale przynajmniej można z nią miło spędzić czas. Ma w sobie mnóstwo energii i entuzjazmu. Czyli tego, czego mi teraz trzeba.

– A więc jednak ci się podoba?

– Nie bądź śmieszna. Lubię ją, ale się w niej nie zakochałem. – Przechodzi mi przez myśl, że odpowiedział zbyt szybko. Patrzy mi prosto w oczy błagalnym wzrokiem. – Nie miałaś tak nigdy, że chciałaś za wszelką cenę poczuć, że żyjesz?

– Tobias, pod wieloma względami jesteś moim przeciwieństwem. Ja muszę na wszystko ciężko pracować; ty masz wrodzony dar. Twoja muzyka jest piękna, nawet ta do filmów dokumentalnych. Ale właśnie przez to, że masz talent, wydaje ci się, że możesz osiągnąć wszystko minimalnym wysiłkiem. Otóż nie. Na pewno nie tutaj. Tu wszystko wymaga ciężkiej pracy. Od każdego bez wyjątku.

Spodziewam się ostrej reakcji, tymczasem Tobias nieoczekiwanie wywiesza białą flagę.

– Wiem. Przepraszam. Prawda jest taka, że chowam się tutaj przed odpowiedzialnością. Mam wrażenie, że jestem niewłaściwą osobą w niewłaściwym miejscu.

– Może miejsce jest niewłaściwe – odpowiadam – ale ty nie jesteś.

Tobias spogląda na pszczoły uwijające się wśród lawendy.

– Nie – kręci głową – to cudowne miejsce. Pokochałem je od pierwszej wizyty. To we mnie jest problem. Wszystko mnie przerasta. Szczury w belkach, sypiący się dach... Nie umiem się za to zabrać.

– Ja czuję to samo – przyznaję. – Bezsilność i bezradność. Nie jesteśmy przystosowani do życia w tym otoczeniu.

– Pod koniec miesiąca wyjedzie Kerim i będzie jeszcze gorzej. Zostaniemy sami z twoją matką.

Nie ruszając się z miejsca, pochylam się i obejmuję go niezgrabnie.

– Przyrzekam, że poproszę mamę, żeby wyjechała. Niedługo. Naprawdę.

– Wszyscy faceci w tych okolicach umieją sami zbudować dom, uprawiać rośliny i hodować zwierzęta. A ja potrafię tylko komponować i urządzać przyjęcia.

– Twoich niebieskich oczu i poczucia humoru nie wymieniałabym na nic – mówię.

Ale kiedy schodzimy razem na dół, zastanawiam się, czy to prawda.

W salonie czeka na nas Julien.

– Cześć, Tobias.

– Cześć, Julien – Tobias wyraźnie sztywnieje. Przy żylastym Julienie wydaje się wielki i niezgrabny.

– Przyszedłem wam przypomnieć o wodzie pitnej. Deszcze się skończyły. Powinniście sprawdzić stan zbiornika.

– Zbiornik na wodę. No tak.

– Mogę ci z tym pomóc, jeśli chcesz.

– Przepraszam, ale teraz nie mam czasu. Muszę biec do studia. Znowu przemontowali film i muszę prędko coś dograć.

Julien i ja odprowadzamy go wzrokiem.

– To bardzo miło z twojej strony – mówię. – Może mnie pokażesz, jak to się robi?

Julien uśmiecha się swoim enigmatycznym uśmiechem.

– Przede wszystkim trzeba się upewnić, że nie ma żadnych przecieków w zbiorniku ani w rurach. Nawet kapiący kran może was kosztować tysiące litrów wody. – Przerywa i spogląda na mnie z poważnym wyrazem twarzy. Z jakiegoś powodu zwracam uwagę na szare plamki w jego oczach.

– Anno, musicie się liczyć z tym, że przez następne dwa miesiące ani razu nie spadnie deszcz z prawdziwego zdarzenia. W suche lata nie pada nawet i trzy miesiące. Wasz zbiornik mieści dziesięć tysięcy litrów. Musicie od tej pory oszczędzać każdą kroplę. Żadnych ciekących kranów, żadnych kąpiei, w miarę możliwości myjcie się w rzece. Czy Tobias na pewno zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji?

– O tak, z pewnością. Po prostu... ma dużo pracy. Ktoś musi zarabiać na życie.

– Musimy zaizolować zbiornik. Wystarczy promyk światła lub trochę ciepła i woda będzie do niczego. Trzeba go też zabezpieczyć przed larwami komarów. Macie filtr?

– Hmm, nie mamy. Tobias jeszcze go nie zamówił. Przetgotuję wodę dla siebie i dla Frei.

– Od tej pory gotuj ją co najmniej przez dwadzieścia minut. Dopóki nie zainstalujecie filtra, powinnaś też myć owoce i warzywa przetwowaną wodą.

Wnet zabieramy się do pracy. Patrzę, jak jego szczupłe, pewne dłonie majstrują przy rurach, łatają szpary, rozprawiają się z przeciekającymi kranami.

Milczy, ale wyczuwam w tej ciszy dezaprobatę; uważa, że Tobias powinien sam się tym zająć. Jako kobieta mam łatwiej. Mogę łatwo nauczyć się robić przetwory i hodować warzywa. Od Tobiasa oczekuje się biegłości w przeróżnych czynnościach uznawanych za męskie. Nic dziwnego, że wpadł w kompleksy.

Lizy wraca z sadu z garścią śliwek.

– To wszystko? – pytam.

– Uważam, że powinniśmy podzielić się resztą z ptactwem i robakami.

– Lizy potrzebuje znajomych – mówię, kiedy Lizy wychodzi. – Nie mógłbyś jej zapoznać z paroma hippisami? Z tym całym pogańskim towarzystwem,

które było na twoim przyjęciu? Na pewno znalazłaby z nimi wspólny język.

– Tutejsi hipisi ciężko pracują – odpowiada surowo. – Uprawiają ziemię, doglądają zwierząt, robią pamiątki dla turystów, hodują marihuanę, wychowują dzieci. A Lizzy tylko gada od rzeczy i surfuje po Internecie.

Ten opis przypomina nieco surową samoocenę Tobiasa. Może właśnie stąd bierze się jego słabość do Lizzy? Oboje są zagubieni, oboje szukają sobie miejsca.

– Używajcie wody rozważnie – powtarza Julien na pożegnanie. – Dopóki nie spadnie deszcz, każda kropla ze zbiornika jest na wagę złota. Nawadniajcie ogród. – Zerka na Freję śpiącą w bujaczku. – Pamiętaj: o wszystko trzeba dbać, bo inaczej umrze.

Przesuwam małą w najchłodniejszy kąt salonu. Po chwili słyszę znajome walenie w drzwi.

– Ludovic! Przyszedłeś popracować w ogrodzie? Napijesz się kawy?

Jest czymś poruszony. Widać, że dławi go płacz. Nie wchodzi do salonu, tak jak to zwykle robi. Stoi w progu, zdjął myśliwski kapelusz i miętosi go w dłoniach.

– Ludovic? Co się stało?

– Thérèse. Zasnęła dziś rano. Jest nieprzytomna. Lekarze mówią, że to tężniak.

Nie wiem, co powiedzieć. Teraz łatwiej mi zrozumieć, jak się czują ludzie, kiedy mówimy im – ostatnio z niemal sadystyczną szczerością – o stanie zdrowia Frei.

– Ludovic, tak mi przykro. Czy możemy jakoś pomóc? Może wejdiesz na chwilę?

Stoi w drzwiach, wyraźnie zagubiony. Wreszcie potrząsa głową.

– Muszę jechać do szpitala. Chciałem wam tylko powiedzieć. W końcu jesteście naszymi sąsiadami.

•

Dzwoni Yvonne z wiadomością, że Thérèse zmarła wczoraj wczesnym rankiem.

– Przed pogrzebem odwiedza się zmarłego, taki jest zwyczaj. Pomyślałam, że moglibyśmy wybrać się tam razem. Spotkajmy się za pół godziny przed domem Ludovica.

Wkładam Freję do nosidełka, schodzimy drogą w dół. Przecinamy z Yvonne jedna za drugą wybetonowane podwórko Ludovica i wchodzimy przez drzwi z PVC do wnętrza pomarańczowego domu.

– Piękny dom – szepcze do mnie Yvonne. – Sam go postawił, *comme il faut*.

W środku panuje sterylny porządek, taki jak w ogrodzie. Wszystkie powierzchnie lśnią czystością. Kanapy są powleczone cienką plastikową folią. W kuchni honorowe miejsce zajmuje mikrofalówka, w salonie dominuje ogromny

telewizor.

Ludovic siedzi zgarbiony na skraju kanapy. Właśnie żegna się z nim para żałobników; obejmują go, oferują praktyczną pomoc. Myślę sobie, że starość na wsi wcale nie jest taka straszna. Ludzie nieraz mają ze sobą na pieńku, ale kiedy spada na kogoś prawdziwy cios, może liczyć na pozostałych.

Ciało Thérèse spoczywa w otwartej trumnie wyścielonej jaskrawoniebieskim atłasem. Twarz zdobi mocny makijaż: ktoś próbował poprawić naturę, pociągnął brwi grubą czarną kredką i nałożył róż na policzki. Nieboszczka ma na sobie różową poliestrową spódnicę i taki sam żakiet. Nie sądzę, aby miała wiele okazji, by nosić ten strój za życia. Kto wie, czy nie kupiono go specjalnie na pogrzeb.

Chcę jak najprędzej uciec z tego sterylnego świata, lecz Ludovic mówi z błagalną nutą w głosie:

– Usiądźcie na chwilę.

Yvonne i ja ciśniemy się z obu jego stron na plastikowej kanapie. Ramiona zaczynają mu drżeć.

– *Pauvre* – mówi cicho Yvonne, obejmując go jedną ręką.

– Wszyscy odeszli. Ojciec, Rose, mój syn. A teraz ona. Zostałem sam.

– Nie wolno ci tak mówić! – protestuje Yvonne. – Masz przyjaciół. Jesteśmy z tobą.

– Moi przyjaciele nie żyją! – wybucha Ludovic. – Siedemnastu moich przyjaciół z partyzantki zginęło jednego dnia. Moi rówieśnicy. Powinniśmy razem się zestarzeć. Powinni być tu dzisiaj ze mną, przy tej trumnie.

Kułakiem zasłania sobie usta, jak gdyby tamując rozpacz. Nastaje długie milczenie. Siedzę jak na szpilkach, ramię w ramię z drżącym Ludovikiem, słucham miarowego tykania plastikowego zegara znad telewizora, śledzę ruch białej wskazówki na pomarańczowej tarczy.

Ludovic spogląda na Freję, którą trzymam na kolanach.

– Thérèse zawsze chciała drugiego dziecka – oznajmia i mimowolnie wyciąga ku małej dłoń.

Podaję mu Freję, bierze ją na ręce i delikatnie tuli.

– Thomas – mówi – mój Thomas.

Wyciągam po nią ręce, ale Ludovic nie może się od niej oderwać. Trzyma ją w ramionach bardzo długo, oplakując śmierć własnego dziecka.

•

Kiedy idziemy później spać, Tobias nawet nie próbuje oponować, kiedy kładę Freję w naszym łóżku.

– Możesz dziś z nami spać – zwraca się do niej. – Ostatnio nawet to polubiłem.

Freja leży między nami jak mała laleczka, uśmiecha się i mruga oczkami.

Kiedy Tobias gasi światło, przez jakieś dwadzieścia minut oznajmia swoje niezadowolenie gromkim płaczem.

– Patrząc ostatnio na Freję, mam takie cudownie uczucie – szeptem Tobias w ciemności. – Jest tak samo jak wtedy, kiedy się po raz pierwszy w tobie zakochałem. Patrzę jej w oczy i myślę: nie ma niczego, absolutnie niczego, czego bym dla ciebie nie zrobił.

•

– Chyba znalazłem sposób na wasze szczury – mówi Julien. – Ale musicie uzbroić się w cierpliwość.

Jestem z Julienem na strychu. Oglądamy belkę nadgryzioną przez szczury.

– Popatrz, tu jest gniazdo. Szczury nie niszczą belek ot tak sobie. Potrzebowały przejścia.

– A co jeśli dach zawali się na Freję?

– Podaj mi accro.

Podaję mu pręt zbrojeniowy. Julien wciska go zręcznie do środka.

– Teraz się nie zawali. Pręt powinien wystarczyć, dopóki nie zrobicie porządnego remontu. Ale to nocne skrobanie, które słyszycie, to nie szczury.

– Nie? Bogu dzięki. A co?

– Korniki. – Uśmiecha się, widząc moją przerażoną minę. – Spokojnie, takich grubych belek nie przegryzą. Termyty byłyby groźniejsze. Wyżerają drewno od środka, na zewnątrz nic nie widać. A potem cały dom się wali.

– Boże święty! Jeszcze jedno zmartwienie.

– Anno, ty już teraz za dużo się martwisz. Wyluzuj.

Odgarniam mokry kosmyk z czoła.

– Gdyby chociaż ten upał trochę zelżał – mówię. – To już nie jest to samo miejsce. Słońce wszystko wypaliło.

Kładzie mi dłoń na ramieniu. Jego dotyk jest chłodny i zdecydowany.

– Będzie jeszcze gorzej – oznajmia. – Środek lata jest jak druga zima. Dlatego na wiosnę rośliny tak szybko rosną. Latem wszystko umiera. To jak u Freuda, on miał teorię dwóch przeciwstawnych pragnień, nazwał je imionami greckich bogów: Erosa i Tanatosa. Miłość i Śmierć. Życie w tym rejonie to ciągłe lawirowanie między jednym a drugim. Raz jesteśmy w królestwie Erosa, a raz w królestwie Tanatosa. Wiosna to Eros, bez dwóch zdań. Ale lato – tutaj lato należy do Tanatosa.

– Sam to wszystko wymyśliłeś?

Nie odpowiada na moje pytanie.

– Anno, wydaje mi się, że przeżyłaś szok. Całe to szaleństwo porządków, walki z myszami, okiełznywania natury – to jest Tanatos. Musisz wrócić do królestwa życia.

•

Ładuję Freję do samochodu i zawożę do Montpellier na kontrolne badanie neurologiczne. Doktor Dupont jak zwykle ma bardzo poważną i zatroskaną minę.

Kiedy oznajmiam, że mała przybrała na wadze, kręci głową i stwierdza:

– To sterydy.

Kiedy mówię, że napady zdarzają się coraz rzadziej, pyta:

– Czy zawsze jest taka senna?

Wypytuje mnie drobiazgowo o jej ataki. Czy mają inny przebieg? Trwają dłużej? W jakiej pozycji zdarzają się najczęściej? Czuję, jak optymizm zaczyna mnie opuszczać.

– Nadal miewa konwulsje trwające dłużej niż dwadzieścia minut? – pyta. – Zapewne pani wie, że są wyjątkowo groźne. Poważny napad może spowodować ciężkie szkody, nawet doprowadzić do śmierci. Mam nadzieję, że bardzo skrupulatnie przestrzega pani podawania leków: dawek, godzin ich aplikowania. Wszystko to jest szalenie ważne. Nagłe odstawienie leku może wywołać bardzo silny wstrząs.

– Trzymam się ściśle zaleceń. Bardzo ściśle – odpowiadam.

– Jak się pani wydaje, czy Freja robi postępy w rozwoju?

– O tak – potwierdzam. – Uśmiecha się i ogląda swoje dłonie.

– Hmm. Przekonajmy się, na jakim jest etapie. Czy zaczyna raczkować?

– Nie.

– Czy rozpoznaje swoje imię?

– Nie.

– Czy siada?

– Nie, skąd.

– Podaje przedmioty?

– Nie.

– Chwyta przedmioty?

– Nie.

– Gaworzy? Łączy sylaby?

– Nie.

– Naśladuje dźwięki? Robi „baba” albo „dada”?

– Nie, w ogóle.

– Obraca głowę, słysząc hałas?

– Nie.

– Próbuje opierać ciężar ciała na nogach, kiedy ją pani trzyma?

– Nie.

– Przewraca się na bok?

– Nie.

– Unosi główkę?

– Nie.

Doktor Dupont wzdycha.

– Obawiam się, że sprawdza się nasza prognoza – mówi, pisząc coś na kartce. – W Montpellier jest dom opieki, który przyjmuje dzieci od dwóch lat wzwyż. Jeżeli zamierzacie państwo ją oddać, należałoby już teraz zacząć załatwiać formalności.

•

W domu wręczam Tobiasowi raport doktor Dupont, który otwierają słowa: „Zauważono bardzo nikłe postępy...”.

– Powiedziała, że pora zacząć kompletowanie papierków wymaganych, żeby Freję przyjęli do domu opieki – mówię. – Co o tym sądzisz?

– W normalnych okolicznościach zmartwiłbym się – odpowiada. – Ale Freja uśmiecha się do mnie i nic innego się dla mnie nie liczy.

Chciałabym traktować sprawę w sposób tak niefrasobliwy. Tak łatwo jest kochać to dziecko, być z nim, dopóki człowiek nie zacznie rozmyślać o przyszłości. Bo cała przyszłość jawi się ponuro. Nie ma wątpliwości, że nigdy nie będzie trzymała moczu, nigdy nie nauczy się mówić, nigdy nie będzie swobodnie się poruszać. Spędzi życie leżąc na plecach, karmiona, ubierana, kapana, faszerowana lekami – będzie coraz większa i coraz cięższa, ale nie lepiej rozwinięta niż teraz.

Wiem już najgorsze: prawdopodobnie skończy w placówce w Montpellier.

Idę na górę, zaciągam zasłony i kładę się na łóżku z Freją u boku.

W Montpellier będzie leżeć w łóżku sama. Jak to na nią wpłynie? Czy poczuje się porzucona? Czy powinnam już teraz przyzwyczajać ją do samotności? Nie wyjmować jej z łóżeczka? Nie dotykać częściej, niż to konieczne? A może powinnam wytulić ją i wyściskać za wszystkie czasy, dopóki jeszcze mogę? Naładować miłością, tak jak ładuje się akumulator?

Freja odchyła głowę do tyłu, spogląda na mnie i uśmiecha się krzywo. Przygarniam ją do siebie i szepczę:

– Nigdy cię nie oddam. Nigdy.

To na chwilę pomaga. Wiem jednak, że jeśli jej stan się pogorszy, będziemy musieli umieścić ją w Montpellier. I że wszystkie moje obietnice – nieważne, czy składane jej, czy sobie samej – są obwarowane zastrzeżeniami, a co za tym idzie – nic niewarte.

Muszę wracać do swoich obowiązków. Kiedy znoszę ją na dół, Freja zaczyna płakać. Czy będzie komu ją utulić, jeśli zacznie płakać w Montpellier? Lepiej, żeby się hartowała.

Stawiam jej wózek pod ścianą i zaczynam wprowadzać nowe porządki na

półkach. Staram się nie słyszeć jej wycia, nie widzieć jej zmarszczonej, spurpurowiałej twarzyczki.

– Skarbie, na miłość boską, dlaczego nie weźmiesz jej na rękę?

Mama porywa ją z wózka i płacz natychmiast ustaje jak za naciśnięciem guzika.

– Potrzebujesz pomocy, skarbie? Z porządkami? Albo z Freją?

– Nie, mam, mam, dziękuję. Radzę sobie.

– Zawsze dwoisz się i troisz. Widzę, że masz mnóstwo rzeczy na głowie.

A przecież wiesz, że jestem dobra w robieniu porządków na półkach. Chciałabym się na coś przydać.

Kręcę głową.

– Jestem twoją matką, skarbie. Znam moją córeczkę. Uda się, ale tak naprawdę jest delikatna.

– Nie jestem delikatna. Nie wolno mi.

Mama wzdycha.

– Martwię się o Gustava i Kerima. Posprzeczekali się. Obawiam się, że to przez nas. Kerim chciał zostać u nas trochę dłużej, żeby nam pomóc. Moim zdaniem to nie fair wobec Gustava. W końcu sam go wysłał na wyspę Wight i obiecał, że do niego dołączy.

Wiem, że czeka, aż się wypowiem, ale nie przerywam pracy.

– Tak czy inaczej, skarbie, chętnie zostanę na dłużej, ale tylko jeśli będę potrzebna.

– Poradzę sobie sama – mówię.

Kolejne westchnienie.

– No cóż. Jeżeli naprawdę nie jestem ci do niczego potrzebna, chyba skorzystam z okazji i zabiorę się do Anglii razem z Kerimem. Może zatrzymam się na tydzień u niego i Gustava, żeby mieć na nich oko. – Zniża głos do przenikliwego szeptu: – Tak między nami, uważam, że Gustave jest pantoflarzem. – Po czym znów normalnym głosem, a nawet dobitniej niż zwykle: – Ale potem już prosto do domu. Doszłam do wniosku, że tam jest moje miejsce. Muszę się przyzwyczaić do samotności.

Dopiero teraz podnoszę wzrok znad puszek i słoików. Na myśl o jej wyjeździe ogarnia mnie nagła rozpacz tak głęboka, że brak mi słów, by ją wyrazić.

•

Postanowiłam dopilnować, by Lizzy wywiązywała się ze swoich obowiązków opiekunki. To część skomplikowanej gry, którą tocymy z Tobiasem. Musi się bardziej zaangażować. Dopnę swego, choćby za cenę kolejnego kryzysu.

– Lizzy, możesz odejść od komputera i zająć się Freją?

Lizzy potrząsa konwulsyjnie głową i pochyla się nad laptopem Tobiasa,

jakby broniła go przed niebezpieczeństwem.

– Wiedziałaś, że te białe smugi za samolotami to trujące chemikalia rozpylane przez CIA? – pyta.

– To jeszcze nie powód, żebyś nie mogła się zająć dzieckiem – odpowiadam.
– Muszę pojechać do Aigues.

– Ja się mogę zająć Freją – wtrąca się Kerim. – Zwykle to ja się...

– Nie – wchodzę mu w słowo – chcę, żebyś pojechał ze mną i mi pomógł. Znalazłam w *brocante* piękny, stary drewniany blok rzeźniczy, ale nie wiem, jak go załadujemy do astry.

– Ale Freja jest głodna – zauważa Kerim. – Nie wiem, czy Lizzy kiedykolwiek...

– To się nauczy – ucinam i dodaję okrutnie: – Niedługo cię tu nie będzie, Kerim. Będziemy musieli sobie radzić bez ciebie.

Przynoszę butelkę ze świeżym pokarmem, staję za krzesłem Lizzy i podtykam jej butelkę pod nos.

– Płacimy ci za to – przypominam.

Lizzy wciąż klika, jakby ogłuchła.

– Co ty w ogóle robisz? – pytam. – Ratuszesz świat?

– Żebyś wiedziała. Przynajmniej zrobiłam kilka kroków w tym kierunku. – Wreszcie wstaje od komputera i bierze ode mnie butelkę.

Kerim daje mi znak i przechodzimy do kuchni.

– Czy ona nie ma jakichś zaburzeń psychicznych? – szepcze.

– Nie mam pojęcia.

Widzę jednak, że coś z nią jest nie tak. Jej oczy jaśniejają tłumioną energią, pod oczami worki, jakby nie spała po nocach. Wyraźnie ubyło jej kilka kilogramów.

Usiadła w salonie i karmi Freję. Zbyt mocno odchyła jej głowę do tyłu, trzymając butelkę prawie w pionie. Freja jest głodna, pije zbyt szybko. Wije się i pręży, bezradnie wymachuje rączkami, próbując odepchnąć butelkę.

Ruszam w ich stronę, by sama ją nakarmić, lecz Lizzy, nieobecna duchem, w ogóle nie kwapi się, żeby mi ją oddać. Mleka ubywa coraz szybciej. Ogarnia mnie nagła, niepohamowana złość. Dlaczego to ja zawsze muszę się nią zajmować?

– Chodźmy – mówię ponuro do Kerima. – Jedziemy do miasteczka.

Nie ma nas godzinę. Gdy wracamy z wielkim blatem w bagażniku, z daleka wita nas głośny płacz Frei.

Moja córka płacze rzadziej niż inne niemowlęta, nawet kiedy jest głodna. Nigdy nie używa płaczu jako narzędzia szantażu. Cynik powiedziałby, że to dlatego, że nie ma mózgu, ale ja wolę myśleć, że to kwestia charakteru. Teraz Freja wydaje odgłos, który oznacza cierpienie: przeciągłe „auu, auu, auu”.

– Skoro płacze, to znaczy, że nic jej nie jest – stwierdza Kerim poważnym

tonem.

– Dostała kolki – mówię. – Nałykała się powietrza i nie może się go pozbyć.

Wpadamy do środka. Lizzy znowu siedzi przed komputerem, tym razem w słuchawkach, zapewne po to, by nie słyszeć przeraźliwego wycia dziecka.

Freja skręca się z bólu. Chciałaby przewrócić się na bok, ale nie potrafi. Biegnę jej na pomoc, ale Kerim jest szybszy, przerzuca ją sobie przez ramię, tak by wisiła głową w dół, i masuje jej plecy, żeby jej się odbiło.

– Anno! – woła sfrustrowany. – Bardzo bym chciał móc zostać dłużej i się wami opiekować, ale nie mogę. Gustave mnie potrzebuje. Nie mogę ryzykować, że go stracę. Zrozum, że muszę wyjechać.

Kiwam potulnie głową. Frei głośno się odbija – nareszcie ulga.

– Posłuchaj – mówi dalej. – Potrafię zrozumieć, dlaczego czasem przymykasz oczy na różne sprawy związane z jej zdrowiem i przyszłością. Wiem, że to dla ciebie bolesny temat. Ale będziesz musiała się z tym zmierzyć. Nie będziesz mogła liczyć na mnie.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć; nie przychodzi mi do głowy nic mądrego. Czuję, że nie nadaję się na matkę. Czy może być coś gorszego? Jestem zerem. Kiwam głową i mamrocze coś o kolacji. Zostawiam Freję w jego rękach i zaszywam się w kuchni.

Zapłakana kroję dla niepoznaki cebulę, kiedy niespodziewanie wchodzi Julien. Nie mówi nawet „cześć”. Nie zwraca uwagi na moje przekrwione oczy i ciekący nos. Od razu przechodzi do rzeczy:

– Wiesz, co tym razem wymyśliła? Postawiła mi ultimatum. Jeżeli ją kocham, mam się z nią ożenić. Po bożemu. W kościele. I znaleźć „normalną pracę”. Jak ona to sobie wyobraża? Że zamieszkam w nowoczesnym domu w miasteczku i zatrudnię się u jej ojca? To już chyba wolałbym umrzeć.

– Julien, dlaczego nie chcesz się z nią ożenić? To tylko świstek. A może dzięki temu Yvonne ustąpi ci w innych kwestiach.

Ale Julien, który tak często tłumaczy mi, co jest dla mnie najlepsze, ma najwyraźniej problem z trzeźwą oceną własnej sytuacji.

– To się nie uda – sarka. – Powiedziałem jej to. Między nami wszystko skończone. Zdecydowałem. Nie będę niczym niewolnikiem. – Przemierza kuchnię wzdłuż i wszerz. – Ostatecznie wolność jest mi potrzebna bardziej niż miłość. Wolność jest dla mnie najważniejsza.

•

To już ostatnie dni lipca. Mama i Kerim pakują swoje bagaże do astry. A tymczasem Tobiasa nigdzie nie widać. Lizzy zresztą też.

– Już się z nami pożegnali – zapewnia mnie Kerim, lecz mam wrażenie, że próbuje mnie tylko uspokoić. – Nie uwierzysz, ale chcieli poczekać ze spacerem,

dopóki nie odjedziemy. Powiedziałem im, żeby się nie wygłupiali.

– Trochę to dziwne, że nie chcą was odwieźć na dworzec.

– Nie zmieściliby się w samochodzie – mówi Kerim. – Nie, nie, Amelio, pozwól, że ja usiądę z tyłu.

Ma rację, przynajmniej co do braku miejsca. Wciska się między fotelik Frei a wielką walizę mamy i ruszamy w drogę.

Na dworcu jak zwykle krępujące wyczekiwanie na pociąg.

– No, skarbie, do widzenia. – Mama patrzy na Freję, ale mówi do mnie. A może do nas obu. Pochyla się ostrożnie i całuję małą raz i drugi.

– Czyli lekarka twierdzi, że nie będzie się normalnie rozwijać?

– Niestety.

– Nie będzie umiała chodzić ani mówić?

– Nie.

– Zawsze będzie niemowlęciem?

– Tak.

– Nie będzie mogła sama wychodzić z domu?

– Nie.

– Przez całe życie będzie wymagała waszej opieki?

– Tak.

Twarz mamy przybiera wyraz poważnej zadumy, jakby jej mózg przetwarzał dane.

– W pewnym sensie – odzywa się wreszcie – to idealne dziecko. Możesz pozostać matką do końca życia.

Sięga do torby.

– To dla niej. Chciałam jej to dać wcześniej, ale nie było odpowiedniego momentu, a później wyleciało mi z głowy.

Pociąg wjeżdża na peron.

– No, czas na mnie!

Mama wpycha mi coś do ręki. Nie całuje mnie na pożegnanie; pociągi okropnie ją stresują. Pędzi już w stronę otwartych drzwi.

Kerim ściska mnie krótko, szepcząc mi do ucha: „wszystko będzie dobrze, zobaczysz” i „pamiętaj, co ci mówiłem”. Potem biegnie za mamą i pomaga jej wsiąść do pociągu.

Stoję na peronie z moim pluszowym misiem. Obracam go w dłoniach. Miś Bernie. Poczciwy towarzysz z lat dzieciństwa. Stracił oczko, głowa opada mu jak Frei, futerko mu wyliniało od głaskania.

Mama w drzwiach pociągu macha gorączkowo, posyła mi buziaki. Znika, lecz po chwili pojawia się w oknie i znów macha. Unoszę Berniego. Macham nim długo, nie przejmując się tym, że pociąg odjechał, że jest już tylko dalekim punkcikiem. Tyle razy marzyłam o tym, żeby mama wróciła do siebie, a teraz,

kiedy to się wreszcie stało, przygniata mnie uczucie samotności.

•

Tobiasa i Lizzy wciąż nie ma w domu. W spiżarni zastaję Yvonne.

– Widziałaś Tobiasa? – pytam. – Albo Lizzy? – dodaję ciszej.

– Minęłaś się z nimi. Wrócili, ale znowu wyszli. Mówili, że idą do *le col des treize vents*.

– No to pójdę ich poszukać. Muszę z nim porozmawiać.

Yvonne kiwa głową ze zrozumieniem.

– Mam się zająć Freją? Będę tutaj całe popołudnie. Możecie spędzić trochę czasu razem, ty i Tobias...

– Och, naprawdę mogłabyś? Byłoby wspaniale. W lodówce jest kilka butelek z mlekiem.

– Nie musicie się śpieszyć. Umiem się zająć tą *petite puce*. Na pewno złapiesz Tobiasa, jeśli wyjdiesz od razu.

Kiedy wychodzę na ścieżkę, zdaję sobie sprawę, że wcale nie szukam Tobiasa. Po głowie chodzi mi Eros i Tanatos. Chcę za wszelką cenę poczuć, że żyję.

Przechodzę, prawie przebiegam smoczym grzbietem, mijam jezioro, wreszcie docieram do polany Julienu.

Wbiegając po krętych schodach prowadzących do jego domku na drzewie, ledwie spostrzegam, że po kwiatach glicynii nie ma już śladu, a liście, przedtem delikatne i zwiewne, zgęstniały i stwardniały.

Walę w drzwi tak głośno, że otwiera wystraszony.

Jego wąskie i twarde wargi smakują dymem. Odwraca wzrok. Przez chwilę myślę, że tego nie zrobi. Jeśli mnie odtrąci, zwiędnę i uschnę. Oplatam go ciasno ramionami jak bluszcz.

Czuję, że się waha. Wreszcie wciąga mnie do środka, w głąb drzewa. Słyszę delikatne skrzypienie konarów, cichy szept liści.

Wśród pomruków gałęzi, pohukiwania sowy, wiszące łóżko kołysze się w sercu drzewa, a my razem z nim.

Sierpień

Słońce praży bez zmiłowania. Dzień po dniu. Julien miał rację – to jak druga zima. Wszystko, czego nie podlewamy, umiera.

Julien przestał do nas zaglądać po drodze do miasteczka. Chyba mnie unika. Nie wiem, czemu zrobiłam to, co zrobiłam, nie wiem nawet, co do niego czuję. Wolałabym teraz płakać i cierpieć z jego powodu niż czuć tę dziwną obojętność, która od czasu do czasu przeradza się w gniew i dezorientację.

Mam w głowie ciemną szufladę, nauczyłam się upychać w niej rzeczy, których się boję. Incydent z Julienem jest jedną z nich. Podobnie jak natrętne myśli na temat Frei i jej przyszłości.

Brakuje mi mamy i Kerima. Nie tylko dlatego, że mogłam bez obaw powierzyć im Freję. Również dlatego, że byli jak dobre duchy, które przez kilka miesięcy opiekowały się nami, nie oczekując niczego w zamian.

Teraz, kiedy pogoda dopisuje, mnóstwo znajomych pyta, czy mogliby się u nas zatrzymać na kilka dni, bo akurat będą przejazdem w okolicy. Tobias jest zachwycony, że może robić za przewodnika. Odbiera ludzi z lotniska i urządza dla nich przyjęcia nad rzeką, nad jeziorem, wszędzie, gdzie jest woda.

Od dwóch tygodni zajmuję się głównie przyrządzaniem piknikowych potraw. Robię sałatki z dzikiej portulaki i szczawiu wymieszanych z kruchą sałatą z własnej uprawy; albo z ogrodowych karczochów i bobu skropionych tutejszą gęstą oliwą z odrobiną czosnku i soku z cytryny. Napelnięm termosy świeżym gazpacho z naszych pomidorów albo *velouté de concombre*. Ładuję do wiklinowych koszy smakowite szynki Yvonne i jej pasztet z kasztanami; *tielles sétoises*, lokalne paszteciki nadziewane mięsem ośmiornicy; zmrożone ostrygi prosto z *étangs* (podważa się je nożykiem i połyka z kroplą tabasco i soku z cytryny); tarty morelowe; szarlotki i ciasta jeżynowe z kruszonką; *quiche* z naszych porów przesmażonych na maśle albo z pstrągiem z rzeki; ratatuj z warzyw zebranych przed godziną; wreszcie domowej roboty *confiture d'oignons doux* do jedzenia z chrupiącym francuskim pieczywem. Wszystko to popijamy dużymi ilościami schłodzonego lokalnego białego wina *Picpoul de Pinet*.

– Gotujesz inaczej niż kiedyś – stwierdza Tobias z ustami pełnymi *caviar d'aubergine*, mocno czosnkowej pasty z pieczonych bakłażanów.

– Nie smakuje ci? – pytam zaskoczona i lekko zaniepokojona.

– Smakuje, i to bardzo. – Patrzy na mnie badawczo. – Po prostu... Sądziłem, że są dwa rodzaje kucharzy. Tacy jak Nicolas, którzy długo się uczą, a potem ściśle przestrzegają wszystkich reguł. Dążą do doskonałości. I tacy, którzy nie boją się ryzykować i łączyć różne składniki, bo dla nich gotowanie to przede wszystkim frajda, jaką daje karmienie innych ludzi. Nie zrozum mnie źle, zawsze świetnie gotowałeś, ale kiedyś miałaś bardziej aptekarskie podejście. A teraz idziesz na

żywiół.

Jestem zdumiona; nie podejrzewałam go o żadne przemyślenia na temat mojego gotowania, a już tym bardziej o tak wyszukaną teorię.

– To pewnie wpływ zeszytu Rose – mówię. Ale cichy głos w mojej głowie podpowiada mi, że zawdzięczam to również Julienowi.

O dziwo, Tobias i ja staliśmy się dla siebie milsi. Jednocześnie Lizzy od jakiegoś czasu traci swoją radość życia. Do tego chudnie w oczach.

– Pycha – orzeka Tobias, zając się *seiche à la rouille*, mątwą w sosie pomidorowym, słynnym daniem z nadmorskiego Sète. Tak jak wiele innych moich nowych dań, również ten przepis pochodzi z zeszytu Rose. – Lizzy, spróbuj koniecznie.

– Nie, dziękuję.

– Daj spokój. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo znikniesz. Musisz zacząć jeść.

– Przeszłam na wegetarianizm.

– To zjedz chociaż trochę puddingu.

– Dieta bezmięсна to dopiero pierwszy krok. Przeczytałam w Internecie, że można sobie zmodyfikować DNA i czerpać energię ze światła.

– Ze światła? – powtarza Tobias. – Tylko ze światła?

– Może jeszcze z lekkich pokarmów – przyznaje niechętnie Lizzy.

Zaczynam się o nią naprawdę martwić. Spoglądam na Tobiasa i mówię bezgłośnie: „Internet. To twoja wina”. Odpowiada mi wzruszeniem ramion.

– Lizzy – zwracam się do niej – nie wierzysz chyba we wszystko, co przeczytasz w Internecie?

Kiwa buńczucznie głową, lecz po chwili niespodziewanie zamiera pod moim spojrzeniem.

– Anno, nie rozumiem, czemu tak ci to przeszkadza. Po prostu szukam ludzi, z którymi coś mnie łączy. Nie mam nikogo innego. Jestem sama na świecie.

Zrywa się i wybiega. Frontowe drzwi zamykają się za nią z trzaskiem.

– Pójdę z nią porozmawiać – mówię.

Wychodzę na dwór. Lizzy oddala się szybkim krokiem, zmierzając w stronę swojego kontenera. Widzę teraz wyraźnie, jak bardzo zeszczupłała. Kiedy wołam ją po imieniu, wzdryga się, jakby mój głos ugodził ją między łopatki. Przez chwilę myślę, że mnie zignoruje, lecz nagle odwraca się gwałtownie. Ma łzy na policzkach.

Robię nieśmiało krok w jej kierunku, a widząc, że nie ucieka, podchodzę bliżej.

– Lizzy, co się dzieje? Powiedz mi. Widzę, że coś cię gnębi.

– I tak nie zrozumiesz.

Zachowuje się jak nastolatka – bo jest nastolatką.

- Spróbuj – mówię najłagodniej, jak się da.
- Ehe. Teraz nagle stałaś się wyrozumiała. Akurat mi tego trzeba! Właśnie przed tym uciekłam ze Stanów do Europy. Przed ludzką wyrozumiałością.
- Aha – mówię dla podtrzymania rozmowy, bo nic więcej nie przychodzi mi na myśl.
- Nigdy mnie nie zrozumiesz. Musiałabyś mieć takie gówniane życie jak ja. Nie wierzę, że to powiedziała. Mimo całej mojej dobrej woli, udało jej się dotknąć mnie do żywego.
- Zapominasz, że mam ciężko upośledzoną córkę. Ku mojemu zdumieniu Lizzy prycha lekceważąco.
- No tak. Użalaj się nad sobą. Bo twoja córka jest chora. Wielka mi rzecz. Otwieram usta, lecz nie dopuszcza mnie do głosu.
- Przynajmniej cię kocha! Tak samo jak on. Psioczysz na swoją mamę, ale przynajmniej ją masz.
- Jej czupurny sarkazm topnieje; kiedy odzywa się ponownie, brzmi jak mała dziewczynka:
 - Moja mama oddała mnie do domu dziecka. A teraz nawet on zaczyna mieć mnie dosyć. Czuję to. Widzę to w jego oczach.
- Dociera do mnie z nagłą siłą, że to nie są żarty: ona naprawdę się w nim kocha.
- I nic dziwnego. Nikt nigdy nie okazał jej tyle dobroci.
- Traktuje mnie jak dziecko – żali się. – Kocha ciebie.
- Płacze bezgłośnie, łzy ciekną jej po twarzy. Zbliżam się do niej i bez namysłu robię to, co w głębi duszy chyba od dawna pragnęłam zrobić – na równi z porządnym klapssem. Obejmuję ją i mocno przytulam.
- Nie mów mu – odzywa się. – Proszę cię. Nie zniosłabym tego.
- Oczywiście, że nie powiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. Po co miałabym ją upokarzać?
- Po chwili dodaję:
 - Chryste. Ale się porobiło.
-

Martha przyjeżdża do Aigues popołudniowym pociągiem. Widzę, jak wysiada z wagonu: szczupła, na pierwszy rzut oka młodsza ode mnie o jakieś dziesięć lat. Od tygodni wyczekiwałam jej przyjazdu, ale teraz trochę się denerwuję. Dawniej mówiłyśmy sobie wszystko. To moja szansa, by odbudować zażyłość utraconą po narodzinach Frei.

Spogląda na mnie z wyrzutem.

– Anno, cieszę się, że widzę cię żywą. Prawdę mówiąc, strasznie się o ciebie martwiłam. Prawie nie odpisujesz na maile, a kiedy już piszesz, to najwyżej parę

zdań, z których nic nie wynika.

– Ty masz o czym opowiadać, bo mieszkasz w mieście – bronię się. – Ja mogę co najwyżej pisać, ile zmieniałam brudnych pieluch.

Martha sznuruje usta i ściska mnie mocno. Jest to uścisk kogoś, kto nie przestał się całkiem gniewać.

Parę godzin później kładziemy Freję spać.

– Masz, skarbie. To prezent – mówi Martha. – Pomyślałam, że jej się spodoba, skoro jest mało ruchliwa. Mocuje się do barierki łóżka.

To pudełko, które rzuca kolorowe obrazki na sufit i wygrywa melodię z *Kubusia Puchatka*. Włącza się automatycznie za sprawą czujnika ruchu. Nie wiedzieć czemu oczy zachodzą mi łzami. Sielskie obrazki z Kubusiem i jego przyjaciółmi, pogodna melodyjka – wszystko to należy do świata normalnych dzieci, które będą miały szczęśliwe życie. W pokoju Frei zakrawa na hipokryzję.

– Co się stało? – pyta Martha.

Zawsze umiałyśmy wszystko sobie wytłumaczyć.

– Sama nie wiem. Po prostu... Mam wrażenie, że ona nie jest prawdziwym dzieckiem. Przytulam ją, zatracam się w niej, ale w głębi duszy czuję się oszustką. Jak gdybym wcale nie była prawdziwą matką, tylko z pomocą innych budowała sobie fikcyjny świat. Jak gdyby wszyscy poza mną wiedzieli, że to wszystko jest... na niby. Że ona jest czymś w rodzaju zabawki.

– Daj spokój.

– Oczywiście wolelibyśmy model z chwytymi rączkami – żartuję gorzko.

– Możesz sobie mówić, co chcesz, ale wiem, że skoczyłabyś za nią w ogień.

Mój smutek zniemacka przeradza się we wściekłość. Te huśtawki emocji zdarzają mi się coraz częściej.

– Właśnie, że nie! – prawie krzyczę. – Nie mogę sobie na to pozwolić. Boję się pokochać ją bezwarunkowo. Kocham ją, ale... inaczej. Z dnia na dzień. Kocham ją tak, jak można kochać dziecko, które nie zachowuje się jak dziecko i które w każdej chwili może zniknąć z mojego życia.

Na kolację przyrządzam *travers de porc aux navets noirs de Pardailhan* z zeszytu Rose. Nikt nie chce ich jeść. Mnie jest niedobrze, Tobias nie jest głodny. Lizzy chyba całkiem zrezygnowała z jedzenia. Martha położyła się wcześniej spać, ponieważ bolała ją głowa.

Siedzę sama w pokoju i przeglądam się w lustrze. Odkąd urodziłam Freję, zwykle pod wieczór puchnę. Dziś mam brzuch jak balon.

Rozlega się ciche pukanie i drzwi się otwierają.

– Myślałam o tym, co powiedziałaś – oznajmia Martha. – Mogę się tylko domyślać, jak bardzo jest ci ciężko. Wiem, że nigdy tego nie zrozumiem. Nie powinnam się na ciebie obrażać.

Gałązka oliwna. Z jakiegoś powodu nie potrafię jej przyjąć z wdzięcznością.

Uśmiecham się tylko sztywno do naszych odbić w lustrze.

- Żeby było śmieszniej, cały czas wyglądam, jakbym była w ciąży.
- Robiłaś test?
- Daj spokój.
- Nie spóźnia ci się okres?
- Może parę tygodni. Straciłam rachubę.
- Zabezpieczasz się?
- Nie.
- W takim razie zrób test.

Znajduję test ciąży z czasów, kiedy staraliśmy się o Freję, i z pewnym zażenowaniem zamykam się w łazience. Ze zdumieniem widzę, jak obok czerwonej kreski pojawia się niebieska.

Wybiegam z łazienki i wymachuję testem Marcie przed oczami. Wyrywa mi go z piskiem.

- Chodźmy powiedzieć Tobiasowi! Ucieszy się jak nie wiem.
- Nie chcę mu jeszcze mówić. To bardziej skomplikowane.

Martha zerka z ukosa.

- Skomplikowane?
- Miałam romans. Chociaż to za dużo powiedziane. Jednorazową przygodę.

Bardzo dziwną. Z Julienem.

- Dziwną jednorazową przygodę?
- To nic nie znaczyło. I nie miało związku ani z Julienem, ani z Tobiasem.

Chodziło o Freję. O mnie. Chciałam poczuć, że żyję.

- Boże! Nie wierzę, że to mówisz.

– To musi być dziecko Tobiasa. Jeżeli jestem w ciąży co najmniej od dwóch tygodni, to musi być jego dziecko. – Po chwili dodaję: – Ale nie mam stuprocentowej pewności.

- I dlatego się martwisz?

– Na pewno nie mogę powiedzieć Tobiasowi. Ani Julienowi.

- A sama jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadam, a w duszy myślę: To będzie mój sekret. Nasionko kiełkujące w moim łonie.

Niczym dynamit z długim lontem, Martha znienacka wybucha.

– Miałaś romans i nic mi nie powiedziałaś?! A teraz jesteś w ciąży? I nawet nie wiem, jak się z tym czujesz!

Ciemna szuflada w mojej głowie zaczyna trzeszczeć. Jeżeli się otworzy, mózg mi eksploduje.

– Bo muszę się bronić przed tymi uczuciami – wyjaśniam. – Nieważne, czy dotyczą Juliana, Frei czy innych spraw. Uczucia są powiązane – jak korzenie traw. Wszystkie łączą się pod ziemią. Jeżeli stracę panowanie nad choćby jednym, stracę

panowanie nad wszystkimi. Muszę mieć je pod kontrolą.

– Pod kontrolą? Za późno na to. Mam wrażenie, że wszystko wymknęło ci się spod kontroli. Nie poznaję cię. Odkąd urodziłaś Freję, jesteś inną osobą.

Przerywa na moment, by po chwili znów dać upust swojemu rozgoryczeniu.

– Jestem trzydziestoosmioletnią singielką. Bardzo możliwe, że nigdy nie będę miała własnego dziecka. Myślałam – może to było nieskromne, ale byłam przekonana – że poprosisz mnie, żebym została chrzestną Frei...

– Taki mieliśmy zamiar – mówię żalosnym tonem. – Ale potem stwierdziliśmy, że może byś tego nie chciała, skoro Freja jest taka, jaka jest...

– Mogłaś mnie przynajmniej zapytać! Anno, pod koniec twojej ciąży rozmawialiśmy przez telefon codziennie. Czasem po dwa razy. Tobias nie miał głowy do zakupów – to ja pomagałam ci wybrać koszyk dla małej. Nawet wkładki do stanika! A potem urodziłaś Freję i ciach, koniec. Kiedy leżałaś w szpitalu, przeżywałam piekło. A potem zabrałaś dziecko i uciekłaś do Francji. Nawet nie zdążyłam jej poznać.

Wiem, że ma rację. Ale mnie też nie jest łatwo. Ledwie to wszystko wytrzymuję.

– Przepraszam. Nie mogłam inaczej. Musiałam się ratować.

Martha kręci głową. Nie zadowolają jej przeprosiny, które nie płyną prosto z serca.

– Nie jesteś sobą. Anna, którą znam, nie traktuje przyjaciół w ten sposób. I wie, z kim zachodzi w ciążę.

•

Rano zaglądam do Frei i ze zdumieniem odkrywam, że nie tylko zauważyła zabawkę z Kubusiem Puchatkiem, ale jest nią wręcz zafascynowana. Wprawdzie nie zdaje sobie sprawy, że może ją uruchomić, uderzając w nią piąstką, lecz kiedy muzyka przestaje grać, robi głośne „łaa”, wyrażając w ten sposób, jak sędzę, swoje niezadowolenie, i wpatruje się w pusty sufit, jakby czekała, aż znów pojawią się na nim kolorowe światełka.

Zbiegam na dół, by opowiedzieć o tym Marcie przy śniadaniu i może zatrzeć w ten sposób przykre wspomnienie zeszłego wieczora. Dobrze, że przynajmniej zgodziła się nie mówić Tobiasowi, że jestem w ciąży.

– Nie zmrużyłam oka – oznajmia. – Całą noc słyszałam, jak coś biega po strychu. Co to mogło być?

– Pewnie wiewiórki. Mamy ich tu mnóstwo. Rudych.

Schodzi Tobias.

– Jak ci się spało, Martho? Pokój, w którym Anna cię ulokowała, to szczurza centrala. *À propos*, uważaj na pułapkę w kącie w kuchni.

Martha spogląda na mnie z ukosa, po czym nagle i jakby mimo woli

uśmiecha się po swojemu.

– Ten dom ma złą energię – oznajmia Lizzy. – Nawet kiedy mieszkałam tutaj sama, nigdy nie spałam w środku. Sto razy bardziej wolę blaszany kontener.

Wygłasza to z taką powagą, że Martha zerka znacząco w moją stronę, a ja muszę bardzo się starać, żeby się nie roześmiać. Żal mi Lizzy, ale dobrze jest znów mieć przy sobie kogoś, z kim rozumiem się bez słów.

•

Po śniadaniu jedziemy na targ do Aigues. Do miasteczka niczym stada egzotycznych ptaków ściągają letnicy. Pieją z zachwytem nad średniowiecznymi budowlami i malowniczym ubóstwem tutejszych *paysans*. Miejscowi robią wszystko, by wycisnąć z nich jak najwięcej pieniędzy, zanim nastanie wrzesień i dolina opustoszeje.

Właściciele targowych straganów zastąpili swój zimowy asortyment – stare garnki i używaną odzież – lokalnymi specjałami: winem, kozim serem obtaczanym w popiele, suszoną kiełbasą z dodatkiem górskich ziół, śródziemnomorską mątwą, wonnym miodem z *garrigue* i czarnymi truflami z tajemnych miejsc w dębowych lasach. Nie mówiąc o jarmarcznym rękodziele wyrabianym w zimowe miesiące przez pracowitych hippisów.

Pod platanami Yvonne rozstawiła krzesła i stoły przykryte obrusami w biało-czerwoną kratę. Przy jednym z nich siedzi z zawiązaną u szyi serwetką Ludovic i z apetytem zajada coś kleistego.

– Głodni? – pyta nas Yvonne. – Dzisiejsze *plat de jour* to nóżki wieprzowe z chlebem.

– Ja dziękuję – mówi prędko Martha.

Na placu powstaje ogromna scena. Z boku stoi Julien; nie widzi mnie.

– Trzydziestego pierwszego jest festyn z okazji święta miasta – wyjaśnia Yvonne. – Musicie przyjść. Będzie koncert z laserami i trzydziestką zawodowych tancerzy. Orkiestra będzie grała *chansons*. Z Tuluzy przyjeżdża piosenkarka, która wygląda i śpiewa jak Kylie Minogue.

Ludovic przerywa posiłek i kręci głową.

– Yvonne jest z doliny, więc to jej święto. Ale wy powinniście być na festynie w Rieu. Wy jesteście z gór.

•

Martha prowadzi nas do straganu z tutejszymi zielonymi oliwkami z gatunku *lucques*. Stojący przed nami w kolejce chłopiec wtyka głowę do miski pełnej oliwek i głośno wciąga zapach w nozdrza. Nabiera wielką garść i zaczyna się objadać.

W kolejce rozlega się pomruk dezaprobaty. W dodatku rodzice chłopca

patrzą przed siebie, udając, że nie widzą, co się dzieje. Starszy brat krzywi się z niesmakiem.

– *C'est juste pour goûter pas pour manger!* – mówi.

Chłopiec nabiera kolejną garść oliwek i dopiero teraz ludzie stojący w kolejce, w tym również ja, spostrzegają, że to dziecko ma zespół Downa.

Wszyscy jak na komendę odwracają wzrok. Wszyscy oprócz mnie. Przyglądam mu się zafascynowana. Jeżeli wierzyć lekarzom, ten chłopiec w porównaniu z Freją będzie geniuszem. I jest dalekowidzem, tak jak ona.

Po kolei zanurza ręce we wszystkich miskach z oliwkami. Właściciel straganu uśmiecha się pobłaźliwie.

– *Mais ce n'est qu'un enfant* – mówi do starszego z braci. – *Ce n'est pas grave.*

Klienci potakują. Teraz dziecko budzi ich sympatię.

Podobne reakcje wywołuje ostatnio Freja. Niemowlęta w ogóle są urocze, ale kiedy ludzie słyszą, że moja córka jest upośledzona, całkiem tracą dla niej głowę. O ile nie mogą po cichu się oddalić.

•

W powietrzu zalatuje zgnilizną. A może to tylko zapach dochodzący z miejsca, w którym powinno być szambo. W sadzie jest mnóstwo przejrzałych owoców. Pasą się na nich osy i ogromne szerszenie. Wyżerają miąższ śliwek, zostawiając skórkę, pustą powłokę w kształcie owocu. Nie ma już sensu robić przetworów, nawet ja to rozumiałam.

Ogród warzywny stracił swój urok. Nic nie wygląda tak, jak powinno. Żółte kabaczki brązowieją. Pomidory atakuje zgnilizna. Papryki są czarne w środku. Kapustę poraził mączniak. Fenkuły wydają nasiona. Ziemiaków na oko jest tyle samo, ile posadziliśmy, przy czym w każdej bulwie zamieszkał miękki biały pędzak. Marchewki są małe, bardzo słodkie i wykoślawione, bo z trudem przebijały się przez kamienistą glebę.

Nastała plaga insektów. A to czerwonych w czarne prążki, a to brązowych, a to zielonych. Są leniwe i doskonale nijakie. Dotknięte wydzielają dość przykry zapach, jak tania woda po goleniu z lat siedemdziesiątych. Potrafią fruwać, ale im się nie chce. Nie uciekają ani nie próbują się ukrywać. Ich siła tkwi w liczności – nie sposób wybić wszystkich. Nie zabijają warzyw od razu, lecz wysysają z nich soki, zarażają je własną nijakością. Wszystko, do czego się dobrały, jest smętnie poobgryzane.

Jeżeli przyczynę problemów Frei stanowi nieokreślony recesywny gen, ryzyko, że dziecko, które w sobie noszę, urodzi się z podobnym defektem, wynosi jeden do czterech.

Powinnam odpychać od siebie takie myśli. Ich miejsce jest w ciemnej

szufladce. Ciekawe, czy ma nieograniczoną pojemność? I czy te wszystkie niechciane myśli, odcięte od światła i powietrza, nie zaczną w niej gnąć?

Kiełbasy Yvonne pokryły się delikatnym białym nalotem. Tobias, Lizzy i ja przychodzimy do spiżarki na oględziny.

– Pleśnią – stwierdza ze wstrętem Lizzy. – Faj. Gnijące świńskie wnętrzności.

– Daj spokój – mówię, żeby Yvonne nie zrobiło się przykro.

Ale Yvonne w ogóle się tym nie przejęła.

– Rozkład jest naturalną częścią tego procesu – wyjaśnia.

Ostatnio w jej obecności robię się spięta i staram się za wszelką cenę oszczędzić jej przykrości, prawdziwej czy urojonej. Mimo że zerwała z Julienem, mam poczucie, że zawiodłam jej zaufanie. Julien nie zgłaszał sprzeciwu, Tobias z pewnością niewiniątkiem nie jest, ale co zawiniła Yvonne? Zawsze była wobec mnie uczciwa i serdeczna.

– Odpływ tego zlewozmywaka jest połączony ze skrzynią za oknem – mówi Tobias. – Zastanawialiśmy się, do czego mogła służyć.

Yvonne rzuca okiem.

– Do robienia *foie gras*. Wsadza się do środka gęś i przeciąga jej szyję przez odpływ, żeby można było ją karmić. Gęś obrasta tłuszczem i robi się tak gruba, że nie jest w stanie się ruszać. Wątroba rośnie jej nawet dziesięciokrotnie. Potem się ją zabija. Tak było u mojej babci. Ale teraz mało kto robi pasztet w domu.

– Okropność – mówi pobladła Lizzy. – Traktować żywą istotę w taki sposób.

– Naprawdę tak uważasz? Prawdę mówiąc, chciałabym zacząć hodowlę gęsi na pasztet. Bo uwielbiam zwierzęta.

– Jak się zabija gęś? – pyta Tobias.

– To wcale nie jest takie proste. Podobno jeśli ma się dużo siły, można się nią mocno zamachnąć i ukreślić jej głowę w powietrzu. Potem uderzasz ją w tył szyi, żeby pióra łatwiej wychodziły.

– To miejsce jest złe – odzywa się Lizzy. – Niedobrze mi.

– Daj spokój – mówi Tobias. – To pewnie przez zapach oleju lnianego.

Jej twarz przybiera żalony wyraz, jakby ją spoliczkował. Posyła mi rozpaczliwe spojrzenie. Od czasu tamtej rozmowy sprzed kilku dni Lizzy zaczęła mnie traktować trochę jak zastępczą matkę. Szuka u mnie aprobaty, próbuje nawet nauczyć się opieki nad dzieckiem. Postanowiłam ją w tym wspierać. Cierpliwie objaśniam jej prawidłową technikę karmienia butelką, pokazuję, jak zmieniać pieluchę. Na razie jednak boję się zostawić z nią Freję.

•

Jest pierwsza rano. Freja ma kłopoty z oddychaniem. Z jej gardła wydobywa się niepokojące rżenie, klatka piersiowa gwałtownie unosi się i opada.

Potrząsam śpiącym Tobiasem.

– Mhm?

– Dusi się. To nie atak. Nie może oddychać. Nie wiem, co robić. Dzwonię po karetkę.

Tym razem wyjątkowo Tobias nie każe mi przestać histeryzować.

– O Boże, rzeczywiście wydaje dziwne odgłosy. Jakby miała umrzeć. Cholera. Dzwonź prędko.

Wybieram numer pogotowia. Telefonista łączy mnie z lekarzem, ten wsłuchuje się przez chwilę w oddech Frei.

– Proszę zabrać córkę na ostry dyżur do Aigues. Uprzedzę szpital o państwa przyjeździe.

Pakujemy ją do samochodu i zjeżdżamy w dolinę. Ja prowadzę, Tobias stara się udrażniać jej drogi oddechowe.

Na parkingu przed szpitalem wstrząsa nią potężne kichnięcie i po chwili jej oddech wraca do normy, a buzia odzyskuje zwyczajny kolor.

Lekarz mimo wszystko ją bada. Płuca są zdrowe, ale stwierdza u niej zapalenie ucha. Wręcza nam butelkę z przeterminowanym o dwa lata antybiotykiem i receptę na mnóstwo lekarstw – mamy je kupić rano, kiedy otworzą aptekę. Na koniec wystawia nam rachunek na kwotę siedemdziesięciu euro.

•

Śpimy do późna. Kiedy się budzę, Freja smacznie drzemie; nocna przygoda wydaje się tylko złym snem.

– Powinam pojechać po te lekarstwa – mówię ziewając. – Dzisiaj aptekę wcześniej zamykają.

– Spokojnie – mówi Tobias. – Pojedziemy sobie gdzieś z Martha. Kupimy lekarstwa po drodze.

Pozwalam mu jeszcze pospać i schodzę na dół. Martha siedzi już przy stole.

– Tosta? – proponuję, zanim odkrywam, że nocą szczury wdarły się do chlebaka i wyjadły wielką dziurę w jedynym bochenku. – Hmm, może lepiej nie. – Martha posyła mi jedno z tych swoich spojrzeń. – Co powiesz na naleśniki? Później skoczmy do Aigues po chleb. I tak muszę jechać do apteki.

Schodzi Tobias. Martha i ja żartujemy, chichoczymy i zajadamy się naleśnikami jak dzieci.

Jako ostatnia zjawia się rozczochrana Lizzy.

– A ty co? – zagaduje ją Tobias. – Dopiero wstałaś? Kto ci tak potargał włosy? Złe duchy?

Jeżeli liczył, że się z nią poprzekomarza, nic z tego. Lizzy zbywa go milczeniem.

– Kto mi zjadł buty? – pyta Martha. Rzeczywiście, w gumowej podeszwie jej

klapka ziele okrągła dziura wielkości piłki tenisowej. – Anno, te szczury...

– Dokąd się dzisiaj wybierzemy? – przerywa jej Tobias. – Anno, ty wybierasz. Dowolne miejsce.

– Pojedźmy nad *étang* – proponuję. – Zobaczymy flamingi.

– Może weźmiemy ze sobą jedzenie na piknik?

– Muszę zdążyć do apteki przed zamknięciem – przypominam sobie o lekarstwach dla Frei.

– Tobias ma rację – mówi Martha. – Po dwunastej Francuzów ogarnia melancholia i nie dostaniesz nigdzie lunchu.

Zerkam na zegarek: dochodzi południe.

– Nie mamy czasu!

– Anno, przypominam ci, że jestem na wakacjach – mówi Martha. – A twoje szczury wyżarły mi dziurę w bucie. Pozwól mi przynajmniej się przebrać.

– Skarbie, nie daj się prosić – nalega Tobias. – Przygotuj szybko jakiś swój piknikowy specjał.

Zalewa mnie fala frustracji. Krzyczę głośno – o wiele za głośno:

– Nie! Musimy wychodzić! W tej chwili!

Martha spogląda zdziwiona.

– W nocy byliśmy z Freją na ostrym dyżurze – wyjaśniam. – Nie mogła oddychać. Aptekę zamykają o dwunastej. Muszę kupić dla niej lekarstwa!

Zapada krótkie milczenie. Martha jest wstrząśnięta i zła.

– Anno, nic nie rozumiem. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zrobiłaś śniadanie! Siedziałaś ze mną i żartowałaś! Mówiłaś coś o przejażdżce! Nie możemy nigdzie jechać z chorym dzieckiem. Powinnaś była z samego rana pojechać do apteki.

Wszystko to prawda. Tak oto Freja zbudowała wokół mnie kolejny mur. Martha nigdy nie zrozumie, że Tobias i ja normalizujemy swoje życie, bo inaczej się nie da. Nie mówimy ludziom, że Freja jest chora, bo Freja zawsze jest chora. Stan pogotowia to nasz stan powszedni.

Każda chwila jest oddzielona od reszty, jakby ktoś je wszystkie popakował w plastikową folię. Trochę jak we wczesnym dzieciństwie. Wtedy inne dzieci dokuczały mi w przedszkolu, a ja nie potrafiłam o tym powiedzieć dorosłym, bo chwile, kiedy się nie bałam, były bezpowrotnie oderwane od chwil, kiedy mnie dręczono. Newage'owcy pokroju Lizzy nazywają to pewnie „życiem w terażniejszości”. Cóż, ja spróbowałam i nikomu nie polecam.

•

Temperatura stale rośnie. Można odnieść wrażenie, że cała przyroda wstrzymuje oddech. Powietrze staje się ciężkie, jak gdyby każda molekula nabrzmiewała wodą i miała prędzej czy później pęknąć.

Dopiero teraz rozumiemy, jak ważny jest *béal*: zapewnia nam stały dopływ wody z rzeki do ogrodu. Użyźniona końskim nawozem gleba nabrała głębokiej ciemnobrązowej barwy. Wyrastają z niej bujnie melony i dynie.

Ludovic udziela mi lekcji robienia kompostu.

– To jak gotowanie – tłumaczy. – Ważne są odpowiednie proporcje, trzeba wszystko należycie wymieszać i podgrzać do właściwej temperatury, nie za długo ani nie za krótko. Podejź bliżej i zobacz. Nie przejmuj się zapachem.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie utyłanego Ludovica w mojej kuchni, on jednak jest śmiertelnie poważny.

– Rozkład jest naturalnym procesem, a my jedynie go przyśpieszamy.

Tak jak wszystko inne w jego części ogrodu, również kompost znajduje się pod ścisłą kontrolą – w trzech schludnych plastikowych kubłach.

– Można je dostać za darmo w *mairie* – wyjaśnia. – Plastik jest dużo lepszy niż drewno. Nie gnije. Poza tym robię wszystko tak, jak nauczył mnie ojciec.

Podnosi trójzębne widły i zaczyna przerzucać odpadki z jednego kubła do drugiego.

– Przyniosłabyś mi trochę tych kartoflanych łęcin? Wrzuć je tutaj. Trzeba mieć po równo brązowego, czyli martwych roślin, gałęzi, suchych liści, słomy, i zielonego, czyli skoszonej trawy, młodych chwastów, zgniłych owoców i obierków z kuchni. Jak dasz za dużo zielonego, zrobi się maź. A jak za dużo brązowego – w ogóle nic z tego nie wyjdzie.

Ochoczo bełta widłami cuchnącą mieszankę.

– Jak źle wymieszasz, skiśnie.

– Obrzydliwość. Strasznie śmierdzi.

– Nie ma co się krzywić. To stan przejściowy. Rozkład nie zawsze jest zły. Jeżeli odpowiednio dobierzesz składniki, powstanie coś nowego. Pokrusz te skorupki jajek i wrzuć do środka. Robaki je lubią. Nie byłoby kompostu bez robaków.

Raz po raz przewraca zawartość kubła.

– Ważną rolę odgrywa powietrze. Dlatego trzeba regularnie przewracać: co najmniej raz na dwa tygodnie. Ja przewracam co tydzień. Im częściej przewracasz, tym krócej czekasz.

Uznawszy, że już wystarczy, Ludovic przykrywa kubel słomianą matą i spogląda w rozpalone niebo.

– No i oczywiście trzeba pilnować poziomu wilgoci. Kompost nie może wyschnąć, ale jeśli będzie stał odkryty w czasie burzy, to też niedobrze. Nie wolno przesadzić z ilością wody.

Zanoszę do domu naręczę sałaty, wcześniej jednak odwracam się i widzę, jak Ludovic stoi z rozpiętym rozporkiem i nawilża swój kompost metodą tradycyjną. Jeżeli jest zakłopotany, nie daje tego po sobie poznać.

– Ludzie wymyślają różne nowe sposoby, ale ja tam wolę robić kompost po staremu. Pamiętaj, co ci mówiłem: czasem trzeba coś rozbić, żeby stworzyć coś nowego. Tak jak w kuchni.

•

Jemy coraz dziwniejsze rzeczy. Pomyślałam, że Lizzy będzie się lepiej odżywiać, jeśli pozwolę jej gotować, ale to był zły pomysł.

– O nie! – mówię zbolalym głosem do Tobiasa. – Znowu duszone gąsienice.

– Duszony kalafior – poprawia mnie. – Pamiętaj, że jest wegetarianką.

– To by tłumaczyło, dlaczego sama tego nie je – mamrocę pod nosem, zaglądając do garnka z trzydniową potrawką i myśląc o wszystkich robalach, których nie wyłuskała zdemoralizowana siła robocza.

Lizzy w dalszym ciągu chodzi podminowana, mam wrażenie, że z każdym dniem coraz bardziej. Nie żartuje ani nie flirtuje z Tobiasem, za to bez przerwy mówi o złych siłach obecnych w naszym domu, a zwłaszcza w spiżarni. Przeniosła tam swoją kolekcję magicznych kryształków, ale i mnóstwo figurek katolickich świętych. Yvonne jest *croyante*, więc nie ma nic przeciwko świętym w swoim *laboratoire*. Jeżeli o mnie chodzi, nie bardzo rozumiem, jak to się ma do całej reszty egzotycznych poglądów Lizzy.

•

Kolejne dni nie przynoszą ulgi. Znosi się na wielką burzę, ale na razie jesteśmy od niej odcięci. Wciąż panuje duchota i susza.

Freję wysypało potówkami. Martha i ja obmywamy jej biedne ciało wacikami maczanymi w wodzie różanej, kiedy zjawia się Tobias.

– Chodźmy nad jezioro. Błagam. Muszę się wykapać.

– Niedługo będzie padać – zauważam. – Zbiera się od rana.

– No właśnie. A tutaj potrafi padać tygodniami, sama wiesz. Może to nasza ostatnia okazja, żeby popływać? Martha jeszcze nawet nie widziała jeziora.

– Ja nie mogę – mówię. – Dla Frei jest za gorąco, a Yvonne dzisiaj nie będzie. Kerim i mama wyjechali i nie ma już tak lekko jak kiedyś.

– To poproś Lizzy – sugeruje Tobias.

– To nienajlepszy pomysł zostawiać ją samą z dzieckiem.

– Daj spokój. Lizzy jest, jaka jest, ale bardzo się przywiązała do Frei.

– Ostatnio coraz lepiej się nią opiekuje – przychodzi mu w sukurs Martha. – Myślę, że to by ją dowartościowało, gdybyś zostawiła jej małą na parę godzin.

Zaglądam do nagrzanego kontenera Lizzy. Jestem wstrząśnięta jej mizernym wyglądem. W niczym nie przypomina śmiałej, energicznej dziewczyny sprzed kilku tygodni. Kiedy pytam, czy mogłaby się zająć Freją, oczy jej rozbłyskują. Widać, że sprawiłam jej wielką radość.

Tobias i Martha mają rację. Lizzy jest nieszkodliwa i kto wie, czy właśnie nie tego potrzebuje: dowodu naszego zaufania. Nie przyznaję się przed sobą do wewnętrznego głosu, który podszeptuje mi, że teraz gdy noszę w łonie nowe dziecko, nie muszę już tak bardzo uważać na Freję.

Idziemy z Marthą i Tobiasem nad jeziorko. Dochodzimy w pobliże domu Juliena. Tobias upiera się, że pobiegnie sprawdzić, czy Julien nie chciałby do nas dołączyć. Wracając, kręci głową. Znow się zastanawiam, czy Julien mnie unika.

– Zaprosiłem go na wspólny obiad w sobotę, w święto Rieu – mówi Tobias.
– My stawiamy.

Czysta góraska woda przynosi wspaniałą ulgę. Wskakuję do niej jak do chrztu, myśląc: Jestem w ciąży, to wszystko zmienia. I rzeczywiście, moje troski i zmartwienia bledną, czuję się jak nowo narodzona, przepelnia mnie optymizm. Pluskamy się pod wodospadem wypływającym prosto ze skały, piszczymy w strugach lodowatej wody. Po niej nawet zimna woda w jeziorku wydaje się co najwyżej letnia.

Miejscowe dzieci, które także przyszły popływać, podnoszą wrzask i wychylają się za kamienną krawędź wokół jeziorka. Dołączamy do nich. W dole cztery ledwo podrosłe warchlaki piją wodę z rzeki. Lekceważą nas z uporem właściwym młodości. Potem biegną po płyciźnie z wyprostowanymi ogonkami i trzęsącymi się ryjkami, dzikie, pierwotne i wolne.

Napotykam wzrok Tobiasa i uśmiechamy się do siebie. Wiedziona impulsem ściskam go za rękę i szepczę mu do ucha:

– Jestem w ciąży.

Zaskoczony otwiera szeroko niebieskie oczy. Potem obejmuje mnie i śmiejemy się cichutko z czystej radości. Doznaję nagłego olśnienia. To dziecko jest darem. Będę się cieszyć tą ciążą. Będę dobrej myśli.

W drodze powrotnej towarzyszy mi radość.

– Zejdźmy do Rieu i stamtąd wróćmy na górę do Les Rajons – proponuje Tobias. – Pokażemy Marcie, jak ładnie wygląda nasz dom z za winnic.

Winorośle Ludovica, pokryte bujnymi liśćmi, brzemienne ciemniejącymi owocami, zwiastują bachusową orgię.

– Nic dziwnego, że rosną lepiej niż nasze, skoro je nawadnia – zauważam. – Popatrz, ile tam jest wody. – O tej porze roku nasze bruzdy są suche i spękane, tymczasem jego lśnią wilgocią.

– Jak on to zrobił? – zastanawia się Tobias. – Przecież to pole jest powyżej domu. Zobacz, woda jest tylko w kilku bruzdach pośrodku. To mi raczej wygląda na zalanie.

Patrzymy na siebie z rosnącym niepokojem.

– Nasz zbiornik.

– Freja – mówię ze ściśniętym gardłem.

Ruszamy biegiem w górę zbocza, między winoroślami, wzdłuż linii wody.

Przed nami wylania się Les Rajons, lecz nie mamy czasu na podziwianie widoku. Z podwórza dolatuje coś jakby lament.

Zbiornik jest odkryty, ciemna dziura straszy niczym świeżo wykopany grób. Obok w martwej ciszy stoi spowity muślinem wózek Frei.

Strach dławi mnie w gardle, jak w tych snach, w których człowiek nie może wydobyć głosu.

– Freja! Freja! – wyrzucam z siebie. – Boże, co ja zrobiłam?!

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Chwiejnym krokiem zbliżam się do wózka i zrywam muślinową zasłonę.

Freja leży w środku i smacznie śpi. Wyciągam ją stamtąd i mocno przytulam. Budzi się i wymachuje rączkami, niezadowolona, że ją zbudzono.

Tobias patrzy zaszepionym wzrokiem na zbiornik.

– Jest pusty – stwierdza. – Ktoś odetkał odpływ.

– Tobias – mówi cicho Martha. – Ktoś stoi na poręczy balkonu.

To Lizzy. Z potarganymi czarnymi włosami balansuje na poręczy, jakby zbierając w sobie odwagę do skoku.

Tobias, przeklinając, rzuca się w stronę domu.

– Nie zdąży! – woła Martha z rozpaczą.

Podbiegam pod mostek i spoglądam w górę. Lizzy, nieprawdopodobnie blada i drobna, stoi niepewnie na poręczy.

– Lizzy! – krzyczę. – Zostań tam! Nie ruszaj się! Tobias pomoże ci zejść!

Twarz ma mokrą od łez. Czytam z ruchu jej warg: „Tobias”. Unosi ręce nad głowę i zdaje się pochylać w moją stronę.

Za jej plecami pojawia się Tobias. Chwyta ją mocno i ściąga z poręczy.

Kiedy przybiegamy z Marthą na górę, tuli ją w ramionach, wydając odgłosy, jakimi uspokaja się dziecko. Lizzy płacze. Pierwszy raz od wielu dni zachowuje się jak normalny człowiek.

– Jestem beznadziejna – powtarza. – Zabrakło mi odwagi, żeby skoczyć.

•

Uświadomiłam sobie, że Tobias i ja uciekamy od swoich zmartwień na różne sposoby. Oto one:

MOJE: Walka z myszami. Gotowanie. Praca w ogrodzie. Robienie ze wszystkiego przetworów.

TOBIASA: Praca w studiu nagraniowym. Komponowanie. Do niedawna flirt z Lizzy.

NASZE WSPÓLNE: Czarny humor. Udawanie przed sobą, że nasza córka jest zdrowa. Kontrolowany obłęd.

Zastanawia mnie, czy napady Frei też nie są rodzajem ucieczki.

Zauważyłam, że często nasilają się, gdy jest zestresowana lub narażona na nadmiar bodźców. Może stanowią swoisty zawór bezpieczeństwa, pozwalają na chwilę wyłączyć przeciążony mózg.

Drugi raz tego lata musieliśmy wezwać ambulans strażacki. Tym razem po Lizzy. Bałam się, że francuskie służby nie potraktują tego zgłoszenia poważnie. Po krótkiej rozmowie telefonicznej uznali jednak, że nie ma czasu do stracenia.

Wraz z sanitariuszami przyjechała dyżurna z opieki społecznej, po matczynemu troskliwa, którą Lizzy natychmiast polubiła. Oznajmiła nam, że Lizzy zdradza silne skłonności samobójcze i dlatego zostanie otoczona właściwą opieką na specjalnym oddziale przy szpitalu ogólnym w Montpellier.

Ostatni raz widziałam ją, kiedy owinięta folią termiczną, uczepiona kobiety z opieki, tłumaczyła przez łyż, dlaczego spuściła wodę ze zbiornika. Nie miało to zbyt wiele sensu – mówiła coś o składaniu ofiary – ale można się domyślać, że był to rodzaj wołania o pomoc. Nie miała przy tym najmniejszego zamiaru skrzywdzić Frei.

– Na pewno kogoś ma. Jeżeli nie krewnych, to chociaż znajomych. – Martha jak zwykle myśli praktycznie. – Anno, uważam, że powinniśmy przejrzeć jej rzeczy.

– A co z jej prywatnością? – zastanawiam się na głos.

Przez długie miesiące mieszkaliśmy z Lizzy, niczego o niej nie wiedząc. Kiedy teraz o tym myślę, nie mogę zrozumieć, dlaczego tak łatwo uwierzyliśmy w ten barwny i złudny obraz jej osoby.

Zaczynamy wstydliwie myszkować w jej kontenerze, grzebiemy wśród kadzideł, magicznych kryształów, modlitewnych paciorków, saszetek z solą himalajską. I nic, żadnego zdjęcia bliskich, nie mówiąc o adresach.

Nieco lepiej poszło Tobiasowi, który przeglądając jej korespondencję, natknął się na list z ośrodka adopcyjnego w Stanach Zjednoczonych z prośbą o kontakt. Po długiej dyskusji wysyłamy krótką odpowiedź, w której podajemy adres szpitala.

– Powinam była z nią pojechać – gryzę się. – Teraz jeszcze mocniej utwierdzi się w przekonaniu, że nikt jej nie kocha.

– Nie wolno ci tak myśleć – strofuje mnie Martha. – Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za każdą zbłąkaną duszę.

– Powinam ją chociaż odwiedzić. Ale źle mi się robi na samą myśl o kolejnych wyprawach do Montpellier.

– To, co powiem, zabrmi brutalnie – mówi Martha – ale masz dość własnych zmartwień. Nie zapominaj, że Freja cię potrzebuje.

•

Niełatwo przetrwać sierpień w Les Rajons bez bieżącej wody. Martha jest

nie do zdarcia: chodzi zmywać brudne naczynia nad rzekę i udaje, że nie przeszkadza jej, że nie może umyć włosów w domu. Zadanie napełniania dwudziestolitrowych kanistrów wodą pitną z publicznego kranu w Rieu spada w całości na Tobiasa. Codziennie kąpiemy się w rzece. Freję obmywam cenną wodą pitną, gdyż boję się, że od wody z rzeki mogłaby się przeziębic albo rozchorować na brzuszek. Niecierpliwie wyczekujemy zbawienia w postaci deszczu.

•

Dzień festynu w Rieu. Najgorętszy i najduszniejszy ze wszystkich dotychczasowych, prawie nie da się oddychać. Niebo nie jest już błękitne, wypłowiło aż do wściekłej białości. Zbiera się na burzę i zebrać nie może.

Będąc w ogrodzie, postanawiam zajrzeć do kompostu. Ostrożnie, jednym zębem wideł, podważam słomianą pokrywę i moim oczom ukazują się tysiące żywych larw. Ludovic miał rację, z rozkładającej się materii narodziło się nowe życie, lecz widok nie należy do przyjemnych.

Kiedy wczesnym wieczorem zbieramy się przed wejściem do domu, jaskółki zaczynają nurkować za owadami. Uwielbiają muszki, przypuszczam więc, że zawdzięczamy ten pokaz aeronautyczny naszemu robactwu.

Schodzimy do miejsca, z którego widać przytuloną do zbocza wioskę Rieu. Przystajemy na chwilę, podziwiając czerwonozłoty blask kamiennych domów w ostatnich promieniach słońca. Cienie w dolinie wyciągają się ku nim niczym długie czarne palce.

Kiedy docieramy na miejsce, cień objął już całe Rieu. Ulice jaśnieją teraz kolorowymi światłami. Na placu akordeonista w berecie i zawiązanej pod szyją czerwonej chusteczce wygrywa tradycyjne *chansons*. Pod drzewami tańczy kilka par. Dwóch mężczyzn miesza łopatą *moules* gotujące się w ogromnym żeliwnym naczyniu nad ogniem. Nieopodal na różnie obraca się prosiak. Dookoła stoją mężczyźni, sączą *pastis* i radzą.

Przystajemy nieśmiało koło różna.

– Dziwne. Nie widać Juliena – zauważa Tobias. – Ani Ludovica.

Czuję lekkie ukłucie zawodu, ale wmawiam sobie, że to nie ma związku z Julienem.

Nie widzimy żadnych innych znajomych. Mężczyźni nas ignorują. Czujemy się jak turyści.

– Myślisz, że to proszona impreza? – pytam Tobiasa. – Nie wiem, czy to, co mówił Ludovic, liczy się jako zaproszenie. Może nie powinniśmy byli przychodzić. Atmosfera jest niemalże rodzinna.

– Patrz – mówi. – Sprzedają bilety.

Podchodzę i śmiało proszę o trzy bilety dla dorosłych.

– Ale dla kogo? – pada pytanie. – Skąd jesteście?

– Z Les Rajons – odpowiadam i dopiero wtedy wszyscy zaczynają nas witać i całować. Czyli jednak byliśmy zaproszeni.

W końcu zjawia się Ludovic, jak rzadko kiedy umyty i schludnie ubrany. Promienieje na nasz widok.

– A więc jednak przyszliście bawić się z ludźmi z gór. Nie skusiły was tancerki w dolinie.

– Nie widzę nigdzie Julienu – mówi Tobias.

Ludovic uśmiecha się.

– Julien miał swoje święto w maju. Niewielu *soixante-huitards* i ich dzieci przychodzi na ten festyn. To jest zabawa organizowana przez *paysans*, rodziny, które mieszkają tu od pokoleń.

Zajmujemy miejsca przy długich drewnianych stołach. Usadzono nas z garstką innych cudzoziemców. Kolejne dania pojawiają się na stole w takim tempie i takich ilościach, że czujemy się jak goście honorowi. Najpierw pieczone *moules* – po dwóch dokładkach nie możemy już patrzeć na małże – następnie pajdy chleba smarowane grubo pasztetem, wreszcie wielkie kawałki pieczonego prosiaka z fasolą tonącą w tłuszczu.

Siedzę obok akordeonisty, miłego mężczyzny w średnim wieku, o wesołym spojrzeniu. Okazuje się Niemcem.

– Jak długo tu mieszkasz? – pytam.

– Och, od lat siedemdziesiątych. Miałem zostać na miesiąc, ale zakochałem się i wysłałem mojemu szefowi list z wypowiedzeniem.

– I co było dalej?

– Wyszła za mąż za bankiera z północy.

Śmiejemy się wszyscy, a on robi smutną minę, po czym wznosi toast cierpkim czerwonym winem. Po mojej drugiej stronie młoda kobieta, która przeprowadziła się tu niedawno z Holandii, zaczyna narzekać na swoje życie. Ma siedmioletnią córkę i czuje się przy niej uwiązana. Zimą chciałaby polecieć na parę miesięcy na Goa, lecz dziewczynka ma wtedy szkołę. Przenoszę wzrok z jej smutnej twarzy na wesołe oblicze Niemca, który zakochał się bez wzajemności, i myślę sobie, że to niesamowite, że jedni ludzie są tacy odporni na niepowodzenia, a inni tak łatwo się poddają.

Wracam myślami do nieszczęsnej Lizzy, do jej słów, że nie wiem, co to znaczy mieć gówniane życie. Chodziło jej o to – teraz to rozumiem – że zawsze byłam kochana, choćby przez mamę. Miłość to grunt pozwalający zapuścić korzenie. Dzięki niej nie przewraca nas byle podmuch.

Zrywa się burza, niebo tną pierwsze błyskawice. Ale starzy *paysans* nie uciekają, siedzą w strugach deszczu, chcą się najeść do syta za swoje piętnaście euro.

Spoglądam znad zalanych wodą talerzy ku dalekim wzgórzom.

– O rety! Aigues musiało wydać kupę pieniędzy na te sztuczne ognie – mówię.

– Ciekawe, skąd na to mają? – zastanawia się Tobiasz.

– Boże! To nie sztuczne ognie. To pioruny.

Dudniące echo burzy rozlega się po okolicy. Zygzaki wyładowań walą w ziemię, a po niebie mkną jakby kule ognia. To znak, że nadchodzi jesień, a po niej zima. Wszystko, co teraz rośnie w takiej obfitości, obumrze. Lecz po zimie przyjdzie znowu wiosna. Z rozkładu narodzi się nowe życie.

Siedzimy w ciepłym letnim deszczu, popijając gęstą czarną kawę i *digestifs*. Zawinięta w pelerynkę Freja wędruje z jednych sękatych rąk do innych, wszyscy gruchają do niej i rozplývają się nad jej urodą.

Chcą wiedzieć, jak to było z tym przyjazdem karetki. Wspominają, co robili tamtego dnia, kiedy w okolicy pojawił się wóz *sapeurs-pompiers*, tak jak się często wspomina dzień zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Uświadamiam sobie, że nasze życie zaczyna splatać się z ich życiem – powoli, jak młode pędy wina.

Wrzesień

Burza przyniosła chłodniejszą pogodę, orzeźwienie i otrzeźwienie, które pozwala nam wytchnąć, studzi gorączkę kilku ostatnich tygodni.

Z samego rana biorę się do zbierania dyń. Po deszczu urosły z dnia na dzień do takich rozmiarów, że musiałam je zwozić taczka.

Nagle chwytają mnie mdłości. Wbiegam do łazienki i wymiotuję. Mam w ustach dziwny, metaliczny posmak, pobolewają mnie piersi, czuję się całkiem wypruta. Chociaż to i tak nic w porównaniu z pierwszą ciążą, kiedy miałam wrażenie, że ktoś podkręcił na cały regulator wszystkie moje doznania fizyczne. Uczepiona brzegu umywalki myślę z niepokojem: czy jest mi wystarczająco niedobrze?

Wnętrze dyni jest pomarańczowe i mięsiste. Rozkrawając ją, czuję, jakbym kroila jakieś zwierzę. Kiedy zatapiam w niej nóż, soki plamią ostrze. Do nozdrzy wdiera się cudowny zapach, coś między ogórkiem a melonem. Będziemy żywić się nimi przez całą zimę, o ile tylko znajdę sposób, by je przechować.

Pasteryzowanie warzyw o niskiej kwasowości, takich jak dynia, to trudniejsza sztuka niż z owocami, które przetwarzałam do tej pory. Są bowiem szczególnie narażone na rozwój zabójczej bakterii *botulinum*, świetnie sobie radzącej w hermetycznie zamkniętych słoikach. Całkowitą pewność daje tylko urządzenie ciśnieniowe zwane autoklawem, we Francji nie do kupienia.

Większość poranka spędziłam w kuchni, czytając i rozmyślając. Dwa szczepy bakterii *botulinum* giną dopiero w bardzo wysokich temperaturach – powyżej 121 stopni Celsjusza – ale ich obecność łatwo poznać po brzydkim zapachu. Z kolei dwa inne szczepy, które nie wpływają na smak ani zapach, giną w temperaturze wrzenia. Teoretycznie więc wystarczyłoby pasteryzować przetwory w zwykły sposób, a później przy otwieraniu słoików wąchać zawartość.

Ale ciąża zmienia perspektywę. Nie można sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko. Myśl, że w moich słoikach mogłyby się rozwijać niewidzialne zarazki, napęła mnie niepokojem. Czułabym się bezpieczniej, mając pewność, że wybiłam je wszystkie co do jednego.

Powtarzam sobie, że powinnam zaufać naturze. Jeżeli zarodek jest zdrowy, natura będzie go chronić. W przeciwnym razie niczego nie wskóram. Z ciążą jest jak z robieniem przetworów – nigdy nie mamy gwarancji, że się uda.

Po południu znajduję plamkę krwi. Test ciążowy wciąż daje wynik pozytywny. Będąc w ciąży z Freją, też znalazłam taką plamkę, ale wolę dmuchać na zimne. Dzwonię do lekarki z Aigues. Jest dla mnie bardzo miła.

– Błędny wynik pozytywny zdarza się bardzo rzadko. Czy ma pani objawy towarzyszące ciąży? Proszę się położyć. Umówię panią na USG jutro po południu.

•

Pierwsze, o czym myślę po przebudzeniu, to badanie. Tobias przynosi mi kawę do łóżka.

– Wolalabym zieloną herbatę, ma mniej kofeiny.

– Nie wygłupiaj się.

Wybuch awantura.

– Dlaczego miałabym nie pić tego, na co mam ochotę?!

– Zamierzasz być taka przez dziewięć miesięcy?!

W końcu biorę głęboki oddech i mówię:

– Tobias, pamiętasz, co mówili lekarze? Jedno z nas może być nosicielem wadliwego genu. Jeżeli tak jest, to istnieje dwudziestopięcioprocentowe ryzyko, że dziecko urodzi się z tym samym defektem, co Freja. Nie rozumiesz, że strasznie się boję?

Jego złość mija.

– To nie był wadliwy gen. Nic nie znaleźli. Zresztą nawet gdyby – i tak na siedemdziesiąt pięć procent wszystko będzie dobrze. Anno, to normalne, że kiedy spotyka nas coś złego, zadajemy sobie pytanie o przyczynę. Ale czasem trzeba się pogodzić z tym, że nie było przyczyny albo że nigdy jej nie poznamy. Wiem, że to nie jest łatwe.

Przed południem ślęcę nad moim wnioskiem o pozwolenie na otwarcie w Les Rajons szkoły gotowania z pensjonatem. Zebrałam imponująco grube dossier, które od tygodni leży na stole w salonie. Postanowiłam się z tym uporać przed badaniem – jak gdyby mogło to wpłynąć na jego wynik.

Uzgodniliśmy, że zamiast zostawiać Freję z Marthą, zabierzemy ją ze sobą, a po drodze zjemy lunch w Aigues.

Parkujemy przy głównym placu.

– Podrzucę mój wniosek do *mairie*, zanim zamkną na lunch – mówię, gdy nagle podchodzi do nas Ludovic. Niesie w ręku bukiet goździków. Krok ma sprężysty, wygląda schludniej niż zwykle, chyba nawet wyszczotkował swój myśliwski kapelusz.

– Idę do Yvonne – oznajmia. – Mam nadzieję, że będzie dla mnie *gentille*.

– Ludovic, chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Napisałem do niej list. Może i mam swoje lata, ale jestem żołnierzem. Umiem prowadzić kampanię.

– Później zanieziesz te dokumenty – zwraca się do mnie Tobias. – Zgodzisz się chyba, że w tej chwili najważniejszą rzeczą w naszym życiu jest dowiedzieć się, co on jej tam napisał.

Wchodzimy za Ludovikiem do bistra Yvonne. Ludovic kłania się i wręcza jej goździki, po czym siada przy stoliku najbliższym bufetu, czyli tam, gdzie zwykł przesiadywać Julien.

– Dzisiaj polecamy *museau de porc*. Świński ryj – mówi wyraźnie zgnębiona Yvonne.

Nagle w drzwiach staje Julien. Spogląda na mnie i waha się, czy nie wyjść. Zmienia jednak zdanie na widok Ludovica. Siada jak najdalej od nas. Yvonne nie zwraca na niego uwagi.

– Yvonne, czy zechciałabyś podejść i mnie obsłużyć? – pyta Julien.

– Dostałam list od wielbiciela – oznajmia bez żenady Yvonne, patrząc w naszą stronę. – Przeczytam wam: „Świetnie gotujesz. Jesteś bardzo piękna. Oboje jesteśmy samotni. Chcę ci zaproponować małżeństwo, moje winogrona i dom”. – Ludovic uśmiecha się i uchyla kapelusza. – Styl pozostawia nieco do życzenia – stwierdza Yvonne – ale autor przynajmniej wie, czego chce. W przeciwieństwie do niektórych.

W trakcie posiłku między Tobiasem a mną znów dochodzi do sprzeczki. Ponieważ badanie jest w Montpellier, chcę przy okazji odwiedzić Lizzy.

Mam wyrzuty sumienia, że dotąd nie powiedziałam Tobiasowi o uczuciu, jakim darzy go Lizzy. Zrobiłam za mało, żeby jej pomóc. Uważam, że powinniśmy ją teraz wspierać. Jednak ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i rozczarowaniu Tobias jest przeciwny odwiedzinom. Jego powody są dla mnie niejasne. Lizzy stała mu się dziwnie obojętna, jak gdyby załazła mu czymś za skórę. Może to jego zraniona duma, myślę zgryźliwie. Oto atrakcyjna nastolatka, dotąd poświęcająca mu tyle uwagi, okazała się wariatką.

Kiedy Yvonne przynosi nam kawę, jesteśmy już tak poróżnieni, że milczymy. Wpatrując się smutno w okno, spostrzegam idącego przez plac mera. Urzędnicy ratusza mają teraz przerwę, lecz jeśli się pośpieszę, będę mogła wręczyć mu wniosek osobiście. Doganiam go przy pomniku bohaterów wojny.

– Ach, tak, Anglicy, którzy tchnęli życie w Les Rajons – mówi na powitanie.
– Macie już dość wody?

Kiwam głową z zakłopotanym uśmiechem. Ciekawe, jakie plotki do niego dotarły.

– Słyszałem, że otwieracie szkołę gotowania. Rose by się to spodobało. Była świetną kucharką.

– Pan znał Rose?

– Oczywiście. Jak wszyscy z mojego pokolenia. Uczyła mnie w *maternelle*.

Oboje odruchowo spoglądamy w stronę pomnika. Jej imię też tam jest. W osobnej linii, tuż pod listą *maquisards* zabitych przez Niemców. Rose Donnadiou, bohaterka ruchu oporu. 1944.

– Nie należy wierzyć wszystkim legendom o *maquis* – zaznacza mer. – Z biegiem czasu ludzie zaczynają upraszczać i idealizować przeszłość. Pani jest cudzoziemką, więc mogę pani powiedzieć, jak to było naprawdę. W ostatnich miesiącach wojny do ruchu oporu lgnęło dużo różnej hołoty. Donosiciele i szpicle

chcieli pokazać, że są po właściwej stronie. Dochodziło do incydentów...

– Incydentów?

– Był na przykład taki jeden z Aigues, trochę gaduła. Chlapnął przy Niemcach, że w okolicy są *maquis*. Nie sędzę, żeby komukolwiek zaszkodził, ale ktoś to usłyszał. *Maquis* złapali go, zabrali do lasu i wbijali mu pod paznokcie drzazgi bambusowe.

– O Boże! Czy Rose miała z tym coś wspólnego?

Bezwiednie wstrzymuję oddech. Dopiero gdy mer zaprzecza, wypuszczam gwałtownie powietrze.

– Ależ nie, skądże. To była niezwykła kobieta. Lepsza niż jej syn.

– Ale przecież Ludovic też jest bohaterem ruchu oporu, prawda? Ma medale.

– Dostał je za udział w walkach na północy pod koniec 1944 roku. Później...

– Mer urywa, jego twarz przybiera nieprzenikniony wyraz. – Wolałbym jednak nie mówić o przykrych sprawach. Tu, w dolinie, mówią różne rzeczy. Następnym razem niech go pani sama zapyta, jak zginęła jego matka.

Mimo prób nie jestem w stanie wydusić z niego nic więcej.

– Mam przy sobie wnioski w sprawie otwarcia szkoły – mówię. – Chociaż muszę panu przyznać, że trochę się boję, że nie dadzą mi pozwolenia. Bo nie mamy wodociągu.

– My tutaj staramy się załatwić nasze sprawy po swojemu. Jeżeli wydział planowania nie zapyta o wodę, nie musimy im o tym wspominać. Dołączę notatkę, że moim zdaniem szkoła gotowania przyciągnie turystów. Okolica tylko na tym skorzysta.

•

W drodze do Montpellier znów toczymy spór o Lizzy, tym razem nie tak zaciekły, lecz równie jałowy. Do czasu, aż stajemy przed bramkami na autostradzie i podchodzi do nas chuda, lekko przygarbiona młoda kobieta. W pierwszej chwili biorę ją za żebraczkę, okazuje się jednak, że chodzi jej o coś innego:

– Podwieziecie mnie do Montpellier?

– Oczywiście – odpowiada bez namysłu Tobias. – Z przyjemnością. W jakim celu tam jedziesz?

– Odwiedzić babcię w domu opieki.

Sprawia wrażenie zestresowanej. Jest w niej coś dziwnego, przypomina kogoś, kto żebrze o pieniądze na narkotyki. Jak gdyby ukrywała przed nami prawdziwy powód swojego zdenerwowania. Na razie jednak nie poprosiła nas o pieniądze.

Zwalniam miejsce z przodu i siadam z tyłu, obok Frei, ściskając w dłoni butelkę wina, w razie gdyby trzeba było się bronić. Tobias jest wyluzowany, pyta ją, czym się zajmuje.

– Pracuję w biurze pomocy osobom niepełnosprawnym – odpowiada. – Szczerze mówiąc, sama też nie jestem w pełni zdrowa. Mam problemy. Mój mózg funkcjonuje nie do końca normalnie.

Przechodzi mi przez myśl, że może Francja to dobre miejsce dla takich ludzi. Dziewczyna ma przynajmniej pracę i w miarę normalne życie. W Anglii pewnie wylądowałyby na ulicy.

Tobias uśmiecha się zachęcająco. Jego wdzięk znów działa cuda. Nieznajoma coraz bardziej się przed nami otwiera.

– Mówiłam już, że jestem wdową? Mój mąż też był niepełnosprawny. Poznałam go w pracy. Umarł dwa miesiące temu. – Momentalnie się rozkleja i płacze. Tobias poklepuje ją po dłoni.

Wysiada pod domem spokojnej starości w centrum Montpellier. Odprowadzamy wzrokiem jej przygarbioną postać.

– Biedactwo – mówię.

– Słuchaj, jeżeli po badaniu będziesz chciała odwiedzić Lizzy, zrób to. Masz rację. Jesteśmy za nią odpowiedzialni. Ale chyba lepiej żebyś poszła tam sama. Ostatnio dużo myślałem o moim... zachowaniu.

– Nie było zbyt rozsądne – wtrącam. – Co z tego, że sama zaczęła z tobą flirtować? To jeszcze dziecko. Nie powinieneś był jej zachęcać. Co w ciebie wstąpiło?

– Ciężko to wytłumaczyć. Kiedy gotujesz, nie masz nigdy takiego uczucia, że robisz coś, w czym jesteś najlepsza na świecie? Że masz wszystko pod całkowitą kontrolą?

Niechętnie potakuję.

– Ja zawsze tak miałem z muzyką. Ale ostatnio mi nie idzie. A jedyna inna rzecz, w której jestem dobry, to nawiązywanie kontaktu z ludźmi. Tak jak przed chwilą z tą kobietą. Pomogłem jej wyjść z jej skorupy i sprawiło mi to frajdę.

Dawno już nauczyłam się żyć z wrodzonym urokiem Tobiasa. Właściwie to sama padłam jego ofiarą. Ale ta historia z Lizzy naprawdę nim wstrząsnęła.

– Myślałem, że po prostu spędzamy wesoło czas. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, rozumiem, że Lizzy była w bardzo złym stanie. Myślałem, że jej pomagam, a teraz czuję się, jakbym ją wykorzystał. Nie byłem dobrym przyjacielem. – Milknie na chwilę. – Boję się z nią spotkać. Boję się, że na mój widok znów dopadną ją samobójcze myśli.

– Bez przesady – mówię, ale Tobias potrząsa głową.

– Odwiedź ją sama. Ja w tym czasie popilnuję Frei.

•

Lekarz, który będzie mi robił badanie, wypytuje mnie o Freję. Kiedy mówię, że USG w Anglii nie wychwyciło wad rozwojowych na etapie ciąży, marszczy

czoło.

– Mnie się nigdy nie zdarzyło przeoczyć braku ciała modelowanego. Może po prostu miałem więcej szczęścia. – Bierze do ręki podręcznik medyczny i pokazuje nam ilustrację na okładce. – Tutaj widać brak ciała modelowanego.

– Czy możemy się jakoś upewnić, że przyczyną nie był wadliwy gen? Że to się nie powtórzy tym razem?

– Obawiam się, że absolutną pewność będziemy mieć dopiero w zaawansowanej fazie ciąży. Skieruję panią do genetyka na bardzo dokładne badanie. W okolicach dwudziestego szóstego tygodnia będzie pewnie możliwość wykonania rezonansu magnetycznego płodu. Skoro jednak lekarze w Anglii nie znaleźli wadliwego genu, prawdopodobieństwo powtórki jest niewielkie. Na pani miejscu nie martwiłbym się na zapas.

Przychodzi czas na badanie. Lekarz bardzo szybko woła:

– O, tutaj!

I rzeczywiście, widać małą plamkę. Tylko jedną, ale na swoim miejscu. I coś jak pulsowanie – niewyraźne, chybotliwe. Lekarz wydaje pomruk zadowolenia.

– To bijące serce.

– A kiedy... najpóźniej mogło dojść do poczęcia? – pytam niby mimochodem. – Mogłam się pomylić w obliczeniach. To mogło być nie siedem, a pięć tygodni temu.

– Oj, skarbie – odzywa się Tobiasz. – Coś ci się pomieszało.

Czuję, że się rumienię. Lekarz przygląda mi się badawczo – a może tylko mi się zdaje.

– Na tym etapie można to określić z dużą precyzją. Sądząc po tym serduszkach, od poczęcia upłynęło co najmniej siedem tygodni. Na pewno nie mniej.

To dziecko Tobiasza. Ogarnia mnie fala szczęścia. Moje życie wraca na właściwy tor.

•

Lizzy przebywa na specjalnym oddziale dla młodych ludzi z problemami psychicznymi. W korytarzach wiszą ogromne zdjęcia z Arktyki. Mijam lodowce i niedźwiedzie polarne. Każdy pacjent ma własny pokój, tabliczki z imionami na drzwiach są w kształcie różnych zwierząt. Lizzy trafił się pingwin. Pukam. Po chwili odzywa się stłumiony głos:

– *Entrez.*

Lizzy wygląda jeszcze gorzej niż przedtem, gorzej, niż mogłabym przypuszczać w najczarniejszych snach: kości obciążone skórą, zapadłe policzki, głębokie cienie pod oczami. Jej rozedrganie przeszło w nieustanny dreszcz przenikający ciało, ruchy, głos.

W pierwszej chwili jakby mnie nie poznała. Potem po wychudłej twarzy

zaczynają płynąć nieme łzy. Jest mi okropnie żal tej dziewczyny, która powinna rozkwitać, a którą – teraz nie mam co do tego wątpliwości – potraktowaliśmy o wiele surowiej, niż na to zasługiwała.

– Anno – przemawia łamiącym się głosem. – Przyjechałaś.

Wyciąga do mnie patykowate ręce. Zbliżam się i obejmuję ją ostrożnie, żeby jej nie uszkodzić. Smutek, ból i skrucha ściskają mi żołądek. To jeszcze dziecko. Nie ma nikogo na świecie. Chcąc nie chcąc Tobias i ja staliśmy się dla niej rodziną zastępczą. Zabrakło nam przyzwoitości, by wspierać ją w tych ciężkich chwilach, i nie tłumaczą nas żadne własne problemy.

– Przepraszam cię, Lizzy. Jest mi strasznie przykro. Powinnam była przyjechać wcześniej.

Jej zduszony głos powtarza za mną jak echo:

– Przepraszam. Strasznie cię przepraszam...

Później milknie, resztę mówią łzy. Kiedy znów się odzywa, mówi tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Wcale nie próbowałam się zabić, wiesz?

Nie mam pojęcia, czy to prawda.

– Już dobrze. Wiem.

– Po prostu... chciałam, żeby coś się wydarzyło. Żeby w moim życiu coś się zmieniło.

– Oczywiście, skarbie. – Mimowolnie wpadam w manierę mojej mamy. Mam gotowy schemat postępowania w takich sytuacjach, zapamiętałam go z własnego dzieciństwa: przytulam ją, głaszczę po włosach, uspokajam szeptem i słowami bez treści, pozwalam jej się wypłakać i wyżalić.

– Napisali do mnie z pomocy społecznej – mówi. – Moja biologiczna matka chce odnowić ze mną kontakty, ale... Jestem teraz na to za słaba. To nie byłby dobry pomysł.

– Twoja matka?

Jej monotony głos przechodzi w głośny szloch.

– Dlaczego nie chciała mnie zatrzymać? Co było ze mną nie tak?

Freja, gdybym ją oddała, nigdy nie byłaby w stanie czegoś takiego wyartykułować. Ba, nie byłaby w stanie tego pomyśleć – na pewno nie słowami. Ale czy jednak mimo wszystko nie czułaby się porzucona? Czy nie podziałałoby to na nią tak, jak podziałało na biedną Lizzy?

– Musiała mieć jakieś powody – mówię bez pomysłu. – Na pewno miała bardzo ważne powody, które wprawdzie były... złe, ale nie umiała sobie z nimi inaczej poradzić. Lizzy, proszę cię, skontaktuj się z matką. Spróbuj przynajmniej się dowiedzieć, jak to było naprawdę.

– A co jeśli to była moja wina? – W jej spojrzeniu nie ma już nic z wydry, ani śladu radosnej bez troski. Jest tylko całkowita i autentyczna trwoga.

– Oczywiście, że to nie była twoja wina. Lizzy, masz wielu przyjaciół, którzy cię kochają. Masz nas... mnie i Tobiasa... oboje za tobą tęsknimy.

– Naprawdę? Tobias też?

– Oczywiście. Musisz jak najszybciej wyzdrowieć i do nas wrócić. Freja też za tobą tęskni.

– Naprawdę?

– Oczywiście! I Tobias. – Biorę głęboki wdech. – Lizzy, twoja mama przez cały ten czas, od kiedy widziała cię ostatni raz, myśli o tobie, tęskni za tobą i martwi się, czy jesteś cała i zdrowa.

– Naprawdę tak myślisz?

– Ja to wiem. Odezwij się do niej, a sama się przekonasz.

– Boję się zaryzykować.

– Lizzy, pomyśl o tym jak o szansie. No wiesz – jak o swoim przeznaczeniu albo czymś w tym rodzaju.

Przez chwilę jakby się wahała. Jej chude ciało kołysze się jak trzcina. Potem sztywnieje i już wiem, że znowu ją straciłam.

– Ja nie mam matki – mówi.

•

Martha oczekiwała mnie w napięciu. Zaraz po naszym powrocie spogląda znacząco w stronę drzwi. Wychodzimy na dwór jak gdyby nigdy nic.

– Dziecko jest Tobiasa – mówię.

Ściska mnie.

– Ciesz się, bo nie zasłużyłaś, łachudro – przygaduje mi ze śmiechem.

I właśnie teraz, kiedy mam wszelkie powody do radości, zaczynam zniecka płakać. Bo choćby nie wiem jak wspaniałe okazało się moje drugie dziecko, i tak nie będzie mi dana pełnia szczęścia. Julien już nigdy nie będzie moim przyjacielem. Nie urodzi mu się dziecko. Freja nigdy nie będzie taka, jaka miała być.

– Byłam strasznie głupia – szlocham. – Zraniłam ludzi, których kocham. Strasznie mi teraz przykro.

Martha przytula mnie i gładzi po włosach, powtarza „już dobrze, już dobrze”. Dociera do mnie, że w całym tym zamęcie udało mi się przynajmniej nie utracić najbliższej przyjaciółki.

– Nawet polubiłam tę nową Annę – oznajmia, kiedy przestaję łkać. – Jest trochę bardziej fiśnięta od tej, którą znałam, ale za to ile się dzieje w jej życiu!

– Zostaniesz chrzestną? – pytam. – Tego dziecka?

– Dziękuję, ale wolę być chrzestną Frei. Czuję się z nią bardziej związana. Od początku.

•

Trudno uwierzyć, że to już ostatni dzień pobytu Marthy. Ostatnie cenne godziny ona, Tobias i ja poświęcamy na dyskusję o Lizzy. Tobias uparcie twierdzi, że powrót do Les Rajons tylko by jej zaszkodził. Ja z nie mniejszym uporem podkreślam, że nie mamy innego wyjścia. Martha w imię przyjaźni wzięła moją stronę. Widzę jednak, że tak naprawdę myśli co innego; uważa, że sama jestem w zbyt słabej formie psychicznej, by brać na siebie ciężar opieki nad osobą z problemami.

Odkładamy temat na później. Pożegnalny lunch jemy w cieniu drzewa. Na stole świeży chleb, ser owczy i sałatka z ostatnich w tym sezonie soczystych pomidorów, mięsistych jak befszytk, a do popicia Saint-Chinian. Freja przez cały posiłek śpi w moich ramionach. Jest taka słodka, że nie mogę się oprzeć i całuję ją po rączkach. Budzi się i uśmiecha do mnie, wesoła istota, pełna radości życia.

Ściskam Tobiasa za dłoń i myślę o normalnym dziecku bezpiecznie rosnącym w moim łonie. O normalnym dziecku, które pozwoli mi zaakceptować Freję taką, jaka jest.

Po jedzeniu wsiadamy do samochodu i zjeżdżamy na dół do stacji w Aigues, by po raz kolejny pożegnać bliską mi osobę. Potem wracamy na górę, do naszego domu, w którym jeszcze nigdy nie mieszkaliśmy sami we trójkę – Tobias, Freja i ja.

Oczywiście Yvonne nadal przychodzi. A w ślad za nią jej kłopotliwi adoratorzy. Ludovic zjawia się jeszcze częściej niż dawniej; nie mogę mu zabronić, bo do końca roku połowa ogrodu należy do niego. W naszej części wytrwale pracuje Julien. Obaj łypią na siebie znad szpadli.

Ludovic niechcący spryskuje swoim preparatem grządkę cukinii, które Julien stara się uwolnić od mączniaka. Kiedy przychodzę zerwać główkę sałaty na lunch, widzę, jak Julien przerzuca ślimaki na stronę Ludovica.

Yvonne obserwuje ich rywalizację z niewinnym uśmiechem.

•

Kupiłam Frei malutką gumową szczoteczkę z okazji pierwszego ząbka. To głupie, ale jestem strasznie podekscytowana, że umyję jej ząbek. Nie wiem, czy jej się to spodoba, czy w ogóle zechce otworzyć usta. Jeszcze nigdy nie myłam zębów niemowlęciu.

Zabieram ją do sypialni i kładę na ręczniku rozłożonym na łóżku. Wyciskam odrobinę pasty dla niemowląt i zwilżam kilkoma kroplami wody, żeby się pieniała. Ostrożnie zbliżam szczoteczkę do ust Frei. Uśmiecha się i sama je otwiera. Wydaje się ciekawa smaku pasty. Myślę sobie, nie bez pewnego zachwyty, że pierwszy raz w życiu poczuła, jak smakuje mięta. Zaciska szczęki na gumie szczoteczki, jakby próbując ją pogryźć. Wygląda na to, że wyrzynają jej się kolejne zęby.

Rodzice normalnych dzieci często zachwycają się tym, że każdy dzień w życiu niemowlęcia przynosi coś nowego. W przypadku Frei niezwykle jest raczej to, jak niewiele się zmienia. Nauczyliśmy się wychwytywać najmniejsze nawet oznaki postępu. Każde takie nowe odkrycie jest dla nas cennym skarbem.

Ostrożnie szoruję jej ząbek. Kiedy wyjmuję szczoteczkę, posyła mi szeroki, bezzębny uśmiech. Przez chwilę leżymy tak i uśmiechamy się do siebie. Potem nagle Freja wydaje cichy jęk, który zazwyczaj zwiastuje napad. Zaczyna się znajoma fala drgawek i rwanego oddechu. Zaciska kurczowo szczęki, świeżo wyrżnięty ząbek wbija się jej w język. Zaczyna krwawić.

Przyglądam się jej w napięciu. Szczęki ma nadal zaciśnięte. Kładę ją na boku, żeby mogła łatwiej oddychać. Krew spływa z jej ust na ręcznik. Podpieram ją poduszką. Wydaje chrapliwy dźwięk. Na moment odzyskuje przytomność i kwili.

Cierpi, a ja nie mogę nic zrobić.

W mojej głowie pojawia się nagła, wyrazista myśl: nie zniosę tego.

Wychodzę z sypialni na zadaszoną kładkę, zamykając za sobą cicho drzwi. Przechodzę przez mostek do podłużnego budynku, który nazywamy stodołą. Chcę być jak najdalej, by nie słyszeć jej płaczu.

Jestem teraz w niedużym pomieszczeniu, gdzie podłoga usłaną jest słomą, tym, gdzie kiedyś widzieliśmy sowę płomykówkę. Może ona też doczekała się piskląt? Cichutko, by nie zakłócić spokoju sowiego gniazda, spoglądam przez otwór w głąb przepastnej stodoły. Czy kiedyś wypięknieje i wypełni się klientami, śmiechem, normalnością? Czy może już na zawsze pozostaniemy dziwakami zamieszkującymi zrujnowane gospodarstwo?

Czuję potrzebę skupienia całej swojej uwagi na detalach. Koncentrując się bez reszty na fizycznym otoczeniu, uwolnię się od wszystkich niechcianych myśli. Badam wzrokiem znajdującą się przede mną drewnianą belkę. To prymitywna wciągarka, dawniej pewnie używana do przenoszenia bel siana. Drewno musiało kiedyś pęknąć i dlatego przewiązano je kawałkiem brudnej kolorowej tkaniny. Spod brudu niewyraźnie prześwituje ozdobny deseń. W róże.

Powoli dociera do mnie, że patrzę na strzęp ulubionej chusty Rose. Ludzie, których nie stać było na zbieranie sentymentalnych pamiątek, znaleźli dla niej nowe zastosowanie.

Mój gniew zniecka zwraca się przeciwko mnie samej. Jak mogłam odejść od Frei w trakcie ataku? Jakim prawem wmawiam sobie, że są rzeczy, których nie zniosę jako matka?

Wracam biegiem do sypialni. Freja leży otępiała, jak zwykle po napadzie. Dwie długie strużki schnącej krwi znikają za kołnierzykiem białych śpioszków. Kiedy się zbliżam, zaczyna cicho pojękiwać. Biorę ją na ręce i przytulam. Zawodzi cichutkim, drżącym głosikiem. Znoszę ją na dół i kładę na stole, na jej kolorowym kocyku.

Odgryzła sobie zębkiem równy, trójkątny kawałeczek języka. Ogarnia mnie dojmujący żal. Ten ślad pozostanie jej na zawsze.

Tylko Tobias może mnie teraz pocieszyć. Biorę ją z powrotem, w poplamionym krwią ubranku, i zanoszę do studia.

Siedzi zgarbiony nad klawiaturą, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Co się stało? – pytam.

– Kolejny potencjalny sponsor się wycofał. Jeżeli szybko kogoś nie znajdziemy, podziękuję mi za współpracę, jestem tego pewien. Od miesięcy oglądam w kółko te same sceny – jak tylko coś do którejś skomponuję, natychmiast ją przemontowują albo w ogóle wycinają z filmu. Byłem naiwny, myśląc, że sobie z tym poradzę. To mnie przerasta. Zawiodłem Sally i całą resztę.

– Jesteś doskonałym muzykiem. Po prostu ta praca cię przytłoczyła. Masz prawo czuć się wypalony.

Spogląda z rozpaczą.

– Anno, mogę ci coś puścić? Chciałem to zrobić od dłuższego czasu, ale chyba się bałem.

Kiwam głową, nie odzywając się ani słowem, bo jeszcze gotów jest się rozmyślić. Pochyla się nad sprzętem i po chwili małe studio wypełnia się dźwiękami.

Nie od dziś wiem, że Tobias jest mistrzem budowania nastroju. Bierze najbanalniejszy materiał filmowy i za pomocą muzyki potrafi nadać mu dowolny charakter, od mrocznego po komiczny.

Ale ten utwór to coś więcej. Melodia jest pełna smutku, słychać, że włożył w nią całe serce.

– To najsmutniejsza rzecz, jaką słyszałam.

– Mówiłem ci, że czuję się stłamszony i że to uczucie przenika do mojej muzyki.

– Mówiłeś, że szukasz w muzyce ucieczki – przypominam.

– Wiesz, kiedy Freja była małeńka, wkładałem ją do nosidełka i chodziłem z nią, udając, że jest normalnym dzieckiem. I teraz, kiedy rośnie, to normalne dziecko w mojej głowie rośnie razem z nią i robi wszystko, czego Freja nie umie. Łapię się na tym, że nakładam te wyobrażenia na rzeczywistość i udaję, że wszystko jest okej. Oczywiście prawdziwa Freja się nie rozwija i wiadomo, że nie ma żadnych szans na normalność. Zmieniają się tylko moje uczucia. I mam przez to wrażenie, że tracę kontakt z rzeczywistością.

Ściskam mu dłoń.

– Będziemy mieć drugie dziecko – mówię. – Będzie normalne i nas uratuje. Czuję to.

– Anno, ty chyba nie rozumiesz. Kiedy spoglądam jej w oczy, myślę sobie, że nie ma takiej rzeczy, której bym dla niej nie zrobił. To, czy nasze drugie dziecko

będzie normalne, czy nie, w ogóle nie ma znaczenia. Nikt nas nie uratuje. Mamy przesrane.

•

Tobias wkłada Freję do nosidełka i ruszamy na długi spacer. Dziś jest dzień polowania, ale znamy już myśliwych, wiemy, jakie są reguły.

Ciepłe chmury gęsto powlekły wzgórze. Jest w tym coś miłego i przytulnego.

– Jakbyśmy byli w lesie mglistym – mówię.

– Albo w Anglii – żartuje Tobias.

Przechodzimy po smoczym grzbiecie, po raz pierwszy dostrzegając różne drobne detale w głazach pod naszymi stopami. Wcześniej zawsze rozpraszały nas zapierające dech w piersiach widoki.

– Czytałem, że ta ścieżka powstała w neolicie – odzywa się Tobias. – W średniowieczu było tu pełno mułów i straganów, kupcy wymieniali się towarami.

– Magiczne miejsce – mówię i zastanawiam się, czy nie zaczynam przypadkiem brzmieć jak Lizzy.

Zza skłębionych obłoków co pewien czas wyziera skrawek intensywnie błękitnego nieba. Sycimy oczy widokiem ukazujących się i znikających gór, odkrywamy ustronne polany, na których rosną wielgachne kanie i czarcie koła pieczarek. Rzeka o tej porze roku jest piękna: płynie szybkim, szerokim i połyskliwym nurtem. Przytulamy się i przypominamy sobie, dlaczego tu jesteśmy.

W drodze powrotnej Tobias woła mnie:

– Spójrz na to!

Idę za nim, spodziewając się kolejnych cudowności. Moim oczom ukazuje się tymczasem zwałony na bok młody dzik – już nie warchlak z pasiastą sierścią, wciąż jednak o połowę mniejszy od dorosłego osobnika. Szkliste oko na wpół otwarte, bok unosi się i opada. Muchy już obsiadają mu ryj i oczy.

Tobias trąca go kijem. Nieszczęsne stworzenie dźwiga się na drżących nogach i robi chwiejny, ślamazarny krok naprzód. Jest coś boleśnie przykrego w tych spowolnionych ruchach. Dzik wlecze ryj po ziemi, widocznie nie mając siły go podnieść, i zgarnia przed sobą groteskową kupkę siana. Co chwila niebezpiecznie się przechyla, jakby miał znów runąć. Czuję, jak wzbiera we mnie smutek, odraza i przygnębienie.

– Ma pękniętą szczękę – stwierdza Tobias. I rzeczywiście, ryj zwierzęcia jest otwarty zbyt szeroko i pod nienaturalnym kątem.

– Biedak musi okropnie cierpieć.

– Jest bardzo chudy – zauważa Tobias. – Pewnie od kilku dni włości się w tym stanie. Musimy znaleźć kogoś, kto go dobije.

– Pójdę po Juliena. Jesteśmy niedaleko jego domu.

Julien pracuje u siebie w ogrodzie. Na jego widok ogarnia mnie zakłopotanie. Prześlizguje się po mnie wzrokiem.

– Julien, musisz nam pomóc! Znaleźliśmy konającego dzika. Strasznie cierpi. Potrzebny nam ktoś, kto go zabije.

– Anno, zabijanie to nie moja specjalność.

– To co mamy zrobić? Nie możemy go tak zostawić.

– Ranny dzik? Może być groźny. Lepiej dajcie mu spokój. Niech przyroda sama zrobi swoje. – Odwraca się o sekundę za szybko.

Zalewa mnie wściekłość. Instynkt mówi mi, że w takiej sytuacji należy interweniować. Julienowi brakuje odwagi; nie ma nawet śmiałości spojrzeć mi w oczy.

– Mam ci coś do powiedzenia – mówię ze złością. – Jestem w ciąży.

Podnosi głowę, staje bokiem do mnie, wysuwając chude ramiona lekko do przodu, jakby chronił się przed silnym wiatrem.

– No, odezwij się. Przynajmniej coś powiedz!

Znów ucieka spojrzeniem.

– Anno, to nie jest dobry moment na konfrontację. Potrzebuję teraz trochę czasu dla siebie. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Jego chuda sylwetka odwraca się ode mnie. Jak mogłam sądzić, że jest lepszy, mądrzejszy niż inni? Dlaczego sobie ubzdurałam, że zna odpowiedzi na moje pytania? Koniec tego idiotycznego zauroczenia.

Z oddali dobiegają mnie dźwięki *chasse*. Biegnę w tamtą stronę i spotykam Ludovica z myśliwskim karabinem.

– Ranny dzik! – wołam. – Trzeba go dobić!

Ludovic widział w życiu wiele ludzkiego cierpienia. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby w ogóle nie przejął się losem dzika. Kiedy jednak dociera do niego, o czym mówię, natychmiast rusza ze mną we wskazanym kierunku.

– Nie martw się – mówi. – Skrócę mu cierpienia.

Przez dłuższą chwilę idziemy w milczeniu. Kiedy zbliżamy się do dzika, Ludovic z marszu, jednym wprawnym ruchem, celuje w głowę i strzela. Zwierzę ostatni raz wierzga i nieruchomieje.

– Młody samiec – stwierdza. – Któryś z myśliwych musiał go postrzelić. Nie wszyscy są doskonałymi strzelcami.

– Ludovic – wrywa mi się – jak zginęła Rose?

– *La drôle de guerre* – odpowiada ze wzruszeniem ramion.

Tym razem nie dam się spławić tak jak podczas obchodów Dnia Zwycięstwa.

– To znaczy? – pytam.

Przez chwilę krzyżujemy spojrzenia.

– Poszła ostrzec chłopaków z oddziału przed niemiecką akcją – odzywa się w końcu. – Nie zdążyła. Nie mogła się przedrzeć przez kordon. Kiedy wracała, zastrzelił ją snajper. Powiedziałem: *la drôle de guerre*.

Wyobrażam sobie, jak dzielna Rose biegnie do lasu, by ostrzec partyzantów; jak traci życie przez głupi zbieg okoliczności, znalazłszy się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze; jak umiera ze świadomością, że jej heroizm zdał się na nic.

Ludovic waha się przez ułamek sekundy. Wreszcie mówi zmienionym głosem:

– Nie powinienem był jej tam puścić. Pół wieku żyję z poczuciem winy. Przez lata wmawiałem sobie, że biedny Thomas był moją karą.

Ucisza mnie gestem, gdy zaczynam kręcić głową.

– Po śmierci Thérèse zacząłem na to patrzeć inaczej. Myśleliśmy, że nigdy nie urodzi nam się dziecko. Może Thomas wcale nie był karą. Może jednak zasłużyliśmy swoimi uczynkami na cud – na mały cud.

W rozwartej paszczy dzika widać zaczątek zęba, z którego w przyszłości wyrósłby dumny kieł. Taki mały ząbek.

– Może podobnie jest z *la petite*? – podpowiada Ludovic. – Może ona też jest małym cudem?

•

Mój dobry nastrój prysł. Głowa mi pęka. Jestem wyczerpana – czuję to aż w kościach – i przygnębiona.

– Tobiasz, zwolnij. Bardzo szybko się teraz męczę.

– To usiądź i odpocznij. Ja muszę się przejść. Wrócę po ciebie.

Siadam we wrzosach. Kiedyś było tu pole. Natura zagarnęła je z powrotem dla siebie, tak jak mówił Ludovic. Najpierw pojawiają się wrzosy, żarnowiec i jeżyny. Zagłuszają mniejsze rośliny, tworząc gąszcz nieprzebyty nawet dla zwierząt. Stwarzają dobre warunki samosiejkom. Po kilku latach wysokie, chude drzewka zaczynają wypierać jeżyny. Mija kolejnych trzydzieści, czterdzieści lat i oto mamy nowy las. Tam, gdzie warstwa gleby jest zbyt płytka, powstają gęste zarośla – *maquis* na skałach łupkowych i *garrigue* na wapiennych.

Opuszczam wzrok i spostrzegam na fioletowych wrzosach czerwone plamy krwi. Mojej krwi.

Wszystko, co żyje, wypiera inne życie. Wszystko, co umiera, robi miejsce dla nowego życia.

To dziecko można jeszcze uratować. Wiem, że powinnam teraz siedzieć nieruchomo i czekać na Tobiasza, zachować spokój i myśleć pozytywnie. Ale nie mogę – za bardzo go potrzebuję.

Wstaję i biegnę.

– Tobias!

Odwraca się i macha do mnie, znów uśmiechnięty.

– Krwawię! – wołam. W pierwszej chwili nie rozumie, o czym mówię. Potem rusza długimi susami w moją stronę. Freja podskakuje w nosidełku.

– Zbyt wiele tego wszystkiego – płaczę. – To ponad moje siły.

Obejmuje mnie bez słowa silnymi ramionami, jakby nie pozwalając, żebym się rozsypała. Nie tracąc czasu, zabiera nas do domu, pakuje lekarstwa i wózek Frei, ładuje nas do samochodu i wiezie na pogotowie w Montpellier.

Nawet na pełnym gazie dojazd zajmuje półtorej godziny. Patrzę na Morze Śródziemne, dziś wyjątkowo wzburzone. Krew leci w tempie kapiącego kranu. Czuję mrowienie w ramionach. Zastanawiam się bezsensownie, ile czasu musiałoby upłynąć, bym straciła całą krew.

•

Tobias parkuje przed izbą przyjęć, wbiega do środka, wraca z wózkiem, sadza mnie na nim, po czym – sama nie wiem, jak to robi – pcha jednocześnie mnie i wózek Frei.

Pielęgniarka służbistka każe nam ustawić się w kolejce za wojowniczo nastawioną kobietą i jej córką, mimo że obie stoją o własnych siłach, a więc mają się lepiej niż ja.

Wreszcie spostrzega czerwoną kałużę wokół moich nóg i aż się wzdryga. Chwyta za wózek i pcha mnie w głąb korytarza, obok ludzi leżących na łózkach na kółkach. Udziela mi się jej panika.

Pierwszy lekarz, na którego trafiamy, nawet nie raczy na mnie spojrzeć.

– Nie jestem na dyżurze – oznajmia.

Młoda stażystka, widząc, w jakim jestem stanie, prosi nas, byśmy poczekały, i biegnie po lekarza, tego samego, który przed chwilą nas zbył. Świat zaczyna się dziwnie rozmywać. Zjawiają się reanimatorzy, podłączają mnie do różnych urządzeń.

Słyszę, jak jeden z lekarzy mówi do kolegi: „Przyjechała na izbę przyjęć i nawet nie zbadali jej krwi ani nie podłączyli jej do kroplówki”. Potem wwożą mnie na salę operacyjną i usypiają.

•

Otwieram oczy i widzę uśmiechającego się do mnie Tobiasa. Wciąż jestem podłączona do dwóch kroplówek, trzęsę się z zimna pod kocem. Tobias kładzie Freję obok mnie i robi mi się ciepłej, jej ciało ogrzewa mnie jak piecyk. Tobias podnosi chromowaną barierkę łóżka, Freja wpatruje się w nią jak zahipnotyzowana. Po kilku minutach wyciąga po nią rękę.

Nie mam czasu się nimi nacieszyć, muszą już wychodzić. Kiedy Tobias chce

Freję podnieść, ta wybucha wrzaskiem.

Patrzę na jej rozgniewaną, zmarszczoną buzię i sama zaczynam płakać.

– Freju, złamałaś mi serce.

Tobias wyciąga ją z łóżka i natychmiast robi mi się zimno.

Październik

Mam straszną chandrę. Ta przeprowadzka była wielkim błędem. Potrzeba mi błękitu morza, cytrusowych gajów, bezwietrznej pogody i ciekawych, beztroskich ludzi, a nie zarozumiałych Francuzów z ich niezdolną biurokracją i grubiańskim przekonaniem o własnej wyższości. Poza tym dręczą mnie wyrzuty sumienia wobec Lizzy. Nie odwiedzam jej, przestałam też poruszać temat jej ewentualnego powrotu do Les Rajons.

Dziś rano czuję chwilowy przypływ energii, ubieram się i biorę za przestawianie mebli w salonie. Robię to sama, bo wiem, że Tobias byłby przeciwny, ale jeśli postawię go przed faktem dokonanym, machnie na to ręką. Przesuwam więc w pojedynkę ciężki kredens i parę innych masywnych rzeczy. Boli mnie brzuch. Ale nie muszę się już tym przejmować; moje dziecko umarło.

W ogrodzie ostały się tylko kalafiory. Przynoszę jeden do kuchni i przez pół godziny wydłubuję z niego maleńkie gąsienice. Doliczyłam się pięćdziesięciu. Żeby się do nich dostać, muszę rozebrać kalafior na różyczki. Efektem tej żmudnej pracy jest kalafiorowy suflet.

Tobias przepadł gdzieś bez śladu. Z dworu dolatuje odgłos walenia młotkiem.

– Chodź jeść! – krzyczę przez otwarte drzwi frontowe. – Zrobiłam suflet.

– Zaraz! – woła, lecz oczywiście nie przychodzi.

– Chodź jeść, do cholery! – wydzieram się. – W tej chwili!

Tym razem w ogóle nie odpowiada. Gapię się na opadający suflet i wyobrażam sobie, ile byłoby sprzątanego, gdybym cisnęła nim o ścianę.

Kiedy wreszcie, całe pięć minut później, Tobias staje w drzwiach, od razu wszczynam awanturę.

– Masz gdzieś, co do ciebie mówię, prawda?

Dopiero po chwili spostrzegam, że jest blady i ma krew na dłoni.

– Gdzie ty w ogóle byłeś?

– Na drabinie. Próbowałem naprawić rynnę. Tak jak mnie przedwczoraj prosiłaś. Mówiłem ci rano, że zamierzam to zrobić. – Po czym dodaje z przekąsem: – Ale najwyraźniej nie słuchałaś.

Tracę nad nim moralną przewagę; wprawia mnie to w jeszcze większą furję.

– A może po prostu przywykłam, że odwlekasz wszystko w nieskończoność.

– Koniecznie musisz mi dowalić – mówi ze smutkiem. – Naprawdę chciałabyś, żebym przybiegał w podskokach na każde twoje zawołanie? Nie znudziłbym ci się?

Przez chwilę patrzę na siebie jego oczyma i widzę sekutnicę, zrzędzącą i nie panującą nad własną złością.

Jakiś czas później przychodzi do kuchni, gdzie jak zwykle zmywam

naczynia.

– Przepraszam. Przepraszam. Bardzo cię kocham – mówię.

Na co on, rzecz jasna, odpowiada, że nie ma za co. Wiem jednak, że to nieprawda i że moja złość prędzej czy później znowu eksploduje. Aż kiedyś nas zniszczy.

Dawniej gdy ktoś był dla mnie okropny i nie mogłam nic na to poradzić, powtarzałam sobie: „Cóż, przynajmniej nie jestem taka jak on (lub ona)”. Ale teraz już sobie tego nie mówię. Bo właśnie kimś takim się stałam. Jestem uwięziona w ciele okropnej osoby i źle mi z tym.

•

Mama siedziała na głowie Kerimowi i Gustavowi blisko miesiąc, ale w końcu wróciła do siebie. I od razu zaczęła do mnie wydzwaniać z różnymi głupstwami.

– Skarbie.

– Tak, mamo?

– Zdaje się, że istnieje coś takiego jak rada radiofonii i telewizji. Mam rację?

– Owszem.

– Doskonale. Czy mogłabyś do nich zadzwonić i powiedzieć, że mam rozmyty obraz?

– Lepiej oddaj telewizor do naprawy. Na pewno się popsuł.

– Nie, nie. Rozmawiałam już z monterem i powiedział, że telewizor jest sprawny. Uważam, że to skandal.

Z impetem odkładałam telefon.

– Mam dość tych jej bzdur! Ona to robi specjalnie. Z premedytacją. Wszystko ma się kręcić wokół niej. W ogóle nie liczy się z innymi.

– A ty się liczysz? – pyta Tobias.

– Słucham?

– Nie zawsze byłaś taka – tak bardzo skupiona na swoim nieszczęściu, że inni ludzie w ogóle cię nie obchodzą. Może twoja mama próbuje ci w ten sposób coś powiedzieć?

– Ciekawe co? Może mi wyjaśnisz, skoro nagle odkryłeś w sobie tyle empatii?

– Na przykład to, że martwi się, że mieszkasz we Francji z upośledzonym dzieckiem. Nie mówiąc o tym, że szuka z tobą kontaktu, ale jest zbyt dumna, by się do tego przyznać.

Oczywiście w głębi duszy nie mogę odmówić mu racji. Mama domaga się ode mnie uczucia. Rzecz w tym, że wszystkie te lata, kiedy ze sobą nie rozmawialiśmy, są jak lodowe pustkowia nie do przebycia. Nie chcę nawet próbować go przekroczyć.

•

Rano znajduję pod drzwiami opasłą białą kopertę. Otwieram ją i dowiaduję się, że udzielono mi pozwolenia na otwarcie szkoły gotowania z pensjonatem.

Powinnam się ucieszyć, tymczasem spoglądam na Freję, leżącą na swoim kocyku, i wybucham płaczem.

Czekałam na ten dzień od wielu miesięcy. Robiłam plany. Miałam nadzieję, że to będzie przełom. W chwilach zwątpienia we własne siły powtarzałam sobie, że kiedy już dostanę ten list, nasze życie zmieni się na lepsze. Teraz, trzymając go w dłoni, wiem, że tak się nie stanie. Że to niemożliwe.

Wciąż wyznaczam sobie małe cele, osiągam je, po czym ze smutkiem stwierdzam, że nic się nie zmieniło. To, co nie działało, nadal nie działa i tak już będzie zawsze. Ale to zbyt straszne, by móc się z tym pogodzić; dlatego wyznaczam sobie kolejny cel i zaczynam od nowa.

•

Za oknami złocą się liście kasztanowców. Zielone łupiny pękają, na drogach pełno kasztanów. Dojrzałe kasztany są lśniące, gładkie, w kolorze czekolady, kuszą niczym klejnoty.

Za czasów Rose stanowiły najważniejszą z upraw. Od urodzaju na kasztany zależało, czy ludzie mieli co jeść. Ludovic opowiadał mi, że *paysans* suszyli je w *seccadous*, specjalnych kamiennych budowlach, z których wiele przetrwało do dziś. Gdyby nie kasztany, odległa góraska wioska, w której mieszkała Rose, w ogóle nie miałaby racji bytu.

Na tej wysokości ziemia nie nadaje się pod uprawę pszenicy – napisała. – Ludzie żywią się kasztanami. Przebierają je każdego wieczora przy blasku świec. Oblupione rozcierają na mąkę.

Powinniśmy je zbierać. Powinnam robić *marron glacés* i *purée de châtaigne*. Ale spełniła się wiosenna przepowiednia Julienu: zabrakło mi sił.

Samo karmienie Frei jest wyzwaniem. Są dni, kiedy nawet nie próbuję karmić jej piersią. Każda butelka to sprawdzian wytrwałości. Freja często nie kończy posiłku, a jeśli kończy, to zazwyczaj wymiotuje. Gdy tylko zdradza oznaki głodu, zrywam się na nogi, lecz na ogół zasypia, zanim zdążę wymieszać dla niej mleko lub pokazać jej pierś. Dwie godziny na jedną butelkę, cztery butelki dziennie. Razem osiem godzin. Że nie wspomnę o czasie, który poświęcam na sprzątanie jej wymiocin.

Kasztany będą musiały poczekać. Nie mam siły robić przetworów. Nawet gdyby udało mi się namówić Tobiasa do pomocy w zbieraniu.

O tej porze roku pogoda jest wyjątkowo przyjemna. Przelotne deszcze sprawiły, że wyschnięta brunatna ziemia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki

pokryła się polnymi kwiatami i szmaragdową trawą. To jak druga szansa, nowy początek. Wolę to spokojne piękno niż szaleńczą ekspansję wiosny. Jesienią wszystko dzieje się wolniej, jak gdyby natura ostrożnie rozważała każdy swój krok.

Koło południa karmię Freję zbyt szybko, a skutek taki, że cała jestem w jej wymiocinach. Czytałam, że dziecko w jej wieku potrzebuje tysiąca trzystu kalorii dziennie. W jej przypadku dobiecie do siedmiuset graniczy z cudem. Freja chudnie. Na razie to jeszcze nic groźnego, ale nie może stracić kolejnych kilogramów.

Wszystkie istoty, żeby przetrwać zimę, gromadzą pokarm. Wysoko w koronach orzechów uwijają się rude wiewiórki – uprzedziły nas. Nawet zakamarki na strychu wypełniają się kasztanami; szczury też robią zapasy.

Wciąż jest na tyle ciepło, że chce się wychodzić na dwór, ale czuć w tej pięknej pogodzie ostatnie podrygi jesieni. Połowa wszystkich żywych stworzeń złazi się w nasze gościnne progi w poszukiwaniu zimowego schronienia.

Przez okno wlatuje ogromny, brzęczący szerszeń, i wymachując odwłokiem w dziwnym tańcu, ląduje obok Frei. Odgoniłabym go, ale boję się, że nas zaatakuje.

– Tobias! Mógłbyś przyjść i pomóc mi z tym szerszeniem?

Ale Tobias nie słyszy. Znow przykleił się do komputera i moje słowa nie docierają do jego świadomości.

Za oknem krąży cztery inne szerszenie. Ten, który wdarł się już do środka, to królowa, próbuje zwabić zalotników. Biorę miotłę i zamachuję się na nią. Ucieka z powrotem na dwór, wściekle bzycząc.

Wieczorem Freja znow zwraca wszystko, co zjadła. Po zmroku zlatują się ćmy, a szafki rozbrzmiewają ostatnim śpiewem cykad.

•

– Cześć, skarbie. Pomyślałam, że zadzwonię.

– Mamo, coś się stało? Jest piąta.

– Naprawdę? Już tak późno? Chyba przysnęłam.

– Piąta rano!

– Słyszę, skarbie. Nie jestem głucha. Co porabiasz?

– Spałam. Mamo, co się dzieje? Nie śpisz o tej porze?

– Oczywiście, że nie. Wróciłam już ze spaceru. Piękny dziś księżyc.

– Ze spaceru?

– Owszem, lubię się przespacerować po lunchu.

– O której jadłaś lunch?

– O północy, skarbie.

– Chcesz powiedzieć, że wcześniej przez cały dzień nic nie jadłaś?

– Daj spokój, skarbie. To był jutrzejszy lunch!

– Mamo, proszę cię, nie mów, że teraz muszę się martwić jeszcze o ciebie.

– Spokojnie, skarbie, to bardzo proste. Postanowiłam, że lunch będzie moim głównym posiłkiem. Kiedy człowiek mieszka sam, najgorszą porą jest wieczór. A tak przynajmniej zjem sobie lunch w środku dnia.

– Chciałaś powiedzieć: w środku nocy.

– Noc, dzień, ostatnio trochę mi się mieszają.

Po tej rozmowie nie mogę zasnąć. Leżąc obok Freja poruszyła się i zaczyna czkać.

Potrząsam Tobiasem. Mamrocze coś w półśnie.

– Muszę jej wymieszać mleko – mówię. – Postaraj się, żeby nie usnęła, dobrze?

W kuchni mam chwilę spokoju. Może to właśnie po to mama przeszła na nocny tryb życia? Poczucie, że wszystkie przyziemne sprawy są pod kontrolą i toczą się ustalonym torem, daje namiastkę szczęścia. Miarowo tyka kuchenny zegar. Cichutko szumi lodówka. Kamienna posadzka lśni czystością. Moje słiki stoją uszeregowane na półkach.

Mieszając mleko, szukam odpowiedzi na pytanie, które trapi mnie od chwili narodzin Frei. Co czyni mnie matką? Czy to, że kiedy jest głodna, schodzę do kuchni przygotować jej pokarm? Czy to, że ani na moment nie zapominam o jej lekarskach? Czy to, że zaspokajam jej potrzeby niezależnie od tego, jak bardzo jestem zmęczona i poirytowana?

Kiedy wracam na górę, Tobias i Freja śpią twardo w swoich objęciach. Wyciągam ją delikatnie spod jego ramienia i podsuwam butelkę. Nic z tego. Wygina się tylko w pałąk i przykleja czubek języka do podniebienia, tak jak to miała w zwyczaju jako noworodek. Kiedy na mnie spogląda, krzywi się z wyrzutem, otwiera usta i wyje.

Tobias ponownie się budzi.

– Daj mi ją – mówi. – Już dobrze, już dobrze. Nie może ci się odbić?

Freja, jak przystało na córeczkę tatusia, przestaje płakać i uśmiecha się do niego.

– Wiesz co – zwraca się do mnie – nie zamieniłbym tego na nic. Nie chcemy tej głupiej butelki, prawda, Freju? Spróbuj piersią.

Mała chwyta ustami mój sutek i czuję słabiutkie ssanie. Bardzo przyjemne uczucie, dla niej pewnie też. Ale to za mało, żeby utrzymać ją przy życiu.

Ostatnio, ilekroć Freja dostaje ataku, Tobias przemawia do niej:

– O nie, słoneczko, tylko nie to. Błagam cię...

W dalszym ciągu się z tym nie oswoił, zawsze reaguje tak, jakby to był pierwszy raz, jak gdyby odpowiednio dobierając słowa, mógł powstrzymać atak, zanim na dobre się zacznie. Nie wiem, czy to mówienie do niej pomaga, choć można odnieść takie wrażenie. Tobias zawsze wtedy trzyma ją za rączkę, jego zdaniem to też pomaga. Bóg raczy wiedzieć.

Śledzę to wszystko roztargnionym wzrokiem. Mam na głowie tyle innych zmartwień. A jeśli szczury dostaną się na półki i postrącają moje słoiki?

Jutro pojedę do Aigues i kupię drewniane listewki. Ponaklejam je wzdłuż krawędzi półek, żeby słoiki nie pospadały. Dopiero wtedy będę mogła spać spokojnie.

•

Jedyną osłodą jest rozmyślanie o bliźniętach. Czasem to dziewczynka i chłopiec, a czasem dwie dziewczynki. Bardzo często wyglądają kropka w kropkę jak Freja. Są jednak od niej dużo ruchliwsze. Rozwijają się. Sama decyduję, jakie będą ich pierwsze słowa i co im najbardziej smakuje. Wymyślam dla nich imiona i jadłospisy. Próbuję sobie wyobrazić, jakie by to było uczucie, trzymać w ramionach normalne dziecko – takie nie przelewające się przez ręce.

Z jakiegoś powodu odczuwam potrzebę policzenia ludzi, których najbardziej kocham.

– Tobias. Kogo chciałbyś mieć w łóżku?

Na jego twarzy powoli zakwita uśmiech.

– Próbujesz mnie uwieść?

– Nie o to mi chodzi. Wyobraź sobie cudowny niedzielny poranek. Dostajesz do łóżka herbatę w srebrnym dzbanuszkach, pełnoziarniste tosty z domową konfiturą i gazety. Gdybyś mógł sobie wybrać ludzi do wspólnego leniuchowania – kogo byś zaprosił?

– Ciebie i Freję, oczywiście. Kogo jeszcze... Mówimy o większej imprezie, tak? W takim razie moich znajomych z Londynu. I ludzi, których poznaliśmy tutaj: Yvonne, Juliena, Kerima... Nawet ten biedny stary Ludovic to w gruncie rzeczy poczciwy facet. Lizzy raczej nie, choć uważam, że koniecznie powinnaś ją niedługo odwiedzić w szpitalu. No i kumpli ze studiów, dawno się z niektórymi nie widziałem. I rodzinę, oczywiście. Żałuję, że moja mama mieszka tak daleko. A może nawet twoją mamę?

Na tym właśnie polega zasadnicza różnica między nami. Tobias chciałby mieć w łóżku wszystkich. A kiedy ma się wszystkich przy sobie, oczywiście znajdzie się również miejsce na jedno upośledzone dziecko.

Ja natomiast chcę mieć tylko jego – i moje całkowicie normalne bliźniaki.

•

– Nie zadzwoniłaś złożyć mi życzeń.

Mama nawet nie próbuje powstrzymać płaczu.

– O Boże! – wołam do słuchawki. – Przepraszam.

– Czekałam cały dzień. Już mnie nie kochasz?

– Przepraszam, zapomniałam. Mieliśmy mnóstwo problemów.

– Jakich problemów? Co było ważniejsze od moich urodzin?

Mówi zbolalym głosem małej dziewczynki. Przywykłam, że mama domaga się ode mnie uwagi na wiele okrężnych sposobów. Tym razem rozbroiła mnie prostotą i szczerością.

Jeszcze jako nastolatka powzięłam twarde postanowienie: nie będę jej wpuszczać do mojego wewnętrznego świata. Choćby nie wiem jak mnie prowokowała, nie będę okrutna i nie powiem jej, co naprawdę leży mi na sercu.

Wzdycham głęboko.

– Parę tygodni temu poroniłam. Od tamtego czasu dziwnie się czuję. Jakby coś mi... pękło w środku.

Zaczynamy naprawdę rozmawiać i oczywiście nie jest to dla niej aż tak wielkim ciosem – ta prawda, którą przed nią ukrywałam, udając, że staram się ją chronić, a tak naprawdę chroniąc siebie i jednocześnie karząc mamę.

•

Pogoda jest piękna. Wychodzę przed dom i rozglądam się po podwórzu. Są takie chwile, kiedy nasza upstrzona kwiatami trawa i osobliwy melanż murowanych budowli zdają mi się malownicze. Dziś jednak widzę przede wszystkim świeżo ukruszony kawał ściany i stertę śmieci czekających na wywiezienie, a budynki gospodarze to przyczółki, z których szczury przypuszczają ataki na nasz dom. Nigdy, przenigdy nie zdołamy się ich pozbyć.

Świat wymyka mi się spod kontroli. Nie potrafię dogadać się z mężem ani doprowadzić domu do stanu, który nie groziłby zawaleniem. Nie wiem nawet, jak długo jeszcze będę w stanie opiekować się własnym dzieckiem.

Wracam więc do jedyne go miejsca, gdzie udało mi się przewyciężyć chaos: do mojej kuchni.

Słoiki starannie zabezpieczyłam listewkami. Szczury mogą sobie wokół nich biegać, ile wlezie. Moje przetwory są nie do ruszenia, jak eksponaty w British Museum. Lubię wyobrażać sobie świat, z którego usunęłam wszelki bałagan, brud i nieporządek. Jestem kuratorem.

Tobiasz wchodzi do kuchni i ogląda moje dzieło z pogardą, której nie rozumiem: przecież lepiej mieć zabezpieczenia przed szczurami, niż ich nie mieć.

– Ty i te twoje słoiki! – wyrzuca z siebie. – Niedługo mnie też zamkniesz w słoiku!

Stojąc przy zlewie, zeskrobując z garnka przyschnięte jajko, wyobrażam sobie, że patrzę dobrotliwie na Tobiasza i Freję, idealnych i bezpiecznych za szkłem jednego z moich słoików.

Freja prawie nic dzisiaj nie zjadła. Zapominam na chwilę o swoich zasadach i wsypuję do butelki trochę cukru. Z początku robi kilka chciwych łyčzków, lecz wkrótce zaczyna wić się i płakać, a po godzinie zwraca wszystko, co połknęła.

Zapewne z lekarami włącznie.

Jeżeli wymiotowała lekarstwa, może dostać ostrego napadu. Jeżeli dam jej kolejną porcję, mogę przedawkować.

Biorę butelkę i zaczynam karmienie od nowa. Trwa to dwie godziny. Potem kładę ją spać, ale wcześniej podaję jej pół dawki lekarstw.

Budzę się o czwartej nad ranem. Nie mogę zasnąć, leżę i się zamartwiam. Tobiasz ostatnio coraz bardziej mnie ignoruje. Jakby nie słyszał, co do niego mówię. Boję się nadchodzącej zimy, jego wybiórczej głuchoty i moich coraz głośniejszych krzyków. W moich koszmarach Tobiasz siedzi ze słuchawkami na uszach w głębokiej jaskini, tak głębokiej, że mój głos do niego nie dociera. Na próżno wołam go i wołam.

Wstaję, żeby nie leżeć beczynnym. Freja śpi w łóżeczku, jest cała mokra. Przespała noc w kałuży wymiocin. Zapewne zwróciła większość ostatniego karmienia.

Myję ją, starając się jej nie zbudzić. Potem sprzątam w studiu Tobiasza, porządkuję jego papiery, niezakończoną sprawę układam w schludnej kupce na klawiaturze. Robię zestawienie naszych finansów i próbuję wyliczyć, ile dni możemy tu jeszcze spędzić, zanim skończą nam się pieniądze.

Kiedy Freja się budzi, karmię ją z wielką ostrożnością. Pół godziny później zaczyna wymiotować.

•

Prawie nic dzisiaj nie zjadła.

•

Freja wrzeszczy bite osiem godzin. Wrzeszczała całą noc. O siódmej rano ja też nie wytrzymałam i musiałam sobie powrzeszczeć – to był jeden z tych razów, kiedy człowiek słyszy swoje słowa i zastanawia się, czy to on, czy ktoś inny.

– Dłużej tego nie zniosę! Takiego życia! Chcę umrzeć! Zachorować na raka! Nie popełnię samobójstwa, bo nie mogłabym ci tego zrobić! Ale chcę umrzeć! Zanim, kurwa, zwariuję!

Tobiasz, który jest adresatem tych słów, śpi jak kamień; ma zatyczki w uszach.

O ósmej budzi się i słabym głosem woła z łóżka:

– Kochanie, zrobiłabyś mi kawę?

Na drzwiach lodówki wisi zdjęcie Frei sprzed trzech miesięcy. Zerkam na nie, włączając czajnik. To straszne, jak bardzo schudła.

Zdejmuję kubek, wsypuję do niego kawę rozpuszczalną, dodaję mleko i zalewam to wszystko gorącą wodą z czajnika.

– Zrobiłam! – wołam

– Cudownie. A mogłabyś mi ją przynieść?

– Nie, sam sobie po nią zejdź. Robię śniadanie.

Schodzi całe dziesięć minut później, trąc zaspane oczy. Stawiam przed nim kawę. Pociąga łyk i spogląda z wyrzutem.

– Rozpuszczalna? Anno...

– Ja wymieszam mleko, a ty ją nakarmisz, co ty na to?

– Anno, przepraszam, ale muszę napisać kilka maili. W sprawie muzyki do filmu. Chyba jest duża szansa, że budżet się domknie. To co, zrobiłabyś mi prawdziwą kawę?

Wkładam pieczywo do tosterka, nakrywam stół, wracam do kuchni, ustawiam w zlewie brudne talerze z kolacji i je zmywam. Przecieram na mokro wszystkie blaty, szoruję zlew i krany. Mieszam lekarstwa dla Frei, dodaję łyżeczkę miodu, gotową miksturę wciągamy do strzykawki. Zdejmuję z półki tackę, kładę na niej lekarstwa i ciśnieniomierz. Na koniec rozrabiam w butelce mieszankę dla niemowląt.

Już mam iść do salonu i podjąć kolejną żmudną próbę karmienia Frei, gdy wpada Tobias i odstawia brudny kubek do zlewu.

– Tak trudno po sobie pozmywać? – pytam.

– Przepraszam. – Zostawia kubek w zlewie, podchodzi do tosterka, wyjmując zimnego tosta i robi krzywą minę. Przygląda się moim słoikom, bierze jeden z nich. Zdejmując pokrywkę i potrząsając słoikiem, wysypuje na blat kilka kruchych ciasteczek domowej roboty. Częstuje się i rusza żwawym krokiem do wyjścia, zostawiając rozsypane ciasteczka i otwarty, przewrócony na bok słoik.

– Tobias! – Mój ton jest na tyle ostry, że przebija się do jego świadomości.

– Hmm?

– Mam dość twojego próżniactwa. Zawsze masz czas na to, co lubisz, ale kiedy trzeba nakarmić Freję, nie mogę na ciebie liczyć. Nigdy nie mieszasz jej lekarstw, w ogóle nie przejmujesz się tym, czy dostanie je punktualnie. Wszystko jest na mojej głowie. Codziennie rano zmuszam się, żeby wstać z łóżka i walczyć, ale nie czuję żadnego wsparcia – jesteś jak ruchomy piasek, a trochę też jak betonowy blok, w każdym razie na pewno nie jesteś opoką, której potrzebuję. W ogóle nie mogę na ciebie liczyć. Mam tego dość. Nie chcę od ciebie odchodzić, ale nie wiem, jak długo tu jeszcze wytrzymam o zdrowych zmysłach.

To jest moment, kiedy Tobias powinien mnie przytulić i uspokoić.

Tymczasem sięga po kubek z półki – zauważam, że wyszczerbiony – i rzuca nim o ścianę.

– Anno! Mam dość tego jójczenia! Spójrz na siebie! Dlaczego twoje życie to ciągła harówka? Bo sama tego chcesz! Pławisz się w niej! A potem masz do mnie pretensje, że jesteś nieszczęśliwa.

Wydam z siebie wrzask pełen tłumionej i nie do końca uświadomionej furii.

Jakbym stała z boku i obserwowała spontaniczny wybuch własnych emocji.

Krzyczę i krzyczę. Czasem są to słowa, czasem nieartykułowane dźwięki. Słyszę je, ale nie mam nad nimi kontroli.

– Idź wylegiwać się na kamieniach z tymi twoimi jaszczurkami! To koniec. Dłużej tak nie mogę!

Zaczynam tłuc naczynia. Marzyłam o tym od miesięcy, ale robienie tego jest dużo przyjemniejsze. Trwa to przez dłuższą chwilę; wyraz twarzy Tobiasa w tym czasie zmienia się: od spotulniałego przez rozbawiony aż po lekko wystraszone. Czuję satysfakcję. Poddaję się jej i przez chwilę krzyczę bez słów.

Tobias próbuje odgrodzić mnie od naczyń, ale jestem od niego szybsza. Wymykam się jego rękoma.

– Na Boga, Anno, czyś ty zwariowała?!

Rozglądam się za kolejnymi rzeczami do rozbicia. Naczynia się skończyły. Zaczynam zdejmować z półek moje ukochane słoiki i ciskać nimi o podłogę. Tańczą i rozpryskują się na kamiennych płytach: szkło, włoska mąka typu 00, cukier trzcinowy, soczewica puy, płatki migdałowe, kakao Valrhona.

Przeraża mnie ta siła, która jest we mnie i zarazem poza mną. Noszę głęboko w sobie wielkie pokłady gniewu. Bulgoczącą magmę, która może w każdej chwili wezbrać i zniszczyć wszystko, co dotychczas zbudowałam.

– Wychodzę!

– Nie! Ja wychodzę! – odszczekuje Tobias. – Nie możesz zostawić dziecka samego.

I wtedy uświadamiam sobie, że przecież mogę.

– W dupie mam dziecko. Niech umrze!

Wychodzę, nie oglądając się za siebie.

•

Na dworze panuje cisza, jaka zdarza się tylko przed burzą. Niebo wessało całe powietrze po to, by wkrótce gwałtownie je wypuścić.

Niewiele myśląc, przechodzę po smoczym grzbiecie na sąsiednie wzgórze. Dziś jego zbocza są odsłonięte i dostrzegam, że to inna skała niż wszystkie w okolicy. Twardsza. Rzeka drążyła tu jar przez miliony lat, ale tamta ściana jest prawie nienaruszona. Czy wtedy, w zamierzchłych czasach, dałoby się przewidzieć, która skała wytrzyma napór, a która się pokruszy?

Mijam pomnik ku czci *maquis* i myśliwskie chatownie. Chwilami płacę, to znów jestem spokojna. Straciłam rachubę czasu, ale musiały minąć co najmniej dwie godziny.

Wiatr się wzmaga. Staję na wzniesieniu i patrzę, jak wichler tarmosi drzewa w lesie. Nadchodzi, wyjąć, i uderza we mnie. Idzie dalej, za nim ciągną kolejne podmuchy.

Gdy zaczyna padać, chowam się pod sosnami. Jak partyzanci znosili takie życie? Przez lata mieszkali w lesie, wystawieni na chłód i deszcz. Czy Rose była tu kiedyś w czasie burzy? Wyobrażam sobie, jak podchodzi żwawo pod górę, dzielna i niestrudzona, z włosami związanymi chustką w różę. Niesie w koszyku owinięte w tłusty papier wiejskie masło, a pod pachą duży bochen chleba.

Przypominam sobie ze zgrozą, że rano nie podałam Frei lekarstw.

Może Tobiasz to zrobił. A może – co bardziej prawdopodobne – stoją wciąż na tacce w kuchni, tam, gdzie je zostawiłam.

Powtarzam sobie, że powinnam wracać. Zwłaszcza po ostatnich wymiotach Freja nie może opuścić całej dawki. Groziłoby to silnym atakiem. Ale nie mogę się przemóc. Nogi nie chcą mnie tam zabrać.

Freja w dalszym ciągu jest częścią mnie, lecz myślę o niej teraz jak o strupie, który zaczął się odklejać. Jeżeli szarpnę, strasznie zaboli, ale będzie po wszystkim.

Deszcz ustaje, za to wiatr dmucha coraz mocniej. Sosny pojękują. Kulę się pod drzewem, szukam schronienia, które nie istnieje. Taka wichura potrafi łamać sosny jak zapałki. Gdy tylko przycicha, ruszam dalej.

Nie mogę odnaleźć drogi powrotnej. Przedzieram się przez mokre gałęzie, zjeżdżam po błotnistej stromiźnie. Nagle trafiam na polanę z domkiem Julienu. Przesuwam wzrokiem po zżółkłych liściach glicynii, po czym wbiegam zdyszana na górę i walę pięściami w drzwi. Uchylają się.

– Anna! – Julien nie kryje zdumienia.

– Mogę wejść?

– Posłuchaj, to bardzo miłe, że czasem wpadasz bez zapowiedzi. Bardzo cię lubię. Jesteś wspaniałą kobietą. Ale nie chciałbym, żebyśmy...

– Julien, durniu, nie przysłałam się bzykać. Szukam schronienia przed burzą!

Nie słyszy, co do niego mówię, zbyt pochłonięty tym, co ma mi do powiedzenia.

– W każdym razie jestem ci winny przeprosiny. Parę tygodni temu wysłałem ci zły sygnał. Dałem ci nadzieję – nie miałem prawa. Oczywiście byłem wtedy wolny, ale tylko pozornie. Od jakiegoś czasu staram się to naprawić, nie wchodząc ci w drogę. Wiem, że pojawiły się... niezamierzone konsekwencje... i czuję się z tym okropnie. Dopiero ty – spontaniczna, wolna, przybiegająca tutaj w środku burzy – uświadomiłaś mi, że się oszukiwałem. Jaki sens ma życie na drzewie? Cieszenie się rzekomą niezależnością, jeżeli w zamian muszę zrezygnować z jedynej osoby, którą... Próbuję powiedzieć, że dojrzałem do kompromisów. I do poświęceń. Muszę zrobić wszystko, żeby... – Z każdym jego słowem szpara w drzwiach się zmniejsza. – Anno, jesteś dzielna, jesteś mądra, jesteś piękna... ale nie jesteś nią. Nie rozumiesz? Kocham kogo innego.

Zamyka mi swoje malutkie drzwi przed nosem.

– Ja też – szepczę. – Ja też.

Drzwi ponownie się otwierają.

– Anno, co ja robię. Przecież jest burza. Wejź do środka.

Lecz do mnie właśnie dotarło, że muszę wracać, zanim będzie za późno, przeprosić Tobiasa, podać Frei lekarstwa i do końca życia dawać z siebie wszystko, nie skarżąc się na swój los.

– Nie, muszę iść. – Odwracam się i zbiegam na dół.

Biegnę z boczem, ale musiałam pomylić ścieżki, bo trafiam na jedną z leśnych polan, gdzie kilku myśliwych chowa się pod brezentem i zapalniczkami opala szczecinę ustrzelonego dzika. Zapomniałam, że dziś jest dzień polowania. Ludovic zaprasza mnie gestem, ale nie chcę, by mnie zobaczyli w takim stanie. Potrząsam głową i ruszam dalej, pół idąc, pół biegnąc.

– Anno, wszystko dobrze? – Dogania mnie. – Widzę, że płaczesz. Co się stało?

Potrząsam milcząco głową. Ludovic obejmuje mnie ramieniem. I tak nic nie usłyszy, bo znów zerwał się głośny wiatr. Mogę bez obaw mówić, co mi ślina na język przyniesie.

– Nie daję mi to spokoju – wyrzucam z siebie. – Czy jestem wyrodną matką? Co by na moim miejscu zrobiła Rose?

Nie oczekuję, że mi odpowie; po prostu myślę na głos. Nogi wreszcie niosą mnie do domu. Przez chwilę idziemy pod wiatr, dopiero gdy chowamy się za naszym wzgórzem, wycie słabnie.

Ludovic patrzy na mnie z natężeniem.

– Chyba dotarły do ciebie pewne plotki... Wiem, że ludzie lubią gadać, ale boli mnie to...

Spoglądam nieprzytomnym wzrokiem.

– Byłem wtedy dzieckiem. Miałem piętnaście lat. Lubiałem się chwalić. Byłem dumny z *maquis*. Bardzo łatwo niechcący coś zdradzić. Krótko mówiąc, Niemcy dowiedzieli się o istnieniu obozu koło wioski z kasztanami. Od razu zorganizowali akcję. Rose wiedziała, że jeśli *maquis* dowiedzą się, co zrobiłem... Cóż, takie to były czasy. W przeszłości różnie bywało. Dlatego nie pozwoliła mi pobiec ich ostrzec. Sama to zrobiła. I zginęła. Kiedy moi towarzysze ginęli w boju, ja siedziałem tam, gdzie mnie ukryła – w waszej spizarce.

Wdrapujemy się na pagórek nad naszym domem i stajemy na *col des treize vents*. Wicher zbliża się niczym bestia, wielka i niewidzialna. W dole kołyszą się drzewa, ryk wiatru narasta, mija nas, po czym zawraca. Ta zmiana kierunku, ogromna prędkość i niesamowita fizyczność podmuchów rodzą dźwięk, jakiego nigdy w życiu nie słyszałam. Donośny lament otacza nas zewsząd, zawodzą niebo, ziemia i skały.

– Ostatni raz słyszałem ten dźwięk, kiedy byłem chłopcem – mówi Ludovic.
– Podobno to znak.

Przeszywa mnie zimny dreszcz.

– Lekarstwa Frei. Ludovic, zrobiłam coś bardzo głupiego. Muszę prędko biec do domu.

Zbiegamy na dół. Płaczliwe wycie wiatru podąża za nami.

W dole spostrzegam pędzący pod górę ambulans strażacki. Błyska niebieskim światłem; dźwięk syreny ginie wśród wichury. Zatrzymuje się przed naszym domem. Przyśpieszam, wołając, by nie odjeżdżali beze mnie. Nie jestem w stanie przekrzyknąć wiatru. Ambulans zawraca i odjeżdża.

•

Dotarłszy w końcu do szpitala, zastaję Freję w łóżeczku. Jej śliczne loczki są pokryte żelem. Ma na głowie różowy plastikowy czepek z mnóstwem elektrod podłączonych do monitora. Fale mózgowe mojej córki mają postać gęstego wykresu. To szyfr. Gdybym znała do niego klucz, mogłabym wejrzeć w jej świat. Ale to się nigdy nie stanie.

Tobias siedzi obok. Nie wstał. Nie przytulamy się.

– To przeze mnie – mówię. – Zapomniałam dać jej lekarstwa.

Kiwa głową i odwraca twarz ku Frei. Widocznie uważa, że cała wina leży po mojej stronie.

Siedzimy w milczeniu, wsłuchani w jej bulgoczący oddech.

– Jestem wykończony – odzywa się Tobias. – Posiedź z nią. Muszę zrobić sobie przerwę.

W chwili kiedy wychodzi, z płuc Frei wydobywa się straszliwe rżenie. Lampka aparatu tlenowego zaczyna migotać. Zjawia się pielęgniarka i wyłącza alarm.

– Przyślę fizjoterapeutkę, żeby oczyściła jej płuca.

– Potrafiłaby mi pani coś powiedzieć o jej falach mózgowych? – pytam. –

Na podstawie tego wykresu?

Zerka na ekran.

– Widać anormalne natężenie fal alfa świadczące o nieprawidłowym rozwoju.

Jak to jest mieć anormalne natężenie fal alfa? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. To dla mnie zbyt abstrakcyjne.

Freja budzi się i patrzy na mnie jakby w skupieniu. Po chwili przewraca oczami, główka jej opada, z kącika ust wycieka strużka śliny. Wypisz, wymaluj obraz upośledzonego dziecka, który odpychałam od siebie, będąc z nią w ciąży.

Gdzie jest granica miłości? Skoro kocham Freję, gdy ma otwarte oczy i patrzy na mnie, to czy mogę przestać, kiedy nieprzytomnie przewraca białkami? Jeżeli kocham ją, gdy ma zamknięte usta, to czy mogę przestać, kiedy zaczyna toczyć ślinę? Czy miłość jest jak minerał z wolna wyplukiwany przez kolejne

pojawiające się problemy i ułomności? Czy w głębi duszy kalkulujemy, do jakiego momentu dziecko stanowi dobrą inwestycję, a kiedy przestaje nią być?

Zjawia się fizjoterapeutka.

– Wprowadzę przez nos rurkę i odciągniemy płyn zalegający w płucach.

Dobrze by było, gdyby pani uważała, może się to pani przydać.

Wzbraniam się odruchowo.

– Musi się pani tego nauczyć.

– Dlaczego?

– Ponieważ Freja jest pani córką. Nie będę mogła za każdym razem robić tego za panią.

– W takim razie nie chcę takiej córki.

Fizjoterapeutka unosi palec wskazujący i kiwa nim na boki na podobieństwo taktomierza, cmokając przy tym z dezaprobatą. Irytujący francuski gest reprimendy.

– Pani łatwo mnie pouczać – mówię. – Na pewno ma pani normalne dzieci.

– Życie pani córki jest równie cenne jak każdego innego dziecka. Proszę spojrzeć, to wcale nie jest trudne. Wkładamy rurkę, o tak...

– Nie. Nie chcę się tego uczyć. *Je refuse! Je refuse!*

Fizjoterapeutka jest na mnie zła. Wciska rurkę głęboko w nozdrze, Freja kwili z bólu. Myślę w duchu: zrobiła to specjalnie, bo ją rozzłościłam. Wcale nie jest lepsza ode mnie.

•

Tobias pojawia się i znika. Tylko jeden rodzic może nocować z Freją. Nikt nie pyta, kto z nas dwojga zostanie. Zakłada się automatycznie, że to przywilej i obowiązek matki.

Odłączono ją od elektroencefalografu, ale nie od urządzeń monitorujących bicie serca, oddech i natlenienie. Jej włosy wciąż pokrywa żel.

Pielęgniarki są nastawione mało przyjaźnie. Być może fizjoterapeutka powiedziała im, że jestem wyrodną matką.

– To dla niej ważne, że pani tu jest – stwierdza jedna z nich.

Mam ochotę wrzasnąć: „Ona nie wie, że tu jestem! Nie robi jej to żadnej różnicy!”.

Obawiam się jednak – i zarazem chcę wierzyć – że robi jej to różnicę; że połączy nas prawdziwa więź, która okaże się najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przydarzyła; że nigdy się od niej nie uwolnię, zawsze będę spętana miłością do niej.

Pielęgniarka podaje mi ją do karmienia. W moich ramionach na nowo staje się prawdziwym dzieckiem. Moja mała Freja, cała w rurkach i kablach.

– Pani mąż wspominał o kłopotach z karmieniem.

– Tak, nigdy nie miałam z nią łatwo, ale w ostatnich tygodniach było wyjątkowo źle.

– Czym ją pani zwykle karmi? Jada już pokarmy stałe?

– Nie, skąd. Nie wiedziałyby, do czego służy łyżeczka. Dostaje albo wzbogaconą mieszankę dla niemowląt, albo mleko z piersi.

– Na razie wprowadzimy jej przez nos rurkę podłączoną do torebki z pokarmem. Chodzi o to, żeby nie osłabła. Ale proszę się nie martwić, to nie znaczy, że nie będzie pani mogła próbować jej karmić.

Usiłuję zasnąć, lecz nie jest łatwo, bo w urządzeniu mierzącym nasycenie krwi tlenem co chwila odzywa się alarm. Aparat karmiący też zaczyna piszczeć. Domyślam się, że skończył się w nim pokarm, i wyłączam alarm. Jakiś czas później przychodzi nocna pielęgniarka.

– Wyłączyła pani alarm? Dlaczego?

Zaspana odpowiadam bezładną francuszczyzną.

– Pokarm wcale się nie skończył – wyjaśnia. – I tak straciliśmy już dużo czasu przez te próby karmienia piersią. – Poirytowana majstruje coś przy torebce z pokarmem, po czym wychodzi, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zaczyna we mnie narastać głęboki niepokój.

Wreszcie zasypiam pod mrugającymi monitorami. Śni mi się, że okolicę znów najechali hitlerowcy. Gromadzą wszystkie dzieci w jednym miejscu. Pytają nas, które chcemy poświęcić. Pielęgniarki, lekarze i pracownicy opieki usiłują mnie przekonać, że najbardziej oczywistym wyborem jest Freja. We śnie stanowczo się temu sprzeciwiam. „To moje dziecko! – krzyczę. – Mówiliście, że jej życie jest warte tyle samo, ile życie każdego innego dziecka! To są wasze słowa!”.

•

Rano Freja, całkiem przebudzona, wpatruje się we mnie ze swojego łóżeczka. Witam się z nią. Mamy słodką chwilę dla siebie.

Drzwi się otwierają i dwie pielęgniarki wnoszą wanienkę. Kręcą się dookoła, kiedy ją napełniam.

Rozbieram Freję, starając się nie zwracać uwagi na ich energiczną krzątanie. Odłączam elektrody – trzy na piersi monitorują bicie serca – i zdejmuję jej ze stopy urządzenie do pomiaru natlenienia krwi. Kąpiąc ją, muszę trzymać rurkę wystającą z jej nosa. Freja wierzga kilka razy i otwiera oczy. Smaruję ją oliwką i ubieram. Pielęgniarka podłącza elektrody.

Obchód, ku mojej uldze, robi dr Dupont. Zjawia się przed Tobiaszem.

– Jak minęła noc? – pyta.

– Freja jest dzisiaj przytomniejsza. Lepiej jej się oddycha.

– Zaczęła ssać?

– Nie, jeszcze nie.

– Te kłopoty ze ssaniem zaczęły się dopiero w ostatnich tygodniach?

Wspomniałam o tym mimochodem w rozmowie z pielęgniarką. Najwyraźniej to ważna informacja, skoro została przekazana dalej. Zaczynam się coraz bardziej niepokoić.

– Bez przerwy chce jej się spać – wyjaśniam.

– Właśnie. Ta senność może być powodowana przez leki. Kiedy przyjechała, podaliśmy jej dużą dawkę fenobarbitalu, a teraz przechodzimy na sabril, inne lekarstwo, które wywołuje senność. Pewnie minie tydzień, zanim wszystko wróci do normy. Dlatego na razie nie ma co się martwić.

– Na razie?

– Muszę być z panią szczerą. Freja miała silny atak. Jej mózg przez długi czas był niedotleniony. Musimy ustalić, jakie szkody to wyrządziło.

Zjawia się Tobias i wychodzimy na śniadanie.

Kiedy wracam, Freja jest w gorszym stanie niż rano. Ssie słabo mój palec, ale w ogóle nie próbuje połykać duszącej ją śliny. Pielęgniarka oznajmia, że fizjoterapeutka przed chwilą odciągała jej płyn z płuc.

– Teraz to zrobi?

– Nie, zrobiła to przed chwilą, a teraz trzeba to zrobić znowu.

Tym razem zajmuje się tym stażysta. Trwa to bardzo długo. Nie patrzę. Powtarzam sobie w myślach zdanie: *Je n'accepte pas de faire ça*.

Jeżeli straci umiejętność przelknięcia, ślina będzie jej spływać do dróg oddechowych i powodować infekcje. Jeżeli przestanie ssać, trzeba będzie karmić ją przez rurkę.

Postanawiam, że cokolwiek się wydarzy, nie będę jej odciągała płynu z płuc. Dotrzymam słowa danego Tobiasowi. Jeżeli okaże się, że Freja wymaga karmienia przez rurkę lub odciągania płynu, powiem lekarzom, że chcemy ją zostawić w szpitalu.

•

Zabawne, jak szybko człowiek na nowo przyzwyczaja się do szpitalnej rutyny. Szósta rano – otwierają się drzwi. Kubek rozpuszczalnej kawy i wyschnięty *croissant*. Ósma rano – kroki lekarzy na obchodzie. Tobias na ogół zjawia się pięć minut przed nimi, zdyszany i nieogolony. Dr Dupont, w białym kitlu i modnych butach, profesjonalnie zatroskana. Dwóch asystentów z podkładkami do pisania. Dwie, trzy pielęgniarki, czasem ktoś na doczepkę.

Dr Dupont zwykle zaczyna od pytań. Jak nam minęła noc? Ile Freja miała ataków?

Ale nie dziś. Tym razem patrzy chmurnym wzrokiem na jej kartę i mówi tak szybko, że przegapiam początek i nie od razu dociera do mnie, że chodzi o coś poważnego.

– ...raczej nie sędzę, żeby to miało związek z atakiem. Odruch wypychania języka zanika u większości półrocznych niemowląt. Dziecko zaczyna wtedy świadomie przyjmować pokarm, uczy się gryzienia i połykania.

– Przepraszam, ale o czym pani mówi?

– Umieszczenie rurki w żołądku to bardzo prosty zabieg. Nie stanowi żadnego zagrożenia.

– *Je refuse.*

– Rozumiem. Niektórzy rodzice nie chcą o tym słyszeć. Nie szkodzi, są inne możliwości. Jeżeli nie zgadzacie się państwo na gastrostomię, można zastosować cewnik nosowo-żołądkowy i karmić Freję przez nos.

Zerkam na Tobiasa. Do tej pory to on brał na siebie mówienie lekarzom wszystkiego, co nieprzyjemne. Widzę jednak po jego spojrzeniu, że tym razem nie da rady.

– Kiedy będzie mogła wrócić do domu? – pyta.

– Na państwa miejscu nie liczyłabym na szybki wypis. Musimy ją obserwować, żeby ustalić, czy doszło do zaniku innych funkcji. Tymczasem nie zaszkodzi, jeśli zaczniecie państwo naukę karmienia przez rurkę.

Jeśli mam dziecko i oddaję je do domu opieki, to czy nadal jestem matką?

– Rozmawialiśmy o tym z mężem. Podjęliśmy decyzję i będziemy się jej trzymać. Wyznaczyliśmy sobie granicę i nikt tego nie zmieni. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że karmienie przez rurkę to dla nas zbyt wiele. Chcemy, żeby już teraz objęto ją opieką, dopóki nie osiągnie wieku pozwalającego na umieszczenie jej w domu pomocy.

Zapada cisza.

– Możemy ją karmić rurką – odzywa się Tobias.

Spoglądam z niedowierzaniem. W tej trudnej chwili jego zdrada boli jak cios pięścią w brzuch. Zatyka mi oddech.

– Ale przecież... umówiliśmy się – wykrztuszam.

– Nic nie rozumiesz. – Tobias odwraca się do mnie wściekły. – Nie jestem taki jak ty. Nie umiem jednego dnia kochać, a drugiego nie. Nie chciałem jej pokochać, ale stało się. Teraz już nie ma dla mnie odwrotu.

•

Mam wrażenie, jakby cały świat nagle się oddalił.

– To jest nasza szansa – słyszę własny głos – żeby ją oddać.

Ale Tobias mnie nie słucha. Wdał się w rozmowę z lekarzami o karmieniu rurką.

Nawet nie zauważa mojego odejścia. Wychodzę z holu szpitala i kieruję się w stronę przystanku autobusów kursujących na lotnisko. Orzeźwia mnie świeże powietrze. Ból minął. Nareszcie czuję się wolna. Nikt i nic mnie tu nie trzyma.

Listopad

Nie zdziwiłabym się, gdyby Tobias czekał na lotnisku i próbował mnie powstrzymać. Musi się domyślać, dokąd jadę. Ma samochód, może tam dotrzeć przede mną.

Nie wiem, co zrobię, jeśli go spotkam. Mój umysł odbija się od tego pytania. Nie widzę jednak nigdzie znajomej wysokiej sylwetki.

Na moment ściska mi się serce. Chwilę potem znów niczego nie czuję, a nogi same niosą mnie do przodu.

Kupuję bilet, ale kiedy wreszcie podchodzę do bramki, okazuje się, że właśnie ją zamknięto. Słyszę swój głos proszący kobietę z obsługi, żeby wpuściła mnie na pokład. Możliwe, że tego nie robi – zwykle są nieubłagane. Będę wtedy miała chwilę, by to wszystko przemyśleć. By się rozmyślić. Bo to, co mam zamiar zrobić, robi się tylko bez namysłu.

– *Mon bébé, l'hôpital* – szlocham, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co mówię. Ale moje łzy są szczere. Kobieta ulega, mówi coś prędko przez radio. Szybki bieg po asfalcie i jako ostatnia wchodzi na pokład.

Pośrodku pierwszego rzędu jest wolne miejsce. Opadam ciężko na fotel. Samolot zaczyna kołować. Teraz już się nie cofnę, choćbym chciała. Klamka zapadła.

– W ostatniej chwili – uśmiecha się mój sąsiad.

Kiwam głową zdyszana. Samolot rusza. Za oknem przemykają zakurzone pola i po chwili jesteśmy już w powietrzu. Wyciągam szyję, by popatrzeć, jak moje dotychczasowe życie znika w oddali. Sąsiad, starszy już mężczyzna, typ dżentelmena, uśmiecha się wyrozumiale i opiera w fotelu, żeby mi nie zasłaniać. Gładka mozaika pól zaczyna się marszczyć i fałdować. Ostatni raz rzucam okiem na moje wzgórze. Gdzieś tam jest Les Rajons i życie toczy się beze mnie.

Potem jeszcze długo wiszę nad moim współpasażerem zapatrzona w oddalającą się ziemię, aż w końcu wlatujemy między chmury i przestaję cokolwiek widzieć.

– Mieszka pani tutaj? – zagaduje sąsiad.

– Yyy. – Nie mam pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. – Poniekąd.

– Pewnie jest pani w trakcie przeprowadzki?

– Owszem.

– Mnie też to zajęło trochę czasu. Przyjeżdżaliśmy z żoną na urlop, ale nie mogliśmy się zdecydować, czy chcemy tu zamieszkać na stałe. Ona chyba chciała. Ale wydawało nam się, że to taka wielka decyzja. A kiedy umarła, o ironio, nagle przestałem się wahać. Gdzie jest pani dom?

– W Avants-Monts. Przed chwilą nad nim lecieliśmy.

– Ma pani rodzinę?

- Malutką córeczkę.
- Jedyńaczkę? Ile ma lat?
- Niedługo skończy roczek.

– Annabel – moja żona – i ja krótko przed jej śmiercią byliśmy na pierwszych urodzinach naszego wnuka. Zaczął chodzić przy nas, na oczach wszystkich dziadków. To była wspaniała chwila.

Twarz ma pomarszczoną i serdeczną, opaloną na brąz. Sprawia wrażenie idealnego dziadka, z którym można grać w nogę, ale i przytulić się do niego, gdy zdarło się kolano. Tęsknię za ojcem. Chciałabym, żeby żył i mógł zobaczyć Freję. Pokochać ją i poradzić mi, co mam robić.

– Czas płynie bardzo szybko – mówi. – Dopiero co nosiłem na rękach jego mamę, moją najmłodszą córkę. Wydaje mi się, jakby to było wczoraj. Długo ją nosiliśmy, urodziła się bez jednego biodra. Przeszła operację, a potem spędziła czternaście miesięcy w gipsie. Zabierałem ją wszędzie w plecaku. Chodziliśmy razem na piesze wycieczki. Aż w końcu zdjęli jej ten gips i niedługo potem zaczęła chodzić. Poczułem się wtedy, jakbym coś utracił.

Milczę.

- Pani córka już chodzi?
- Jeszcze nie.
- Ale pewnie wstaje?
- Hmm... nie.

– Proszę się nie przejmować, niektóre dzieci zaczynają później niż inne, ale to kwestia czasu – zapewnia mnie z uśmiechem. Otwieram usta i nie mogę przestać mówić.

– Obawiam się, że nie. Moja córka przyszła na świat z poważnymi wadami mózgu. Dowiedzieliśmy się o nich dopiero po jej narodzinach. Najpierw powiedziano nam, że będzie dalekowidzem. A kilka dni później zasugerowano, żebyśmy napisali w dokumentach, że nie chcemy, aby ją reanimowano.

– A teraz? Jaka ona jest?

– Przesłodka. Wprawdzie nie potrafi sama unieść głowy ani przewrócić się na bok i wydaje tylko jeden dźwięk, ale uśmiecha się, no a przez to, że jest wiotka, miło się ją przytula. Biorę ją na ręce i przywiera do mnie, opiera głowę na moim ramieniu, a w nocy przysuwa się do mnie, szuka dotyku. Kocha ludzi, kocha... kochać i być kochaną. To jej główne zajęcie. Przyszłość rysuje się ponuro. Sztuczna wentylacja, karmienie przez rurkę wprost do żołądka, podnośniki. Przez jakiś czas udawało mi się o tym nie myśleć i żyć z dnia na dzień, ale to się musiało kiedyś skończyć. Lekarze mówią, że straciła umiejętność ssania. Boję się, że to dopiero początek. Że któregoś dnia zapomni, jak się do mnie uśmiechać. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy od razu zostawili ją w szpitalu. Nie byłaby nam tak bliska.

Uśmiecha się.

– Wie pani, ja zawsze najbardziej kochałem najmłodszą córkę, właśnie dlatego, że przez czternaście miesięcy musiałem ją wszędzie nosić. Jej niepełnosprawność nauczyła mnie czegoś o miłości. Jestem pewien, że będzie pani miała więcej dzieci, ale w głębi duszy zawsze będzie ją pani kochała najbardziej ze wszystkich. Bo dla niej musiała się pani najbardziej poświęcać. Ma pani jej zdjęcie?

Sięgam do portfela i wyciągam zdjęcie, na którym Tobias trzyma Freję na rękach.

– Śliczna – mówi. – Istne чудо.

Żegnamy się w hali lotniska. Nie wymieniamy się adresami.

•

W Londynie nie mam już gdzie się zatrzymać. Dzwonię do mamy i pytam, czy mogę przyjechać do niej do Sevenoaks. Nie zdradzam powodu mojej wizyty.

– Ależ skarbie, muszę najpierw posprzątać. Przewietrzyć twój pokój. Nie zrobiłam nawet zakupów.

– Ja coś kupię. Nie martw się.

Mama sprawia wrażenie podenerwowanej. Jest coraz powolniejsza, chyba się starzeje.

– Może poczekaś chociaż do weekendu? Zostań parę dni w Londynie, zatrzymaj się u Marthy.

Nie mam siły spotykać się z Martha ani z nikim, kto prowadzi normalne, uporządkowane życie. Jadę do hotelu.

Dostaję mały pokój. Jest w nim nieduży plastikowy czajnik, gruby ceramiczny kubek, saszetki z mlekiem w proszku i zwietrzała herbata w torebkach na sznurku. Suszarkę do włosów przymocowano łańcuchem do ściany. Ta klitka kosztuje mnie majątek.

Nie mam absolutnie nic do roboty.

Dziwne, że prawie wcale nie tęsknię za Freją. Wystarczyło kilka godzin, by odsunęła się w cień. Czy gdybym ją oddała, byłoby podobnie? A może to złudzenie, bo tak naprawdę wiem, że jest z Tobiasem i nic jej nie grozi – i że gdybym tylko chciała, mogłabym znów poczuć na szyi jej zaciśnięte piąstki i zapomnieć o bożym świecie.

Zza okna dobiega bezustanny uliczny zgiełk. W Londynie nie ma ludzi, są tylko przechodnie. Przemykają ulicami z parasolami w rękach. Zatrzymują taksówki lub czekają na autobus na przystanku.

Długo siedzę z nosem przyciśniętym do okna z podwójną szybą, obserwując spływające po niej krople deszczu. Czasem w pojedynkę drążą swoje krzywe ścieżki, a czasem zniemacka skręcają i łączą się z innymi. Wszystkie prędzej lub później lądują na samym dole.

Odrętwienie mija. Znów powoli wzbiera we mnie rozpacz. Sięgam po telefon i zaczynam umawiać się na spotkania. Nie sprawię, że będę szczęśliwa, lecz przynajmniej uporządkuję trochę swoje życie.

•

Punkt dziewiąta rano wychodzę na deszczową ulicę i przyzywam czarną taksówkę.

W drodze do centrum Londynu mijamy mżyste parki, zmokłe gołębie, ociekające deszczem wiktoriańskie posągi. Wsiadam przy wysokim budynku w stylu regencji, z czarnym ogrodzeniem z kutego żelaza i dyskretną mosiężną tabliczką.

Wczoraj umówiłam się na spotkanie z prawniczką od spraw rodzinnych. Elegancka, bystra, profesjonalna. Jak przystało na kogoś, kto liczy sobie trzysta funtów za godzinę.

– Pani małżeństwo się rozpadło i nie może pani opiekować się upośledzonym dzieckiem. Jakiej konkretnie pomocy pani ode mnie oczekuje?

– Na pewno nie mogę dłużej się nią zajmować. Ale też... nie chcę kompletnie jej stracić. Na rzecz systemu. Muszę wiedzieć, jakie przysługują mi prawa.

– Zrzeczenie się opieki rodzicielskiej to poważna decyzja. Na początek dziecko trafi do rodziny zastępczej. Ale to jest tylko rozwiązanie tymczasowe. Opieka społeczna będzie starała się przekonać panią do zmiany zdania. Jeżeli to się nie uda, dziecko zostanie oddane do adopcji.

Zaczynam cicho łkać. Prawniczka podsuwa mi pudełko z chusteczkami i mówi dalej:

– Chodzi o to, żeby stworzyć dziecku stabilne warunki. Są też względy pragmatyczne: rodzinie zastępczej trzeba płacić, rodzina adopcyjna nie otrzymuje żadnych pieniędzy. Jeżeli ktoś ją przygarnie, przestanie być pani rodzicem w sensie prawnym. Będzie pani miała prawo ją odwiedzać, ale musi się pani liczyć z tym, że córka może trafić na drugi koniec kraju.

– Na pewno są inne opcje. Ona jest ciężko chora. Wymaga fachowej opieki. Specjalistów.

Prawniczka potrząsa głową.

– Jeżeli ma pani na myśli domy opieki, to muszę panią uprzedzić, że obecnie w Wielkiej Brytanii jest bardzo mało takich placówek dla dzieci, a jeszcze mniej – dla niemowląt. W większości wypadków pobyt w nich nie leży w najlepszym interesie dziecka.

– To samo można powiedzieć o pobycie w moim domu. Nie radziłam sobie z nią, będąc razem, a sama na pewno nie dam rady. Zresztą muszę pracować. Jestem kucharzem. Pracuję na własny rachunek.

– To niestety dość częsta sytuacja. Ojciec odchodzi, matka musi sobie radzić

sama. Gdzie obecnie przebywa pani córka?

Odpowiadam po chwili milczenia:

– Jest z ojcem. We Francji. Ale nie sądzę, żeby chciał ją zatrzymać.

Prawniczka posyła mi badawcze spojrzenie.

– Jeżeli dziecko nie znajduje się pod pani opieką, a na dodatek przebywa za granicą, to obawiam się, że niewiele możemy zrobić. Musiałaby pani sprowadzić ją do kraju i zamieszkać z nią pod jednym dachem. Dopiero wtedy będziemy mogli wrócić do sprawy.

Sądziłam, że w Anglii będzie mi łatwiej cokolwiek załatwić. Bardzo się myliłam.

Prawniczka spuszcza z tonu.

– To, co teraz powiem, nie będzie opinią prawną. Wydaje mi się, że jest pani wyczerpana i zagubiona. To zły moment na podejmowanie ważnych decyzji o przyszłości córki. Jeżeli pani sobie życzy, mogę zadzwonić do pobliskiego hospicjum. Zajrzałyby tam pani i przekonała się sama, na jaką pomoc mogłaby liczyć. A potem proszę porozmawiać z mężem i dowiedzieć się, jak on się na to zapatruje. Może panią zaskoczy.

•

Hospicjum znajduje się kilka przecznic dalej. Idę tam pieszo, z oczyma utkwionymi w mokrych płytach chodnikowych, tak jak w dzieciństwie. Wtedy bałam się nadepnąć na szczelinę. Teraz po prostu nie mam siły podnosić wzroku.

Pielęgniarka otwierająca drzwi wita mnie ciepło. Pewnie są tutaj przyzwyczajeni do zapłakanych rodziców, którzy sami nie wiedzą, po co przyszli.

– Jesteśmy ośrodkiem dla dzieci z chorobami zagrażającymi życiu lub ograniczającymi życie. Z tego, co słyszałam na temat Frei, spełniałyby warunki, o ile mieszkałaby pani w naszym rejonie. Domyślam się, że to dla pani trudny czas. Jesteśmy po to, żeby pomóc. Oprowadzę panią.

Wchodzimy do jasnego pokoju pełnego zabawek. Jest tam tylko jedno dziecko, siedzi na wózku. Nie sposób odgadnąć jego wieku: chłopiec jest łysy i pomarszczony jak osiemdziesięciolatek. Zajmująca się nim pielęgniarka namawia go, żeby namalował coś palcami. Chłopiec spogląda z wahaniem na otwarte słóiczki z farbami. Pielęgniarka chwyta jego chudą dłoń i delikatnie zanurza ją w jaskrawym błękitcie. Chłopiec złącza palce i przez chwilę im się przygląda. Wtem wykonuje gwałtowny ruch i rozmazuje farbę na jej nosie. Pielęgniarka patrzy mu w oczy i obydwójce wybuchają śmiechem. Usta i zęby chłopca ogromnieją w skurczonej twarzy.

Znowu chce mi się płakać.

– Cicho tu jest – zauważam.

– Nie mamy uprawnień szkoły, więc w trakcie semestru nie możemy

opiekować się dziećmi w wieku szkolnym. Chyba że są umierające.

– Macie państwo dużo takich?

– Kilkoro. Ale większość to dzieci takie jak Freja, czyli o specjalnych potrzebach. Niektórym pokarm dostarcza się przez rurkę bezpośrednio do żołądka. Inne są podłączone do butli z tlenem. Na ogół są przykute do wózka. No i, oczywiście, wszystkie biorą mnóstwo leków. W każdym przypadku najpierw prosimy rodziców o szczegółowe instrukcje postępowania z dzieckiem.

Przyszłość Frei coraz wyraźniej rysuje mi się przed oczami.

– To strasznie trudne – mówię. – Jak rodzice to znoszą?

– Bardzo różnie. Są oczywiście tacy, którzy chcą się tylko pozbyć kłopotu i uciec jak najdalej. Ale wiele osób nie wyobraża sobie dłuższej rozłąki z upośledzonym dzieckiem, nawet w trakcie urlopu. Mamy dla nich pokoje, mogą się tutaj zrelaksować, bo cały ciężar opieki bierzemy na siebie my. Jesteśmy bardzo elastyczni.

– Czy przyjmą państwo Freję? Na stałe?

Nie chciałam, żeby to pytanie zabrzmiało tak obcesowo. Zapada chwila milczenia.

– Być może wyraziłam się nie dość jasno – mówi pielęgniarka. – Świadczymy jedynie krótkotrwałą opiekę zastępczą. Żeby rodzice mogli odpocząć.

– A czy jest miejsce, które mogłoby ją wziąć na stałe?

– W długiej perspektywie najlepszym środowiskiem dla takich dzieci jest rodzina – recytuje jak z podręcznika.

– Ale ja jestem samotną matką.

– Tak jak wiele osób korzystających z naszej pomocy. Często mają pod opieką więcej niż jedno dziecko.

Wpatruję się w nią bezsilnie. Uśmiecha się i łagodnieje.

– Każdy od czasu do czasu potrzebuje chwili wytchnienia. Freja mogłaby u nas spędzać dwa tygodnie w roku.

•

Ostatnie spotkanie mam przy Harley Street. Nie wiem, skąd wezmę na to pieniądze, ale potrzebuję kogoś, kto zastąpi mi Freję. Muszę zrealizować swoje marzenie o bliźniętach.

Dwa razy zaszłam w ciążę naturalnie i za każdym razem kończyło się fatalnie.

Doszłam do wniosku, że winę za problemy Frei i za moje poronienie ponosi wadliwy gen, którego Tobias i ja jesteśmy nosicielami.

Powtarzam sobie, że przyjechałam do Londynu, bo rozpadło się moje małżeństwo, ale tak naprawdę chodzi o to, że przestałam ufać naturze. Tym razem chcę, żeby wszystko przebiegło pod ścisłą kontrolą.

Kolejna kamienica w stylu regencji. Kolejna mosiężna tabliczka. Wchodzę po schodkach, przedstawiam się przez domofon i popycham brzęczące wrota prywatnej kliniki in vitro.

W poczekalni siedzą same kobiety: eleganckie, zadbane, niemłode jak na przyszłe matki. Z oprawionych w ramki fotograficznych kolaży na ścianach spoglądają tysiące dzieci poczętych w murach kliniki. Siedzimy pod ich spojrzeniami w niczym niezmaconej, bibliotecznej ciszy. Na próżno szukam wzrokiem życzliwej twarzy. Nikt się do mnie nie uśmiecha.

Przychodząc tu, obawiałam się dyskretnego moralizatorstwa, zwłaszcza że przedstawiłam się w formularzu jako osoba bez stałego partnera. Wygląda jednak na to, że dla kliniki in vitro jestem bardziej klientem niż pacjentem.

– Możemy panią dopisać do listy oczekujących na zabieg. Wykorzystanie nasienia innego mężczyzny praktycznie eliminuje ryzyko, przy założeniu, że choroba państwa córki była spowodowana przez recesywny gen, którego oboje państwo są nosicielami. Zgodnie z obowiązującym prawem będzie pani musiała zrobić testy na HIV i wirusowe zapalenie wątroby typu C. Poza tym dobrze by było, gdyby zbadała pani sobie poziom folikulotropiny – pomoże nam to ocenić pani owulację. Jeżeli rezerwa jajnikowa okaże się wystarczająca, proponowałbym zacząć od inseminacji domacicznej. Czyli po prostu wprowadzamy nasienie do macicy. To tańsza i mniej inwazyjna metoda. Jeżeli nie przyniesie rezultatów, trzeba będzie zastosować pełną procedurę in vitro. Oczywiście jeśli zajdzie podejrzenie, że przyczyną poronienia była wada pani komórki jajowej, możemy też rozważyć użycie komórki jajowej pobranej od innej kobiety. – Zerka na swój cienki złoty zegarek. – Może pani od razu zbadać krew. Pielęgniarki dadzą pani kilka formularzy do wypełnienia. Za parę dni zadzwonimy z wynikami.

•

W końcu się złamałam i zadzwoniłam do Marthy. Właśnie kończy jakiś duży projekt, ale pośpieszy się z pracą i spotka się ze mną w Shoreditch niedaleko pracowni architektonicznej, w której pracuje.

Kelnerka sadza mnie obok dwóch młodych dziewczyn w designerskich ciuchach. Lata osiemdziesiąte znów są w modzie, chyba że to jedynie chwilowy trend wśród młodzieży. Dziewczyny mają chyba nie więcej niż dwadzieścia lat. Może chodziły razem do szkoły, tak jak Martha i ja, a teraz po raz pierwszy spotkały się w wielkim mieście.

Takie są początki: człowiek przejmuje się swoim ubiorem, wyglądem, ma mnóstwo drobnych kompleksów i błahych zmartwień. Potem dostaje w dupę od życia, drogi jego i przyjaciół się rozchodzą, ale niektórzy pozostaną. Poniewierani przez los, razem pokrywają się zmarszczkami i bliznami – dosłownie i w przenośni. Aż w końcu nie muszą już niczego przed nikim udawać. Mam

przyjaciół, których znam od prawie czterdziestu lat. Jeżeli dożyję osiemdziesiątki, będę miała przyjaciół, których znam od prawie osiemdziesięciu.

Wchodzi Martha, ściska mnie na powitanie.

– Świetnie wyglądasz – komplementuję. – Masz grzywkę. Do twarzy ci z nią.

Oprócz nowej fryzury Martha ma na sobie różową wełnianą sukienkę, czarne skórzane boty i taką samą skórzaną kurtkę. Strój miejski.

– Strasznie się ucieszyłam, jak zadzwoniłaś – mówi. – Przyjechałaś do Londynu na zakupy? Co tam u ciebie?

– Ty pierwsza.

Martha, jeśli trzeba, potrafi być taktowna.

– Jak zwykle ciężko pracuję – odpowiada powoli. – Widziałam kilka dobrych filmów. Wciąż nie poznałam nikogo, z kim chciałabym się związać. Byłam na paru obiecujących randkach, ale nic z tego nie wyszło. Tutaj faceci są tacy... bo ja wiem – egoistyczni? Skupieni na sobie. W Londynie jest za dużo fajnych kobiet i za mało fajnych mężczyzn. To ich rozleniwia. Szczerze mówiąc, teraz gdy tak słucham samej siebie, dochodzę do wniosku, że chyba nie miałabym nic przeciwko ciekawszemu życiu. Twoja kolej.

Staram się mówić równie swobodnym tonem.

– Do mnie w końcu dotarło, że nie możemy dłużej opiekować się Freją. Tobias chwilowo wydaje się być innego zdania. Tak czy inaczej, przyjechałam do Londynu, bo chcę ją umieścić w domu opieki. I poddać się sztucznemu zapłodnieniu, bo chcę urodzić bliźniaki. Oczywiście z innym partnerem. Z banku nasienia.

Martha przeszywa mnie wzrokiem.

– Nie miałabym nic przeciwko ciekawszemu życiu, ale jednak nie tak ciekawemu jak twoje. – Po chwili dodaje: – Anno, czyś ty zupełnie i do szczętu zwariowała?

– Ani trochę. Mówię prawdę. Freja jest w szpitalu. Tobias nie chce jej oddać. Zostawiłam ich oboje. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Teraz to rozumiem.

– Żartujesz sobie? Zostawiłaś swoje dziecko?

– Martho, to się musiało stać prędzej czy później. Zbyt długo chowałam głowę w piasek. Nie ma co udawać, że wszystko gra, skoro tak nie jest. Doznałam nagłego otrzeźwienia. I Bogu dzięki. I tak zbyt późno.

– A co z Tobiasem? Przecież to twój mąż.

– Szczerze mówiąc, nasz związek od wielu miesięcy nie funkcjonuje jak należy.

– Teraz już mam pewność, że oszalałaś. Jeżeli chcesz wiedzieć, wasze małżeństwo jest jednym z powodów, dla których nie mogę sobie znaleźć faceta. Przez was mam zawyżone oczekiwania, chcę spotkać kogoś równie kochającego,

zabawnego i troskliwego. Nie mówiąc o tych wszystkich niemożliwych rzeczach, które wam dwojgu przychodzą z taką łatwością.

– Z jaką łatwością? Wreszcie dostałam zezwolenie na otwarcie szkoły gotowania, ale wszystko jakby sprzyściło się przeciwko mnie – Freja, Tobias, ziemia, walący się dom, gnijące owoce, tabuny szczurów. Że nie wspomnę o pogodzie – huraganowe wichury, susze, powódzie, mrozy, fale upałów. I jeszcze ci wszyscy dziwni ludzie, z którymi za nic nie można dojść do ładu. Jeden wielki bałagan. Jestem bezsilna. To nie na moje nerwy. Życie co chwila mnie czymś zaskakuje.

– Wiesz, co ci powiem? – odzywa się Martha. – Ja mam przyzwoitą pracę, która pochłania cały mój czas. To żadna sztuka pracować aż do śmierci. A ja chcę żyć naprawdę.

•

Od śmierci taty unikam odwiedzin w domu, w którym się wychowałam. Nic się w nim nie zmieniło. Krótka ścieżka przez ogród. Ładnie pomalowane drzwi frontowe, mosiężna kołatka. Stojak na parasole i zapach pasty do podłóg w przedpokoju. Futro mamy i wełniane płaszcze taty na wieszakach. Salon z wykuszowym oknem i wygodne fotele obite taką samą kwiecistą tkaniną, z jakiej uszyto zasłony. Dębowe stoliczki. Gustowny niebiesko-biały wazon pełen świeżych kwiatów. Oprawione w ramki sztychy z końmi. Znam te wszystkie rzeczy jak własną twarz. Każda z nich przywołuje wspomnienia z dzieciństwa.

Mimo wczesnej pory – jedenasta rano – mama wita mnie w eleganckiej czarnej sukni, perłowym naszyjniku i pełnym makijażu. Ufryzowała nawet włosy. Coś mi mówi, że to wszystko dla mnie.

– Na pewno umierasz z głodu, skarbie. Rozgość się w salonie. Możemy zjeść wczesny lunch.

– Pomogę ci.

Lodówkę wypełnia absurdalna ilość jedzenia.

– Mamo, nie trzeba było. Nawet nie wiem, jak długo zostanę.

– Tak bardzo chciałam, żeby twoja wizyta była udana – odpowiada z rozbrajającą szczerością. – Przynajmniej pod tym względem.

Jemy w kuchni. Pyszna zupa warzywna mamy, do tego wędzony łosoś z czarnym pieprzem i plasterkami cytryny, świeże ciemne pieczywo i sałata.

– Co powiesz na mały spacer? – proponuje.

Przez dziesięć minut wspinamy się na smagane wiatrem wzgórze, skąd rozciąga się widok na pofałdowane pola Kentu.

– Powiem, co mam do powiedzenia, jak zaczniemy schodzić – oznajmia.

No więc, oczywiście, zaczynamy schodzić.

– Tylko ze mną nie dyskutuj – zaznacza. – Rok temu w listopadzie, zanim

urodziła mi się wnuczka, uświadomiłam sobie, że po śmierci twojego ojca zrobiłam się chorobliwie rozrzutna. Bez trudu ograniczyłam wydatki i zaczęłam oszczędzać. Kiedy pojawiła się Freja, potrzebowałam jakiegoś celu, który by mnie motywował, więc odkładałam pieniądze dla niej. A teraz chciałabym założyć fundusz powierniczy – a to wymaga zgody rodziców.

– Mamo, nie trzeba.

Napada na mnie z zaciekłością, jaka nawet jej rzadko się zdarza.

– Nie zapominaj, że ona nie jest tylko twoja! Należy do nas wszystkich: do mnie, do Tobiasa, do twojego ojca, do Marthy, nawet do Kerima i Gustava, i do tej hipiski, która z wami mieszka. Nie możesz być taka zaborcza.

– Jestem wzruszona – odpowiadam – ale...

– Wzruszona? Jak możesz w ogóle tak mówić! – krzyczy. – Jesteśmy przecież rodziną!

•

Mój dom rodzinny zmienił się bardziej, niż mi się wydawało w pierwszej chwili. Na pozór zadbane, jest w gruncie rzeczy trochę zapuszczony. Noże i widelce walają się bezładnie po szufladach. Bielizna stołowa i pościelowa nie mieści się w komodzie. W jednej z szafek moja dystyngowana matka gromadzi stare gazety.

– Po co ci one?

– Potrzebne i już – odpowiada kapryśnie.

W komodzie w moim pokoju jest mnóstwo moli, larwy pełzają po moich starych ubraniach, wyżerają dziury w krocach wełnianych rajstop.

Opróżniam wszystkie szuflady, to, co można uratować, pierę i zamykam w plastikowych torbach. Przez kilka następnych dni robię to samo z innymi szafkami w całym domu.

Na dnie szafy mamy znajduję teczkę z jej obrazami z czasów szkolnych.

– Rety, jakie ładne.

– Składałam papiery do akademii sztuk pięknych – wyjaśnia. – I dostałam się.

– Dlaczego nic o tym nie wiem? I co się stało?

– Rodzice oczekiwali, że się ustatkuję, wyjdę za mąż i urodzę dzieci. Uważali, że nauka prowadzenia domu to znacznie odpowiedniejszy kierunek. Poza tym, oczywiście, znałam już wtedy twojego ojca.

– Ale dlaczego zupełnie przestałaś malować? Mogłaś przynajmniej robić to dla przyjemności.

– Nie wiem, skarbie, może bałam się krytyki. A tak mogłam dalej łudzić się, że jestem nieodkrytym geniuszem. Latami myślałam, że kiedyś pokażę światu, jaka to ze mnie świetna artystka, aż któregoś dnia dotarło do mnie, że to się nigdy nie

stanie, bo jestem już stara.

Ostrożnie odkłada obrazy do teczki.

– Wiesz – mówi – jestem z ciebie bardzo dumna. Sama nieźle gotuję, ale ty jesteś profesjonalistką. A może nawet artystką, którą zawsze chciałam być.

W podziękowaniu gotuję mamie obiad.

Nakrywam kuchenny stół białym obrusem i wykładam jej najlepsze talerze i sztucce. Protestuje, ale bez przekonania. Tak naprawdę jest zadowolona.

Przyrządzam stek z polędwicy wołowej w sosie z czarnego pieprzu – ulubione danie taty. Mimo jej sprzeciwu otwieram butelkę bardzo dobrego burgunda.

– Kiedy zostałam matką, bałam się, że sobie nie poradzę – mówi. – Twój ojciec zatrudnił do pomocy pielęgniarkę położną. Była straszna – ciągle zabierała mi dziecko. Powtarzała, że musi jeść i spać o wyznaczonych porach. Była przeciwna karmieniu piersią. Ile razy płakałam, bo dziecko wołało jeść w pokoju obok! Aż któregoś razu nie wytrzymałam i zakradłam się tam. Siostra Poe mocno chrapała. Wyjęłam dziecko i zaniósłam do swojego łóżka. Przystawiłam do piersi, ssało i ssało. Wtedy się w tobie zakochałam. Miałaś takie śliczne oczka – jak głębokie jeziora, w które chciało się zanurkować. Freja ma takie same. Nigdy wcześniej nie czułam w sobie tyle miłości. I już nigdy nie poczuję. Następnego dnia zebrałam się w sobie i odprawiłam pielęgniarkę.

Stukamy się kieliszkami.

– Byłaś moim jedynym dzieckiem. Wiedziałam o tobie wszystko. Dlatego chciałam, żebyś przekonała się, jakie to wspaniałe uczucie zostać matką.

– Och, mamó. Wcale nie takie wspaniałe. Nie jestem dobrą matką. Staram się nią być, ale to mi niszczy życie. Jestem zmęczona, zła... i rozgoryczona. Mam wrażenie, że wszyscy poza mną pogodzili się z chorobą Frei. Nawet Tobias. A ja nie potrafię. Widzę na ulicy matki z małymi dziewczynkami i ogarnia mnie... tęsknota, której nie umiem opisać. Straciłam kogoś, kogo nawet nie poznałam. To gorsze niż stracić osobę, którą się znało, bo wtedy ma się przynajmniej wspomnienia. Freja nie jest taka, jaka powinna być. To się nie zmieni. I nie będzie lepiej – wiem to już dziś. Jestem z nią złączona. Jej cierpienie będzie moim cierpieniem. Zawsze będzie mnie potrzebowała. I nigdy nie będzie prawdziwym dzieckiem.

Mama przytula mnie mocno, jak w dzieciństwie. A ja, tak jak wtedy, wybuchaam głośnym, niepohamowanym płaczem. Z trudem wydobywam z siebie słowa.

– Małe dzieci... są jak kapsuły... z nadziejami i marzeniami. Patrzysz na nie i wyobrażasz sobie... ich pierwszy dzień w szkole, na studiach, ich ślub. Nie dają ci spać w nocy, ale nie szkodzi, wybaczasz im, bo może kiedyś osiągną w życiu coś więcej niż ty. Patrzysz na tę małą, rozwrzeszczaną buzię i widzisz... przyszłego

premiera... albo po prostu szczęśliwego człowieka. I dlatego jakoś znosisz brak snu, stres, ból pleców i smutek – bo dziecko jest nadzieją, jest przyszłością. Freja jest słodziutka, ale to tylko i wyłącznie terażniejszość. Będzie stała w miejscu – albo wręcz może się cofnąć w rozwoju. Chyba nie jestem prawdziwą matką. Chyba nawet jej nie kocham.

– Córciu, nie bądź śmieszna. Naprawdę nie masz się czym przejmować. – Mama ściska mnie jak w imadle. – Twoja miłość do tego dziecka prześwieca we wszystkim, co robisz i mówisz. Jestem dumna z tego, czego dokonałaś z Freją. Ten wysiłek się zwraca, pamiętaj. Na tym polega bycie matką. Żadna z nas nie jest świętą, wszystkie czasem popełniamy błędy.

Odsuwa mnie na długość ramienia i ogląda, trzymając za barki.

– Ale muszę nieskromnie powiedzieć, że mnie całkiem nieźle poszło.

Pamięć podsuwa mi obraz ziarnisty niczym rodzinne nagranie na taśmie 8 mm. Młodsza i ładniejsza mama stoi przy kuchence i potrząsa patelnią.

– O nie, tylko nie kotleciki rybne – grymaszę. – Nie lubię ich.

– Dobrze. W takim razie dostaniesz zwrot pieniędzy.

Unoszę brwi.

– Ale... ja nic nie płaciłam.

Mama triumfalnie podrzuca kotleciki.

– Otóż to, kochanie. Jedz, co ci dają, i nie marudź.

Dlaczego mama i ja tak się od siebie oddaliłyśmy? Czym sobie zasłużyła na głęboką urazę, którą do niej żywię? Kochała mnie zachłanną miłością. Parę razy skrzyczała. Chciała dobrze. Jej winy bledną przy moich: zamierzam wyrzec się własnego dziecka. Gdyby przyznawano nagrodę pocieszenia dla najgorszej matki wszech czasów, na pewno nie byłabym bez szans. Urodziłam wymarzoną córkę i domagam się zwrotu pieniędzy.

Tobias nie potrafi nawet ugotować jajka. A moja biedna Freja, sama w szpitalu? Strach pomyśleć, w jakim jest stanie.

– Muszę do nich wrócić – oznajmiam.

•

Czekam na samolot do Montpellier. Ominęłam bar z burgerami i piję kawę w modnej sieciówce. Plastikowe stoliki w stylu retro, na ścianach plakaty reklamujące muzykę świata.

Otoczają mnie dobrze ubrane kobiety, podobne do tych, jakie widziałam w klinice in vitro, a różniące się od nich tym, że karmią niemowlęta domowym purée lub próbują przywołać do porządku rozbieganych trzylatków. Gdyby nie choroba Frei, byłabym jedną z nich.

Mimo wczesnej pory mają na sobie modne ubrania i cienie do powiek. Wciąż przejmują się tym, co ludzie o nich pomyślą. Życie nigdy nie zadało im

druzgoczącego ciosu, nie zmusiło do wejrzenia głęboko w siebie, zrozumienia własnej istoty.

Siedzę i gapię się na kobiety sączące cappuccino, rozmawiające o błahostkach w oczekiwaniu na samolot, który zabierze je na urlop. Ich życie wydaje się powierzchowne i nudne; ich normalne, zdrowe dzieci – groteskowe i niemrawe.

Moje życie i moje dziecko są wyjątkowe.

Odzywa się telefon. Dzwonią do mnie z kliniki in vitro.

– Mamy już pani wyniki – mówi pielęgniarka. – Zapraszamy jutro, omówimy dalsze kroki.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne – odpowiadam. – Jednak nie potrzebuję dziecka. Zrozumiałam, że już je mam.

•

Hol szpitala ogólnego w Montpellier. Odczuwam podskórny niepokój, jak w pierwszym dniu szkoły. Drogę na oddział dziecięcy znam na pamięć. Najpierw w prawo, potem windą na górę. Ale w jakim stanie będzie Freja? Może leży nieprzytomna w ciszy przerywanej tylko szumem respiratora. Może siedzi przy niej wściekły na mnie Tobias.

W ostatniej chwili znowu tchórzę. Nienawidzę się za to.

Zawracam i wychodzę na dwór.

Nie potrafię stawić czoła temu, co mnie tam czeka. Odejść też nie umiem.

Przez jakiś czas wałęsam się po wypielęgnowanych ogrodach, chodzę po szorstkiej, odpornej na suszę trawie, wśród rabatek jaskrawych kwiatów.

Nie wiedzieć jak trafiam pod oddział psychiatryczny, na którym przebywa Lizzy. Podczas ostatniego pobytu w szpitalu kilka razy do niej zaglądałam. Trochę się poprawiła; wspominała, że chciałaby odwiedzić Freję.

Pokonuję kilka stopni dzielących mnie od wejścia i przemierzam arktyczne korytarze. Na moje nieśmiałe pukanie odpowiada znajomy głos Lizzy:

– Proszę.

Mijam w drzwiach drobną kobietę o siwiejących ciemnych włosach. Lizzy siedzi na krześle przy oknie. Długo się obejmujemy. Wciąż jest blada, wydaje się jednak nabierać sił. Siadam naprzeciwko, trzymając ją za rękę.

– Lizzy. Wyglądasz dużo lepiej.

Uśmiecha się speszona.

– Mam ci do powiedzenia kilka ważnych rzeczy – mówi. – Po pierwsze, wiem, że to, co zrobiłam, było głupie. A przynajmniej wszyscy mi to powtarzają.

– Ale czy naprawdę tak myślisz?

– Myślę... wydaje mi się, że to, co się wydarzyło, miało jakiś ukryty sens. Jak tylko się z tym pogodziłam, wokół mnie zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Mimo wszystko uśmiecham się, widząc, że wraca do nas dawna Lizzy.

– Ja nie żartuję – oznajmia z powagą. – W końcu pozwolili mi odwiedzić Freję i kiedy u niej byłam, chwyciła butelkę. Zaczęła ssać mleko. To było jak cud.

– Freja? Czyli nie trzeba jej karmić przez rurkę?

– Nie, nie, właśnie to próbuję ci powiedzieć. To był pierwszy cud.

– Lizzy, jesteś pewna? To dla mnie bardzo ważne.

– Oczywiście. Ale to tylko mały cud. Duży cud jest taki, że pogodziłam się z moją mamą.

– Naprawdę? – Widząc jej rozpromienioną minę, pozwalam sobie dodać: – Myślałam, że ty nie masz mamy.

– Anno, każdy ją ma. Wydawało mi się, że moja mnie nienawidzi. Ale w końcu udało mi się porozmawiać z nią przez telefon. Przez te lata jakoś ułożyła sobie życie.

Jak na dany znak otwierają się drzwi i wraca ciemnowłosa kobieta, niosąc dwa kubki ziołowej herbaty.

– Cześć – mówi, obnażając w szerokim uśmiechu idealne, kalifornijskie zęby. – Nazywam się Barbie. Ty na pewno jesteś Anna. Lizzy dużo mi o tobie opowiadała.

– Mama od razu wsiadła w samolot i przyleciała do Francji – wyjaśnia entuzjastycznie Lizzy. – Przez ocean. Specjalnie dla mnie.

Przenoszę wzrok z bladej, rozpromienionej twarzy Lizzy na zbyt idealny uśmiech Barbie i ogarnia mnie złe przeczucie. Lizzy jest taka krucha. Kolejne rozczarowanie mogłoby ją zabić.

– Tym razem jej nie porzucę – zwraca się do mnie Barbie, jakby odczytując moje myśli. – Myślałam, że wszystko zepsułam. Że straciłam córkę na zawsze. Drugi raz do tego nie dopuszczę.

Okrągłe, płomienne oczy przez chwilę zagładają w moje. Potem na jej twarzy na nowo pojawia się idealny uśmiech.

– Po powrocie do Stanów zamierzamy dołączyć do wspólnoty czasu naturalnego 13 księżyców.

– Czasu naturalnego...?

– Oj, Anno – śmieje się ze mnie Lizzy. – Czas nie jest linearny. Jest fraktalny i wielowymiarowy. Nasz kalendarz nie ma nic wspólnego z naturą.

Barbie przytakuje.

– We wszystkich systemach wierzeń dwunastka jest liczbą doskonałości, skończoności. A trzynastka to ciąg Fibonacciego, brama do kolejnego wymiaru. Poza tym większość wspólnot pobiera opłaty od nowych członków, a ci ludzie nie chcą żadnych pieniędzy.

– Muszę iść – ucinam. – Wpadłam tylko na chwilę po drodze na neurologię dziecięcą. Nie wiecie może, czy Tobias jest dzisiaj u Frei?

Lizzy i jej matka spoglądają ze zdziwieniem.

Wreszcie Lizzy mówi:

– Właśnie o to mi chodziło z tym cudem. Tobias wrócił z Freją do Les Rajons. Wypisali ją.

•

Podejrzewałam Tobiasa o romans, a to ja go zdradziłam.

Oskarżałam go, że nie poświęca się dla Frei, a to ja uciekłam przed odpowiedzialnością.

Mam wrażenie, że nasza rozłąka trwała nie tydzień, lecz miesiące i lata. Denerwuję się przed ponownym spotkaniem, mam motyle w brzuchu, jakbym szła na pierwszą randkę.

Jadę autobusem z Montpellier. Tobias się mnie nie spodziewa. Bałam się zadzwonić, bo jeszcze powiedziałaby, żebym nie przyjeżdżała.

Siedzi przy piecu w salonie. Freja zasnęła mu na piersi, obok stoi pusta butelka po mleku. Tobias wygląda poważniej niż ostatnim razem, kiedy go widziałam. Wciąż ma wokół oczu zmarszczki od uśmiechania się, ale pojawiły się też nowe, od smutku i zmartwień. W jego twarzy zaszła jakaś zmiana. Stał się odpowiedzialny.

– Cześć.

Uśmiecha się na mój widok i przez moment dostrzegam w nim dawnego, beztroskiego Tobiasa.

– A więc jednak wróciłaś.

– Byłam odwiedzić Lizzy w szpitalu. Pomyślałam, że wpadnę zobaczyć, jak sobie dajesz radę.

Znów pochmurnieje.

– No wiesz, znasz mnie. Głównie wygrzewam się na kamieniach z jaszczurkami.

Jesteśmy o krok od kolejnej sprzeczki, kolejnego nieporozumienia. I wtedy dociera do mnie, że to moment ostatniej szansy. Lada chwila nasza miłość runie w przepaść i roztrzaska się na tysiąc kawałków – chyba że skoczę jej na ratunek. Dociera też do mnie, że moja miłość – do Tobiasa i do naszej córki – to najcenniejsze, co mam. Jest ważniejsza od dumy, od szczęścia, od lęków i nadziei. Nic nie może jej się równać. Wykracza poza wszystko inne.

Skaczę więc. Mówię w pośpiechu:

– Wcale nie po to przyjechałam. Nie mogłam bez was wytrzymać. Jesteście mi najbliżsi. Źle postąpiłam. Przepraszam. Nie wiedziałam, co robię...

Z każdym kolejnym zdaniem jest mi coraz łatwiej.

– Tęskniłam za tobą. Za wami. Bardzo. Czułam w sobie taką pustkę, jakbym umarła. To znaczy... Wydawało mi się, że czułam pustkę, zanim stąd wyjechałam...

Ale kiedy się z wami rozstałam, to było tak, jakby słońce zgasło – jakby wcześniej cały czas świeciło na mnie z ukrycia – dopóki nie odwróciłam się do niego plecami. To było nie do zniesienia. Nie chcę drugiego dziecka. Chcę tylko was.

Bardzo ostrożnie, bo wciąż trzymając Freję, Tobias wstaje i podchodzi do mnie. Nie odkładając małej, niezdarnie otacza mnie ramieniem. Jedną ręką obejmuję jego, a drugą Freję. Stoimy tak sama nie wiem jak długo, aż nasze oddechy się wyrównują.

– Nie musisz przeproszać – szepcze on. – Oboje zachowywaliśmy się okropnie. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Żyliśmy każde w swojej bańce, skupieni na własnym cierpieniu.

– Moja wina jest większa. Uciekłam od własnego dziecka. Przez cały czas uważałam się za pokrzywdzoną. Miałam do ciebie pretensje, że się nie angażujesz, a potem sama nie stanęłam na wysokości zadania.

– Nieprawda. Miałaś prawo być wyczerpana. Bardzo długo brałaś cały ciężar na siebie. Nie pomagałem ci.

Odsuwa się delikatnie i podaje mi Freję. Ściskam ją mocno, aż robi się czerwona, a moje ramię odciska się na jej buzi. Wtula się we mnie, słyszę, jak wciąga powietrze nosem. Przekrzywiam głowę i widzę z bliska rozmazane ucho i malutkie, rozchylone usta.

– Mam takie poczucie, jakby nic innego na świecie się nie liczyło.

– Na początku bałem się ją pokochać – mówi Tobias. – Ale nie kochając jej, czułem się jeszcze gorzej. Teraz kocham ją tak mocno, że aż strach – bo wiem, że kiedyś złamie nam serce. Ale przynajmniej czuję, że żyję. To, co mamy, to jest właśnie prawdziwe życie. Nie jest łatwe, ale jest prawdziwe.

– Kocham cię. Tak się cieszę, że was mam. Prawie was straciłam. Już nigdy was nie opuszczę.

– A, nie zgadniesz! W końcu znalazł się sponsor *Pani Bovary*. Szefowie Sally twierdzą, że to między innymi dzięki muzyce, więc moje notowania skoczyły. Zamierzam poczekać, aż sypną forszą, zanim zabiorę się z powrotem do pracy. Ale teraz pójdzie już szybko – w przyszłym miesiącu powinienem zacząć nagrywanie w Londynie, a niedługo potem dostanę całość wynagrodzenia.

Szczerzy zęby. Dawny kochany Tobias. Mimo tylu zmartwień nie przestał być sobą.

– Założę się, że pod moją nieobecność w ogóle nie gotowałeś – mówię. – Co powiesz na to, żebym zrobiła ci obiad.

– Anno, słuchaj, czy możesz jeszcze tam nie...

Za późno. Weszłam już do kuchni. Na tyle szybko, by złowić wzrokiem trzy lub cztery znajome ciemne kształty rozbiegające się po kątach.

– Strasznie cię przeproszam. Dopiero co wróciłem z Montpellier... No, parę dni temu. Nie miałem czasu posprzątać.

Słoiki leżą porozbijane tam, gdzie je rzuciłam. Moja kuchnia jest smutnym pobjowiskiem. Gdzie nie spojrzeć odłamki szkła, groch, mąka kukurydziana, czarny makaron, miód manuka.

Szczury miały dużo czasu, by się spaść i wszystko obsrać, zbudowały nawet gniazda z kawałków tektury. Jeden upodobał sobie słoik z nutellą. Zamiast uciec jak reszta, stanął na tylnych łapach i szczyrzy na mnie kły. Stoję bez ruchu, oniemiała.

– Anno – mamrocze Tobias – wiem, że powinienem był posprzątać. Strasznie cię przepraszam. Nie uwierzysz, ale naprawdę całkiem nieźle radziłem sobie z Freją. Ani razu nie zapomniałem jej nakarmić. Ani o lekarstwach. Jestem z siebie zadowolony. Po prostu nie zdążyłem zabrać się za sprzątanie... ale wszystko naprawimy. Załatwię nowe słoiki, zrobimy wszystko od nowa. Twój system działa. Szczury nie potrafią się do nich dostać. Proszę cię, nie odchodź.

Szczur pilnujący nutelli unosi pysk i wydaje serię wściekłych pisków.

Znow mam łzy w oczach. Znow czuję falę wściekłości.

– W porządku – mówię. – Poddaję się. Trzeba im wymyślić imiona. Niech to będą nasze zwierzątka domowe.

Zabieramy się za odgruzowywanie kuchni.

– Wiesz co – mówi Tobias – jesteś stuknięta, ale dokonałaś cudu. Nie pozwoliłaś nam się poddać i umrzeć. Sprowadziłaś nas tutaj. Skomplikowałaś nasze życie, ale w pewnym sensie je wzbogaciłaś.

– To nie moja zasługa, tylko tego miejsca. Uświadomiłam to sobie w Londynie. Tam wszyscy ludzie są... jednakowi. Tutaj każdy człowiek jest inny. Każdy ma swoje dziwactwa i nikogo to nie razi. Upośledzone dziecko wtapia się w tło.

Wrzucając kawałki szkła do nadstawionego przez Tobiasa kartonu, myślę o tym, że miewamy wzloty i upadki, ale razem jesteśmy lepsi niż osobno. Tworzymy świetny duet.

Może poradzimy sobie z opieką nad Freją, a może nas to przerośnie – na pewno mamy przed sobą długą drogę i wolę mocniej ścisnąć dłoń Tobiasa niż zastanawiać się, co przyniesie jutro.

EPILOG

Tobias i ja idziemy trzymając się za ręce, z Freją w nosidełku na mojej piersi. Tak jak to kiedyś robiliśmy. Idziemy przez smoczy grzbiet, obok źródelka, aż do domku Juliena.

Gdy się zbliżamy, z góry dochodzi nas odgłos walenia młotkiem.

– O! – mówię, zaskoczona widokiem.

Dom wygląda zupełnie inaczej. Okna przesłaniają zasłonki w czerwono-białą kratkę. Na gałęziach na różnych wysokościach wiszą: turbina wiatrowa, generator, panele słoneczne.

– *Bonjour!* – słyszymy entuzjastyczny okrzyk. – Anno, tak się cieszę, że znów jesteś z nami!

– Yvonne! – wołam. – Zamieszkałaś na drzewie?

Wychyła się z okna i z dumą prezentuje pierścionek zaręczynowy.

– Powiedzmy, że osiągnęliśmy porozumienie. Właźcie na górę. Julien pracuje nad dalszymi udogodnieniami.

Weranda obwieszona jest praniem. Nad drzwiami wisi antena satelitarna, a pod nimi czekają na wniesienie do środka kuchenka mikrofalowa i lodówka.

– Kiedy Julien upora się z elektryką i hydrauliką – mówi Yvonne – zrobimy jakąś balustradę. Oczywiście beton będzie za ciężki, ale widziałam taką z włókna szklanego. Wygląda jak prawdziwa.

Wewnątrz Julien instaluje prysznic.

– Anno – mówi z tym swoim niepewnym uśmiechem. – Wróciłaś. Dokonałaś dobrego wyboru.

– Ty też – odpowiadam. – Zrobiłeś, co należało, żeby zdobyć dziewczynę

marzeń.

Wybuchła śmiechem, który u każdego innego człowieka odczytałabym jako zażenowanie.

– No cóż. Konieczne są kompromisy. A przy okazji – dodaje – mam coś dla ciebie. Coś, co rozwiąże twoje problemy ze szczurami. Mówiłem, że nad tym pracuję. Potrzebowałem tylko trochę czasu.

Idzie w kąt pokoju i grzebie w jakimś kartonie.

– Patrz tylko! Pułapka na szczury. Niezawodna.

W moich dłoniach ląduje kociak – ciemnoszary, z groźnie nastroszoną sierścią. Mruczy jak piec hutniczy i wlepia we mnie okrągłe, bursztynowe ślepia.

– Najlepszy z całego miotu. Na ile znam się na kocich charakterach, będzie z niego nie lada łowca.

– Julien, czemu nie powiedziałeś mi wcześniej? Po co była ta cała zabawa z pułapkami i słoikami?

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. Wiem, że od dawna był ci potrzebny. Ale natura nie daje się poganiać.

•

Dzwonię do Kerima, żeby mu opowiedzieć ostatnie nowiny: o mojej ucieczce i o powrocie, o Frei i o tym że jest z nią lepiej, o porozbijanych słoikach i o szczurach, o Julienie i Yvonne mieszkających razem na drzewie, o kociaku i o tym, że Lizzy odnalazła matkę.

– A jak się miewa Amelia? – pyta.

– Prawdę powiedziawszy, trochę się o nią martwię. Nie wie, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Wydaje mi się, że samotne życie jej nie służy.

– Anno – mówi Kerim – jeśli chcesz się pozbyć szczurów, spraw sobie kota. Jeśli potrzebna ci nocna opiekunka do dziecka, znajdź osobę cierpiącą na bezsenność.

Tak więc Kerim i Gustave pakują rzeczy mojej matki i przywożą ją do nas, a potem urządzają babcine lokum w dawnym pokoju Kerima koło leżakowni wina.

Mama nadal mną dyryguje i jeszcze ani razu się nie zdarzyło, żeby pozwoliła mi dokończyć zdanie. Ale jestem już świadoma tego, że kiedy domaga się, bym dzwoniła do BBC i żądała szerszego serwisu wiadomości międzynarodowych albo do ubezpieczeń społecznych, żeby zwiększyli jej zimowy dodatek na ogrzewanie, to faktycznie chce powiedzieć albo usłyszeć coś innego: że mnie kocha i że ja ją kocham.

Wydaje mi się, że wreszcie pojęłam, co znaczy być matką. Nie ma to nic wspólnego z wiekiem dziecka, z tym, że cię opuściło, albo że ma twoje geny, albo cię nienawidzi, albo nawet nie zna twojego imienia. To tylko kwestia więzi.

Muszę kochać Freję teraz, bo może nie będzie żadnego później. Tu i teraz

jest w porządku. Kiedy leżymy obok siebie, tylko my dwie, jest między nami intymność większa niż między kochankami.

Kogo więc chciałabym mieć obok siebie w łóżku w leniwy niedzielny poranek? Oczywiście mojego męża i Freję – teraz już większą, ale równie przylepną – leżącą spokojnie między nami i trącającą nas piąstkami. Na kołdrze rozkosznie wyciągniętego, bursztynowookiego szarego Szczurołapa, naszego kota. A obok nas po obu stronach zanoszące się na zmianę płaczem nasze bliźnięta z buziami pomarszczonymi jak suszone śliwki: pojawiły się niespodziewanie, kiedy już na ich pojawienie się przestałam liczyć. No dobrze, w dni, kiedy mam doskonały humor, znajdzie się też miejsce dla mojej mamy, może nie w samym łóżku, ale u drzwi naszej sypialni, skąd wsuwa głowę do środka i wydaje rozkazy. A może nawet od czasu do czasu jakaś mysz. Albo i szczur. Życie musi się toczyć dalej.

UWAGI I PODZIĘKOWANIA

Pisanie niniejszej książki przypadło na okres, kiedy prawie w ogóle nie spałam. Z biegiem czasu stała się ona dla mnie równoległym światem: uciekałam do niego przed prawdziwym życiem, które chwilami bywało nie do zniesienia.

Żadna z postaci występujących na kartach tej książki nie ma nic wspólnego z prawdziwymi osobami, żyjącymi bądź zmarłymi. Ponieważ jednak pewne – bardzo nieliczne – elementy fabuły są oparte na osobistych doświadczeniach, uznałam, że może warto je tutaj wymienić.

Objawy i lekarskie prognozy przedstawione na początku książki (oraz w dalszych rozdziałach) dotyczą mojej córki, Ailsy. Ona także była wielokrotnie hospitalizowana, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i we Francji, w tym na oddziale intensywnej terapii, choć w jej przypadku wydarzenia nigdy nie przybrały tak dramatycznego obrotu. Rzecz jasna, zachowanie mojego partnera i moje w niczym nie przypominało zachowania Anny i Tobiasa, którzy – ku mojemu zaskoczeniu – bardzo szybko zaczęli żyć własnym życiem i postępować doprawdy skandalicznie.

Park Przyrodniczy Górnej Langwedocji istnieje naprawdę. Mamy szczęście spędzać tam znaczną część naszego czasu. Staralam się oddać ducha tego pięknego regionu. Niemniej Les Rajons, wioska Rieu oraz rzeka i miasteczko Aigues są wytworami mojej wyobraźni, podobnie jak szpital ogólny w Montpellier.

Ponieważ w prawdziwym życiu natura poczynala sobie z nami bez pardonu, ja również nie zawsze liczyłam się z jej odwiecznymi prawami – niekiedy pozwalałam roślinom kwitnąć i wydawać owoce nieco wcześniej (lub później), niż dzieje się to zazwyczaj. Staralam się przy tym unikać sytuacji całkowicie nieprawdopodobnych, choć pilni badacze śródziemnomorskiej agrokultury zapewne i tak będą sobie zadawać pytania w rodzaju: „Czy w roku, w którym pod koniec kwietnia można jeszcze zobaczyć górskie fiołki, pierwsze figi dojrzałyby w czerwcu?”. Prośba do tych ekspertów: pamiętajcie, że rzecz dzieje się w głębi lądu, około pięćdziesięciu kilometrów od morza, na wysokościach od dwustu do tysiąca metrów nad jego poziomem – i bądźcie litościwi.

Po tych wszystkich zastrzeżeniach, wyjaśnieniach i usprawiedliwieniach czas wreszcie przejść do podziękowań.

Wielu moich znajomych zadało sobie dużo trudu, by stworzyć mi odpowiednią przestrzeń – dosłownie i w przenośni – do pisania. Jestem niezmiernie wdzięczna Alexowi MacGilivrayowi, Lilli Matson, Megan i Albie, którzy pozwolili mi zamieszkać w swoim pięknym domu (i nie mieli do mnie pretensji, gdy nieraz zamiast pracować drzemałam w ich salonie). Gorące podziękowania kieruję również do Berniego Kramera, który zbudował mi piękną chatkę pisarską.

Kri Centofanti niestrudzenie broniła mnie przed francuską biurokracją i nieraz brała sprawy w swoje ręce: robiła za nas wiosenne porządki, pielęła nasz ogród, gotowała nam obiady. Moja siostra Safia, brat Tahir i liczni znajomi

(wiecie, że o was mówię) dodawali mi otuchy i udzielali praktycznej pomocy – osobiście, mailowo i przez telefon.

Frédérique Beaufumé nie tylko zapewniała Ailsie spokój i miłość, ale także czuwała nad poprawnością mojej francuszczyzny, a nawet wylapywała błędy gramatyczne popełnione przeze mnie w języku angielskim.

Charlie Mole przyjrzał się krytycznie moim wyobrażeniom o realiach pracy niezależnego kompozytora. Jego wskazówki pozwoliły mi – taką mam nadzieję – uczynić Tobiasa nieco bardziej wiarygodną postacią. Pomogli mi w tym również dwaj zaprzyjaźnieni muzycy: Mathew Priest i Dan Edge.

Mojemu wspaniałemu agentowi Patrickowi Walshowi i jego zespołowi należą się szczególne podziękowania za poświęcenie, entuzjazm i ciężką pracę – nie mówiąc o nad wyraz udanych imprezach.

Osobne podziękowania składam nieocenionej Rebecce Carter, do niedawna związanej z wydawnictwem Harvill Secker, a obecnie z Janklow & Nesbit. To ona pierwsza we mnie uwierzyła, a jej pomoc na etapie redakcji przypominała chwilami przyspieszony kurs pisania powieści.

Dziękuję Liz Foley, Michałowi Shavitowi i pozostałym pracownikom wydawnictwa Harvill Secker za opublikowanie tej książki w Wielkiej Brytanii, a także Emily Bestler z Atria Books, która wydała ją w Stanach Zjednoczonych. Również im powieść zawdzięcza swój ostateczny kształt.

Wszystkie błędy, nieścisłości i bzdury biorę oczywiście na siebie.

Największy dług wdzięczności mam wobec trzech osób, którym ta książka jest dedykowana.

Pierwszą z nich jest moja mama, która mocą swej niezłomnej woli niejako zmusiła mnie do przetrwania szeregu prób, jakim poddało mnie życie. Choć w niczym nie przypomina żadnej z matek obecnych na kartach tej książki, przyznaję, że od czasu do czasu podkradałam jej bon moty.

Drugą jest mój partner Scott, który bez słowa skargi przyrządzał mi pyszne posiłki i heroicznie opiekował się naszą córką, dzięki czemu miałam czas pisać o kobiecie, która poświęca się bez reszty dla męża i dziecka. Zawsze mogłam liczyć na jego wsparcie, miłość i otuchę.

Najwięcej, rzecz jasna, zawdzięczam naszej pięknej córeczce Ailsie, będącej dla nas źródłem wielkiego szczęścia. Wszystkiego, co wiem o macierzyństwie, nauczyłam się od niej.

Anna i Tobias nie podejrzewają, że zmiana życiowych planów spowodowana narodzinami niepełnosprawnej córki Frei okaże się dla nich początkiem niezwyklej duchowej wędrówki. Przede wszystkim jednak żadne z nich nie spodziewa się tego, jak bardzo Freja samym swoim istnieniem wpłynie na życie wszystkich dookoła. Po opuszczeniu szarego Londynu zamieszkują w Langwedocji, w sypiącym się, pełnym gryzoni wiejskim domu, który jak magnes przyciąga rozmaitych dziwaków. Anna robi wszystko, by jej życie wróciło na właściwe tory, ale im bardziej stara się zapanować nad otoczeniem, tym silniej wszystko sprzyiega się przeciw niej. W miarę jak z upływem pór roku dojrzewają kolejne owoce i kwiaty - wiśnie, figi, róże damasceńskie - Anna, korzystając z pochodzącego z czasów wojny notesu z przepisami dawnej mieszkanki Les Rajons i bohaterki lokalnego ruchu oporu, mozolnie przerabia je na konfitury i przelewa do słoików na tyle solidnych, by oparły się wszędobylskim gryzoniom.

MYSZOODPORNA KUCHNIA to ciepła i pełna humoru opowieść, która wzrusza i skłania do refleksji, ale przede wszystkim pokazuje, że najpiękniejsze rzeczy w życiu często bywają również najbardziej pogmatwane.

Brawurowa książka pełna nie-stosownych żartów, rzucania talerzami, skoków w bok i mało heroicznych prób ucieczki od matczynych i ojcowskich obowiązków - słowem, pełna wszystkiego, co przynosi chwilową ulgę ludziom żyjącym pod skrajną presją...

THE NEW YORK TIMES